

# Serce



EDMONDO DE AMICIS

## Serce

POWIEŚĆ DLA CHŁOPCÓW

TŁUM. MARIA KONOPNICKA

*Książka ta, przeznaczona szczególnie dla chłopców uczęszczających do szkół elementarnych<sup>1</sup> pomiędzy dziewiątym rokiem życia a trzynastym, powinna by właściwie nosić taki tytuł: „Dzieje roku szkolnego, spisane przez ucznia trzeciej klasy szkoły municypalnej<sup>2</sup> we Włoszech”. Mówiąc uszakże, że książka napisana została przez ucznia klasy trzeciej, nie chcę utrzymywać, iż utworzył on ją tak, jak wydrukowana została. Uczeń notował sobie odręcznie i jak umiał to, co widział, co czuł, co myślał w szkole i poza szkołą, a ojciec jego, przejrzaawszy w końcu roku notatki owe, spisał podług nich te karty, starając się nie zmienić w niczym nie tylko myśli swego syna, ale owszem, zachować, o ile można, i słowa jego nawet. W cztery lata później, i będąc już w gimnazjum, syn odczytał rękopis i dodał do niego to i owo, w świeżej mając pamięci ludzi i zdarzenia. A teraz czytajcie, chłopcy, tę książkę. Mam nadzieję, że zajmie was ona i ku dobremu pobudzi.*

## PAŹDZIERNIK

Pierwszy dzień szkoły

*17. poniedziałek*

Dzisiaj pierwszy dzień szkoły.

Jak sen przeleciały te trzy miesiące wakacji na wsi!

Mama poprowadziła mnie zaraz rano do Sekcji Baretty<sup>3</sup>, żeby mnie zapisać do trzeciej elementarnej. Szedłem dosyć niechętnie i myślałem o wsi. A ulice aż się roiły od chłopców. Obie księgarnie po drodze pełne były ojców i matek kupujących tornistry, papier, książki, kajety<sup>4</sup>, a przed szkołą taki był ścisk, że i pedel<sup>5</sup>, i strażnik miejski musieli pilnować miejsca, żeby się ludzie nie podusili. Wtem we drzwiach ktoś się mnie trącił w ramię. Był to mój pierwszy nauczyciel z drugiej wyższego oddziału, zawsze wesół, śmiejący, ze swoją rudą, nastroszoną czupryną.

— No, Henryku! — rzekł. — Rozłączamy się tedy na zawsze!

Wiedziałem dobrze, że się rozłączymy, a przecież słowa te były mi bardzo przykre.

Weszliśmy z trudem. Panie, panowie, kobiety z ludu, robotnicy, służący, zakonnice — wszyscy prowadzą chłopców jedną ręką, a w drugiej trzymają książeczki z promocjami, zapelniając sienie, schody takim gwarem, że to zupełnie jakby się do teatru szło.

Ucieszyłem się zobaczywszy znowu tę wielką salę parterową z sześcioma drzwiami wiodącymi do sześciu klas, którą przebiegałem codziennie prawie przez trzy lata z rzędu. I tu był ścisk. Jedne nauczycielki wchodziły, drugie wychodziły.

Moja dawna nauczycielka z wyższego oddziału pierwszej skinęła mi głową stając we drzwiach swej klasy i rzekła:

<sup>1</sup>szkółka elementarna — dziś: szkoła powszechna. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>municypalny — tu: miejski. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Sekcja Baretty — nazwa szkoły. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>kajet (daw., z fr.) — zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>pedel (daw.) — woźny. [przypis edytorski]

— Idziesz więc, Henryku, na wyższe piętro w tym roku. Nie zobaczę cię już przebiegającego tutaj. — I smutnie spojrziała na mnie.

Wtem zobaczyłem dyrektora. Otoczony był ze wszystkich stron tłumem zafrasowanych<sup>6</sup> kobiet, dla których synów zabrakło już miejsca; a broda jego wydała mi się bardziej szpakowata niż zeszłego roku. Widziałem też niemało dawnych kolegów, którzy przez wakacje porośli, pogrubieli jakoś.

Na dole, gdzie się już odbywały egzaminy wstępne, była cała czereda małych bębnów<sup>7</sup>, które nie chciały do klasy iść, klóciły się i niektóre uciekały z ławek, zaś inne widząc, że już rodzice odchodzą, zaczynały głośno płakać, krzyczeć, tak że się matki musiały wracać, żeby je uspokoić albo zabrać z sobą, a nauczycielki były w desperacji.

Mój mały braciszek dostał się do klasy panny Delcati, a ja poszedłem na pierwsze piętro do oddziału nauczyciela Perboni.

O dziesiątej byliśmy już wszyscy w klasie. Pięćdziesięciu czterech chłopaków, jak obszył. Ale wśród nich znalazło się ledwo piętnastu czy szesnastu dawnych moich kolegów z drugiej; pomiędzy nimi Derossi, ten, który zawsze był prymusem.

Taka mała, taka smutna wydała mi się szkoła, kiedym pomyślał o łąkach, o lasach, o górach, w których przepędziłem<sup>8</sup> lato! A i o nauczycielu z drugiej klasy też sobie myślałem; taki był zawsze dobry, tak się śmiał z nami, taki nieduży był, że się zdawał naszym towarzyszem, i bardzo mi było żal, że już nie zobaczę jego rudej, zjeżonej czupryny. Nasz terazniejszy nauczyciel jest wysoki, nie nosi brody, ale ma za to długie, siwe włosy i prostą zmarszczkę na czole. Ma głos gruby i tak bystro patrzy, jakby nas wszystkich na wylot chciał przejrzeć. Nigdy się też nie śmieje.

Tak tedy powiedziałem sobie: Oto pierwszy dzień szkoły. Jeszcze dziewięć miesięcy. Ile pracy! Ile egzaminów miesięcznych! Ile trudów!

Tak się złożyło, że przy wyjściu spotkałem matkę i pobiegłem ucałować jej ręce. Rzekała mi: — Odwagi, Henryku! Będziemy się razem uczyli. — Więc wróciłem wesół do domu. Ale nie mam już mego dawnego nauczyciela, co się tak mile uśmiechał, a szkoła nie wydaje mi się tak piękną jak pierwej<sup>9</sup>.

Nasz nauczyciel

18. wtorek

Chociaż nie mogę powiedzieć, bo i nowy nauczyciel podobał mi się po dzisiejszym ranku. Podczas wejścia, kiedy już siedział na swoim miejscu, zatrzymywali się przed drzwiami klasy dawni jego uczniowie z ubiegłego roku, aby go pozdrowić. Zatrzymywali się przechodząc i pozdrawiali go:

— Dzień dobry, panie nauczycielu! Dzień dobry, panie Perboni!

Niektórzy wchodzili, podawali mu rękę i schylali głowy. Znać było, że go lubią i chcieliby do niego powrócić.

Odpowiadał: „Dzień dobry!” — ścisnął wyciągające się ku niemu ręce, ale na niego nie patrzył i wszystkie powitania przyjmował jakby obojętnie, z tą swoją prostopadłą zmarszczką na czole, obrócony do okna i patrzący na dach domu naprzeciwko. Zamiast się cieszyć pozdrowieniami tymi, znać było, że cierpi i że mu jest smutno.

Kiedy przeszli, obrócił się do klasy i patrzył na nas, przejmując wzrokiem jednego po drugim i jak gdyby oczekując czegoś. Wreszcie zaczął dyktować chodząc pomiędzy ławkami, a zobaczywszy chłopca, który miał twarz całą czerwoną od jakichś wyrzutów, przestał dyktować, wziął twarz jego w obie ręce i położył mu rękę na czole, żeby zobaczyć, czy ma głowę gorącą.

Tymczasem jeden z uczniów zaczął się śmiać w ławce za nim, robić miny i błaznować. Nauczyciel odwrócił się nagle. Chłopak siadł natychmiast, spuścił głowę i czekał na karę. Ale nauczyciel położył mu rękę na głowie i rzekł: — Nie czyn tego nadal. — Ani słowa więcej, po czym powrócił do stolika swego i kończył dyktować.

<sup>6</sup>zafrasowany (daw.) — zmartwiony. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>bęben (daw., pot.) — małe dziecko. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>przepędzić — tu: spędzić. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>pierwej (daw.) — wcześniej. [przypis edytorski]

Skończywszy dyktować patrzył przez chwilę w milczeniu, a potem tak przemówił z wolna swoim grubym, ale dobrym głosem:

— Słuchajcie. Cały rok szkolny mamy spędzić z sobą. Starajmy się spędzić go w pokoju. Uczcie się i bądźcie dobrzy. Nie mam rodziny. Moją rodziną jesteście wy. Jeszcze zeszłego roku miałem matkę. Umarła mi. Zostałem sam. Was tylko mam teraz na świecie. Wy jesteście moją troską i moją pociechą. Wy będziecie dziećmi moimi. Dobra waszego chcę i wy chciejcie, żeby mi było z wami dobrze. Bolałoby mnie, gdybym któregoś z was ukarać musiał. Pokażcie, że macie serce. Szkoła nasza będzie mi domem rodzinnym, a wy będziecie moją chlubą i moją radością.

Nie żądam od was obietnicy, słowa. Wiem, że w swych sercach jużście je dali. I dziękuję wam.

A wtem wszedł pedel, żeby na „finis”<sup>10</sup> dzwonić. Wyszliśmy z ławek cicho jak w kościele, a ten chłopiec, co się prześmiewał, podszedł do nauczyciela i rzekł drżącym głosem:

— Panie nauczycielu! Niech mi pan przebaczy.

Nauczyciel pocałował go w czoło i rzekł:

— Idź w spokoju, mój synu.

Wypadek

## 21. piątek

Rok się zaczął nieszczęśliwie. Właśnie powtarzałem ojcu słowa nauczyciela idąc do szkoły dziś rano, kiedyśmy zobaczyli w ulicy tłum ludzi, którzy się cisnęli do drzwi naszej sekcji. Więc ojciec zaraz rzekł:

— Wypadek jakiś. Źle się rok zaczyna...

Przepchnęliśmy się z trudem. Wielka sala pełna była rodziców i chłopców, których nauczyciele żadnym sposobem nie mogli w klasach utrzymać, a wszyscy zwróceni byli do kancelarii dyrektora i słychać było głosy: „Biedny chłopiec! Biedny Robetti!” A ponad głowami, w głębi zapchanej ludźmi sali, widać było kask gwardzisty i łysą czaszkę dyrektora. Potem przyszedł pan w cylindrze, a ludzie mówili: „Doktor! Doktor!”

Mój ojciec zapytał jednego z nauczycieli:

— Co się stało?

— Koło przeszło chłopcu przez nogę — odpowiedział nauczyciel.

— Nogę ma złamaną — rzekł inny.

Chłopiec jest uczniem z drugiej klasy. Idąc do szkoły i widząc, jak się malec jeden ze wstępnej<sup>11</sup> matce wyrwał i na ulicy padł tuż, tuż przed nadjeżdżającym omnibusem, rzucił się do tego wstępniaka, porwał go z ziemi i na bezpiecznym miejscu postawił. Sam jednak nie zdążył cofnąć wyciągniętej nogi — i zgruchotało mu ją koło omnibusu<sup>12</sup>. To syn kapitana artylerii.

Kiedy tak ludzie mówili, wpadła do sali jakaś pani, jak szalona rozpychając tłum przed sobą. To była matka Robettiego, po którą posłano. A wtem podbiegła ku niej druga pani i łkając głośno zarzuciła jej ręce na szyję. To była matka ocalonego wstępniaka. Obie wpadły do pokoju dyrektora, skąd dał się słyszeć rozpaczliwy okrzyk:

— O mój Julek! O dziecko moje!

Tymczasem zatrzymał się przed drzwiami szkoły zamknięty powóz, a po chwili ukazał się dyrektor niosąc na ręku biednego chłopca, który miał głowę zwieszoną przez ramię, twarz zupełnie białą i zamknięte oczy. Natychmiast uciszyli się wszyscy; słychać było tylko głośne łkania matki. Wtedy dyrektor zatrzymał się na chwilę, poblądł i uniośł chłopca w obu rękach, aby go pokazać tłumowi. O, wtedy nauczyciele, nauczycielki, rodzice, dzieci — wszyscy razem zaszemrali wzruszonym głosem: „Dzielny Robetti! Dzielny, biedny chłopczyzna!” — i posyłali mu pocałunki od ust, a ci, co byli bliżej, całowali jego zwieszoną bezwładnie ręce. Ale on otworzył oczy i rzekł:

— A mój tornister?

A matka ocalonego malca pokazała mu tornister i rzekła:

<sup>10</sup>finis (łac.) — koniec; tu: koniec lekcji. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>wstępna — tu: zerówka lub pierwsza klasa. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>omnibus — duży pojazd konny, używany w komunikacji miejskiej tak, jak dziś autobus. [przypis edytorski]

— Niosę ci go, aniele drogi, niosę...

I poszli; matka Robettiego miała twarz obu rękami zakrytą. Poszli, ułożyli chłopca w powozie, powóz ruszył. A my weszliśmy do szkoły w milczeniu.

Mały Kalabryjczyk<sup>13</sup>

## 22. sobota

Wczoraj wieczór, kiedy nauczyciel mówił z nami o biednym Robettim, który długo, długo będzie musiał chodzić o kulach, wszedł dyrektor z nowo zapisanym uczniem. Ten miał twarz bardzo ciemną, włosy czarne i duże czarne oczy, nad którymi gęste brwi prawie że się łączyły na czole. Chłopiec był zresztą cały ciemno ubrany i przepasany czarnym skórzanym pasem.

Szepnąwszy parę słów nauczycielowi dyrektor wyszedł zostawiając przy nim chłopca, który patrzył na nas swymi czarnymi oczyma jakby wystraszony. Wtedy nauczyciel wziął go za rękę i rzekł:

— Cieszcicie się, dzieci! Wchodzi oto dziś do szkoły mały Włoch, urodzony w Reggio w Kalabrii, więcej niż pięćset mil od nas dalekiej. Rodzina jego ziemia jest ziemią pełną chwały, która dała Włochom wielu sławnych ludzi, wielu tęgich pracowników i dzielnych żołnierzy. A jest to jedna z ziem najpiękniejszych naszej ojczyzny; dziedzina wielkich lasów i wielkich gór, zamieszkała przez lud pełen zdolności i odwagi.

Bądźcież mu przyjaźni a życzliwi, żeby się nie czuł oddalonym od swych miejsc rodzinnych. Pokażcie mu, że mały Włoch, gdziekolwiek by wszedł do włoskiej szkoły, wszędzie znajdzie braci.

To rzekłszy powstał i naznaczył na wielkiej mapie ściennej ten punkt, gdzie jest Reggio i Kalabria<sup>14</sup>. Po czym zawołał głośno:

— Ernest Derossi!

Właśnie ten, co to zawsze nagrody pierwsze bierze. Derossi podniósł się.

— Pójdź, chłopcze! — rzekł nauczyciel. Derossi wyszedł z ławki, zbliżył się do stołu i stanął wprost Kalabryjczyka.

— Jako prymus — powiedział nauczyciel — uściskaj w imieniu całej klasy nowego kolebę. Uściskaj syna Kalabrii, ty, dziecko Piemontu<sup>15</sup>.

Derossi uściskał Kalabryjczyka serdecznie i swoim dźwięcznym głosem rzekł:

— Witaj nam, kolego!

Na co Kalabryjczyk z impetem ucałował go w oba policzki, a reszta zaczęła bić brawo.

— Cicho tam! — zawołał nauczyciel. — W szkole nie daje się oklasków!

Ale znać było po nim, że z nas kontent<sup>16</sup>. A i Kalabryjczyk był kontent.

Zaraz mu też nauczyciel wyznaczył miejsce i sam go odprowadził na nie, po czym rzekł:

— Pamiętajcie, com wam powiedział! Bo to jest wielka rzecz! Bo o to, żeby chłopiec z Kalabrii czuł się w Turynie jak w domu, a chłopiec z Turynu czuł się jak w domu w Kalabrii — kraj nasz ojczysty lat pięćdziesiąt walczył, a więcej niż trzydzieści tysięcy Włochów oddało życie za to<sup>17</sup>! Szanujcie się więc i kochajcie wzajem; a gdyby który z was obraził tego towarzysza za to, że nie w naszej prowincji się rodził, stałby się niegodnym — słyszycie? — niegodnym podnieść oczu na trójkolorowy sztandar naszej jedności włoskiej.

Zaledwie też Kalabryjczyk usiadł, kiedy co bliżsi obdarowali go stalówkami i pieczętkami, a jeden z ostatniej ławki przysłał mu oślą pocztą prawdziwą szwedzką markę<sup>18</sup>.

Moi koledzy

<sup>13</sup>Kalabryjczyk — mieszkaniec Kalabrii, tj. południowej części Włoch. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Kalabria — południowa część Półwyspu Apenińskiego. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Piemont — region w północno-zachodnich Włoszech, graniczący z Francją i ze Szwajcarią. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>...więcej niż trzydzieści tysięcy Włochów oddało życie za to — kolejne wojny o zjednoczenie Włoch toczyły się w latach 1848–1870. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

Ten chłopiec, co przysłał markę Kalabryjczykowi, nazywa się Garrone i ja go najlepiej lubię. Największy jest z całej klasy, ma blisko lat czternaście, dużą głowę i szerokie plecy. Sama w nim dobroć, kiedy się uśmiechnie, ale uśmiecha się rzadko i zwykle jest poważny jak dorosły człowiek.

Dosyć już dużo z moich kolegów znam bliżej. Drugi, który mi się także bardzo podoba, nazywa się Coretti. Nosi bluzę brunatną i beret z kociej sierści. Zawsze wesół, jest synem handlarza drzewem, który się bił w wojnie 66 roku pod księciem Humbertem<sup>19</sup> i dostał podobno coś aż trzy medale. Lubię też małego Nelli, biednego garbuska, wątłego i bladego na twarzy. Jest także u nas jeden elegant, który po sobie zawsze piórka zbiera, a nazywa się Vatini. W ławce znów przede mną siedzi chłopiec, zwany Mularczykiem, bo ojciec jego jest mularzem<sup>20</sup>; gęba okrągła jak jabłko, nos jak kłębuszek. Mularczyk ma szczególny talent robienia zajęczego pyszczka. Więc wszyscy mu każą raz w raz robić zajęczy pyszczek i za boki się biorą ze śmiechu. Nosi on mały kapelusik, tego<sup>21</sup> już obszarpany, który zwija i chowa w kieszeń jak chustkę do nosa.

Zaraz przy Mularczyku siedzi Garoffi, chudy i długi dryblas, z nosem jak dziób krogulczy i z bardzo małymi oczkami. Ten ciągle handluje, ciągle się mienia na pióra, pudełka zapalek, na obrazki, a zaś lekcje to sobie na paznokciach pisze, żeby je potem czytać, jak go wyrwą. Dalej siedzi paniczyk, Karol Nobis, bardzo pyszny w sobie, między dwoma chłopcami, których niezmiernie lubię. Jeden syn kowala, mizerak chorowity, nosi kamizelkę, która mu spada do kolan, zawsze jest czegoś przestraszony i nigdy się nie śmieje, a drugi rudy, z ręką uschniętą, co ją na temblaku trzyma. Ojciec jego wywędrował do Ameryki, a matka chodzi z koszem sprzedając jarzyny. Ciekawym także typem jest mój sąsiad z lewej strony, Stardi, krótki i gruby, prawie że bez szyi, mrucek, co do nikogo nie przemówi i niewiele też rozumie, co do niego mówią, ale patrzy w nauczyciela jak w tuza<sup>22</sup> zmarszczywszy czoło i ścisnąwszy zęby, a spytać go o co, kiedy nauczyciel mówi, to za pierwszym i drugim razem nie odpowie, a za trzecim takiego kuksa da ci w bok, że świeczki w oczach stają. Dalej siedzi czarniawy i posępny na twarzy jeden, co się nazywa Franti. Biedak był już wypędzony z jednej sekcji<sup>23</sup> szkolnej.

Są też dwaj bracia jednako odziani i tak są do siebie podobni jak dwie krople wody. Ci noszą kapelusze kalabryjskie na ucho, z bażancim piórem, z wielką fantazją. Ale najurodziwszy ze wszystkich, najwięcej zdolny i który z pewnością przez ten rok także będzie pierwszym uczniem — to Derossi. Nauczyciel się już na nim poznał i raz w raz go do tablicy wyrывa.

Ja przecież i tak wolę Precossiego, tego syna kowala, co ma tę długą kamizelkę i jest chorowity. Podobno go ojciec bije. Może, bo chłopak jest bardzo zalekniiony, a jak kogo trąci albo o co spyta, to zawsze dodaje „przepraszam bardzo” — i tak żałośnie patrzy tymi smutnymi oczyma. Ale jednak Garrone jest i największy, i najlepszy ze wszystkich.

Szlachetny postępek

Zdarzyło mi się poznać Garronego bliżej tego ranka. Kiedym przyszedł do szkoły — a spóźniłem się trochę, bo mnie zatrzymała nauczycielka z pierwszej wyższej, aby zapytać, o której godzinie mogłaby przyjść nas odwiedzić, tak żeby zastać mnie w domu — nauczyciela jeszcze nie było, a trzech czy czterech chłopcy znęcali się nad biednym Crosim, tym rudym, co to ma rękę uschniętą, a matka jego sprzedaje jarzyny. Szturchali go liniami, rzucali mu w twarz lupiny od kasztanów, przezywali mańkutem i strachem na wróble, przedrzeźniając, jak to on rękę na temblaku nosi. A biedny kaleka stał w głębi ławek blade i milczał patrząc błagalnie to jednemu, to drugiemu w oczy, żeby mu dali spokój. A że chłopcy naigrawali się z niego coraz złośliwiej, zaczął cały drzeć z gniewu

<sup>19</sup>Humbert I (1844–1900) — król Włoch od 1878. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>mularz — dziś: murarz. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>tęgo — mocno. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>tuza (z niem.) — as w talii kart; „patrzeć jak w tuza” — patrzeć z uwagą. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>sekcja — tu: szkoła. [przypis edytorski]

i czerwienieć. Wtem Franti, ten wyrutek z brzydką, ponurą twarzą, skoczył na ławkę i udając, że dźwiga dwa kosze na ręku, począł małpować matkę Crossiego, jak przychodziła i czekała syna u drzwi szkoły, a teraz nie przychodzi, bo jest chora. Cała kupa uczniów wybuchnęła śmiechem. Wtedy Crossi stracił głowę, chwycił kałamarz i cisnął nim co siły prosto w łeb Frantiego. Ale Franti się uchylił, a kałamarz trafił w samą pierś wchodzącego w tej chwili nauczyciela. Wszyscy umknęli na miejsca i ucichli ze strachu jak trusie. Nauczyciel pobladł, podszedł do stołu i gniewnym głosem zapytał:

— Który to uczynił?

Nie odpowiedział nikt. Więc nauczyciel krzyknął jeszcze gniewniej:

— Który?

Wtedy Garrone, ruszony litością nad biednym Crossim, podniósł się w ławce i rzekł:

— To ja!

Nauczyciel spojrział na niego, popatrzył po uczniach osłupiałych i nagle uspokojonym głosem powiedział:

— Nie! To nie ty. — A po chwili: — Nie ukarzę winnego. Niech wstanie.

Crossi wstał i płacząc tak mówił:

— Szturchali mnie, prześmiewali... straciłem głowę... rzuciłem...

— Siądź — rzekł nauczyciel. — Niech wstaną ci, którzy go doprowadzili do gniewu.

Wstało czterech z pochyłą głową.

— Znieważyliście — mówił nauczyciel — kolegę, który z wami nie szukał zaczepki, wyśmiewaliście się z nieszczęśliwego, prześladowaliście kalekę, który się nie mógł obronić. Spełniliście jeden z najnikczemniejszych, najhaniebniejszych czynów, jakim się człowiek zmazać<sup>24</sup> może. Podli!

To powiedziawszy wszedł między ławki, podłożył rękę pod brodę Garronego, który stał z głową schyloną, a podniósłszy mu twarz spojrział w oczy jego i rzekł:

— Szlachetna dusza w tobie!

Garrone, pomilczawszy chwilę, zamruczał coś niewyraźnie na ucho nauczycielowi, a ten odwrócił się do czterech winowajców i rzekł nagle:

— Przebaczam wam!

Moja nauczycielka z pierwszej wyżej

## 27. czwartek

Moja nauczycielka dotrzymała obietnicy i przyszła dziś do nas, właśnie w chwili kiedy miał wyjść z mamą i zanieść trochę bielizny biednej kobiecie, o której wyczytaliśmy w gazecie.

Już rok prawie upłynął od jej ostatnich odwiedzin. Wszyscyśmy się ucieszyli bardzo. Zawsze ta sama. Drobna, mała, z zieloną woalką<sup>25</sup> wkoło kapelusza, biednie ubrana, źle uczesana, nie mająca nigdy czasu, żeby spocząć; trochę tylko bledsza niżli w roku zeszłym, z kilkoma więcej włosami siwymi, i kaszle ciągle.

Zaraz też matka moja powiedziała:

— Jakże tam ze zdrowiem, droga pani? Pani go nic a nic nie szanuje, jak widzę.

— Ech, co tam zdrowie! — odrzekła nauczycielka z tym swoim uśmiechem, co to przez pół smutny, a przez pół wesoły.

— Pani zanadto głoś natężyła przy lekcjach — dodała mama.

— Pani się zamęcza z tymi chłopakami...

I prawda! Przez cały czas nauki słyhać jej głos w klasie; pamiętam to dobrze, z czasów kiedy do niej chodził. Mówi ciągle, mówi głośno, żeby uwagę chłopców utrzymać, a nie usiądzie ani na minutę. Wiedziałem też z góry, że do nas przyjdzie, bo nigdy nie zapomina o swoich uczniach, całymi latami pamięta ich imiona, a przyjdą miesięczne egzaminy, to biegnie pytać dyrektora, jakie mieli stopnie; nieraz też czeka u wyjścia i każe sobie pokazywać zadania, żeby zobaczyć, jakie zrobili postępy. Wielu też przychodzi do niej z gimnazjum jeszcze, choć już noszą długie spodnie i mają zegarki.

Dzisiaj właśnie wróciła okropnie zmęczona z galerii obrazów, gdzie zaprowadziła

<sup>24</sup>zmazać — zhańbić. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>woalka — kawałek przezroczystej tkaniny, przesłaniający twarz. [przypis edytorski]

swoich uczniów; bo i dawnych lat co czwartek prowadziła chłopców do jakiegoś muzeum i tłumaczyła im tam różne rzeczy. Biedaczka! Schudła więcej jeszcze. Ale zawsze tak samo żywa i zaraz w zapał wpada, gdy mówi o swojej szkole. Chciała koniecznie zobaczyć to łóżko, w którym widziała mnie ciężko chorego przed dwoma laty, a teraz w nim mój młodszy brat sypia; patrzyła na nie przez chwilę i nie mogła mówić.

Chcieliśmy ją zatrzymać, ale spieszyła się odwiedzić małego ucznia swojej klasy, syna siodlarza, chorego na odrę; a jeszcze miała całą pakę zadań do poprawienia, robotę na cały wieczór, i przed nocą jeszcze jedną lekcję arytmetyki u jakiejś kupcowej.

— No jakże, Henryku — rzekła na odchodnym — kochasz jeszcze swoją nauczycielkę, teraz kiedy odrabiasz takie trudne zadania i pisziesz takie długie wypracowania?

Uściskała mnie i już ze schodów zszedłszy zawołała jeszcze:

— Nie zapomnij o mnie, pamiętaj, Henryku!

„O droga, droga nauczycielko, nigdy nie zapomnę ciebie! I jak będę duży, też cię nie zapomnę i pójdę zobaczyć, jak tam w twojej klasie uczysz twoich malców. A ile razy przejdę blisko jakiej szkoły, a głos nauczycielki posłyszę, będzie mi się zdawało, że to jest twój głos, i będę myślał o tych dwóch latach, które spędziłem w twojej szkole, gdzieś się tyłu rzeczy nauczyłem, gdzieś cię widział tyle razy zmęczoną i chorą, a zawsze czynną<sup>26</sup>, zawsze pobłażliwą; zrozpaczoną, kiedy się któremu z nas obierał palec; drżącą, kiedy inspektor zapytał nas o co; szczęśliwą, gdyśmy odpowiedzieli jak należy; zawsze dobrą, zawsze kochającą jak matka rodzona.

Nigdy, nigdy cię nie zapomnę, nauczycielko moja!”

Na poddaszu

## 28. piątek

Wczoraj wieczorem poszliśmy z mamą i z moją siostrą Sylwią, żeby zanieść bieliznę tej biednej kobiecie, którą polecali w dzienniku. Ja niosłem pakiet, a Sylwia dziennik, gdzie był wydrukowany adres i pierwsze litery nazwiska. Wyszliśmy pod sam dach jakiegoś starego domu, gdzie był długi korytarz z wieloma drzwiami. Mama zapukała do ostatnich. Otworzyła nam je kobieta jeszcze dosyć młoda, z jasnymi włosami, wychudzona, a mnie zaraz się wydało, że ją już gdzieś widział, z tą samą niebieską chusteczką na głowie, którą miała teraz.

— Czy to wy jesteście ta a ta z dziennika? — spytała mama.

— Tak, pani, ja jestem.

— Bo myśmy wam tu przynieśli trochę bielizny.

Więc zaraz zaczęła dziękować i błogosławić, że nie było temu końca.

Tymczasem patrzę ja, a tu w kącie tej pustej, ciemnej izby chłopczyna jakiś przed stolikiem klęczy, odwrócony do nas plecami, i jak gdyby pisze. I naprawdę pisał mając kajet<sup>27</sup> na stolku, a kałamarz na podłodze. Sam nie wiem, jak on mógł tak pisać w tym mroku. Jeszczem myślał o tym, kiedy nagle poznałem rude włosy i długą kamizelkę barchanową<sup>28</sup> Crossiego, syna zieleniarki, tego, co to miał uschniętą rękę. Zarazem to mamie powiedział, podczas gdy kobieta składała bieliznę.

— Cicho! — rzekła mama. — Bo może by się wstydził, że dajemy jałmużnę jego matce. Nie mów nic, jakbyś go nie widział.

Ale w tej chwili właśnie odwrócił się Crossi, a widząc, że stoję zmieszany, uśmiechnął się. Zaraz też trąciła mnie mama, żebym pobiegł go uściskać. Uściskałem go, a on powstał z klęzek i wziął mnie za rękę.

— Otom została jak sierota — mówiła tymczasem jego matka do mojej — sama z tym chłopcem kaleką. Mąż od sześciu lat w Ameryce, a mnie chwyciła jakaś choroba, że nie mam siły chodzić z jarzynami i zarobić tych kilku groszy na życie. Wyprzedali mi wszystko... Nie zostało nawet i stołu dla mego biednego Ludwisia, co by pisał na nim. Jeszcze jakeśmy mieli stragan w bramie, to na straganie sobie z boku pisał. Ale już teraz nie mamy. Nie mamy też i na światło, żeby do ostatka nie marnować oczów. Dobrze

Bieda

<sup>26</sup>czynny — tu: aktywny. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>kajet (daw., z fr.) — zeszyt. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>barchanowy — wykonany z barchanu, czyli z grubej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]



jeszcze, że go mogę posyłać do szkoły, że mu tam dają książki i kajety. A chłopczysko aż drży do nauki. Biedna ja, matka! Biedne my, sieroty!

Więc moja mama dała jej wszystko, co tylko miała pieniędzy w woreczku, uściśkała chłopca i prawie że płakała wychodząc z izby.

— Patrz na tego biedaka — rzekła, gdyśmy wyszli — jak się to uczy, jak pracuje pilnie! Ty masz wszystkie udogodnienia, masz wszystko, czego ci trzeba, a przecież nauka ciężką ci się zdaje! Ach, Henryku mój, więcej jest zasługi w jednodziennej pracy tego chłopca niżli w twojej przez rok cały.

Takiemu, takiemu należałoby dawać pierwsze nagrody!

Szkoła

## 28. piątek

Tak, drogi Henryku. Nauka ci jest ciężka, jak ci to powiedziała twoja matka; jeszcze cię nie widział idącego do szkoły z tą wesołą twarzą i duchem ochotnym, jakie bym chciał widzieć u ciebie. Szkoła odraża cię jeszcze. Ale pomyśl tylko, jak marne, jak nic niewarte byłyby dnie twoje, gdybyś nie chodził do szkoły. Jeszcze by tydzień nie minął, a już byś prosił, ze złożonymi rękami, żeby cię znów posłać do niej, przejęty nudą i wstydem, zmęczony rozrywkami i sam sobą.

Wszyscy, wszyscy uczą się teraz, mój drogi Henryku. Pomyśl no o tych robotnikach, którzy idą do szkoły wieczornej po całym dniu krwawej pracy; o tych kobietach, o tych dzieciach chodzących do szkoły niedzielnej po tygodniu ciężkich, często ponad siły trudów; o tych żołnierzach, którzy chwytają za książki, za kajety, ledwo wróciwszy z swych mozolnych ćwiczeń; pomyśl o dzieciach niewidomych, niemych, które mimo kalectwa do nauki się garną; pomyśl wreszcie o więźniach, bo i ci nawet uczą się czytać i pisać.

Kiedy wychodzisz rankiem z domu, wspomnij, że w tej samej chwili w tym samym mieście więcej niż trzydzieści tysięcy chłopców tak samo jak ty idzie się zamknąć na trzy godziny w klasie. Ale co!... Wspomnij raczej o tych milionach dzieci dążących w tym samym czasie, co i ty, do szkoły, po wszystkich krajach świata.

Uprzytomnij sobie, jak cała ta wielka armia przyszłości idzie, idzie przez ciche wioski, przez gwarne miasta, po brzegach mórz i jezior, gdzie pod upalnym słońcem, gdzie pod chmurnym niebem, łodziami — gdzie braknie ładu, końmi — gdzie nogi ustają, saniami po śniegach i lodach, przez doliny, przez wzgórze, skroś lasów i potoków, po górskich kamienistych ścieżynach, to pojedynkiem<sup>29</sup>, to kupą, to znów długim rzędem, wszyscy z książkami pod pachą, odziani w tysiąc odmian i sposobów, mówiący tysiącem języków i narzeczy, od szkół kresowych północy, w lodach gdzieś zgubionych, do ostatnich szkół Arabii, ocienionych palmą, miliony idą, miliony, uczyć się tych samych rzeczy, tysiącem różnych sposobów! Wyobraź sobie, drogie dziecko, to olbrzymie mrowisko chłopców, stu szczepów, stu ludów, stu krain; ten ruch niezmierny, którego i ty jesteś częścią, i pomyśl: Gdyby ten ruch ustał, ludzkość popadłaby w dawne barbarzyństwo. Bo on właśnie jest postępem, on jest nadzieją, on jest chwałą świata!

Odwagi zatem, mały żołnierzu milionowej armii! Książki twoje są twoją bronią, twoja klasa jest twoim regimenterem<sup>30</sup>, polem bitwy jest ziemia cała, a zwycięstwem jest cywilizacja ludzkości.

Nie bądźże tchórzem w tym boju, mój Henryku drogi!

*Twój ojciec.*

<sup>29</sup>pojedynkiem — dziś: w pojedynkę. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>regiment — oddział wojskowy. [przypis edytorski]

29. sobota

Nie będę tchórzem, nie! Ale chodziłbym z dużo większą ochotą do szkoły, gdyby nam nauczyciel opowiadał co dzień takie rzeczy, jak dziś z rana. Ale cóż! Tylko raz w miesiącu ma być jedno takie i mamy je dostać na piśmie, i będzie zawsze o pięknym i dobrym czynie jakiegoś małego chłopca. To pierwsze opowiadanie ma tytuł „Mały patriota z Padwy”. Oto treść jego:

Podróż

Pewnego razu parostatek francuski płynął z Barcelony, miasta hiszpańskiego, do Genui; a znajdowali się na pokładzie Francuzi, Włosi, Hiszpanie i Szwajcarowie. I był tam między innymi chłopiec jedenastoletni, biednie odziany, sam, który się trzymał ciągle na uboczu jak leśne zwierzątko, poglądnąwszy na ludzi spode łba! Bo to było tak: Przed dwoma laty jego ojciec i jego matka, wieśniaczka z okolic Padwy, sprzedali tego chłopca bandzie linoskoczków, którzy nauczywszy go przeróżnych sztuk to pięścią, to kopaniem, to głodem, wędrowali z nim przez Francję i Hiszpanię, bijąc go bez litości i jeść mu nie dając. Więc kiedy przywędrowali do Barcelony, ów chłopiec, nie mogąc wytrzymać tego bicia i tego głodzenia i wyniszczony do ostatka sił, uciekł od swego dozorczy i oddał się w opiekę konsula włoskiego, który ulitowawszy się nad nim umieścił go na tym parostatku i dał mu list do kwestora<sup>31</sup> w Genui, żeby tego biedaka do rodziców odesłał. Do tych rodziców, co go to sprzedali, jak gdyby był bydłem, nie człowiekiem. Biedny chłopiec był cały poraniony i ledwo się na nogach trzymał. Dali mu kajutę drugiej klasy. Patrzyli na niego ludzie, niejedni i zapytał o co, ale on nie odpowiadał. I tak się zdawało, że wszystkich nienawidzi i wszystkimi gardzi, tak mu dojadły i struły serce te razy i te głodzenia. Wszakże udało się trzem podróżnym przez uporczywe pytania rozwiązać mu jakoś język, tak że w kilku szorstkich słowach na pół włoskich, na pół hiszpańskich, a na pół francuskich opowiedział im swoją historię.

Ci trzej podróżni to nie byli Włosi, ale zrozumieli, co ten chłopiec mówił, i trochę z litości, a trochę z tego, że im wino szumiało w głowie, dali mu pieniędzy żartując i namawiając, żeby im jeszcze co więcej opowiedział. A że do sali weszło w owej chwili kilka pań, wszyscy trzej chcieli się pokazać i rzucali mu pieniądze wołając: — Trzymaj, chłopcze! Trzymaj jeszcze! — i pobrzękując lirami<sup>32</sup> po stole.

Chłopiec napełnił kieszenie, podziękował półgłosem, zawsze jednak dziki, ale ze spojrzeniem pierwszy raz uśmiechniętym i wdzięcznym; po czym zaraz poszedł do swojej kajuty, zaciągnął firankę i siedział cicho, rozmyślając o swym dziwnym losie. Mógł teraz za te pieniądze nakupić sobie różnych łakotek<sup>33</sup>, on, który przez dwa lata łaknął suchego chleba; mógł też kupić sobie w Genui ubranie, on, co od dwóch lat w łachmanach chodził, i także mógł przynieść je z sobą rodzicom, którzy pewnie inaczej by go wtedy przyjęli, niż gdyby przyszedł z próżnymi rękami. Przecież te pieniądze to były dla niego jakby mały majątek. Tak to on sobie rozmyślał pocieszony, poza firanką kajuty, podczas kiedy trzej podróżni rozmawiali z sobą siedząc przy obiadowym stole w pośrodku sali drugiej klasy. Pili i rozmawiali o podróżach swoich, o krajach, jakie poznali, i od słowa do słowa zaczęli mówić o Włochach.

Zaczął jeden skarżyć się na oberże, drugi na koleje żelazne, a potem wszyscy wpadli w zapał i wygadywali na wszystko, co włoskie. Ten wołałby

Pieniądz, Duma

<sup>31</sup>kwestor — urzędnik odpowiedzialny za finanse i podatki. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>lir — waluta włoska. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>lakotki — smakołyki. [przypis edytorski]

podróżować po Laponii, tamten opowiadał, jako w całych Włoszech są sami oszuści i złodzieje, trzeci prześmiewał się, że urzędnicy włoscy nie umieją czytać.

— Naród nieuków! — rzekł pierwszy.

— Brudasów! — rzekł drugi.

— Zło... — zaczął trzeci i chciał powiedzieć złodziei, ale nie dokończył słowa.

Grad soldów<sup>34</sup> i półlirówek spadł im nagle na głowy, na plecy, potoczył się po stole, po pokładzie z piekielnym hałasem.

Wszyscy trzej skoczyli wściekli patrząc w górę, a tu im jeszcze na twarze runęła garść miedziaków.

— Macie tu swoje pieniądze! Trzymajcie swoje grosze! — krzyknął z pogardą chłopiec zerwawszy firankę swej kajuty. — Nie przyjmuję wsparcia od tych, którzy moją ojczyznę znieważają.

## LISTOPAD

Kominiarczyk

*1. listopada*

Wczoraj wieczorem poszedłem do żeńskiej szkoły, tuż przy naszej, żeby zanieść opowiadanie o chłopcu z Padwy nauczycielce Sylwii, która je przeczytać chciała.

Sześćset dziewcząt jest w tej szkole!

Zaczynały właśnie wychodzić, kiedym nadszedł, wesole, bo idą dwa dni wolne, Wszystkich Świętych i Zaduszki — i oto, com tam zobaczył. Wprost wejścia do szkoły, po drugiej stronie ulicy, oparty o mur, zakrywając ręką oczy, stał kominiarczyk, zupełnie jeszcze mały i czarny na twarzy, ze swoim workiem, ze swoim drapaczem i gorzko płakał. Zaraz do niego podeszły dwie czy trzy starsze dziewczynki pytając, czego by tak bardzo płakał. Ale kominiarczyk nie odpowiadał, tylko jeszcze głośniejszo zaczął.

— Ale powiedz, powiedz, co ci jest i czego tak płaczesz? — dopytywały się dziewczynki.

Wtedy odjął rękę od twarzy zupełnie jeszcze dziecinnej i szlochając opowiedział, że czyścił kominy w kilku domach, zarobił trzydzieści soldów<sup>35</sup> i że je zgubił.

— Musiały wypaść przez dziurę w kieszeni — dodał pokazując rozdartą kieszeń — a teraz nie śmiem wrócić do domu, bo mnie majster bić będzie.

Tutaj znów gorzko zaczął płakać zakrywając twarz ręką.

Dziewczynki spoważniały i patrzyły na biednego chłopca zafrasowane<sup>36</sup>. Tymczasem nadbiegały inne, małe i duże, strojne i ubogie, z teczkami pod pachą, a jedna starsza, z niebieskim piórkiem w kapelusiku, dobyła z kieszeni dwa soldy i rzekła:

— Ja mam tylko dwa soldy... Złóżmy się na niego!

— I ja mam także dwa soldy — powiedziała inna, czerwono ubrana. — Może się u wszystkich znajdzie ze trzydzieści...

I zaraz zaczęły się zwolywać:

— Amelka! Ludka! Anulka!... Daj no solda!... Kto ma solda?... Dawajcie no tu soldy!...

Kilka z nich miało po parę soldów na kwiaty, na kajety. Mniejsze oddawały swoje grosiaki. Wtedy ta z niebieskim piórkiem zebrała wszystko i głośno liczyła:

— ... Osiem, dziesięć, piętnaście! — Ale nie stało<sup>37</sup> więcej.

Wtem podeszła największa z nich wszystkich, że prawie mogła ująć za nauczycielkę, i dała pół lira, a dziewczęta zaczęły chwalić i dziękować.

Ale brakowało jeszcze pięciu soldów.

— Idą teraz te z czwartej... Te mają! — rzekła jedna.

<sup>34</sup>*sold* — drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*sold* — drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*zafrasowany* (daw.) — zmartwiony. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*stać* (daw.) — wystarczyć. [przypis edytorski]

Jakoż przyszły te z czwartej i posypały się soldy. Wszystkie zaczęły się cisnąć do biedaka. Pięknie było patrzeć na tego małego kominiarczyka, w pośrodku tych jasnych sukienek, tych fruujących wstążek, piórek... Już dawno zebrało się trzydzieści soldów, ale dziewczątka jeszcze dokładały, a te najmniejsze, którym jeszcze nie dawano pieniędzy w domu, przepychały się pomiędzy dużymi, dając mu parę kwiatków, żeby tylko i od nich coś było.

A wtem wyszła odźwierna wołając głośno:

— Pani dyrektorka idzie!

Porwały się dziewczęta jakby stado wróbli. A wtedy kominiarczyk ukazał się w pośrodku ulicy sam, ocierający z łez oczy, uśmiechnięty, ściskający w obu rękach swoje soldy, a u kapelusza, u kurtki, po kieszeniach tyle miał kwiatów, że aż się sypały i pełno ich było nawet u nóg jego, na ziemi.

Dzień Zaduszny

2. listopada

... Dzień dzisiejszy poświęcony jest pamięci zmarłych. Czy wiesz, Henryku, o jakich to zmarłych wy, chłopcy, pamiętać dzisiaj powinniście? O tych, mój synu, którzy pomarli za was, za chłopców, za dzieci. A umarło ich niemało i umiera ciągle. Pomyślałeś ty kiedy o tych ojcach, którzy sobie skracają życie w ciężkiej pracy? O tych matkach, które przedwcześnie w grób idą, umęczone odmawianiem sobie wszystkiego, byle utrzymać swych synów? Czy wiesz, ilu ojców nóż sobie do serc wbiło nie mogąc znieść widoku nędzy swoich dzieci? Ile kobiet potopiło się, pomarło w rozpacz, zwarioowało straciwszy ukochane dziecko?

O tych umarłych pomyśl dzisiaj, Henryku.

Myśl o tych nauczycielkach, które w kwiecie młodości zeszły z tego świata, nabywszy suchot<sup>38</sup> w murach szkolnych, w ciężkiej pracy, nie mając serca rozstać się z dziećmi, którym poświęciły życie.

Myśl o tych lekarzach, którzy pomarli młodo zaraziwszy się chorobami leczonych przez siebie dzieci. Myśl o tych wszystkich, którzy w powodziach, pożarach, w klęskach głodowych, w chwilach śmiertelnych niebezpieczeństw oddali dzieciom, obcym nawet, ostatni kawałek chleba, ostatnią deskę, ostatnią linę ratunkową, a sami umierali szczęśliwi, że im się udało ocalić życie niewiniątka. Takich zmarłych, Henryku, tysiące jest, tysiące. Każdy cmentarz ma takie mogiły święte, których prochy, gdyby mogły ożyć i głos wydać, wymówiłyby imię jakiejś dziewczyny, której poświęciły szczęście młodości, spokój późnego wieku, uczucia, myśli, życie. A w mogiłach tych leżą młode matki, ludzie w kwiecie lat swoich, starcy posiwiali, młodzieńcy — bohaterscy a nieznanzi męczennicy dziecięcego świata, szlachetni i wielcy tak, że ziemia nie wydaje tyle kwiatów, ile byśmy na ich mogiły co rok złożyć powinni.

Tak to wy jesteście miłowane, dzieci!

Myślże więc dzisiaj o tych zmarłych z głębokim i wdzięcznym wzruszeniem, a kochaj odtąd więcej tych wszystkich, którzy cię miłują i trują się dla ciebie, mój drogi synu, gdyś jest tak szczęśliwy, że w Dzień Zaduszny nie masz jeszcze do oplakiwania nikogo ze swoich!

*Tvoja matka.*

Mój przyjaciel Garrone

4. piątek

<sup>38</sup>suchoty (daw.) — gruźlica. [przypis edytorski]

Tylko przez te dwa dni świąt nie byłem w szkole, a już mi było tęskno do mego drogiego Garrone! Im bliżej go poznaję, tym więcej go kocham; a nie tylko ja, ale wszyscy koledzy, wyjąwszy tych dryblasów, co nad innymi chcą przewodzić, a on im nie daje. Więc niech tylko jaki duży rękę na małego podniesie, to mały zaraz krzyczy: — Garrone! Garrone! — a duży umyka.

Ojciec Garronego jest maszynistą na kolei. On sam, biedak, późno zaczął chodzić do szkoły, bo przez parę lat był chory. Najwyższy jest i najmocniejszy z całej naszej klasy. Ławkę jak nic podniesie jedną ręką. Zawsze ma w kieszeni partykę<sup>39</sup> chleba, pojada raz w raz, ale że jest bardzo dobry, o co go tylko poprosić — o ołówek, o gumę, o papier, o szczyryk — wszystko zaraz pożyczyc albo da. W szkole nie śmieje się, nie gada, tylko siedzi nieruchomo w ławce trochę dla niego przyciasnej, z pochylonymi plecami i głową wtuloną w ramiona; a gdy na niego spojrzę, uśmiecha się do mnie mrużąc oczy, właśnie jakby chciał powiedzieć: „No i cóż, Henryku, będziemy przyjaciółmi?” — Śmiać mi się chce, bo na swój duży wzrost ma wszystko to za krótkie, to za wąskie: kurtkę, majtki, mankiety; kapelusz ledwo że na czubku głowy, grube buty, a krawat ściśnięty jak postronek. Drogi Garrone! Dostyc raz na niego spojrzeć, żeby go pokochać!

Wszyscy mali pchają się do jego ławki, żeby być jak najbliżej. W arytmetyce mocny. Nosi książki ściągnięte czerwonym rzemykiem. Ma nóż z rękojeścią z perłowej masy, znaleziony przeszłego roku na placu musztry; skaleczył się raz tym nożem w palec aż do kości prawie, a nikt o tym nie wiedział w szkole — a i w domu ani pisał, żeby nie zmartwić rodziców. Pozwala z siebie nieraz żartować i nikomu żartów za złe nie bierze; ale jak mu kto powie „nieprawda” na to, co on mówi, że prawda, to mu aż skry z oczu lecą, a pięści tak ściska, że mało nie połamie ławki. W sobotę rano dał solda jednemu z pierwszej wyższego oddziału, bo go malcowi ktoś zabrał i dzieciak beczał na ulicy, że nie ma za co kupić kajetu.

Od trzech dni ślęczy nad listem, którego już jest osiem kartek i który ślicznie wyzdobił piórkiem na imieniny swej matki. Ta matka często przychodzi po niego, tak samo jest duża i tęga jak on i bardzo miła. Nauczyciel patrzy na to ślęczenie, a przechodząc koło jego ławki klepie go po karku jak dobrego, spokojnego malca.

Bardzo go lubię i kocham i rad<sup>40</sup> jestem, kiedy uścisknę w swojej jego wielką rękę, która się wydaje ręką dorosłego człowieka. Przysiągłbym, że naraziłby życie dla ocalenia kolegi, żeby się dał zabić za niego; jasno to widać w jego oczach; a choć raz w raz coś mruczy swoim grubym głosem, znać, że głos ten idzie z szlachetnego serca.

Węglarz i pan

## 7. poniedziałek

Z pewnością Garrone nigdy by nie powiedział tego, co powiedział wczoraj rano Bettiemu Karol Nobis. Karol Nobis pyszni się, bo ojciec jego jest wielkim panem. Jest to wysoki pan, z dużą czarną brodą, bardzo poważny, który prawie co dzień przychodzi odprowadzać syna.

Nobis pokłócił się wczoraj z Bettim, jednym z tych najmniejszych w klasie, synkiem węglarza; a nie wiedząc, co już powiedzieć, bo nie miał racji, zawołał głośno:

— Twój ojciec jest gałganiarzem!

Betti zaczerwienił się po samą czuprynę i nie odrzekł nic, tylko mu lży nabiegały do oczu, a wróciwszy do domu powtórzył to ojcu. I oto węglarz, mały człowieczek, cały czarny, ukazał się na popołudniowej lekcji prowadząc chłopca za rękę, ze skargą do nauczyciela. Właśnie opowiadał zajęcie nauczycielowi, a myśmy wszyscy słuchali w milczeniu, kiedy ojciec Karola, zdejmując jak zwykle płaszcz z syna w progu klasy, posłyszał swoje nazwisko, wszedł i żądał wyjaśnienia.

— Oto ten robotnik — rzekł nauczyciel — przyszedł skarżyć się na pańskiego syna, Karola, który powiedział jego chłopcu: „Twój ojciec jest gałganiarzem”.

Zmarszczył czoło pan Nobis, poczerwieniał na twarzy i obróciwszy się do syna zapytał:

— Czy powiedziałeś te słowa?

<sup>39</sup>partyka (daw., z łac.) — częśćka, tu: kawalek. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

Ale syn stojąc pośrodku klasy ze spuszczoną głową naprzeciw małego Bettiego nic nie odpowiedział.

Wtedy ojciec wziął go za ramię, popchnął ku malcowi tak, że się prawie trącili o siebie, i rzekł:

— Przeprós go natychmiast!

Węglarz chciał przeszkodzić temu mówiąc:

— Nie trzeba, nie!...

Ale pan Nobis nie zważał na to i zawołał raz jeszcze:

— Natychmiast go przepros! Rozumiesz?... Powtarzaj za mną! Dalej... „Przepraszam cię za moje słowa ubliżające, głupie, niegodne, jakie powiedziałem przeciw twemu ojcu, którego rękę ściskając mój ojciec zaszczycony się czuje”.

Rzucił się biedny węglarz i raz jeszcze chciał przeszkodzić, ale pan Nobis nie ustąpił, aż synek jego cienkim głosem, powoli, nie podnosząc oczu od ziemi, powtórzył przeproszenie to co do słowa. Wtedy pan podał rękę węglarzowi, który ją silnie uściśnął, po czym zaraz popchnął swego chłopaka w ramiona Karola.

— Uczyni mi pan tę łaskę — rzekł wtedy pan Nobis do nauczyciela — i posadź ich w jednej ławce.

Nauczyciel posadził Bettiego przy Karolu Nobis, a kiedy już byli na miejscu, ojciec jego uklonił się i wyszedł.

Węglarz stał przez chwilę, jakby odurzony patrząc na obu sąsiadujących z sobą chłopców, potem podszedł do ławki i patrzył na Nobisa, przyjaźnie a żałośnie, tak jakby mu coś miał do powiedzenia. Ale nie powiedział nic, tylko wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać. I tego przecież nie śmiał; musnął mu więc tylko czoło swymi grubymi palcami, zwrócił się ku drzwiom, a obejrzawszy się raz jeszcze, wyszedł cicho.

— Pamiętajcie o tym, coście tu widzieli, chłopcy — rzekł wtedy nauczyciel — bo to jest najpiękniejsza lekcja tegoroczna!

Nauczycielka mojego braciszka

#### 10. czwartek

Synek węglarza był dawniej uczniem panny Delcati, która przyszła dziś odwiedzić mojego słabego braciszka i ze śmiechem nam opowiadała, jak dwa lata temu matka tego chłopca przyniosła jej pełny fartuch węgla, z podziękowaniem za medal, jaki syn jej dostał. Biedna kobieta uparła się, żeby te węgle dać koniecznie, i prawie że płakała, kiedy jej pełen fartuch odnieść przyszło.

I o innej jeszcze kobiecie opowiadała nam panna Delcati. Ta znów przyniosła jej bukiet kwiatów, a w bukiecie uwiązaną szmatkę z miedziakami. Bardzośmy się ubawili tym opowiadaniem, a brat mój przełknął jakoś lekarstwo, którego pierwej<sup>41</sup> brać nie chciał.

Hej, trzeba to niemało cierpliwości z tymi wstępniakami! Wszystkim brak zębów jak starym; jeden nie wymawia r, drugi nie wymawia s; jeden kaszle, drugiemu krew idzie z nosa; ten upuścił pod ławkę tabliczkę; ten się drze, bo się ukłuł piórem; tamten beczy, bo zamiast kajetu nr II kupił kajet nr I. Stu pięćdziesięciu takich jegomościów w klasie, co nie umieją nic, mają ręce jak z masła, a tu ich pisać ucz! A co w kieszeniach za niestworzone rzeczy do klasy przynoszą! Guziki, korki od flaszek, kawałki lukrecji, tartą cegłę, mnóstwo drobiazgów, które nauczycielka odbierać musi, bo się nimi bawią, a tak umieją chować, że to w pończochach nawet.

A jak nic nie uważają, to strach! Niech bąk wleci przez okno, zaraz wszyscy do niego! A przyjdzie wiosna, to naznoszą zielska, chrząszczów, toto potem lata po klasie, łązi po kałamarzach i smaruje kajety atramentem.

Nauczycielka musi, jak matka, ubierać ich, rozbierać, obwijac im pokłute palce, prostować pogniecione berety, uważać, żeby nie pozamieniali płaszczyków, bo później piszcza i miauczą jak koty!

Biedne nauczycielki! A jeszcze przychodzą matki ze skargami:

— Co to znaczy, proszę pani, że mój chłopiec zgubił pióro?

— Co to znaczy, że mój chłopiec nic a nic się nie nauczył jeszcze?

<sup>41</sup> *pierwej* (daw.) — wcześniej. [przypis edytorski]

— Czemu to pani nie wyjmie z ławki tego gwoździa, o który mój Piotruś rozdarł majtki?

Czasem nauczycielka mego brata wpada w złość z tymi chłopakami i gdy już nie może wytrzymać, to palce sobie gryzie, żeby nie dać któremu klapsa. A jak straci cierpliwość, to zaraz jej żal i bierze na kolana dzieciaka i pieści; każe któremu urwisowi iść precz, to potem sama płacze i biegnie klócić się z rodzicami, którzy dzieciom za karę jeść nie dają.

Panna Delcati jest młoda, wysoka, ładnie ubrana, ma czarne włosy, jest bardzo żywa, wszystko robi nagle, prędką się zdaje i porywcza nawet, ale wzrusza się lada drobiazgiem i ma wtedy głos taki tkliwy!

— Przynajmniej to dobrze, że te bębny panią kochają! — rzekła moja matka.

— Prawda, kochają — odpowiedziała — ale niech no się rok skończy, większa część i nie wspomni nawet. Jak już przejdą do nauczyciela, to się wstydzą, że byli w klasie nauczycielki. Po dwóch latach trudów, przywiązawszy się do jakiegoś malca, smutno jest rozłączać się z nim, ale się mówi: „No, tego jestem pewna, ten mnie kocha!” Ale przechodzą wakacje, chłopiec powraca do szkoły, biegnę naprzeciw niemu. „Dziecko, moje drogie dziecko!” A on odwraca głowę w inną stronę.

Tu przerwała nauczycielka.

— Ale ty tak nie zrobisz, maleńki? — rzekła podnosząc się ze łzami w oczach i całując mego braciszka. — Ty nie odwrócisz głowy w inną stronę! Prawda? Nie zaprzecz się twojej starej przyjaciółki.

Moja matka

10. czwartek

W obecności nauczycielki twojego małego brata uchybiłeś szacunku winnego twej matce. Niechże się to nie powtórzy już nigdy, Henryku! Nigdy, pamiętaj o tym! Twoje lekkomyślne i uchybiające słowa przeszły mi serce jakby ostrze stali.

Myślałem o twojej matce, jak przed laty stała pochylona przez noc całą u twego łóżeczka, licząc twój oddech, płacząc krwawymi łzami bólu i szcękając zębami z przerażenia na myśl, że cię utracić może. Gdy patrzałem na nią, lękałem się, że rozum utraci, i prawie żem wstręt miał do ciebie.

I ty obrażasz teraz matkę swoją? Matkę, która by oddała rok własnego szczęścia, żeby okupić jedną godzinę twego bólu? Która by żebrała dla ciebie, gdybyś był głodny, która by się dała zabić, żeby ci ocalić życie.

Sluchaj, Henryku, zapisz sobie dobrze w pamięci te słowa. Wyobraź sobie, że czeka cię w życiu wiele dni okropnych. Najokropniejszym przecie będzie ten, w którym stracisz matkę. Po tysiąc razy, Henryku, kiedy już będziesz mężczyzną, człowiekiem silnym, wypróbowanym we wszystkich burzach życiowych, uczujesz niezwalczone pragnienie, żeby usłyszeć jej drogi głos i ujrzeć jej otwarte ramiona, i rzucić się w nie z płaczem jak biedne dziecko bez opieki i podpory. Z jakimże bólem wspomnisz wtedy każdą kroplę goryczy, jakąś ją napoił! Z jakimże wyrzutem policzysz je wszystkie, nieszczęsny! Bo nie spodziewaj się radości w życiu, jeśli zasmucisz swą matkę. Będziesz żałował, będziesz wołał jej przebaczenia, będziesz czcił jej pamięć — daremnie! Sumienie twoje nie da ci spokoju. Jej słodka, dobra twarz ukazywać ci się będzie z wyrazem smutku i wyrzutu, które ci duszę na tortury wezmą.

Wiedz, Henryku, że uczucie synowskie jest najświętszym z uczuć. Biada temu, który je podepcze.

Morderca, który miłuje swą matkę, ma jeszcze coś szlachetnego w sercu, a najślawniejszy z ludzi, który jej zadaje boleść i obraża ją, jest tylko nikczemnym stworzeniem. Niechże więc z ust twoich nie wyjdzie nigdy twarde słowo przeciw tej, która ci dała życie. A gdyby kiedykolwiek jeszcze wyjść miało, nie strach przed gniewem ojca, ale poryw serca niech cię

Matka

Matka

do nóg jej rzuci, z błaganem, aby pocałunkiem przebaczenia starła z twego czoła haniebną zmasę niewdzięczności.

Kocham cię, synu mój; ty jesteś najdroższą nadzieją mego życia; ale wołałbym widzieć cię umarłym niżli niewdzięcznym twej matce. Bądź zdrow! A przez czas jakiś nie przychodź do mnie z pieśczołą; nie mógłbym teraz odwzajemnić ci jej z całego serca.

*Twój ojciec.*

Mój kolega Coretti

### 13. niedziela

Ojciec mi już przebaczył, ale jeszcze jestem i tak trochę smutny. Więc mama posyła mnie ze starszym synem odźwiernego, żebym się przeszedł i rozerwał trochę.

W połowie alei przechodząc dziś koło wozu, który się zatrzymał przed jakimś sklepem, posłyszałem, że ktoś woła na mnie po imieniu. Oglądam się, a to Coretti, kolega szkolny, w swojej bluzie brunatnej i w swoim kapeluszu z kociej sierści, spocony i wesół, dźwiga dużą wiązkę drzewa na plecach. Człowiek stojący na wozie podawał mu naręcza drzewa, a on je brał i zanosił do sklepu swojego ojca, gdzie je z pośpiechem ciskał na kupę.

— Co ty robisz, Coretti? — pytam.

— Nie widzisz to? — odrzekł wyciągając ręce po nowe brzemie — przepowiadam lekcję!

Rozśmiałem się. Ale on mówił to zupełnie serio i wzięwszy naręcze drzewa zaczął recytować pośpiesznie z pamięci:

— Nazywamy koniugacjami<sup>42</sup> słowa te odmiany, jakim ono podlega według liczby i osoby... — po czym cisnąwszy drzewo na kupę: — i według czasu, do którego się odnosi działanie...

Wtem odwrócił się ku wozowni po nową wiązkę i kończył:

—... oraz według sposobu, jakim się działanie wykonywa.

Poznałem! Była to lekcja gramatyki na jutro zadana.

— Co chcesz? — zawołał Coretti. — Korzystam z czasu, jak mogę. Ojciec mój poszedł po zakupna<sup>43</sup> ze służącym, matka chora, więc sam znoszę drzewo, a tymczasem powtarzam gramatykę. Trudna lekcja dziś wypadła... Nie mogę jakoś wbić jej sobie w głowę! — Tu zwrócił się do woznicy: — Ojciec powiedział, że o siódmej tu będzie i wtedy wam zapłaci.

Wóz odjechał.

— Wejź na chwilę do naszego sklepu! — rzekł do mnie Coretti.

Wszedłem. Była to duża izba, pełna wiązek drzewa i chrustu, z prawej strony od wejścia stała waga.

— Ciężki był dziś dzień — zaczął żywo Coretti. — Powiadam ci, że musiałem odrabiać lekcje po kąseczku, po tycim... Ledwom zaczął pisać zadanie, przybyli ludzie kupować. Ledwom się zabrał znowu do roboty, aż ci masz, zajeżdża ten z wozem. Dziś rano byłem już dwa razy na placu Weneckim, tam gdzie jest targ drzewny. Nóg nie czuję, powiadam ci, a ręce, jakby mi popuchły... — Tak mówiąc podmiał wielkim miotliskiem zeschłe liście i wióry, które zaścielały kamienną podłogę izby.

— A gdzież ty odrabiasz lekcje? — spytałem ciekawie.

— Z pewnością nie tu! — odrzekł ze śmiechem. — Pójdź, zobacz!

I zaprowadził mnie do małej stacyjki za sklepem, która była zarazem kuchnią i jadalnią, tam stał w kącie stół, a na nim książki, kajety i owo rozpoczęte zadanie.

— Patrz! Właśnie zostawił drugą odpowiedź w powietrzu... — I zaczął czytać: — „Ze skóry robi się obuwie, rzemienie”; teraz dodam jeszcze: „tłumoki... walizy...” — Tu chwycił pióro i zaczął pisać swoim pięknym, kaligraficznym pismem.

Ale w tej samej chwili dał się słyszeć głos wołający w sklepie:

<sup>42</sup>koniugacja — odmiana czasownika przez osoby, liczby i rodzaje. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>zakupna — dziś: zakupy. [przypis edytorski]



— Jest tam kto? Cóż to, nie ma nikogo?

— Jestem! Idę! — Odkrzyknął Coretti, skoczył do pierwszej izby, odważył drzewo, wziął za nie pieniądze, pobiegł do księgi z rejestrami, zapisał kupno i powrócił mówiąc: — Zobaczymy, czy mi się uda dokończyć to zdanie. — I pisał dalej — „... worki podrózne, tornistry dla żołnierzy...”

Wtem krzyknął: — Kawa kipi... — i pobiegł do piecyka, żeby odstawić imbryk od ognia.

— To kawa dla mamy — rzekł wtedy — więc muszę się starać, żeby była dobra. Zaczekaj chwilkę, to ją zaniesiemy. Mama się bardzo ucieszy, jak ciebie zobaczy. Już cały tydzień leży w łóżku... Aj, do licha! Zawsze sobie palce poparzę tym imbrykiem! Co by tu jeszcze dodać do tych tornistrów dla żołnierzy? Chciałbym jeszcze coś, ale już nie wiem. Pójdźmy do mamy!

Otworzył drzwi i weszliśmy do drugiej małej stancjki; tam w dużym łóżku leżała matka Corettiego z głową obwiązaną białą chusteczką.

— Przyniosłem kawę, mamó! — rzekł Coretti podając filiżankę. — A to jest mój kolega szkolny...

— Ach, dobry panicz — przemówiła kobieta — przyszedł odwiedzić chorą, nieprawdaż?

Tymczasem Coretti poprawił matce poduszki, ułożył koldrę, rozdmuchał ogień na kominku i spędził kota ze skrzynki.

— Nie trzeba ci jeszcze, mamó, czego? — zapytał potem odbierając pustą filiżankę. — A wzięła mama lekarstwo? Jakby brakło, to zaraz do apteki skoczę. Drzewo złożone. O czwartej nastawię mięso na rosół, jak mama mówiła, a jak przyjdzie mleczarka, dam jej osiem soldów. Niech się mama nie turbuje<sup>44</sup>! Wszystko będzie dobrze.

— Dziękuję ci, synku! — odrzekła kobieta. — Biedne drogie chłopczyśko moje! O wszystkim pamięta!

Poczęstowała mnie kawałkiem cukru, a Coretti pokazał mi obrazek, fotografię swego ojca w mundurze wojskowym i z medalem za waleczność, który dostał w 66 roku służąc pod księciem Humbertem. Ta sama twarz, co i u syna, z tymi żywymi oczyma i z tym samym wesołym uśmiechem.

Powróciliśmy do kuchni.

— Mam! — krzyknął Coretti i pobiegłszy do stolika dopisał w swoim kajecie: „... a także uprząż na konie”. — Tak! — rzekł kładąc pióro. — Resztę dokończę wieczorem. Może jeszcze co dopiszę później. Szczęśliwyś ty, że możesz się uczyć, kiedy chcesz, i jeszcze masz czas iść na spacer!

I ciągle wesół i żywy, pobiegł do sklepu i kładąc większe kawałki drzewa na kozłach przerzynał je w pół piłą i mówił:

— To moja gimnastyka! Prawie to samo, co „ręce naprzód”, „ręce w tył”! Chciałbym, żeby ojciec zastał już drzewo porżnięte, jak wróci. Byłby kontent. To tylko bieda, że jak rżnę drzewo, to potem ręka mi się trzęsie, a moje t i moje l wyglądają jak małe wężyczki. Powiada nauczyciel: „Coś ty, chłopcze, robił, że ci się tak ręka trzęsie?” — „Ja, nic, panie nauczycielu! Fechtowałem się!...” Co tam, wszystko głupstwo, byle mama była zdrowa! Dziś jej lepiej, dzięki Bogu! A gramatyki nauczę się jutro rano, jak tylko świtać zacznie... A otóż wóz ze szczapami! Do roboty!

Jakoż przed sklepem zatrzymał się wóz naładowany szczapami. Coretti wybiegł rozmówić się z woźnicą i powrócił zaraz.

— Nie mogę ci już dotrzymać towarzystwa — rzekł mi. — Do widzenia jutro! Dobrześ zrobił, żeś mnie odwiedził! Życzę ci miłej przechadzki! Ty, szczęśliwczel!...

I uściskawszy mi rękę, chwycił pierwszą szczapę i zaczął się uwijać między wozem a sklepem, z tą swoją kwitnącą twarzą pod beretem z kociej sierści, tak żwawo, że aż patrzeć miło.

„Szczęśliwczel!” — powiedział do mnie... Ach, nie, Coretti, nie! Ty jesteś daleko szczęśliwszy, bo się nie tylko uczysz, ale i pracujesz, bo jesteś lepszy, sto razy lepszy i więcej wart ode mnie, mój drogi kolego!

<sup>44</sup>turbować się (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]

18. piątek

Bardzo rad był Coretti dzisiejszego ranka, bo na egzamin miesięczny przyszedł jego nauczyciel z drugiej, Caotti, olbrzym z ogromną kędzierzawą czupryną, z wielką czarną brodą, z wielkimi czarnymi oczyma i z głosem tak srogim, jakby z armat bił. Straszy on zawsze chłopców, że ich w kawalki porąbie, że ich za kark weźmie i do kwestury<sup>45</sup> poprowadzi, i okropnie srogie robi miny, ale żadnego nigdy nie trąci, a nawet uśmiecha się pod wąsem nie wiedząc sam o tym. Z Caottim jest nauczycieli ośmiu, licząc w to małego suplenta<sup>46</sup>, który jeszcze wąsów nie ma, sam na uczniaka wygląda.

Jest nauczyciel z czwartej, kulawy, poobwijany wełnianym szalikiem; zawsze go coś boli, a tych bólów to się nabawił wtedy, jak był nauczycielem na wsi i mieszkał w szkole strasznie wilgotnej, gdzie na ścianach woda marzła.

Jest i drugi nauczyciel z czwartej, stary, siwiuteńki, który dawniej był nauczycielem niewidomych.

Jest znów jeden wyelegantowany, w okularach, z jasnymi faworytami<sup>47</sup>, którego nazywają adwokackiem, bo kończył prawo i dostał już dyplom i jeszcze napisał książkę: „Jak trzeba listy pisać”. Zupełnie za to odmienny jest ten, który uczy gimnastyki i ma minę żołnierską. Bił się pod Garibaldim<sup>48</sup>, ma na szyi bliznę od cięcia szablą z bitwy pod Milazzo<sup>49</sup>.

Jest wreszcie dyrektor, wysoki, łysy, w złotych okularach, z siwą spadającą mu na piersi brodą, czarno ubrany i zawsze zapięty aż do ostatniego guzika. Bardzo on jest dobry dla chłopców; a kiedy który co zbroi, a zawołają go do kancelarii, a on idzie cały drżący, nigdy nie krzyknie na takiego, ale go bierze za rękę i tak tłumaczy, że nie powinien źle czynić, że trzeba złego postępkowi żałować i przyobiecać poprawę, a mówi tak łagodnie, takim dobrym głosem, że każdy wychodzi z czerwonymi oczami i bardziej zawstydzony, niż gdyby ukarany został.

Biedny dyrektor zawsze jest pierwszy na miejscu od samego rana, oczekując uczniów, rozprawiając się z rodzicami, a kiedy nauczyciele już dawno do domu idą, on jeszcze koło szkoły chodzi i patrzy, czy się chłopcy nie wieszają u dorożek, u wozów, czy się nie wałęsają po ulicy, nie zaczepiają kogo, czy nie sypią do tornistrów piasku, nie kładą kamieni. A gdzie się ukaże zza węgła jego postać wysoka i ciemna, tam zaraz się rozbiegają gromadki chłopców grających w piłkę i puszczających latawce, a on im tylko z daleka pogrozi, z tą swoją twarzą smutną a przyjazną. Matka moja mówi, że nikt go nie widział śmiejącym się od czasu, jak mu umarł syn, który był ochotnikiem w armii, i że zawsze ma przed oczyma jego portrecik na stole w kancelarii. I że po tym nieszczęściu chciał miejsce porzucić i już podanie o dymisję do magistratu napisał i na tym stoliku je gotowe miał, ale odkładał je z dnia na dzień, bo mu żal było rozstać się z uczniami. Ale jednego dnia już się zdecydował, a ojciec mój, który był wtedy w dyrekcji, rzekł:

— Jaka szkoda, panie dyrektorze, że nas pan opuszcza!

A wtem wszedł jakiś pan, ażeby zapisać syna, który przechodził do naszej sekcji z innej, bo rodzice jego zmienili mieszkanie. Zobaczywszy chłopca dyrektor aż się ze zdziwienia cofnął, popatrzył chwilę na chłopca, potem na portrecik przed sobą stojący, potem znów na chłopca, którego przyciągnąwszy między kolana go wziął i twarz jego podniósł ku sobie. A ten chłopiec był zupełnie podobny do jego zmarłego syna. Więc powiedział: „Dobrze”. Zapisał ucznia, pożegnał tego pana i tego chłopca i zamyślił się głęboko. A wtedy ojciec mój powtórzył:

— Jaka szkoda, że nas opuszczasz, dyrektorze!

A on wziął swoje podanie o dymisję, rozdarł na dwoje i rzekł:

— Zostaję!

<sup>45</sup> *kwestura* (z łac.) — tu: policja. [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *suplent* (z łac.) — zastępca profesora gimnazjalnego, praktykant. [przypis edytorski]

<sup>47</sup> *faworyty* (daw.) — baczki. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *Garibaldi, Giuseppe* (1807–1882) — rewolucjonista włoski, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *Milazzo* — miasto i twierdza na Sycylii, zdobyte przez Garibaldiego 20 lipca 1860 r. [przypis edytorski]

## Obrońca garbuska

### 23. środa

Nelli, biedny garbusek, nosi zawsze długi, czarny ceratowy fartuch.

Matka jego, mała pani, blondynka, czarno ubrana, przychodzi zawsze na „finis” i żeby nie pchał się między innymi, zatrzymuje go i pieści. Z początku, ponieważ jest tak nieszczęśliwy, że ma garb, wielu chłopców naigrawało się z niego i trącało go w plecy tornistrami. Ale on to znosił cierpliwie i nic matce swojej nie mówił, gdyżby się martwiła, że jej syn jest pośmiewiskiem kolegów. Więc oni mu dokuczali, a on milczał i płakał oparłszy czoło o ławkę.

Aż raz jak nie skoczy Garrone ze swego miejsca, jak nie krzyknie:

— Pierwszemu, który mi się tknie Nellego, dam przez łeb tak, że trzy kozły wywinie w powietrzu!

Zrobiło się cicho. Franti tylko na groźbę nie zważał.

Jakoż Garrone zdzielił go tak, że kochaneczek wywinął trzy kozły, a od tego czasu nikt nie tknął garbuska. Nauczyciel też posadził go w tej samej ławce, gdzie Garrone siedział. Okropnie się ten Nelli przywiązał do tego Garronego. Nie wyszedł nigdy, żeby nie powiedział: „Bądź zdrow, Garrone!”, a Garrone też tak samo. Jak Nelli upuścił pod ławką książkę lub pióro, zaraz się Garrone schylał, żeby się garbusek nie męczył, i podnosił mu je. I jeszcze mu pomagał wszystko w tornistrze poskładać i płaszcz włożyć.

Bardzo go za to Nelli kocha, patrzy w niego ciągle, a jak nauczyciel pochwali Garronego, tak się cieszy, jak gdyby jego samego pochwalil. Teraz musiał opowiedzieć Nelli wszystko swojej matce i o tych dokuczaniach dawnych, i o tym, co wycierpiał, i jak się za nim ujął jeden kolega, i jak on go za to kocha. Bo oto co się zdarzyło dziś rano.

Nauczyciel posłał mnie do dyrektora, żebym mu zaniósł program lekcji, na jakie pół godziny przed „finis”, i właśnie byłem w kancelarii, kiedy weszła pani z jasnymi włosami i czarno ubrana, matka Nellego, i rzekła:

— Panie dyrektorze, czy jest w klasie mego syna chłopiec, który się nazywa Garrone?

— Jest — odpowiedział dyrektor.

— Czy nie zechciałby pan z łaski swojej przywołać go tutaj, bo mam mu słówko do powiedzenia?

Dyrektor zawołał pedela i posłał go do klasy, a za chwilę stanął w progu Garrone ze swoją roztarganą, wielką głową i z dość głupią miną. Zobaczywszy go jednak pani podbiegła ku niemu, objęła za szyję i obsypując pocałunkami jego wielką głowę, mówiła:

— Tyżes to, Garrone, przyjaciel mego synka, obrońca mego biednego dziecka?! Tyżes to, drogi, poczciwy chłopcze?... Tyżes to?...

Po czym gwałtownie zaczęła szukać czegoś po kieszeniach i w woreczku, a nie znalazłszy nic, zerwała z szyi łańcuszek z krzyżykiem i włożyła go na szyję Garronego, pod krawatkę, mówiąc:

— Weź go i noś, na pamiątkę ode mnie, drogi chłopcze! Na pamiątkę od matki Nellego, która ci dziękuje i błogosławi ciebie.

Prymus naszej klasy

### 25. piątek

Garrone zdobył sobie przywiązanie, Derossi zaś uwielbienie wszystkich. Wziął pierwszy medal i ciągle będzie prymusem, także i w tym roku; nikt nie może ubiegać się z nim o pierwszeństwo, wszyscy przyznają mu wyższość we wszystkich przedmiotach.

Jest pierwszy w arytmetyce, w gramatyce, w ćwiczeniach, w rysunku; w lot wszystko pojmuje, ma zadziwiającą pamięć, wszystko mu się udaje bez żadnego trudu, a nauka zdaje się być dla niego zabawą.

Wczoraj powiedział mu nauczyciel tak:

— Wielkie dary otrzymałeś od Boga, o to się więc tylko staraj, żebyś ich nie zmarnował.

A przy tym postać piękna, wysoka i te śliczne blond włosy w lokach całe! A tak jest lekki, zręczny, że przeskakuje ławkę, jedną tylko ręką oparłszy się o nią. Umie się już nawet fechtować<sup>50</sup>.

Ma lat dwanaście, jest synem przemysłowca, ma niebieską bluzę ze złoconymi guzikami, zawsze rześki, wesół, uprzejmy dla wszystkich, przy egzaminach pomaga jak może, i nikt nigdy nie ośmielił się być dla niego niegrzecznym lub powiedzieć mu jakie brzydkie słowo.

Nobis tylko i Franti patrzą na niego krzywo, a Vatini zazdrości ukryć nie może. Ale on sobie z tego nic nie robi.

Wszyscy się do niego uśmiechają i biorą go za rękę albo za ramię, kiedy idzie między ławki odbierać ćwiczenia, z tym wdzięcznym ruchem, który mu jest właściwy. Daje kolegom dzienniki ilustrowane, rysunki, wszystko, co sam dostanie w domu. Kalabryjczykowi zrobił śliczną mapkę Kalabrii. A rozdaje, co ma, śmiejąc się niedbale, jak wielki pan, i nie wyróżniając nikogo.

Nie sposób nie zazdrościć mu i nie czuć się czymś mniejszym od niego.

I ja mu, tak samo jak Vatini, zazdroścę i nawet czuję jakąś niechęć ku niemu, kiedy jeszcze ślęczę nad lekcjami w domu, a pomyślę, że on już wszystko odrobił jak najlepiej i bez żadnego trudu. Ale gdy przyjdę do szkoły i zobaczę, jaki jest śliczny, wesoły, zwycięski; posłyszę, jak na pytania nauczyciela odpowiada szczerze, pewny siebie, i jaki dla wszystkich greczny, i jak go wszyscy lubią, wtedy cała ta gorycz, cała ta niechęć znika z mego serca i wstyd mi jest, że ich doznawał. Chciałbym wtedy być ciągle przy nim, blisko niego. Chciałbym z nim przejść całą szkołę razem; obecność jego i głos dodają mi otuchy, chęci do pracy, radości.

Nauczyciel dał mu do przepisania opowiadanie miesięczne, które ma być jutro czytane: „Mała wideta lombardzka”. Przepisał je dziś rano i był wzruszony tym bohaterским wypadkiem: twarz miał rozpaloną, oczy wilgotne i usta drżące. A kiedy tak patrzył na niego, jakże mi się pięknym i szlachetnym wydał. Jakże chętnie powiedziałbym mu szczerze, prosto w oczy:

„Derossi, tyś we wszystkim więcej wart ode mnie! Ty jesteś prawdziwym mężczyzną w porównaniu ze mną! Szanuję cię i podziwiam!”

Mała wideta<sup>51</sup> lombardzka

### *Opowiadanie miesięczne*

#### *26. sobota*

W 1859 roku, podczas wojny o oswobodzenie Lombardii, wkrótce po bitwie pod Solferino<sup>52</sup> i San Martino, w której Francuzi i Włosi zwyciężyli Austriaków, w piękny poranek czerwcowy mały oddział konnicy z Saluzzo jechał stępą<sup>53</sup> samotną ścieżyną w kierunku pozycji nieprzyjacielskich, bacznie rozglądając się po okolicy.

Oddział prowadził oficer i wachmistrz, a wszyscy jeźdźcy patrzyli daleko przed siebie wytężonym wzrokiem, w zupełnym milczeniu, spodziewając się lada chwila ujrzeć poprzez zarośla bielejące mundury austriackie. Tak przybyli do małego wiejskiego domku, otoczonego wierzbami; przed nim stał dwunastoletni może chłopczyna strugając nożem gałązkę, z której sobie widocznie chciał gładki kij zrobić. Z otwartego okna domku powiewał szeroki trójkolorowy sztandar, ale wewnątrz nie było nikogo.. Zapewne mieszkańcy wywiesiwszy chorągiew uciekli w obawie przed Austriakami.

Ujrzawszy kawalerzystów, chłopiec odrzucił gałąź i zdjął czapkę. Był to piękny chłopczyna z ogorzałą twarzą, z dużymi niebieskimi oczyma, z jasnymi długimi włosami, a przez otwartą koszulę widać było nagie jego piersi.

— Co ty tu robisz? — zapytał oficer zatrzymując konia.

<sup>50</sup>*fechtować* — walczyć na broń białą. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>*wideta* (daw.) — czujka. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*Solferino* — bitwa z 24 czerwca 1859, w której siły francusko-włoskie odniosły zwycięstwo nad Austriakami. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*stępa* — określenie najwolniejszego chodu konia. [przypis edytorski]

— Dlaczego nie uciekłeś razem z rodzicami?  
— Ja nie mam rodziców — odrzekł chłopczyna. — Jestem podrzutkiem, sierotą, co mi kto każe, to robię, a zostałem tutaj, żeby widzieć wojnę.

— A nie widziałeś ty Austriaków?  
— Nie. Od trzech dni nie widziałem.

Oficer pomyślał chwilę, zeskoczył z konia i, zostawiając swoich żołnierzy jak byli, zwróconych w stronę nieprzyjaciela, wszedł do domu, a stamtąd wydrapał się na dach. Dom był niski. Z dachu widać było tylko mały kawałek najbliższej okolicy.

Oficer znów myślał przez chwilę patrząc to na otaczające domek drzewa, to na swoich żołnierzy, po czym nagle zapytał chłopca:

— Słuchaj, bąku! Masz ty dobre oczy?  
— Ja? — odrzekł malec. — Ja o wiorstę<sup>54</sup> wróbla dojrzę...

— A potrafiłbyś wyleźć na czubek tego drzewa?

— Na czubek tego drzewa? Ja?... Za pół minuty wyleżę!

— A umiałeśby mi powiedzieć, co stamtąd widać? O tam! Chmury kurzawy, błyszczące bagnety, konie?...

— Co bym zaś nie miał umieć.

— A co chcesz za tę usługę?

— Co ja chcę? — powiedział chłopiec i uśmiechnął się.

— Nic nie chcę. Co mam chcieć! A zresztą, dla Szwabów to bym tego za żadne skarby nie zrobił. Ale dla naszych! Przecie ja jestem Lombardczyk.

— Dobrze. Właźże prędko!

— Zaraz, tylko trzewiki zdejmę...

Zdjął trzewiki, ścisnął pasek od spodni, rzucił czapkę w trawę i objął pień wierzby.

— Uważaj!... — krzyknął oficer chcąc go powstrzymać, jak gdyby zdjęty nagłym jakimś strachem.

Chłopiec obrócił się i spojrzał pytająco swymi pięknymi niebieskimi oczyma.

— Nic, już, nic — rzekł oficer. — Wylaź dalej.

Chłopak wdrapywał się jak kot na drzewo.

— Patrzeć przed siebie! — krzyknął wtedy oficer na swoich żołnierzy.

W parę minut był już malec na samym wierzchołku. Uczepiony u samego czuba, stał pośród gęstwiny liści, lecz z piersią odkrytą, a słońce tak promiennie biło w jego jasną głowę, że była jak gdyby złota. Oficer zaledwie mógł go dojrzeć, tak się na tej wyżynie maleńki wydawał.

— Prosto przed siebie patrz i daleko! Jak najdalej możesz! — krzyknął ku niemu.

Dosłyszał chłopak i żeby lepiej widzieć puścił się prawą ręką drzewa i do czoła ją od słońca przystawił.

— Co tam widzisz? — zapytał oficer.

Pochylił się chłopak nieco ku niemu i osłoniwszy ręką usta z jednej strony, żeby głos łatwiej szedł, odpowiedział:

— Dwóch ludzi konnych na wielkim gościńcu.

— Daleko?

— Będzie z pół mili.

— Ruszają się?

— Nie. Stoją.

— I co jeszcze widzisz? — zapytał oficer po chwili milczenia.

— Patrz teraz w prawo!

Chłopiec odwrócił się w prawo, po czym rzekł:

— Niedaleko cmentarza, pomiędzy drzewami coś błyszczy... Coś jakby bagnety...

— A ludzi widzisz?

— Nie. Pewno się w zbożu skryli.

Wtem dał się słyszeć świst kuli, który przesywszy wysoko powietrze, daleko gdzieś poza domem skonął.

— Złaż, chłopcze! — krzyknął oficer. — Dojrzeli cię! Nie chcę już nic więcej! Złaż zaraz!

<sup>54</sup>wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

- Kiedy ja się nie boję!... — odkrzyknął malec.  
 — Złaż! — powtórzył oficer. — A co widzisz na lewo?  
 — Na lewo?  
 — Tak, na lewo!

Chłopiec obrócił głowę w lewą stronę, w tejże chwili drugi świst ostrzejszy i niżej przeszył powietrze. Chłopak wstrząsnął się cały.

— Do kaduka! — zawołał. — Mierzą we mnie jak w drozda... Kulka przeleciała tuż, tuż...

— Złaż! — krzyknął rozkazująco zirytowany oficer.

— Zaraz zleż! — odrzekł chłopiec. — Tylko żem się o gałąź zahaczył, proszę pana. Na lewo, chciał pan wiedzieć?...

— Na lewo, ale złaż! — krzyknął oficer.

— Na lewo — zawołał chłopiec odwracając się piersią w tę stronę — tam gdzie kaplica, zdaje mi się, że widzę...

Trzeci świst wściekle zatargał powietrzem i nagle chłopak począł na dół lecieć chwytając się gałęzi, po czym spadł głową na dół i z otwartymi ramionami.

— Przekleństwo! — krzyknął oficer skoczywszy ku niemu.

Chłopiec leżał na wznak, z szeroko odrzuconymi rękami, nieprzytomny. Krew ciekła pasemkiem sączyła się po lewej stronie piersi. A już wachmistrz i dwaj żołnierze skoczyli z koni. Schylił się oficer, rozerwał chłopcu koszulę — kula karabinowa przeszła mu lewe płuco.

— Nie żyje! — krzyknął oficer.

— Owszem, żyje! — odrzekł stary wachmistrz.

— Ach, biedny, dzielny chłopcze! — wołał oficer. — Odwagi! Odwagi!

Ale gdy tak mówił „odwagi” i przyciskał mu swoją chustką ranę, chłopczyna przytknęła oczy i opuściła głowę. Umarł.

Zbladł oficer i patrzył na niego przez chwilę, potem mu głowę miękko na trawie położył, podniósł się, stanął nad nim i znów patrzył. Wachmistrz i dwaj żołnierze patrzyli także na chłopca stojąc nieruchomo. Inni zaś zwróceni byli ku nieprzyjacielowi.

— Biedny chłopczyna! Biedne, dzielne dziecko! — powtarzał oficer smutnie.

Po czym zbliżył się do domu, wziął z okna trójkolorową chorągiew i okrył nią jak całunem małe nieżywe ciałko, zostawiając odsłoniętą twarz tylko. Wachmistrz położył przy zmarłym jego trzewiki, czapkę, kijek na pół ostrugany i nożyk.

Stali tak jeszcze nad nim przez chwilę w milczeniu, po czym oficer zwrócił się do wachmistrza i rzekł:

— Przysłemy po niego ambulans wojskowy. Zginął jak żołnierz. Pochowają go żołnierze! Będzie miał pogrzeb wojskowy!

To powiedziawszy przesłał ręką pocałunek od ust umarłemu i krzyknął:

— Na koń!

Skoczyli wszyscy na siodła, oddział się połączył i ruszył drogą.

A w kilka godzin później mały poległy odbierał honory wojskowe.

O zachodzie słońca posunęły się przednie strażę włoskie szeroko rozwiniętym frontem ku nieprzyjacielowi, a na drodze, którą przebiegał z rana oddział kawalerii, posuwał się dwoma szeregami wielki batalion bersalierów<sup>55</sup>, którzy kilka dni przedtem mężnie zdobyli Wzgórze Św. Marcina.

Wiadomość o śmierci chłopca doszła już tych walecznych żołnierzy, zanim opuścili swój obóz. Ścieżyna biegnąca wzdłuż jasnego strumienia o kilka tylko kroków oddalona była od małego domku.

Więc kiedy pierwsi oficerowie tego batalionu zobaczyli małego trupka, jak leżał u stóp drzewa, przykryty trójkolorowym sztandarem, oddali mu pokłon szpadami; jeden zaś z nich schylił się nad brzeg strumyka, zerwał parę kwiatów, których tam było pełno, i rzucił zmarłemu. Tak zaraz inni bersalierzy, jak szli, tak się schylali, rwali kwiaty i rzucali je tak samo. W kilka minut ciało chłopczyny było nimi zupełnie pokryte, a oficerowie i żołnierze idąc tak mówili:

— Brawo, mały Lombardczyku!...

<sup>55</sup>bersalierzy — oddziały specjalne piechoty włoskiej, istniejące od 1836 r. [przypis edytorski]

- Żegnaj, chłopczyno!
- Niech żyje sława!
- Żegnaj, mały żołnierzu!...

Wtem jeden z oficerów rzucił mu swój medal zasługi. Inny znów pochylił się i ucałował zimne czoło chłopca. A kwiaty padały ciągle na bosc nożyny, na piersi skrwawione, na jasną główkę jego.

A on jak gdyby spał na trawie, otulony w sztandar, z tą białą twarzą, cichy, uśmiechnięty... właśnie jak gdyby czuł biedny chłopczyna tę pośmiertną sławę i jak gdyby był rad, że życie oddał za Lombardię swoją.

Ubodzy

29. wtorek

Dać życie za ojczyznę, jak mały Lombardczyk, wielka to zasługa; ale nie gardź i małymi zasługami, synu. Dziś rano, idąc przede mną, gdyśmy wracali ze szkoły, przeszedłeś koło ubogiej kobiety, która trzymała na kolanach blade, mizerne dziecko i która cię o jałmużnę prosiła. Spojrzałeś na nią i nie dałeś jej nic, choć miałeś w kieszeni pieniądze.

Śluchaj, dziecko! Nie przyzwyczajaj się przechodzić obojętnie mimo<sup>56</sup> nędzy, która rękę wyciąga do ciebie; a tym bardziej mimo matki, która o grosz dla dzieciątka prosi. Pomyśl tylko, że może to maleństwo było głodne, pomyśl o trosce tej biednej kobiety. Pomyśl, jakby własnej twojej matce serce lkało w piersiach, gdyby ci musiała powiedzieć kiedy: „Henryku, nie mam dziś nic dla ciebie”. Nawet kawałka chleba... Pomyśl tylko!

Kiedy dam grosz żebrakowi, on powie: „Niechaj Bóg da zdrowie pani i jej dzieciom!” — nie uwierzysz, jaką słodycz mam w sercu po tych słowach i jaką wdzięczność dla tego ubogiego czuję. Zdaje mi się, że naprawdę życzenie to zachowa mi zdrowie na długo, i rada wracam do domu, i myślę: „Ach, ten biedak dał mi daleko więcej, niżeli ja jemu!”

Czyń więc, moje dziecko, tak, żebyś czuła niekiedy, że ty sam wywołujesz i sprowadzasz na mnie taką dobrą wróżbę! Wyjmij od czasu do czasu grosz jaki z twego małego woreczka i daj go to starcowi bez opieki, to matce bez chleba dla dzieci, to dziecku sierocie...

Ubodzy cieszą się bardzo z jałmużny dzieci, bo ona ich nie upokarza, a i dlatego, że dzieci są jakby podobne do nich, bo też nie posiadają nic swego. Wszak widzisz, jak zawsze pełno jest ubogich przed szkołą.

Jałmużna dorosłych jest czynem litości, ale jałmużna dziecka jest i czynem litości, i jakby pieśczętą. Rozumiesz mnie? To jak gdyby z jego ręki upadł razem i grosik, i kwiatek.

Pamiętaj, że tobie nie zbywa na niczym, a im wszystkiego brakuje, że ty pożądasz szczęścia, a oni — tego tylko, by nie umrzeć z głodu. Pomyśl, jaka to zgroza, że pośród tylu bogactw i pałaców, na ulicach, którymi przejeżdżają karety i przechodzą dzieci w aksamitach, spotkać można kobiety i dzieci nie mające co jeść. Nie mieć co jeść! Boże mój! Nie jestże to straszne?! Tacy chłopcy jak ty, tak samo jak ty dobrzy i roztropni, którzy w pośrodku wielkiego miasta łakną pożywienia jak dzikie zwierzęta w pustyni!

Nigdy już, nigdy więcej, mój Henryku, nie przejdź około żebrzącej matki nie dawszy jej choćby grosika do ręki.

*Twoja matka.*

<sup>56</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

## GRUDZIEŃ

Handlarz

*1. czwartek*

Mój ojciec chce, żebym każdego wolnego dnia zaprosił do nas któregoś z kolegów albo też któregoś odwiedził i żebym się tym sposobem ze wszystkimi bliżej zapoznał. W niedzielę pójdę na spacer z Vatinim, tym elegancikiem, co się raz w raz muska i tak Derossiemu zazdrości. A dziś to przyszedł do nas Garoffi, ten długi, chudy, co to ma nos jastrzębi i takie małe, bystre oczki, że zdają się wszystko na wylot świdrować.

Ten Garoffi ma zwyczaj ciągle liczyć pieniądze, jakie ma w kieszeni. Umie też nadzwyczaj prędko rachować na palcach, dodawać, odejmować i bez tabliczki każde mnożenie zrobi. Jest on synem kupca towarów kolonialnych i bardzo oryginalnym typem, powiada ojciec. Zbiera grosz do grosza, ma już własną książeczkę oszczędności w naszej szkolnej kasie. Jest skąpy, nie wyda nigdy na nic grosza, a upadnie mu szeląg pod ławkę, to go będzie tygodniami szukał, dopóki nie znajdzie. „Czyni jak sroka” — powiada Derossi. — Wszystko, co znajdzie: spisane pióra, zużyte marki<sup>57</sup>, opałki świec, wszystko chowa. Od dwóch już lat zbiera marki pocztowe i ma już ze sto sztuk z różnych krajów w dużym albumie, który ma zamiar potem, jak będzie pełny, sprzedać księgarzowi. A tymczasem darmo dostaje od tego księgarza kajety, bo przyprowadza do sklepu chłopców, żeby tam kupowali.

W szkole ciągle handluje; co dzień urządza zamiany, loterie, wyprzedaje, a potem żałuje, że się zamienił, i chce z powrotem odbierać, co jego. Co kupi za dwa grosze, to sprzedaje za cztery. Grywa w piórka, w guziki i nie przegra nigdy. Stare gazety sprzedaje sklepikarzowi z tabaką; ma kajecik, w którym zapisuje wszystkie swoje interesy, a na każdej stronie pełno dodawania i odejmowania.

W szkole uczy się naprawdę chętnie tylko arytmetyki, a jeżeli pragnie dostać medal, to tylko dlatego, żeby mieć wolny bilet wstępu do teatru marionetek.

Mnie on się podoba, bo mnie bawi.

Bawiliśmy się w targ, dostaliśmy ze spiżarni ciężarki i wagi. Nie mogłem się nadziwić, jak on zna cenę wszystkiego, jak wie, co po ile sprzedać, jak się rozumie na wadze i jak zręcznie robi papierowe tutki. Zupełnie jak duży kupiec. Powiada, że jak tylko skończy szkołę, zaraz sklep założy, jakiś zupełnie nowy handel, który sam wymyślił. Bardzo był rad, że mu dałem trochę zagranicznych marek, i powiedział mi od razu, po ile którą płacą kolekcjoniści. Kiedyśmy się bawili, mój ojciec udawał, że czyta gazetę, ale widziałem, że słucha, uśmiecha się i zajmuje nim.

A zawsze ma kieszenie wypchane swoim towarem i przykrywa je swoim długim płaszczem i zawsze jest roztargniony i zaaferowany, zupełnie jak kupiec. Ale najbardziej to mu już na sercu jego marki leżą. Ten zbiór to jego skarb i ciągle o nim mówi, jak gdyby na nim majątek miał zrobić. Koledzy nazywają go sknerą i lichwiarzem<sup>58</sup>. Ja tam nie wiem! Lubię go, bo niejednego się przy nim uczę i zdaje mi się mężczyzną.

Coretti, syn przekupnia drzewa, powiada, że on by tych swoich marek nie dał nawet dla uratowania życia matki. Ale mój ojciec nie wierzy temu.

— Wstrzymaj się jeszcze z sądem o tym chłopcu — rzekł mi. — Prawda, ma on brzydką pasję, ale ma i serce.

Próżność

*5. poniedziałek*

Byłem wczoraj na spacerze w alejach Rivoli z Vatinim i z jego ojcem. Przechodząc przez ulicę Wielkozłotą zobaczyliśmy Stardiego, tego, co to daje kuksy, gdy mu się przeskadza w szkole. Stał jak słup przed oknem księgami, z oczyma wlepionymi w kartę

<sup>57</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>lichwiarz — osoba pożyczająca pieniądze na procent. [przypis edytorski]



geograficzną, i kto wie, odkąd już tam stał, bo on się i na ulicy uczy. Ledwo że nam się odklonił, ten parobas.

Vatini był ślicznie ubrany i nawet zanadto wystrojony. Miał safianowe<sup>59</sup> buciki czerwono wyszyte, haftowaną kurtkę z jedwabnymi potrzebami, biały filcowy kapelusik i zegarek. A jak się pysznił! Ale mu tym razem na złe próżność wyszła.

Przebiegłszy kawał alei i zostawiwszy daleko za sobą ojca jego, który szedł powoli, zatrzymaliśmy się przy kamiennej ławce, obok jakiegoś skromnie ubranego chłopca, który zdawał się być zmęczony i wypoczywał ze schyloną głową. Jakiś pan, który pewno był jego ojcem, chodził tam i na powrót pod drzewem i czytał gazetę. Usiedliśmy. Vatini usiadł między mną a chłopcem. I zaraz przypomniał sobie, że jest wystrojony, i chciał, żeby go ten chłopiec podziwiał i żeby mu zazdrościł, podniósł więc nogę i rzekł do mnie:

— Widziałeś moje buciki węgierskie?

Nie tyle mu o mnie szło, tylko żeby ten drugi patrzył. Ale chłopiec ani spojrzał nawet. Więc spuścił nogę i pokazując jedwabne szamerowanie<sup>60</sup> swojej kurtki rzekł, spojrzawszy spod oka w stronę chłopca, że mu się to szamerowanie jakoś nie podoba i że chce je zamienić na złote guziczki. Ale chłopiec i na szamerunki nie patrzył.

Zaczęło to niecierpliwie Vatinięgo, wyciągnął więc zegarek, otworzył go i pokazywał mi kółka i sprężyny. Ale tamten nie podniósł nawet głowy.

— Czy to srebro pozłacane? — spytałem.

— Nie — odrzekł Vatini — to złoto.

— Ale przecież zegarek nie jest cały ze złota — rzekłem na to — musi tam być w nim i srebro.

— Ale nie!... — odpowiedział. I aby zmusić chłopca do patrzenia, podsunął mu zegarek pod samą twarz i rzekł: — Powiedz sam... Spójrzyj! Czy nieprawda, że cały jest złoty?

A chłopiec odpowiedział krótko:

— Nie wiem.

— Ho, ho! — zawołał Vatini. — Jaki pyszny!

A kiedy to mówił, zbliżył się jego ojciec, popatrzył przez chwilę na tego chłopczyka, a potem rzekł porywczo synowi swemu:

— Milcz! — a schyliwszy mu się do ucha dodał: — Jest ślepy!

Vatini skoczył na równe nogi z przestachem i spojrzał chłopcu w twarz. I prawda! Żrenice jego były szklane, bez wyrazu, bez spojrzenia...

Zawstydził się okropnie Vatini i stał bez słowa spuściwszy oczy na ziemię, po czym wyjąkał:

— Bardzo żałuję... Nie wiedziałem...

Ale niewidomy chłopczyk, który wszystko zrozumiał, rzekł z melancholijnym i miłym uśmiechem:

— Oh, nic nie szkodzi!

Więc tak: Vatini jest próżny, ale nie ma złego serca. Jakoż przez całą powrotną drogę nie roześmiał się ani razu.

Pierwszy śnieg

## 10. sobota

Bądźcie zdrowe, spacerujcie na Rivoli! Zawitał do nas dobry przyjaciel chłopców! Zawitał pierwszy śnieg!

Już od wczorajszego wieczora padał miękki, szerokimi płatkami, jak kwiatki białych balsamin. Rozkosz była patrzeć dziś rano w szkole, jak puchem osypał szyby i futryny okien; nawet nauczyciel patrzył i zacierał ręce i wszyscyśmy byli radzi, myśląc o kulach ze śniegu, o ślizgawce i o ogniu na kominku w domu. Jeden tylko Stardi nie dbał, zagłębiony nosem w książkę i obiema pięściami podpierając głowę.

A jak było ślicznie przy wyjściu! Jaka zabawa. Wszyscy pędzili przez ulicę krzycząc, nabierając pełne garście śniegu, lepiąc kule i buchając w kupy śniegu jak psiaki w wodę.

<sup>59</sup>safianowy — wykonany z safianu, tj. z barwionej skóry koziej. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>szamerowanie — dekoracja ubrania w postaci naszytego na nie sznura. [przypis edytorski]

Rodzice, którzy czekali przed szkołą, mieli parasole białe, a miejska straż białe kaski, po chwili i tornistry nasze były białe. A my wszyscy jakbyśmy powariowali z uciechy. Nawet Precossi, syn kowala, ten bladej, co to się nigdy nie śmieje, rozochocił się jakoś; nawet Robetti, co to ocalił wstępniaka, skakał biedaczysko na swoich kulach.

Kalabryczyk, który śniegu jak żyje nie widział, ugniótł sobie z niego kukielkę i zaczął jeść jakby brzoskwinie. Crossi, syn zieleniarki, natkał go sobie w tornister, a z Mularczyka tośmy o mało nie popękali ze śmiechu, kiedy mój ojciec go zaprosił, żeby do nas jutro przyszedł — bo miał pełną gębę śniegu, nie śmiał wypluć, nie mógł połknąć i stał tak, dusząc się i nie mogąc przemówić ni słowa. I nauczycielki wybiegły z klas pędem, śmiejąc się i żartując. Moja nauczycielka z pierwszej wyższej biegła biedaczka wśród śnieżycy, zakrywszy twarz zieloną swoją woalką, mocno kaszląc. A tymczasem ze sto dziewcząt wyleciało z żeńskiego oddziału i piszcząc z uciechy pędziło po tym białym dywanie, a nauczyciele i pedele wszyscy krzydzeli:

— Do domu! Do domu!

Ale widziałem dobrze, że i sami łykali śnieg garściami, bieląc sobie wąsy i brody, i sami śmiali się z tych awantur, któreśmy wyprawiali witając zimę.

\*

Witacie zimę... Ale przecie są dzieci, które nie mają ani płaszczów, ani butów, ani ognia w domu. I takich jest tysiące, którzy idą w dzień mroźny daleko ze wsi do szkoły, niosąc w odmrożonych do krwi rękach kawałek drzewa, żeby ogrzać szkolną izbę. I setki szkół są jakby zagrzebane w śniegu, szare i nagie jak piwnice, gdzie dzieci duszą się od dymu, a zębami od zimna szczękają, z przerażeniem patrząc na te białe płatki, które sypią się bez końca a sypią zawiewając drogi i chaty dalekie, grożąc w górach lawiną śmiertelną...

Witacie zimę, chłopcy! Pamiętajcież, że jest tysiące dzieci, którym ona przynosi nędzę i śmierć z sobą.

*Twój ojciec.*

Mularczyk

## *II. poniedziałek*

Przyszedł dziś do nas Mularczyk w ubraniu przerabianym z ojcowskiego, jeszcze białym od gipsu i wapna. Więcej sobie mój ojciec życzył tych odwiedzin niżeli ja nawet. Bardzo się chłopcem ucieszył. Jak tylko wszedł, zaraz zdjął ten obszarpany kapelusz, cały zresztą mokry od śniegu, i wsadził go w kieszeń; po czym szedł przez pokój tym swoim ociężałym krokiem spracowanego robotnika, który przejął w domu, zwracając to tu, to tam tę swoją twarzyczkę okrągłą jak jabłko, z tym noskiem jak mały kłębuszek, a kiedy wszedł do sali rysunkowej, spojrzął wokół na sprzęty i zatrzymawszy wzrok na obrazku, przedstawiającym Rigoletta, garbatego błazna, zrobił raptem zajęczy pyszczek, jeden z najlepszych, jakie mu się kiedy udały. Nie! Ani sposób wstrzymać się od śmiechu, jak zrobi zajęczy pyszczek!

Zaczęliśmy się bawić drewniakami; jest niezmiernie zręczny w ustawianiu bram i mostów, które zdają się cudem jakimś trzymać, a stawia je bardzo cierpliwie i z powagą dorosłego człowieka.

Między zbudowaniem jednej bramy a drugiej opowiadał mi o swojej rodzinie. Mieszkają na poddaszu, a ojciec jego chodzi do wieczornej szkoły i uczy się czytać.

Muszą go rodzice kochać, bo choć ubogo ubrany, ale od zimna dobrze zabezpieczony, ciepło odziany, w wełnianym szaliku, który mu na szyi zawiązała matczyna ręka. Powiadał mi, że jego ojciec jest bardzo wysoki, jak olbrzym jaki, i musi się zawsze we drzwiach schylać wchodząc — ale jest dobry i nie woła na niego inaczej jak „zajęczy pyszczek”. A syn taki mały.

O czwartej zjedliśmy razem podwieczorek, chleb z powidłami, siedząc na sofie. A kiedyśmy się podnieśli, ojciec nie dał mi wyczyścić tej białej plamy, którą Mularczyk zrobił na sofie swoim zawapnionym odzieniem. Zatrzymał mnie za rękę, a potem sam wyczyścił po kryjomu.

Bawiąc się Mularczyk oberwał guzik u swojej kapoty, ale moja mama zaraz mu go przyszyła; a on się zaczerwienił, stał bardzo zdziwiony i pomieszany widząc ją szyjącą, prawie że oddychać nie śmiał. Potem dostaliśmy do oglądania album z karykaturami, a on, nie spostrzegając tego, sam naśladował wykrzywienia różnych twarzy tak wybornie, że nawet mój ojciec nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Tak był rad wychodząc od nas, że zupełnie zapomniał wyciągnąć z kieszeni swego obszarpanego kapelusza i włożyć go na głowę, a kiedy już był na podwórzu, raz jeszcze zrobił — żeby mi okazać swą wdzięczność — wspaniały zajęczy pyszczek.

Mularczyk nazywa się Antoś Rabucco, ma osiem lat i osiem miesięcy.

\*

Czy wiesz, mój synu, dlaczego nie chciałem, żebyś czyścił sofę? Bo gdybyś ją był czyścił przy swoim koledze, wyglądałoby to na wyrzut dla niego, że ją zabrudził. A to byłoby źle z dwóch powodów: bo, po pierwsze, nie zrobił tego naumyślnie, a po drugie, bo ją ubielił ubraniem ze swego ojca, który te plamy wapna przyniósł do domu z bardzo ciężkiej pracy. A to, co się z pracy przynosi, nigdy nie jest brudem. Jest kurzem, jest wapnem, jest farbą, jest wszystkim, co chcesz, ale nigdy brudem.

Praca — nie brudzi. Nie mów nigdy o robotniku wracającym od pracy: „Jest brudny” — ale mów: „Ma na swojej odzieży ślady swojej pracy”. — Pamiętaj o tym. A co do Mularczyka, to jest miły chłopczyzna i chciałbym, żebyś go lubił: najpierw dlatego, że jest twoim kolegą, a potem dlatego, że jest synem robotnika.

*Twój ojciec.*

Praca

## Śnieżna kula

### 16. piątek

A śnieg pada i pada!

Zdarzył się brzydki wypadek z tym śniegiem dziś rano przy wyjściu ze szkoły. Gromada chłopców zaledwie wypadłszy na Corso zaczęła ciskać kulami ze śniegu; a śnieg już topniał i kule z niego były ciężkie i twarde jak kamień.

Na trotuarze<sup>61</sup> było dużo ludzi. Jakiś pan krzyknął:

— Na bok, malcy! — a w tej samej chwili dał się słyszeć ostry krzyk po drugiej stronie ulicy i zobaczyliśmy jakiegoś chwiejącego się staruszka, któremu kapelusz spadł z głowy i który sobie twarz rękami zakrył, a jakiś chłopczyk przy nim krzyczał: „Ratunku! Ratunku!” — Zlecieli się ludzie z różnych stron, patrzą, a tego staruszka kula śnieżna trafiła w samo oko.

Chłopcy rozbiegli się jak wiatr. Ja stałem przed drzwiami księgarni, do której wszedł mój ojciec, i zobaczyłem, jak ni stąd, ni zowąd przybiegło tam kilku moich kolegów i też stanęło udając, że patrzą na wystawę książek. Był tam Garrone, ze zwykłą pajdą chleba w kieszeni, Coretti, Mularczyk i Garoffi, ten od pocztowych marek.

Tymczasem koło starca uczynił się tłum, a strażnik miejski i kilku innych ludzi biegło to tu, to tam, grożąc i dopytując się:

— Kto to zrobił? Który z was? Czy ty rzucił? Gadajcie zaraz, kto taki? — I oglądali chłopcom ręce, który miał mokre od śniegu. Garoffi stał najbliżej mnie. Zdawało mi się, że drży i że ma twarz bladą jak nieżywy.

<sup>61</sup>trotuar (daw., z fr.) — chodnik. [przypis edytorski]

— Kto rzucił?... Który z was? — krzyczą dokoła nas ludzie. A wtedy posłyszałem, jak Garrone mówił Garoffiemu z cicha:

— Idź, przyznaj się! Byłoby podle z twojej strony pozwolić, żeby przytrzymali innego.

— Ale ja nieumyślnie... — odszepnął Garoffi drżąc jak liść na wietrze.

— To nic nie znaczy! Uczyni, coś powinien! — powtórzył Garrone.

— Ale kiedy ja się boję!...

— Nie bój się! Pójdę z tobą.

A tymczasem strażnicy coraz głośniejszymi krzykami:

— Kto rzucił?... Który rzucił?... Okulary mu do oka wbili! Oślepił go! Zbóje!...

Myslałem, że Garoffi w ziemię się zagrzebie.

— Pójdź! — rzekł do niego zdecydowany na wszystko Garrone. — Będę cię bronił!

I chwyciwszy jego ramię popchnął go naprzód podtrzymując go, jak chorego, własnym ramieniem.

Spostrzegli to ludzie, zrozumieli i kilku ich przyleciało z podniesionymi pięściami.

Ale Garrone zastawił go sobą i rzekł:

— Cóż to? W dziesięciu idziecie na jednego chłopca?

Więc się zaraz wstrzymali, usunęli się, a strażnik wziął za rękę Garoffiego i zaprowadził go przeciskając się przez tłum do sklepu z makaronem, gdzie opatrywano rannego. Zobaczywszy go teraz z bliska poznałem zaraz, że to był ten stary urzędnik, który w naszym domu, na czwartym piętrze, z synowcem swoim mieszkał.

— Ja nienaumyślnie! — wołał Garoffi, na pół umarli ze strachu. — Ja nienaumyślnie!...

Dwóch czy trzech ludzi popychało go gwałtownie, krzyżąc:

— Do ziemi czołem! Proś o przebaczenie!

I rzucili go na podłogę. Ale w tejże chwili podniosło go dwoje silnych ramion, dał się słyszeć głos męski:

— Nie, panowie!

Był to nasz dyrektor, który wszystko widział.

— Kiedy miał odwagę przyznać się — mówił dalej — nikt nie ma prawa poniewierać nim!

Wszyscy stanęli cicho.

— Proś o przebaczenie! — rzekł teraz dyrektor do Garoffiego, który wybuchnął płaczem, obejmując kolana starca.

A ten poszukawszy ręką jego głowy pogłaskał go po włosach.

Wtedy odezwały się wzruszone głosy:

— Idź, chłopcze, do domu! Idź! Wracaj!

A ojciec mój pociągnął mnie z dala od tłumy i tak w drodze mówił:

— Henryku! Czy ty w podobnym wypadku zdobyłbyś się na odwagę, żeby spełnić obowiązek i wyznać winę?

— Tak — odpowiedziałem.

A ojciec:

— Dajże mi, synu, słowo uczciwego i honorowego chłopca, że byś to uczynił.

— Daję ci słowo, mój ojczel!

Nauczycielki

### 17. sobota

Okropnie się dziś Garoffi bał czekając wielkiej bury od nauczyciela, a tymczasem nauczyciel nie przyszedł, zastępcy także nie było, a do klasy przyszła pani Cromi, najstarsza z nauczycielek, która ma dwóch dorosłych synów, a uczyła czytać i pisać niejedną z tych pań, które teraz odprowadzają swoje dzieci do naszej szkoły. Była smutna dzisiaj, bo jeden z jej synów jest chory.

Jak tylko weszła, zaraz chłopcy zaczęli dokazywać i hałasować. Ale ona, głosem cichym i spokojnym, rzekła:

— Szanujcie moje białe włosy. Nie tylko nauczycielką, ale i matką jestem.

Więc żaden już ani nie pisał, nawet ten cygańczyk Franti, który tak lubi psocić cichaczem.

A do klasy pani Cromi posłana została panna Delcati, nauczycielka mojego braciszka, a na miejsce panny Delcati ta, którą nazywają „zakonnica” — bo zawsze jest ciemno ubrana i ma głosik tak cichy, że kiedy mówi, to się zdaje, że szepce pacierze.

I trudno pojąć, mówi moja matka, bo taka łagodna jest, taka trwożliwa, z tym swoim słabym, zawsze równym głosem, który ledwo że dosłyszeć można, nie krzyczy, nie gniewa się nigdy, a przecież umie utrzymać uczniów swoich tak, że nawet największe urwisy pochylają głowę, jak tylko im pogrozi palcem, a w klasie jej tak zawsze cicho jak w kościele. To pewno i dlatego także mówią na nią: zakonnica.

Ale ja najlepiej lubię tę małą nauczycielkę z pierwszej niższej, nr 3, która ma twarzyczkę jak róża, dwa śliczne dołeczki w policzkach, nosi duże czerwone pióro na kapelusiku, a krzyżyk bursztynowy na szyi.

Zawsze wesoła i w klasie jej zawsze wesoło. Ciągłe się uśmiecha, krzyczy na swoich malców tym swoim srebrnym głosikiem, co to jakby śpiewa; uderza laseczką w stół i klaszcze w ręce, żeby uczniom nakazać milczenie, a gdy wychodzą, biegnie jak mała dziewczynka to za tym, to za owym, żeby ich ustawić w rzędzie, jednemu podnosi kołnierz, drugiemu zapina płaszczyk, żeby się nie zaziębił który, odprowadza ich do rogu ulicy, żeby się nie pokłócili, błaga rodziców, żeby ich nie karali w domu, przynosi pastylki tym, co mają kaszel, pożycza swojej mufki<sup>62</sup>, gdy któremu ręce zmarzną — i umęczona jest przez tych najmniejszych, którzy jej się uwieszają u sukni i chcą, żeby całowała, ciągnąc ją za welon, za mantylkę<sup>63</sup>. I pozwala im na to wszystko, i całuje, i śmieje się, i biegnie do domu roztargana, z gołą szyją, spocona i uśmiechnięta, z tymi ślicznymi dołeczkami w twarzy i z swoim czerwonym piórem. Uczy także rysunków w oddziale dziewcząt, a pracą swoją utrzymuje matkę i brata.

W domu zranionego

#### 18. niedziela

A przy nauczycielce z czerwonym piórem mały siostrzeniec starego urzędnika, co mu to Garoffi zranił oko swoją kulą śniegu.

Widziałem go dzisiaj w domu wuja, który go tak kocha jak rodzone dziecko.

Właśnie skończyłem miesięczne opowiadanie na przyszły tydzień: „Mały pisarczyk z Florencji”, które mi nauczyciel dał do przepisania, kiedy mi ojciec rzekł:

— Pójdźmyż na górę, na czwarte piętro, zobaczyć, co się dzieje z okiem tego pana.

Poszliśmy. W pokoju prawie że zupełnie ciemnym leżał stary pan, a raczej siedział w łóżku, obłożony poduszkami wysoko pod plecy. W głowach siedziała jego żona, a w kącie bawił się ten mały siostrzeniec.

Stary pan miał zawiązane oko.

Bardzo był rad mojemu ojcu, prosił go, żeby usiadł, i mówił, że mu jest lepiej, że oka nie tylko nie straci, ale za kilka dni zupełnie wydobrzeje na nie.

— Wypadek był — dodał łagodnym głosem — i bardzo mi żal, że się ten biedny chłopiec tak przeraził.

Potem zaczął mówić o doktorze, który miał zaraz przyjść i opatrzyć oko. Jeszcze nie skończył, kiedy dzwonek zadzwonił u drzwi.

— Doktor przyszedł — powiedziała pani.

Wtem otwierają się drzwi i... kogóż widzę? Garoffiego w swym długim płaszczu, jak stoi w progu ze spuszczoną głową i wejść nie śmie.

— Kto to? — pyta się chory.

— To ten uczeń, który rzucił kulę — rzecze mój ojciec.

A stary pan na to:

— O, biedny chłopcze, a pójźże tu bliżej! Przyszedłeś dowiedzieć się o zdrowiu zranionego, nieprawdaż? Lepiej mi, bądź spokojny, lepiej! Prawie zupełnie dobrze. Przybliź się, dziecko!

<sup>62</sup>*mufka* — futrzany rulon do ogrzewania rąk. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*mantylka* (daw.) — rodzaj krótkiej peleryny damskiej. [przypis edytorski]

Ale Garoffi tak był zmieszany, że ledwo do łóżka trafił. Zbliżył się wreszcie powstrzymując łkanie, a kiedy stary pan głaskał go i pieścił, nie mógł przemówić słowa.

— Dziękuję ci! — rzekł starzec. — Idź, powiedz ojcu i matce, że wszystko już dobrze i niech się nie martwią.

Ale Garoffi nie ruszał się z miejsca, a ja zaraz zmiarkowałem<sup>64</sup>, że coś powiedzieć chce, a tylko nie śmie. I stary pan też zmiarkował.

— Cóż mi powiesz? Czego chcesz?

— Ja... niczego.

— No, to bądź zdrow, chłopcze! Do zobaczenia! Idź w spokoju.

Garoffi oddalił się ku drzwiom, ale rychło stanął i obrócił się do małego siostrzeńca, który poszedł za nim i patrzył na niego ciekawie.

Nagle wyciągnął coś spod płaszcza i dał chłopcu do ręki mówiąc prędko: — To dla ciebie... — i wyleciał jak oparzony za drzwi.

Chłopczyna przyszedł do łóżka niosąc pakiet, na którym było napisane: „Daruję ci to”. Spojrzałem do wnętrza i aż krzyknąłem ze zdumienia. Był to sławny album ze zbiorom marek pocztowych biednego Garoffiego, ów album, o którym tyle zawsze gadał, w którym pokładał wszystkie swoje nadzieje i który go tyle trudów kosztował. Skarb to był, połowa życia jego, a przecież oddał go, biedaczysko, na okup swej winy!

Mały pisarczyk z Florencji

### *Opowiadanie miesięczne*

Przechodził kurs czwartej klasy w szkole elementarnej. Śliczny to był Florentczyk, z czarnymi włosami a białą twarzą, najstarszy syn pewnego urzędnika kolei żelaznych, który mając liczną rodzinę a małą pensję żył w niedostatku.

Ojciec kochał go bardzo. Pobłażliwy był dla niego i dobry. Pobłażliwy we wszystkim, tylko nie w tym, co dotyczyło szkoły. Na tym punkcie był surowym i wymagającym, bo chłopiec musiał nauki kończyć jak najprędzej i jak najprędzej objąć jakiś urząd, żeby pomagać rodzinie. A wiadomo, że kto chce prędko coś znaczyć, musi tego pracować i nie tracić czasu. Więc choć się chłopiec uczył dobrze, ojciec jeszcze go i tak do nauki zapędzał. Bo sam już nie bardzo był młody, a w ciężkiej pracy czuł się postarzałym przedwcześnie.

Niemniej jednak, choć nią tak obarczony w swym urzędzie, brał jeszcze to stąd, to zowąd jakąś poboczną pracę, żeby tylko nastarczyć potrzebom domowym. Najczęściej było to przepisywanie, na którym mu część nocy schodziła codziennie, a nieraz i świt zastawał go przy nim.

W ostatnich czasach podjął się u jednego wydawcy dzienników i książek zapisywania na opaskach nazwisk i adresów abonentów; a za każde pięćset takich opasek, zaadresowanych dużymi literami i czytelnie, dostawał trzy liry. Ale robota owa bardzo go męczyła i często się na nią skarżył przed swoją rodziną.

— Tracę oczy — mawiał — dobija mnie ta praca po nocach.

Aż jednego razu powiada do niego ów najstarszy synek:

— Tato, daj mi to zrobić za siebie! Wiesz przecie, jak ja ładnie piszę i zupełnie podobnie do ciebie.

Ale ojciec odpowiedział:

— Nie, synu! Przede wszystkim nauka. Twoja szkoła daleko ważniejsza niżli te opaski; wyrzuciłbym sobie, gdybym ukrócił choć godzinę. Dziękuję ci, ale nie chcę i nie ma o czym gadać.

A syn wiedział, że w tych rzeczach nie ma co się z ojcem upierać, i nie upierał się.

Ale oto jak sobie poradził.

Wiedział dobrze, że ojciec jego kończy pisanie o północy i idzie do sypialni ze swojej izdebki. Tego był pewny. Kiedy na wielkim zegarze wybiła dwunasta, słyszał zawsze odsuwanie krzesła od stołu i powolne kroki ojca.

Więc jednej nocy przeczekawszy, aż się ojciec do łóżka położy, wstał cicho, ubrał się i po omacku poszedłszy do izdebki owej zapalił lampę, usiadł przy biurku, na którym bielił

<sup>64</sup>zmiarkować (daw.) — zorientować się, zauważyć. [przypis edytorski]

się stos opasek wraz z listą adresową, i niewiele myśląc zaczął pisać, naśladowując zupełnie pismo swego ojca.

I miło mu było pisać, i rad był, choć się i bał trochę, a opaski zapisane piętrzyły się przed nim. Od czasu do czasu kładł pióro, zacierał ręce, znów zaczynał pisać z zapalem, nastawiając ucha i uśmiechając się z lekka.

Zapisał sto sześćdziesiąt. Zarobił lira!

Przestał, położył pióro, skąd je wziął, zgasił światło i na palcach do łóżka powrócił.

Tego dnia w południe siadł ojciec do stołu w wybornym humorze. Nic a nic nie pomiarkował<sup>65</sup>. Bo tę robotę wykonywał mechanicznie, na godziny ją mierząc, i często przy niej myśląc o czym innym, a dopiero nazajutrz liczył zapisane opaski.

Siedząc tak wesół przy stole, poklepał syna po ramieniu i rzekł:

— Ech, Julku! Jeszcze z twego ojca lepszy pracownik, niżes myśla! W dwie godziny machnąłem wczoraj wieczór o trzecią część więcej roboty niż zwykle! Jeszcze moja ręka sprawna, a i oczy pełnią swoją służbę.

A Julek milczał, szczęśliwy, i tylko w duchu tak mówił: „Biedny tato! Nie tylko mu ułatwiam robotę, ale przyczyniam mu radości, że się młodszym i silniejszym czuje. Dobra nasza! Nie traćmy odwagi!”

Tak zachęcony powodzeniem czekał nocy, a gdy dwunasta wybiła, znowu wstał cicho i dalej do roboty. I tak przez wiele nocy wciąż, jedna po drugiej. A ojciec ciągle jeszcze nic nie miarkował. Raz tylko wychodząc po kolacji rzekł:

— Nie do uwierzenia, co nafty w domu wychodzi od jakiegoś czasu!

Julek drgnął, ale rozmowa na tym się skończyła, a nocna robota szła dalej.

Jednakże, przerywając tak sen każdej nocy, chłopiec nie wypoczywał dostatecznie, toteż rankiem wstawał zmęczony, a wieczorem, przy odrabianiu lekcji, ledwo że otwierał oczy. Aż jednego dnia, pierwszy raz w życiu, usnął nad kajetem.

— Chłopak! Co ty!... — krzyknął jego ojciec. — Do roboty! Dalej, śpiochu!

Wstrząsnął się i do lekcji zabrał.

Ale następnego wieczora i później było znów to samo. A nawet było gorzej jeszcze. Drzemał nad książkami, wstawał późno, lekcje odbywał, aby zbyć, zdawał się zniechęcony do nauk.

Ojciec zaczął na niego uważać, potem zamyślać się, wreszcie wyrzucać mu lenistwo.

— Julku! — rzekł pewnego rana. — Co się z tobą stało? Już ty nie ten, co dawniej. Bardzo mi się to nie podoba. Bardzo mnie to martwi! Zważ, że cała nadzieja rodziny na tobie spoczywa. Jestem z ciebie nierad<sup>66</sup>! Rozumiesz?

Ten wyrzut, pierwszy raz tak ostrym wypowiedziany głosem, zmartwił nieboraka ogromnie.

„Prawda — pomyślał. — Nie może tak być dalej. Trzeba zakończyć tę pomoc i to złudzenie”...

Ale tegoż wieczora, jakby naumyślnie, ojciec wychodząc z domu rzekł bardzo wesoło:

— Wiecie? W tym miesiącu zarobiłem tymi adresami o trzydzieści dwa liry więcej niżeli w zeszłym! — Co rzekłszy dobył z szuflady paczkę cukierków, które kupił, żeby dzieciom sprawić uciechę z powodu tak powiększonego zarobku.

Julek znów nabrał otuchy i rzekł sobie:

„Nie, drogi ojcze! Będę cię jeszcze łudził, jeszcze ci pomagał! Dobędę ostatnich sił, żeby lekcjami przez dzień nastarczyć, a nocami będę jeszcze pracował dla ciebie, dla mamy, dla braci”...

A ojciec tak mówił dalej:

— Trzydzieści dwa liry więcej to nie bagatela! Cieszymy się, dzieci! Jedno z was tylko — tu wskazał ręką Julka — martwi mnie i smuci.

A Julek wysłuchiwał wyrzutu tego w milczeniu, polykając lzy, które mu się do oczu cisnęły, a jednocześnie uczył w sercu wielką, wielką słodycz.

I zapamiętałe pracować zaczął. Ale nowe znużenie do dawnego znużenia dodane coraz było trudniejszym do przewyciężenia.

<sup>65</sup>pomiarkować (daw.) — zrozumieć. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>nierad (daw.) — niezadowolony. [przypis edytorski]

Tak trwały rzeczy coś przez dwa miesiące. Ojciec strofował Julka prawie co dzień i parzył na niego coraz niechętniejszym wzrokiem. Aż dnia pewnego poszedł do nauczyciela, żeby z nim pomówić o tym, a nauczyciel rzekł:

— Owszem, lekcje odrabia, bo to inteligentne dziecko; ale tego dawnego zapалу do nauki nie ma. Drzemie w klasie, nie uważa, jest roztargniony. Ćwiczenia pisze coraz krótsze, aby zbyć, i bazgrze je po prostu. O, jestem pewny, że mógłby przy dobrej woli zupełnie inaczej się uczyć!

Tego wieczora wziął ojciec chłopca na stronę i tak do niego mówił, z niebywałą u niego powagą:

— Julku! Wszak widzisz, jak ja pracuję, jak sobie życie skracam dla rodziny. Ty jednak nie chcesz mi ułatwić tego. Nie masz serca ani dla mnie, ani dla matki, ani dla braci!

— Ach nie! Nie mów tak, tato! — zawołał Julek wybuchając płaczem i już otwierał usta, żeby wyznać wszystko, ale ojciec przerwał mu i rzekł:

— Wiesz, w jak ciężkich warunkach żyjemy. Wiesz, że aby wyżyć, trzeba dobrej woli i poświęcenia wszystkich w rodzinie. Wiesz, że ja sam musiałem podwoić pracę. Tęgo miesiąca liczyłem na sto lirów gratyfikacji z kolei, a dowiedziałem się, że nie dają żadnej.

Usłyszawszy to Julek cofnął wyznanie, które już mu się na usta cisnęło z duszy, i w mgnieniu oka odzyskując siłę woli rzekł sam sobie:

„Nie, tato! Nic ci nie powiem! Będę jeszcze pracował tajemnie dla ciebie. Za to strapienie, jakie ci sprawiam, wynagrodzę ci pomocą w twych trudach. W szkole i tak promocję dostanę. Pierwsza rzecz i najpilniejsza, pomagać ci w utrzymaniu nas wszystkich i ulżyć ci w tej pracy, która cię zabija!”

Od tej rozmowy przeszło znowu dwa miesiące. Dwa miesiące nocnej pracy i dziennego wyczerpania, rozpaczliwych wysiłków dziecka i gorzkich wymówek ojca. Gorsze jednak od wymówek było to, że ojciec stawał się dla syna coraz ozięblejszy, że rzadko tylko odzywał się do niego, jakby to było dziecko stracone dla jego serca, po którym nic dobrego spodziewać się nie można, tak że unikał nawet spojrzenia na niego.

Widział to Julek i cierpiał; a kiedy ojciec odwrócił się od niego, przysyłał mu ręką pocałunek nieśmiały, podnosząc ku niemu wzrok smutny i pełen miłości. Chudł przy tym i coraz był bledszy z powodu tej pracy i tego cierpienia, a w miarę ubytku sił coraz bardziej zaniedbywać się musiał w nauce. Zrozumiał wreszcie nieszczęsny chłopczyzna, że trzeba mu się zrzec tej pracy tajemnej i co wieczór mówił sobie:

„Tej nocy już będę spał. Nie wstanę”.

Zaledwie jednak wybiła dwunasta, zamiast powziąć odważnie to postanowienie, uczuwał wyrzuty. Zdawało mu się, że leżąc tak w łóżku uchybia jakiemuś ważnemu obowiązkowi, że wprost wydziera tego lira ojcu i rodzinie.

I wstawał cicho, i myślał, że przecie którejkolwiek nocy ojciec obudzi się i na pisaniu go zastanie; że spostrzeże się przecie kiedyś przeliczywszy z wieczora napisane przez siebie opaski, a tak wyda się i skończy naturalnie wszystko, samo przez się, bez jego przyczynienia, bez tego aktu woli, do którego nie miał dosyć siły. I tak ciągnęło się dalej.

Aż pewnego dnia ojciec wyrzekł jakby naumyślnie słowa, które zdecydowały chłopca ostatecznie. Było to tak: Matka popatrzyła na Julka, a że jej się zdawał jeszcze bledszy, jeszcze mizerniejszy niż zwykle, rzekła:

— Julku, tyś chory, dziecko!... — I zwróciwszy się do ojca dodała: — Julek musi być chory. Zobacz tylko, jaki bledy! Julku mój drogi, co tobie?

Ale ojciec rzucił tylko raz okiem na niego i rzekł:

— Kto ma złe sumienie, ten nie może być zdrow. Nie było tak dawnymi czasy, kiedy był pilnym uczniem i kochającym synem.

— Ależ on chory! — zawołała matka.

— Nic mnie to już nie obchodzi — odpowiedział ojciec.

A biednemu chłopczyźnie, gdy usłyszał te słowa, zdawało się, że mu utkwiał nóż w sercu. Ach, nie zniesie tego już dłużej! Nie może! Ojciec jego... ten ojciec, który drżał dawniej, kiedy chłopak zakaszał tylko... Nie kocha go już więc... Nie ma się co łudzić. Umarł więc w sercu swego ojca... „Ach nie, ojcze! — rzekł sobie chłopiec ze ściśniętym jakąś śmiertelną bojaźnią sercem — teraz już naprawdę wszystko skończone, bo żyć nie mogę bez twojej miłości. Zdobędę się na siłę, powiem ci wszystko, nie będę cię dłużej oszukiwał,



będę się uczył jak pierwej! Niech się dzieje, co chce, byleś mnie kochał po dawnemu, drogi mój, najdroższy ojcze! Och, teraz już jestem zdecydowany na wszystko!”

Ale jeszcze tejże nocy, z nawyknięcia po prostu, wstał; a gdy wstał, poszedł raz jeszcze popatrzeć wśród ciszy nocnej na tę małą izdebkę, gdzie tak długo skrycie czuwał i pracował, z sercem pełnym radości najtkliwszej. A gdy przystąpił do stolika i zapalił światło, i zobaczył te czyste opaski białe, na których już nigdy nie miał pisać nazwisk ludzi i miast, tych nazwisk, które już na pamięć umiał, zrobiło mu się okropnie smutno i chwycił nagle za pióro, żeby zwykłą swą pracę rozpocząć. Ale w ruchu tym potrącił książkę, a książka spadła na ziemię. Krew uderzyła mu do głowy. Ojciec mógł się obudzić!... Nie zaszedłby go, prawda, na żadnym złym uczynku, owszem, on sam postanowił powiedzieć mu wszystko. A przecież usłyszeć kroki jego w ciemności... być tak przydybanym w tej ciszy, o tej godzinie... Zbudzić i przestraszyć matkę... i może jeszcze widzieć po raz pierwszy upokorzenie ojca wobec siebie, gdy wszystko się wyda... Na tę myśl skamieniał po prostu. Ale nie posłyszał nic. Nasłuchiwał przez chwilę u drzwi, które miał za sobą — nic!

Cały dom był głęboko uśpiony.

Zaczął więc pisać z pośpiechem, a opaski piętrzyły się przed nim. Tak pisząc słyszał miarowy krok straży miejskiej w pobliskiej pustej uliczce, potem turkot powozu, który nagle ustał; w chwilę później ciężki turkot wozów posuwających się jeden za drugim, a potem jeszcze głębką ciszę, przerywaną od czasu do czasu dalekim szczekaniem psa. I pisał, pisał...

A tymczasem ojciec jego stał za nim. Zbudzony stukiem upadającej książki przeczekał on czas jakiś, wszedł do izdebki w chwili, kiedy turkot wozów tłumił jego kroki, i stał tam, z swoją siwą głową ponad ciemną główką syna i widział, jak pióro jego biega po opaskach, i w jednej chwili odgadł wszystko, wszystko przypomniał, zrozumiał, a niezmierna żałość i tkliwość zalała mu duszę przykuwając go, bez tchu, za plecami syna. Aż naraz Julek krzyknął przeraźliwie. Dwoje ramion objęło mu głowę w gwałtownym uścisku.

— O tato, tato, przebac mi! — zawołał chłopiec poznając ojca po płaczu.

— To ty mi przebac! — odrzekł ojciec łkając i pokrywając pocałunkami jego czoło. — Zrozumiałem wszystko, wiem wszystko, i to ja, ja żądam przebaczenia twego, święte moje dziecko! Pójdź, pójdź w moje ramiona.

I dźwignął go, i w ramionach zaniósł do łóżka zbudzonej matki, rzucił go w jej objęcia i rzekł:

— Ucałuj to anielskie dziecko, które od wielu miesięcy nie sypia i pracuje po nocach za mnie, a jam zasmucał jego serce, jego, co na chleb zarabiał dla nas...

Matka przycisnęła go do piersi nie mogąc słowa przemówić z wielkiego wzruszenia, po czym rzekła:

— Spać, droga dziecińco, spać!... Zanieś go do łóżeczka jego...

Ojciec wziął go w ramiona, zaniósł do izdebki jego, położył go w łóżko, całując go i pieszcząc, poprawił mu poduszkę i otulił kołdrą.

— Dziękuję, tato, dziękuję! — powtarzał Julek. — Idź już sam spać! Idź, tato! Dobranoc!

Ale ojciec pragnął go widzieć uśpionym; usiadł więc przy jego posłaniu, wziął rękę jego i rzekł:

— Śpij, synu, śpij!

I Julek, zmęczony, usnął wreszcie i spał długo, pierwszym od tylu miesięcy snem cichym, spokojnym... A sny miał miłe, radosne, śmiejące. Kiedy oczy otworzył, a słońce dość już wysoko było na niebie, najpierw uczuł, a potem zobaczył, tuż przy piersiach swoich, na brzegu łóżeczka siwą głowę ojca, który tak noc całą spędził i spał jeszcze, czołem o serce syna oparty.

Siła woli

28. środa

Jeden Stardi z naszej klasy miałby siłę to zrobić, co zrobił mały Florentczyk!

Dziś rano były dwa zdarzenia w szkole. Po pierwsze, szalona radość Garoffiego, któremu odesłano jego drogi album, i to z dodatkiem dwóch rzadkich marek<sup>67</sup> rzeczypospolitej Guatemala, których właśnie poszukiwał już od trzech miesięcy; a po wtóre, zdumienie nas wszystkich, bo Stardi dostał drugi medal i został pierwszym po Derossim uczniem w całej klasie. Okropnie byliśmy tym zdziwieni! Kto by to pomyślał w październiku, kiedy ojciec przyprowadził go do szkoły odzianego w ten zielony kubrak i rzekł do nauczyciela:

— Będzie pan z nim musiał użyć wiele cierpliwości, bo jest tępy, pojmuje wszystko z wielkim trudem...

Wszyscyśmy wołali na niego: „barania głowa”. A on: — Albo umrę, albo zwyciężę! — i zaraz się wziął do nauki na śmierć i na życie.

Uczył się w dzień, uczył się w nocy, uczył się w domu, uczył się w szkole, uczył się nawet na spacerze, ściskając zęby i pięści, jak wół cierpliwy, jak muł uparty, i szedł tak dzień po dniu nie dbając na przewiska, obdzielając kuksami tych, co mu przeszkadzali, a przeszedł wszystkich i wszystkich wyprzedził, oprócz Derossiego, ten uparty kozieł! Nie rozumiał ani źdźbła z arytmetyki, w jego ćwiczeniach było tyle głupstw, że to boki zrywać, nie potrafił jednego okresu<sup>68</sup> powtórzyć z pamięci, a teraz rozwiązuje zadania, pisze poprawnie, a lekcje tak jak pozytywka trzepie! I znać w nim tę żelazną wolę, z całej tej postaci zsiadłej, z tej głowy kwadratowej i prawie bez szyi, z tych rąk krótkich i grubych, z tego głosu szorstkiego.

Uczy się zajadle, nawet ze strzępów gazet, nawet z afiszów teatralnych, a jak tylko uzbiera z dziesięć soldów, zaraz kupuje książkę. Już sobie zebrał ładną biblioteczkę, a w jakiejś chwili dobrego humoru wymknęło mu się, że mnie kiedy zaprowadzi do siebie, żebym ją obejrzał.

Nie przemówi do nikogo zresztą, z nikim się nie bawi i kiedy chcesz — spojrzysz, zawsze siedzi w ławce podparszy pięściami skronie, nieruchomo jak pień, i słucha nauczyciela.

Co on też musiał się napracować, ten biedny Stardi!

Nauczyciel był dziś w złym humorze i zniecierpliwiony, jednak dając mu medal powiedział:

— Brawo, Stardi! Kto jest wytrwały, zwycięża!

Stardi nie zdawał się wcale pysznić tym medalem; nie uśmiechnął się nawet i zaledwie z nim wrócił do ławki, zaraz pięściami głowę podparł i siedział jeszcze więcej nieruchomy niż przedtem.

Ale najśmieszniej to było przy wejściu, bo czekał na niego ojciec — który jest cyrulikiem<sup>69</sup> — tak samo krótki i gruby jak on, z taką samą kwadratową twarzą i z takimże głosem. Nie spodziewał się medalu tego i wierzyć nie chciał, musiał go dopiero nauczyciel zapewnić, a wtedy zaczął się śmiać z radości i trzasnął syna w kark krzycząc z całej siły:

— A toś się spisał, drogi mój głuptasie! A niechże cię! — I patrzył na niego osłupiały i uśmiechnięty.

Wszyscyśmy się zresztą uśmiechali, prócz Stardiego, który już pod nosem mamrotał, przepowiadając jutrzejszą lekcję ranną.

Wdzięczność

31. sobota

... Twój kolega Stardi nie skarży się nigdy na swego nauczyciela, jestem tego pewny. „Nauczyciel był w złym humorze, był zniecierpliwiony” — wyraziłeś się świeżo z niechęcią. Ale pomyśl, chłopcze, ileż to razy ty sam okazujesz zniecierpliwienie. I to komu? Swojej matce, swemu ojcu, względem których zniecierpliwienie twoje już jest przekroczeniem. Twój nauczyciel ma nieraz aż nadto powodów do niecierpliwości. Zastanów się tylko, ile on to już lat męczy się z uczniami, którzy przecież nie wszyscy są grzeczni i przywiązani, owszem, większa część jest niewdzięcznych, nadużywających jego

Nauczyciel

<sup>67</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>okres — tu: zdanie. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>cyrulik — fryzjer, wykonujący także proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

dobroci i trudów jego nie uznaje wcale; tak że z was wszystkich ma daleko więcej goryczy i umartwienia niżeli pociechy.

Zastanów się, że i święty na jego miejscu nieraz by się rozgniewał. A żebyś wiedział, ile to razy idzie nauczyciel na lekcję chory, dlatego tylko, że choroba jego nie jest obłożna i nie uwalnia go od godzin szkolnych. Cierpi, więc się niecierpliwi, a ból jego powiększa się jeszcze, gdy widzi, że nic sobie z niczego nie robicie albo że nadużywanie jego osłabienia.

Szanuj, synu, i kochaj nauczyciela swego. Kochaj go, bo twój ojciec kocha go i szanuje; bo życie jego poświęcone jest dobru setek dzieci, które kiedyś zapomną o nim; kochaj go, bo on rozwija i oświeca twój rozum, bo on kształci duszę twoją. Kochaj go, bo gdy zostaniesz człowiekiem, a nas już nie będzie na świecie, ani mnie, ani jego, obraz jego często ci przed oczyma stanie przy moim obrazie, a wtedy spostrzeżesz ten wyraz bólu i znużenia w jego szlachetnym obliczu, na które dziś nie zważasz, i przypomnisz je sobie tak żywo, że nawet po latach trzydziestu jeszcze cię zabolą. A wtedy uczujesz żal i wstyd, żeś go nie kochał, żeś się źle zachowywał względem niego.

Kochaj twego nauczyciela, bo on należy do wielkiej rodziny pięćdziesięciu tysięcy nauczycieli elementarnych, rozrzuconych po całych Włoszech, którzy są jak gdyby duchowymi ojcami tych milionów chłopców, rówieśników twoich, co są nadzieją twej ojczyzny. Należy do tych pracowników nie dość cenionych, źle wynagradzanych, którzy przygotowują krajowi naszemu godnych go obywateli. Nawet miłość twoja dla mnie cieszyć mnie przestanie, jeśli jej mieć nie będziesz dla tych wszystkich, którzy się trudzą dla twojego dobra, a między którymi nauczyciel twój pierwszy jest po rodzicach twoich.

Kochaj go więc tak, jak byś brata mego kochał; kochaj go zarówno, czy cię pochwali, czy zgani; czy jest sprawiedliwy, czy ci się niesprawiedliwym wydaje; kochaj go, gdy jest pobłażliwy i wesół, a więcej jeszcze, gdy go smutnym widzisz. Kochaj go zawsze, mój synu! I zawsze ze czcią wymawiaj to słowo: „nauczyciel”. Ono bowiem, po słowie: „ojciec” — jest najszlachetniejszą i najmiłą nazwą, jaką człowiek człowiekowi dać może.

*Twój ojciec.*

## STYCZEŃ

Zastępca

*4. środa*

Miał słuszość mój ojciec! Nauczyciel był w złym humorze, bo był niezdrów. Od trzech dni przychodził za niego do naszej klasy zastępca, ten mały, bez wąsów, co to jeszcze sam mógłby za uczniaka uchodzić.

Brzydka się rzecz u nas zdarzyła dziś z rana. Już pierwszego i drugiego dnia hałasowała klasa, ze strach, bo zastępca jest bardzo łagodny; ciągle tylko mówi: „Cicho, cicho, cicho, proszę!”

Naturalnie, że to na nic!

Ale co dziś, to już było nie do wytrzymania! Taki hałas, taki wrzask, że jednego słowa z lekcji usłyszeć nie można było, a zastępca ciągle tylko wołał: „Cicho i cicho!” — aż ochryp!

Dyrektor, jak to on, często chodzi po korytarzach, dwa razy zatrzymał się we drzwiach naszej klasy i patrzył. Wtedy robiło się cicho! Ale jak tylko zniknął z oczu, natychmiast robił się jarmark, że uszy puchły. Próżno Garrone i Derossi uciszali kolegów odwracając się, dając im znaki, żeby byli cicho, że to wstyd tak się zachowywać w szkole. Żaden nie dbał. Jeden tylko Stardi siedział spokojnie, jak zawsze, podparty obu łokciami i z głową na pięściach, myśląc zapewne o swoim sławnym księgozbiornym, a także Garoffi, ten od

albumu marek i z nosem puszczyka, też siedział cicho, zajęty rozpisywaniem biletów po dwa grosze sztuka, bo właśnie puszczał na loterię swój kałamarz kieszonkowy.

Inni świstali i wybuchali śmiechem, tłukli piórnikiemami o ławki i rzucali na siebie kulami z pożątego papieru, mając za procę gumowe paski od spodni. Zastępca wyciągał to jednego, to drugiego z ławki, trząsł nimi i jednego do kąta postawił. Ale i to się na nic nie zdało. Tak już nie wiedząc, co robić, znów prosić zaczął:

— I czemu wy to robicie? Dlaczego? Czy chcecie koniecznie, żebym się gniewał na was?

I uderzywszy w stół ręką krzyczał zarazem wściekłym i płaczącym głosem:

— Ciszej! Ciszej! Ciszej!

Przykro było go słuchać.

Ale hałas wzmógł się jeszcze.

Franti rzucił w niego papierową strzałą, inni zaczęli miauczeć jak koty, tamci się za łby darli, zrobił się zamęt nie do opisania, kiedy wtem wszedł pedel<sup>70</sup> i rzekł:

— Panie nauczycielu, pan dyrektor do siebie prosi.

Zastępca podniósł się i wyszedł z pośpiechem, czyniąc gest rozpaczny. A wtedy zrobiło się w klasie prawdziwe piekło. Naraz Garrone skoczył ze srogą twarzą i ścisnąwszy pięście, wołając głosem zduszonym z gniewu:

— Dość tego! Bydlęta! Rozpuściliście się dlatego, że dobry. Żeby was po łbach walił, to byście się mu jak psy łasil! Kupa nikczemników, nie chłopcy! Pierwszego, który nie usłucha, będę czekał przy wyjściu i zęby mu połamię, choćby jego rodzony ojciec na to patrzył!

Zamilkli wszyscy.

Ach, jakże pięknie wyglądał Garrone z tymi oczyma rzucającymi iskry i płomienie. Jak młody lew rozżarty<sup>71</sup>. Spojrzałem na największych krzykaczy: wszyscy mieli głowy spuszczone. Kiedy zastępca wrócił z zaczerwienionymi oczyma, było cicho tak, że żaden nie zipnął.

Oślupiał zrazu, ale widząc, że Garrone stoi jeszcze na ławce zaczerwieniony i drżący, zrozumiał i rzekł głosem tak wzruszonym, jak gdyby mówił do brata:

— Dziękuję ci, Garrone!

Księgozbiór Stardiego

Byłem dzisiaj u Stardiego, który mieszka naprzeciwko szkoły, i aż mnie zazdrość wzięła, kiedy jego księgozbiór zobaczyłem. Nie bardzo on bogaty, bo pieniędzy na książki dużo nie ma; ale proszę widzieć, w jakim on porządku utrzymuje swoje książki szkolne i te, które w podarunku od rodziców dostaje! A każdy grosz chowa i do księgarza niesie! W taki sposób zgromadził sobie małą bibliotekę, a gdy ojciec spostrzegł to jego upodobanie, kupił mu półki orzechowe i zieloną firankę i dał mu oprawić wszystkie książki w śliczne kolorowe okładki. A teraz pociąga sobie za sznurek, firanka się rozsuwa i widać trzy rzędy różnokolorowych książek, wszystkie w porządku, błyszczące, ze złoconymi tytułami na grzbietach: opowieści, podróże, poezje; ma nawet z ilustracjami.

A jak je ślicznie ustawiać potrafi. Białooprawne koło czerwonych, żółte koło czarnych, niebieskie koło białych, tak że oczu oderwać nie sposób! I znów wszystko zmienia, znów ustawia inaczej, a coraz to śliczniej. Zrobił też i katalog. Zupełnie jak prawdziwy bibliotekarz. I ciągle ma coś z tymi książkami do roboty; otrzepuje z kurzu, ogląda okładki, przewraca kartki. Warto widzieć, jak delikatnie otwiera je tymi swymi grubymi, krótkimi rękami, dmuchając między karty. Dość już dawno je ma, a wydają się zupełnie jak nowe. A ja com już przez ten czas książek nadarł!

Dla niego kupno każdej nowej książki jest świętem prawie. Tak ją gładzi, tak ustawia, tak znów wyjmuję, żeby patrzeć na nią; z każdą obchodzi się jak z najdroższym skarbem. Przez całą godzinę tylko tymi książkami mnie bawił. Aż mnie oczy zaboląły od czytania.

Poszliśmy potem do pokoju jego ojca, który jest tak samo krótki i gruby jak syn, i z taką samą jak on dużą głową. Ten uderzył go dwa czy trzy razy w kark i rzekł swoim grubym głosem:

<sup>70</sup>pedel (daw.) — woźny. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>rozżarty — rozjuszony. [przypis edytorski]

— Cóż mówisz, eh, o tym łbie zakutym? To jest łeb, który do niejednego dojdzie, zaręczam ci! — odpowiedział sam sobie.

A Stardi tylko oczy przyklnął pod tą rubaszną pieszczotą, właśnie jak wielki pies od polowania.

Ja nie wiem, ale jakoś nie śmiem bawić się z nim i żartować; zgoła mi się wierzyć nie chce, żeby on był tylko o rok ode mnie starszy. A kiedy mi przy wyjściu powiedział: — Żegnam pana, moje uszanowanie! — tak mi się z tą swoją poważną twarzą wydał już dojrzałym.

Więc kiedy wróciłem do domu, tak rzekłem ojcu:

— Nie rozumiem! Stardi nie ma zdolności, nie jest pięknie ułożony, wygląda prawie śmiesznie, a jednak imponuje mi.

A ojciec odpowiedział:

— Imponuje ci, bo to chłopiec z charakterem.

Więc ja powiedziałem znowu:

— Przez tę godzinę, com tam był u niego, nie wymówił nawet pięćdziesięciu wyrazów, nie pokazał mi ani jednej zabawki, nie roześmiał się ani razu, a przecież było mi z nim dobrze.

A ojciec mój rzekł:

— Bo go szanujesz.

Synek kowala

Tak, ale przecież i Precossiego szanuję i więcej nawet niż szanuję, Precossiego, synka kowala, tego małego mizeraka, co ma takie smutne, miłe spojrzenie, wystraszoną minę, a taki jest bojaźliwy, że do wszystkich mówi: „przepraszam”, i choć jest chorowity, tak dobrze się uczy. Ojciec jego wraca do domu często prosto z szynku i bije go nie wiedząc za co, a kajety jego i książki o ziemię ciska. A on przychodzi do szkoły z siniakami na twarzy, a nieraz zapuchnięty, z oczyma czerwonymi od płaczu. Ale za nic w świecie powiedzieć sobie nie da, że ojciec go bije.

— Znów cię ojciec wytlukł! — mówią mu koledzy.

A on krzyczy zaraz: — Nieprawda! Nieprawda! — żeby niby nikt nie śmiał honoru ojca naruszyć.

— Tego arkusza przecież nie spaliłeś sam? — mówi mu nauczyciel pokazując na pół spalony arkusz.

— Owszem, to ja! — rzecze na to drżącym głosem. — Upadł mi w ogień i...

A wszystkim wiadomo, że to jego ojciec kopnął po pijanemu stół, przy którym chłopiec pisał, zrzucając wszystko razem z zapaloną lampą. Bo oni mieszkają na poddaszu w naszym domu, na drugich schodach, a stróżka wszystko opowiada mojej matce. Siostra moja, Sylwia, słyszała, jak raz krzyczał z ganku, że go ojciec chce zrzucić ze schodów, bo go prosił o pieniądze na kupienie gramatyki. Bo ten ojciec jest taki, że tylko pije wódkę, nie pracuje, a rodzina jego głód cierpi. Ile to razy przychodzi Precossi bez śniadania i dopiero ukradkiem zjada bułkę, co mu ją Garrone da, albo jabłko, przyniesione przez tę małą nauczycielkę z czerwonym piórem, której był uczniem we wstępnej. Ale się jeszcze nie zdarzyło, żeby kiedy powiedział: „Jestem głodny, mój ojciec nie daje mi jeść”. Nigdy!

Kowal wstępuje czasem po niego, kiedy wypadkiem znajdzie się gdzie blisko szkoły, wybladły, chwiejący się na nogach, z ponurą twarzą, z włosami opadającymi na oczy i z czapką na bakier; biedny chłopiec drży cały, kiedy go tak na ulicy zobaczy, ale zaraz biegnie naprzeciw niego z uśmiechem, a ojciec nie widzi go nawet myśląc o czym innym.

Biedny Precossi! Zeszywa sobie, jak umie, poszarpane kajety, książek do nauki pożyczając, szpilkami spina porozrywaną koszulinę i aż litość bierze patrzeć, jak się gimnastykuje w tych bucietach powykrzywianych, w tych spodenkach opadających i w tej kurtce zbyt długiej z rękawami, które aż do łokcia zawijać musi. A uczy się, a stara i z pewnością byłby pierwszym, gdyby mógł spokojnie pracować w domu.

Dziś rano przyszedł do szkoły z guzem na czole i z podrapaną twarzą, więc koledzy dalej do niego:

— Oho, urządził cię pięknie twój ojciec! Nie możesz zaprzeczyć, że ojciec!...

A on zaczerwienił się, zerwał z ławki i głosem drżącym z oburzenia krzyknął:

— Nieprawda! Nieprawda! Mój ojciec nigdy mnie nie bije!

Ale potem, w czasie lekcji, lży mu kapaly na pulpit, a spojrzal kto na niego, to się uśmiechał, żeby nie pokazać nic po sobie. Biedny Precossi! Jutro mają przyjść do mnie Derossi, Coretti i Nelli; ale jemu też powiem, żeby przyszedł. Zatrzymam go na podwieczorek, podaruję mu parę książek, jeszcze mu i do domu co dam i w kieszeń mu owoców włożę, żeby choć raz miał uciechę, nieborak, kiedy taki dobry i mężny!

Mile odwiedziny

## 12. czwartek

Dzisiejszy czwartek był dla mnie jednym z najmilszych dni w tym roku. Derossi i Coretti z Nellim garbuskiem przyszli punktualnie, tak jak obiecali, tylko Precossiemu ojciec nie pozwolił przyjść. Derossi i Coretti jeszcze się śmiali ze spotkania z Crossim, synem zieleniarki, tym z bezwładną ręką i rudą lepetyną, który niósł ogromną głowę kapusty na sprzedaż i miał, jak ją sprzeda, kupić sobie pióro i ołówek. Biegł zwawo, był wesół, bo właśnie ojciec jego pisał z Ameryki, żeby go wyglądali, bo lada dzień wróci.

Ach, jakeśmy się też wybornie bawili przez te dwie godziny! Derossi i Coretti to najweselsze zuchy z całej klasy. Ojciec mój strasznie ich polubił.

Coretti przyszedł w swojej brunatnej bluzie i w swojej czapeczce z kociej sierści.

Diabeł nie chłopak! Ciągłe by tylko coś ruszał, przestawiał, prznosił. A choć już z rana pół wozu drzewa przeniósł do sklepu, nie posiedzi chwili, ale po całym domu biega, wszystko ogląda i bez ustanku gada, lekki i zwinny jak wiewiórka. Zaraz do kuchni wpadł, zaraz się kucharki zapytywał, ile płaci cetnar<sup>72</sup> drzewa, bo ojciec jego sprzedaje po czterdzieści pięć centymów. A o tym ojcu to mu się gęba nie zamyka po prostu. Ciągłe rozповіда, jak to on w 49 regimencie służył, jak się pod Custozzą<sup>73</sup> bił, jak walczył pod księciem Humbertem, no i sam bardzo grzeczny i dobrze ułożony chłopiec... „Nie szkodzi mu to nic, że się urodził i wychował pomiędzy wiązkami drzewa, bo we krwi i w sercu ma szlachectwo” — powiada mój ojciec.

Derossi także ojcu memu bardzo się podobał. Bo też zna geografę ten chłopak jak sam nauczyciel! Zamknął oczy i mówi:

— Widzę teraz całe Włochy... Widzę Apeniny, jak się ciągną aż do Morza Jońskiego, widzę rzeki, jak płyną tu, to tam; widzę miasta białe, przylądki, zatoki modre, zielone wyspy...

I tak wymieniał ich nazwy właściwe i po porządku, i szybko, jak gdyby je na mapie czytał, a my widząc go tak z podniesioną głową, z tymi jasnymi kędziorami, z zamkniętymi oczyma, w niebieskim ubranku ze złożonymi guzikami i tak ślicznego jak posąg, staliśmy przed nim w podziw. W godzinę nauczył się na pamięć blisko trzy strony, które ma wypowiedzieć pojutrze, na obchodzie rocznicy pogrzebu króla Wiktora Emanuela<sup>74</sup>.

I Nelli patrzył w niego jak w słońce, zachwycony i rozradowany, gładząc fałdy swego brzydkiego czarnego fartucha i uśmiechając się tymi jasnymi i melancholicznymi oczyma.

Wielką przyjemność sprawiły mi te odwiedziny. Zostały mi po nich jak gdyby złote iskierki w sercu i w umyśle. A i to mi się podobało bardzo, że odchodząc dwaj rośli i silni wzięli pomiędzy siebie garbuska i prowadzili go pod ręce, a on się śmiał tak, jakem go jeszcze nigdy śmiejącym nie widział.

Wróciwszy do jadalni spostrzegłem, że nie ma na ścianie obrazka, który przedstawiał garbatego błazna, Rigoletta. A to ojciec zdjął, żeby go nie widział Nelli.

Pogrzeb Wiktora Emanuela

## 17. stycznia

Dzisiaj o drugiej, zaledwie nauczyciel wszedł do klasy, zawołał Derossiego, który podszedł do stolika, stanął wprost nas i dźwięcznym głosem, podnosząc go i zniżając na przemian, z wzruszeniem na twarzy tak mówił:

<sup>72</sup>*cetnar* — dawna jednostka wagi, zależnie od regionu 50 lub 100 kg. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Custozza* — miejscowość w północnych Włoszech, miejsce przegranej przez Włochów bitwy z Austriakami w 1866 r. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*Wiktor Emanuel II* (1820–1878) — pierwszy król zjednoczonych Włoch. [przypis edytorski]

— Cztery lata minęło, jak w tym dniu i o tej godzinie zatoczył się przed Panteon<sup>75</sup> w Rzymie wóz żałobny, na którym spoczywały zwłoki Wiktora Emanuela II, pierwszego króla Włoch, zmarłego po dwudziestu dziewięciu latach panowania, w czasie których wielka nasza ojczyzna, rozerwana na sześć oddzielnych państw i uciskana przez obcych tyranów, stała się jednym, niepodległym, wolnym królestwem. Po dwudziestu dziewięciu latach panowania, które okrył sławą a udarował męstwem, prawością, odwagą w niebezpieczeństwach, mądrością w chwilach zwycięstw i wytrwaniem w klęskach.

Zatoczył się wóz żałobny, na którym błyszcząca korona, przebiegłszy ulice Rzymu pod ulewą kwiatów, wśród uroczystej ciszy bolejących tłumów, zebranych z całego kraju — poprzedzany legionem generałów, mnóstwem ministrów i książąt, wiodąc za sobą szeregi inwalidów<sup>76</sup>, las chorągwi, wysłańców z trzystu miast włoskich, wszystko, co przedstawia potęgę i chwałę narodu, zatoczył się wóz żałobny przed wspaniałą świątynią, gdzie czekał królewski grobowiec. Natychmiast dwunastu kirasjerów<sup>77</sup> zdjęło trumnę z wozu. A była to chwila, kiedy naród włoski żegnał po raz ostatni swego starego, zmarłego króla, którego tak kochał, kiedy żegnał swego żołnierza i swojego ojca, po owych latach najszcześniejszych sławnych dziejów swoich.

Wielka to była, uroczysta chwila. Wszystkie spojrzenia, cała dusza tłumów uniosła się ku tej trumnie, którą sztandary osiemdziesięciu regimentów armii włoskiej, niesione przez osiemdziesięciu chorążych, salutowały już po raz ostatni. Sztandary okryte chwałą i krwią Włochów, przypominające potoki krwi, tysiące poległych, najwspanialsze zwycięstwa, najświętsze ofiary i najżywsze bóle.

Więc kiedy kirasjerzy z trumną królewską poczęli iść, a te sztandary pokłon jej dawały, tak nowe jak i stare zdarte chorągwie spod Quito, spod Pastrengo, spod San Martino, spod Castel Fidando, osiemdziesiąt chust żałobnych, sto medalów na trumnę upadło, a ten brzęk zmieszany i dźwięczny, który wzburzył krew w żyłach wszystkich, rozległ się jak dzwon tysiąca ludzkich głosów mówiących razem: „Żegnaj nam, żegnaj, ty mężny, ty prawy królu! Będziesz ty żył w sercach twego ludu, póki nad tą włoską ziemią słońce świecić będzie!”

A wtedy podniosły się sztandary w czysty błękit nieba, a król Wiktor wszedł do nieśmiertelnej chwały swego grobu.

Franti wypędzony ze szkoły

## 21. sobota

Jeden tylko z nas mógł się śmiać, w chwili kiedy Derossi mówił o pogrzebie króla, i Franti — śmiał się.

Nie cierpię go! Zły z niego chłopak. Kiedy ojciec przyjdzie do szkoły, żeby dać synowi reprimendę<sup>78</sup>, cieszy się, kiedy płacze który z nas, śmieje się z tego.

Drży przed Garronem, bo mocny, a Mularczyka szturcha i szczypie, bo mały i słaby; Crossiemu dokucza, bo ma uschniętą rękę, lekceważy Precossiego, choć go wszyscy szanują; naśmiewa się z Robettiego, który uratował malca, bo o kulach chodzi. Napastuje wszystkich słabszych od siebie, a kiedy przyjdzie do bójki, wścieka się i nie dba, choćby okaleczył kolegę.

Ma coś wstrętnego w tym swoim niskim czole i w tych biegających mętnych oczach, które się kryją prawie pod daszkiem ceratowej czapki. Nie boi się niczego, śmieje się w twarz nauczycielowi, chwytając, co może, zapiera się z bezczelną miną, zawsze się z kimś drze, przynosi do szkoły szpilki, żeby zniemacka żgnąć<sup>79</sup> którego w ławce, i sobie, i innym obrzyna guziki od ubrania i gra w nie; jego książki i kajety są brudne, obdarte, porozrywane, linia cała w zęby, pióra pogryzione, paznokcie czarne, ubranie wyplamione i podarte w bójkach codziennych.

<sup>75</sup>*Panteon* — budynek z czasów starożytnego Rzymu, pierwotnie świątynia poświęcona wszystkim bogom, obecnie kościół katolicki; miejsce pochówku królów włoskich. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*inwalidów* — w domyśle: weteranów wojennych. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*kirasjer* — żołnierz ciężkiej kawalerii. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*reprimenda* — upomnienie. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*żgnąć* — dziś: dźgnąć. [przypis edytorski]

Powiadają, że jego matka straciła zdrowie ze zmartwienia z nim; że go ojciec już trzy razy z domu wypędzał; żal mi ich bardzo! Matka przychodzi czasem dowiedzieć się o synu, ale zawsze płacząc odchodzi.

Jak on może być dobry, kiedy nikogo nie kocha. Nie cierpi szkoły, nie cierpi nauczyciela, nie cierpi kolegów. Nauczyciel udaje czasem, że nie widzi jego łotrostw, a ten, zamiast się zawstydić, jeszcze gorszy wtedy. Próbował z nim nauczyciel dobrocią, to się tylko ten niegodziwiec wyśmiał z niego; próbował gniewem, zwymyślał go strasznie, to twarz sobie rękami zakrył i wszyscyśmy myśleli, że płacze, a on pękał ze śmiechu. Był raz na trzy dni wydalony ze szkoły, to wrócił jeszcze zuchwalszy, jeszcze bardziej rozpuszczony.

Mówi kiedyś do niego Derossi:

— Dajże już raz spokój! Widzisz przecie, że nauczyciel się martwi, że cierpi przez ciebie.

A on na to:

— Cicho bądź, bo ci gwoździem brzuch rozwałę!

Aż się doczekał, że go dziś rano jak psa wypędzili.

Było tak. Kiedy nauczyciel dawał Garronemu brulion „Sardyńskiego doboszyka” (bo taki ma tytuł miesięczne opowiadanie na styczeń) do przepisania, Franti rzucił na podłogę petardę, która pękła z takim hukiem jak strzał z karabinu. Zatrzęsła się cała klasa, a nauczyciel zerwał się i krzyknął:

— Franti! Precz ze szkoły!

— To nie ja! — odrzekł niegodziwiec i śmiał się bezczelnie.

— Precz! — powtórzył nauczyciel.

— Ani myślę! — odpowiedział hardo.

Wtedy nauczyciel stracił cierpliwość, skoczył, chwycił go za ramię i wyciągnął z ławki. A ten się jeszcze wyrывał, zębami zgrzytał, kopał i trzeba go było gwałtem wlec. Nauczyciel poniósł go za kark aż do dyrektora, po czym wrócił do klasy, siadł przy swoim stoliku, podparł głowę na rękach, zmęczony, a w twarzy miał tyle troski, tyle znużenia i smutku, że przykro było patrzeć.

— Po trzydziestu latach nauczycielstwa! — zawołał żałośnie, trzęsąc siwą głową. Żaden z nas ani pisał. Ręce mu drżały z gniewu, a ta prosta zmarszczka na czole była tak głęboka, że się zdawała jakby rana jaka. Biedny nauczyciel! Wszystkim nam go było okropnie żal! Ale Derossi wstał i tak powiedział:

— Panie nauczycielu! Niech się pan nie martwi! My pana kochamy!

A nauczyciel rozjaśnił się trochę i rzekł:

— Wróćmy do lekcji, dzieci.

O sardyńskim doboszyku

### *Opowiadanie miesięczne*

W pierwszym dniu bitwy pod Custozzą, 24 lipca 1848 r., sześćdziesięciu żołnierzy jednego regimentu naszej piechoty, wysłanych dla zajęcia samotnego domu na wzgórzu, zostało napadniętych zniemacka przez dwie kompanie armii austriackiej, które razily ich strzałami karabinowymi z różnych stron tak, że zaledwie mieli czas w domu owym się schronić i zabarykadować, zostawiając po drodze kilku rannych i kilku zabitych.

Zaparłszy<sup>80</sup> drzwi jak było można, rzucili się nasi gwałtownie do okien tak na dole, jak na pierwszym piętrze i rozpoczęli żywy ogień przeciw napastnikom. Ci jednak zbliżali się w porządku, zachodząc półkolem i odpowiadając ogniem równie silnym.

Włoskim oddziałem dowodziło dwóch niższych oficerów i kapitan, wysoki starzec, suchy i surowy, z siwym wąsem i z siwą czupryną. A był z nim doboszyk, z Sardynii rodem, chłopak nieduży, mało co więcej nad lat czternaście mający, a tak drobny, że wyglądał ledwo na dwanaście, ze smagłą<sup>81</sup>, prawie oliwkową twarzą i czarnymi, skrzącymi oczyma. Kapitan kierował obroną z izby na pierwszym piętrze, rzucając krótkie rozkazy jak pistoletowe strzały, a w jego marsowym obliczu nie widać było żadnego wzruszenia.

<sup>80</sup>zaprzeć (daw.) — tu: zablokować. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>smagły — (o cerze) ciemny, oliwkowy. [przypis edytorski]



Doboszyk, trochę pobladły, ale zwinny w ruchach, skoczył na stół, wyciągnął szyję i chwycił za parapet okna, żeby zobaczyć, co się za nim dzieje. Jakoż zobaczył skroś dymu białe mundury austriackie zbliżające się z wolna przez pola.

A dom stał na urwistym wzgórzu, na samym wierzchołku, po stronie zaś najbardziej stromej wzgórza tego miał tylko jedno małe okienko w izdebce pod samym dachem. Może też i dlatego Austriacy nie grozili tej stronie domu, prażąc ogniem front i jego oba boki.

A był też to ogień prawdziwie piekielny: grad ołowiu, który dziurawił mury i strącał dachówki zewnątrz, wewnątrz zaś gruchotał sufity, sprzęty, drzwi i okna, ciskając w powietrze kawały drzewa, chmury wapna, ułamki cegieł i szkła, świszcząc, skacząc, rwąc w sztuki, co na drodze, że głowa pękała od trzasku. Od czasu do czasu któryś z żołnierzy strzelających z okien upadał w tył na posadzkę, a wtedy przenoszono go na stronę<sup>82</sup>. Wielu z nich dźwigało się znowu i chwiejąc przechodziło z izby do izby rękoma przyciskając rany. W kuchni leżał już jeden zabity, z roztrzaskanym czołem. Nieprzyjacieli ścisnął swe półkole.

Aż naraz kapitan, który dotychczas był niewzruszony, zaniepokoił się i wyszedł pośpiesznie z izby, prowadząc za sobą sierżanta.

Za chwilę przybiegł sierżant i zawoławszy małego dobosza dał mu znak, żeby szedł za nim. Chłopak poprzedzony przez sierżanta skoczył na drewniane schody i wszedł na puste pod dasze, gdzie kapitan pisał coś ołówkiem na arkuszu papieru, oparty przy owym małym okienku, a przy nim sznur od studni.

Skończywszy pisać kapitan złożył papier i przejmując chłopca na wylot swymi szarymi, zimnymi oczyma, przed którymi drżeli wszyscy jego żołnierze, zawołał:

— Doboszu!

Dobosz przyłożył palce do skroni.

— Masz odwagę? — zapytał kapitan nie zdejmując z niego wzroku.

Oczy chłopcu rozbłysły.

— Mam, kapitanie!

— Patrz tam! — rzekł kapitan pociągnawszy go do okienka. — Widzisz, tam w dole, blisko pierwszych domów w Villa Franca, te błyski bagnetów! Tam stoją nasi. Bierz papier, chwyć się sznura, spuść się okienkiem, przeleć zbocze wzgórza, pole, dobiegnij do naszych i daj tę ćwiartkę pierwszemu oficerowi, jakiego zobaczysz! Rzucaj pas i tornister!

Doboszyk w mgnieniu oka odpiął pas i tornister, wsunął papier za pazuchę<sup>83</sup>, sierżant przerzucił sznur na zewnątrz i obu rękami trzymał górny jego koniec, a kapitan pomógł malcowi przeleźć przez okienko.

— Słuchaj — rzekł. — Ocalenie całego oddziału zależy od twych nóg i od twej odwagi!

— Licz na mnie, kapitanie! — odpowiedział chłopak zawieszając się u sznura.

— A przychył się w biegu! — zawołał jeszcze kapitan podtrzymując sznur z sierżantem razem.

— Ojej? Czemu nie? — odrzyknął malec.

— Niechże cię Bóg prowadzi!

Za chwilę doboszyk był już na ziemi, sierżant sznur ściągnął, a kapitan, przyłgnawszy niemal wąsami do szyby okienka, ujrzał chłopca, jak zbiegał ze wzgórza. Już pewien był, że się uda, że chłopca nikt nie spostrzeże, kiedy kilka białych obłoczków dymu, wznoszących się z ziemi przed biegnącym i poza nim, przekonało go, że Austriacy spostrzegli małego dobosza i że strzelają do niego. Ale chłopiec pędził na skręcenie karku. Nagle padł.

— Zabity! — ryknął kapitan ściskając pięście.

Nie domówił jednak jeszcze tego słowa, kiedy chłopiec zerwał się i pobiegł znowu.

— Ach, upadł tylko! — szepnął kapitan i odetchnął wolno.

A chłopak leciał co siły, lecz utykał nieco.

„Stłukł nogę...” — pomyślał kapitan.

Jeszcze kilka obłoczków dymu podniosło się za chłopcem tu, to tam, ale już w oddali.

Był ocalony.

<sup>82</sup>na stronę — na bok. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>za pazuchę — pod koszulę. [przypis edytorski]

Kapitan wydał okrzyk triumfu. Nie ustawał wszakże patrzeć za nim i drżał, bo każda chwila była droga. Jeśli nie dobiegnie jak najprędzej, z wezwaniem o natychmiastową pomoc, dzielni jego żołnierze padną jeden po drugim albo też będzie musiał wraz z nimi oddać się w niewolę.

A chłopiec biegł. Biegł czas jakiś jak wiatr, potem wolniej i kulejąc mocno. I znów się zebrał i biegł, ale znać było, że mu sił ubywa i zatrzymywał się coraz, coraz częściej.

„Musiała go drasnąć jakaś kula” — pomyślał kapitan, z drżeniem prawie śledząc wszystkie jego ruchy i pobudzał go, mówił do niego, przynaglał, jak gdyby chłopiec mógł być go dosłyszeć, mierząc rozognionym okiem przestrzeń między biegnącym chłopcem a tymi błyskami bagnetów, które dostrzegł w dolinie, wśród pól pszenicznych ozłoconych słońcem.

A tymczasem świst kul i huk strzałów wstrząsał izbami pod nimi, a rozkazy oficerów gwałtownie ścierały się z ostrymi jękami ranionych i trzaskiem sprzętów, i łomotem cegieł.

— Dalej! Prędzej! — krzyczał stary dowódca ściągając wzrokiem biegnącego dobosza.

— Leć! Spiesz! Przekleństwo! Znów się zatrzymał... Ach! Biegnie znowu!... Prędzej!...

Wtem wszedł oficer donosząc, że nieprzyjaciel nie przerywając ognia wywiesił białą chorągiew i do poddania się wzywa obłożonych.

— Nie odpowiadać — wrzasnął kapitan wściekle, nie odrywając oczu od biegnącego chłopca, który był już w dolinie, lecz nie biegł, owszem, zdawał się wlec ledwie. — Ale spiesz!... Ależ leć, nieszczęsny! — krzyczał kapitan ściskając zęby i pięście. — Zgiń, trupem padnij, łotrze, ale doleć! Ach, tchórz niegodny!... Ach, tchórz!... Siadł znowu!...

A chłopiec, którego głowę wzniesioną widział ciągle ponad pszenicznym łanem, rzeczywiście z oczu mu zniknął, jakby padł na ziemię. W tej chwili przecież zobaczył ją znowu, tę głowę wzniesioną, aż póki jej w oddaleniu nie zakryły zboża.

Wtedy zbiegł gwałtownie ze schodów. A tam, na piętrze, kule grzmiały, izby pełne były rannych; niektórzy z nich kręcili się w kółko jak pijani, czepiając się sprzętów kurczowo; ściany i podłogi zbryzgane były krwią; trupy zawały przejścia; młodszy porucznik miał prawe ramię zdruzgotane strzałem, a dym i proch grubą chmurą zakrywały wszystko.

— Odwagi! — krzyknął kapitan. — Nie ustępować! Stać w miejscu! Posiłki idą! Odwagi!...

Tymczasem Austriacy jeszcze się przysunęli bliżej. Wyraźnie teraz poprzez obłok dymu widać było ich złowrogie twarze, a skroś huk strzałów dawały się słyszeć dzikie ich okrzyki, urągające małej załodze i grożące rzezią.

Kilku przerażonych żołnierzy cofnęło się od okna, ale sierżant zastąpił im drogę i zawrócił z miejsca. Powoli ogień obłożonych słabł, a zniechęcenie malowało się na wszystkich twarzach. Nie sposób było przeciągać obronę.

Wtem kanonada austriacka zwolniła, a jakiś głos grzmiący krzyknął zrazu po niemiecku, a potem po włosku:

— Poddajcie się!

— Nigdy! — zaryczał kapitan z któregoś okna.

I na nowo zaczęła się palba, wścieklesza i bardziej zabójcza niż przedtem.

Kilku naszych żołnierzy znów padło.

Niejednemu już oknu zabrakło obrońców, a kapitan wołał zduszonym rozpaczą głosem:

— Nie przyjdą! Nie przyjdą!

I biegał jak szalony, ściskając konwulsyjnie rękojeść szabli, gotów umrzeć raczej niż się poddać. Wtem zbiegł sierżant z poddasza krzyżąc co miał siły:

— Idą! Idą!...

— Idą! — powtórzył krzyk ten wódz stary, nieprzytomnym od radości głosem.

Na krzyk ten, wszystko, co jeszcze resztę ducha miało w sobie, zdrowi, ranni, oficerowie, żołnierze rzucili się do okien, a ogień morderczy zagrział raz jeszcze. I oto w kilka chwil można było dostrzec niepokój, a potem zamieszanie pomiędzy oblegającymi.

Natychmiast kapitan zebrał garść ochotników w dalszej izbie, żeby zrobić wycieczkę i bagnetami odeprzeć Austriaków od wzgórza, po czym znów na schody skoczył.

Zaledwie wpadł do izby, kiedy usłyszano gwałtowny tętent, któremu towarzyszyło przeraźliwe... hura! — a z okien ujrzano skroś dymu dwurożne czapki karabinierów włoskich, szwadron kawalerii pędzącej co pary w koniach i piorunowe błyski szabel kręcących w powietrzu młyńce i spadających na karki, na głowy...

W tejże chwili ochotnicy wypadli z pochylonymi bagnetami, a nieprzyjacielskie szeregi zachwiały się, zmieszały i zaczęły uciekać w popłochu. Wkrótce potem plac boju został oczyszczony, dom wolny, a dwa bataliony włoskiej piechoty i dwa działa zajęły wzgórze.

Ale stary kapitan złączywszy się ze swoim regimentem walczył jeszcze wraz z tą garścią mężnych, jaka mu została; a nawet jakaś zabłąkana kulka zraniła go lekko w lewą rękę, w czasie starcia na bagnety.

Dzień skończył się triumfem naszych. Ale nazajutrz rozpoczynając bój na nowo, Włosi pomimo nadludzkich wysiłków odwagi zwyciężeni zostali przez przeważające siły austriackie, zaś rankiem 27 zaczęli smutny odwrót ku Mincio.

Dzielny kapitan, lubo<sup>84</sup> ranny, szedł pieszo razem z żołnierzami swymi, znużony i męczący, a przybywszy pod wieczór do Quito nad Mincio natychmiast zaczął szukać swego porucznika, który zabrany przez nasz ambulans jako ranny w rękę, wpraw od niego nadciągnąć tam już musiał. Jakoż wskazano mu kościół, w którym był urządzony naprędce lazaret<sup>85</sup> wojenny. Poszedł. Kościół przepelniony był rannymi, których ułożono w dwa szeregi już to na łózkach, już na materacach leżących wprost na posadzce. Dwóch lekarzy i kilku posługaczy uwijało się tutaj, a z różnych stron słychać było stłumione krzyki i jęki.

Zaledwie wszedłszy zatrzymał się kapitan u progu i patrząc dokoła szukał porucznika swego, gdy wtem jakiś głos cienki i słaby zawołał tuż przy nim:

— Panie kapitanie!

Obrócił się — był to mały dobosz.

Leżał on wyciągnięty na tapczanie kozłami podpartym, okryty po pierś czerwoną firanką z kościelnego okna, ręce i ramiona miał odkryte, twarz zbladła i wychudła, ale oczy zawsze błyszczące jako perły czarne.

— Tyżeś tu, chłopcze? — zawołał kapitan zdumiony. I zaraz dodał surowym głosem: — Brawo! Spełniłeś powinność.

— Com mógł, tom zrobił. Nic wielkiego... — odrzekł mały dobosz.

— Byłeś ranny? — rzekł kapitan, szukając wzrokiem swego oficera na bliskich tapczanach.

— A cóż robić! — odpowiedział chłopiec, któremu dodawała odwagi do mówienia ta ogromna radość, że dostał pierwszą, i to prawdziwą ranę, bez czego nie śmiałyby oczywiście ust otworzyć wobec kapitana. — Chociaż przychylałem się jak mogłem, i tak mnie zobaczyli zaraz. Byłbym o dwadzieścia minut wcześniej doleciał, żeby mi nie wpakowali kulki. Szczęście jeszcze, że zaraz znalazł adiutanta ze sztabu i że mogłem mu oddać tę kartkę. Ale niech licho porwie, jaką miałem drogę! W gardle mi zaschło, umierałem z pragnienia. Bałem się, że już nie doleczę; płakałem z wściekłości myśląc, że każda minuta opóźnienia dla tych tam, co walczą na wzgórzu... No i jakoś się dowlokłem. Chwała Bogu! Ale, za przeproszeniem pana kapitana! Pan kapitan ma rękę skrwawioną...

Istotnie, ze skaleczonej ręki kapitana, spod zrobionego naprędce opatrunku, sączyły się kilka kropel krwi po jego palcach.

— Ja panu kapitanowi mocniej obwiążę! Pan kapitan pozwoli...

Kapitan podał rękę lewą chłopcu, a prawą wyciągnął, aby mu pomóc odwiązać zbyt luźny węzeł bandaży i poprawić go.

Ale chłopiec zaledwie głowę uniośł od poduszki, zbladł mocno i opadł znów na nią.

— Dość już, dość — rzekł kapitan widząc to i usuwał zawiązaną rękę, którą mały dobosz chciał przytrzymać. — Pamiętaj ty o sobie, zamiast o innych, bo nawet i małe draśnięcie może mieć złe skutki, kiedy je zaniedbasz.

Chłopiec wstrząsnął głową.

— O, musiałeś ty, biedaku, niemało krwi stracić — dodał kapitan spojrzawszy na niego uważnie — kiedyś taki słaby!

<sup>84</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>lazaret — szpital polowy. [przypis edytorski]

— Czym stracił dużo krwi?... Ech, panie kapitanie, żeby tylko tyle! Niech no pan kapitan spojrzy!

I ściągnął owo pokrycie.

Kapitan cofnął się krok w tył, przejęty zgrozą. Mały dobosz miał już tylko jedną nogę, prawą. Lewą amputowali mu aż do kolana, krwawe szmaty owijały tę straszliwą ranę...

W tej chwili przechodził mimo lekarz wojskowy, mały człowieczek opasły, bez surduta<sup>86</sup>, w kamizelce tylko.

— A, kapitanie — mówił szybko, zbliżając się do małego dobosza — oto brzydki przypadek! Noga mogła być na pewno wyleczona, i to w najkrótszym czasie, gdyby jej chłopak nie był sforsował w tak głupi sposób. Ale co z takim?... Ranny był, a leciał... Przyszło zapalenie, gangrena i trzeba było uciąć. No, ale chłopak zuch! To trzeba mu przyznać. Żeby zapłakał, żeby zakrzyknął, nie! Najdzielniejszy włoski chłopak, jakiegom kiedykolwiek operował, słowo honoru! Dobra w nim krew!

I spiesząc się odszedł.

A kapitan namarszczył wielkie siwe brwi i utkwił spojrzenie w chłopcu naciągnawszy na niego przykrycie, po czym, jakby mimowolnie i ciągle patrząc na małego dobosza, podniósł rękę do głowy i zdjął kepi<sup>87</sup>.

— Panie kapitanie! — wykrzyknął zdumiony chłopiec. — Co pan kapitan robi?... Przede mną!

A wtedy ów szorstki żołnierz, który nigdy łagodnego słowa nie wyrzekł do swoich podwładnych, odpowiedział głosem niewypowiedzianie słodkim i wzruszonym:

— Kapitanem tylko jestem, a ty... bohaterem! — To mówiąc, rzucił się z otwartymi ramionami na małego dobosza i po trzykroć ucałował jego pierś tam, gdzie bije serce.

Miłość ojczyzny

#### 24. wtorek

Ponieważ opowieść o małym doboszu tak ci wzruszyła serce, łatwo ci powinno było zrobić tego ranka wypracowanie na egzamin: „Dlaczego kochacie Włochy?”

Dlaczego kocham Włochy? Alboż ci się nie nasuwa natychmiast tysiąc odpowiedzi?

Kocham Włochy, bo matka moja jest Włoszką, bo krew, która płynie w mych żyłach, jest włoska, bo włoska jest ziemia, w której pogrzebani są ci, po których płacze matka moja i których czci mój ojciec, bo miasto, gdzie się urodził, bo język, jakim mówię, książki, z których się uczę, brat mój, moja siostra, moi towarzysze, cały ten wielki naród, wśród którego żyję, cała ta piękna przyroda, jaka mnie otacza, wszystko, co widzę, co kocham, czego się uczę, co wielkie — jest włoskie!

Ale ty, synu, nie możesz nawet jeszcze znać całej głębi takiego kochania. Poznasz je kiedyś, gdy będziesz dojrzałym człowiekiem, gdy z długiej podróży wracając oprzesz się pewnego ranka o burtę statku i ujrzysz na horyzoncie wielkie, lazurowe góry twego kraju. Wtedy ją poznasz, tę miłość, po gwałtownej fali uczuć najtkliwszych, która ci lży z oczu wycisnie, a krzyk radości z serca ci dobędzie.

Poznasz ją w jakimś wielkim i dalekim mieście po tym utęsknieniu, które wskroś świętego tłumu popchnie cię do ubogiego, nieznanego robotnika, dlatego tylko, że — przechodząc — w twoim rodzinnym języku przemówił. Poznasz ją w tym męskim świętym oburzeniu, które ci krew do głowy popędzi, kiedy usłyszysz cudzoziemca naśmiewającego się z twego kraju. Poznasz ją silniej jeszcze, jeszcze wznioślej w dniu, w którym groźba obcego ludu błysnie ogniem i mieczem nad ojczyzną twoją; kiedy

<sup>86</sup>*surdut* — rodzaj przedłużanej marynarki męskiej, popularny na przełomie XIX i XX w.. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*kepi* — sztywna czapka wojskowa z czworokątnym daszkiem. [przypis edytorski]

ręce dzielnych za broń pochwyć, kiedy młodzież wiązać się będzie w legiony obrońców, kiedy ojcowie, całując synów, rzekną im: „odwagi!” — kiedy matki, wstrzymując łzy, wołać będą: „Wracajcie zwycięzcami!”

Uczujesz ją, tę miłość, jako boską radość, gdy ujrzysz wracające do miasta legiony mężnych, obszarpane, znużone, przerzedzone, głodne, ale wspaniałe z tym blaskiem triumfu w oczach, z tymi podartymi sztandarami w ręku, a za nimi całe szeregi rannych, z wysoko podniesioną, obwiązaną głową, z powiewającymi pustymi rękawami u ramion, wśród tłumów, które zarzucą ich kwieciami, błogosławieństwem i pocałunkami. Wtedy to zrozumiesz, synu, miłość ojczyzny, wtedy i to słowo „ojczyzna” zrozumiesz. Ojczyzna bowiem, synu, jest rzeczą tak wielką, tak świętą, że gdybym kiedy ujrzał cię wracającego zdrowo z boju, w którym ona walczyła, ciebie, któryś jest krew z krwi i kość z moich kości, a wiedział, żeś dlatego ocalał, boś się krył przed śmiercią — ja, ojciec twój, który cię witam okrzykiem radości, gdy wracasz ze szkoły, przyjąłbym cię jękiem rozpacz i nie mógłbym kochać już ciebie, i umarłbym z tej rany w moim sercu.

*Twój ojciec.*

## Zazdrość

### 25. środa

Naturalnie, że i to wypracowanie o ojczyźnie także najlepiej napisał Derossi. A tu Vatini spodziewał się na pewniaka, że pierwszy medal weźmie.

Ja Vatiniego lubiłem, choć trochę jest próżny i ciągle się muska, ale teraz obrzydl mi, kiedy siedząc w jednej z nim ławce widzę, jak Derossiemu zazdrości. Chciałby się z nim współubiegać, uczy się, stara — ale i tak nie może mu dorównać w żadnym względzie, bo Derossi dziesięć razy by go sprzedał z każdego przedmiotu. To Vatini aż palce gryzie. I Karol Nobis zazdrości Derossiemu, prawda, ale ma tyle dumy, że tego nie pokazuje po sobie.

Vatini zaś zdradza się co chwila, skarży się o stopnie w domu i opowiada, że nauczyciel jest niesprawiedliwy dla niego. A kiedy Derossi odpowiada na pytanie tak szybko i dobrze jak zawsze, zachmurza twarz, spuszcza głowę, udaje, że nie słyszy — i przymusza się do śmiechu. Ale nie jest to śmiech szczerzy. A że wszyscy o tym wiedzą, więc jak tylko nauczyciel Derossiego pochwali, zaraz się na Vatiniego patrzą, który wygląda, jakby pieprz zgrzył, a Mularczyk robi na niego swój zajęczy pyszczek.

Albo i dzisiaj na przykład... Wchodzi nauczyciel i odczytuje stopnie z egzaminów.

— Derossi: dziesięć piątek, pierwszy medal w klasie!

Wtem Vatini kicha jak z moździerza.

Spojrzał nauczyciel i zaraz zrozumiał.

— Vatini! — rzekł. — Nie dopuszczaj do siebie węża zawiści. Ten gad toczy mózg i psuje serce.

Więc wszyscy spojrzeli oprócz Derossiego. Chce Vatini odpowiedzieć, nie może. Siedzi jak skamieniały i aż pobladł na twarzy. Dopiero później, kiedy się nauczyciel lekcją zajął, patrzę ja, a mój Vatini pisze wielkimi literami na ćwiartce papieru: „Nie zazdroścę tym, którzy dostają pierwsze medale przez protekcję i przez niesprawiedliwość”. Chciał tę ćwiartkę posłać Derossiemu. A wtem spostrzegłem, że sąsiedzi Derossiego coś knują, szepcą między sobą, a jeden wykroił szczyrykiem wielki medal z papieru, na którym namalował czarnego węża atramentem. Vatini nie widział tego. Wkrótce też jakoś nauczyciel wyszedł.

Wtedy sąsiedzi Derossiego podnieśli się z ławki i poszli uroczyście ofiarować Vatiniemu papierowy medal. Cała klasa czekała awantury. Vatini drżał cały. A wtem zakrzyknął Derossi:

— Dajcie no mi ten medal!

A oni: — Dobrze! Jeszcze lepiej! Sam powinieneś mu go ofiarować!

Derossi wziął medal i podarł go na drobne kawałki. W tym momencie właśnie nauczyciel wrócił i wzięliśmy się do lekcji. Miałem Vatinię na oku. Zacerwienił się ze wstydu, wziął tę ćwiartkę, jakby niechcący, zwinął, włożył w usta, pożał, a potem wypluł pod ławkę. Przy wyjściu przechodząc koło Derossiego Vatini, zmieszany trochę, upuścił bibułę. Derossi, zawsze uprzejmy, podniósł ją, włożył do tornistra i pomógł zapiąć rzemieniem.

Vatini oczu nie śmiał podnieść.

Matka wypędzonego

28. sobota

Niepoprawny ten Vatini! Wczoraj na lekcji religii, w obecności dyrektora, pyta nauczyciel Derossiego, czy umie na pamięć te dwie zwrotki z naszej książki z wierszami, które się tak zaczynają:

Gdzie tylko zwrócę spojrzenie,  
Wszemc moc Twą widzę, o Boże...

Derossi odpowiedział, że nie umie, a Vatini natychmiast:

— Ja umiem! — I uśmiechnął się złośliwie, rad, że Derossiemu choć raz przystawił stolka.

Ale mu się nie udało i wiersza nie wypowiedział, bo nagle weszła do klasy matka Frantięgo, wzburzona, z rozwichrzonymi siwymi włosami, cała osypana śniegiem, popychając przed sobą syna, który był wydalony ze szkoły na cały tydzień. Był to przejmujący widok. Biedna kobieta upadła prawie na kolana przed dyrektorem składając ręce błagalnie:

— O panie dyrektorze, uczyn mi tę łaskę, zmiłuj się, weź chłopca na powrót do szkoły! Już od trzech dni jest w domu, ukrywałam go dotąd, jak mogłam. Ale niechby się, Boże zachowaj, ojciec miał dowiedzieć o wszystkim, zabiłby go chyba. Miej litość, panie, bo już sama nie wiem, co mam robić! Życie moje w ręku twoim, panie!...

Dyrektor usiłował wyprowadzić biedną matkę z klasy, ale nie chciała wstać, gorzko płacząc i prosząc za synem.

— O, gdybyś wiedział, panie, ile już wycierpiałam z tym chłopcem, miałbyś litość nade mną nieszczęsną! Przebac mu ten raz jeszcze, ten raz jedyny! Byłby z kamienia chyba, gdyby się poprawić nie miał... Niedługo już mego życia, panie. Śmierć mam w sobie... a tak pragnęłabym widzieć przed śmiercią, że się poprawił... — tu wybuchnęła płaczem — bo to przecież moje dziecko, bo kocham go, bo umarłabym w rozpacz... Przyjmij go, panie, ten raz jeszcze, żeby się nie stało nieszczęście... Uczyn to dla bolejącej matki...

I łkając zakryła oczy rękami.

A Franti stał ze spuszczoneym wzrokiem, nieruchomy.

Spojrzał na niego dyrektor, powstał chwilę, jakby się namyślał, a potem rzekł:

— Franti, idź na swoje miejsce!

Wtedy kobieta odjęła ręce od twarzy, pocieszona, i zaczęła dziękować nie pozwalając dyrektorowi przyjść do słowa, a zwróciwszy się ku wyjściu mówiła jedno przez drugie, ocierając oczy:

— Synu, pamiętaj, dziecko! Przebaccie mu wszyscy! Jeszcze raz dzięki, panie dyrektorze, żeś się zmiłował nad nim... Sprawiaj się dobrze, synu! Bądźcie zdrowi, chłopcy! Dziękuję! Do widzenia, panie nauczycielu! Darujcie biednej matce...

I spojrzawszy raz jeszcze błagalnie na syna od progu, wyszła zbierając w ręku szal, który z niej opadł, blada, pochylona, z trzęsącą się głową, a gdy schodziła ze schodów, słyszeliśmy jej głuchy, ciężki kaszel.

Wtedy spojrzał dyrektor w twarz chłopca i wśród milczenia całej klasy rzekł głosem, od którego wszyscyśmy zadrżeli:

— Franti! Zabiłeś matkę swoją.

Więc wszystkie oczy zwróciły się ku Frantiemu. A ten niegodziwiec się uśmiechał...

Nadzieja

...Pięknie to było z twojej strony, Henryku, żeś się rzucił matce na szyję, wróciwszy z lekcji religii. Istotnie! Usłyszałeś od nauczyciela wielkie i pocieszające słowa! Bóg, który nas sobie rzucił w objęcia, nigdy nas już nie rozłączy, synu! Gdy będę umierała, gdy i ojciec twój będzie umierał, nie wyrzeczemy do ciebie tych strasznych słów rozpacz: „Już cię nigdy więcej nie zobaczą!” Bo my się zejdziemy, bo się zobaczymy w innym, nowym życiu, w którym ten, co tu cierpiał, pocieszony będzie, a kto miłował na ziemi, odnajdzie drogie sobie duchy w świecie, gdzie nie ma winy ni płaczu, ni śmierci.

Na to wszakże nowe, lepsze życie zasłużyć trzeba. Słuchaj, dziecko! Każdy twój dobry czyn, każde poruszenie serca dla tych, którzy cię kochają, każde przychylne uczucie dla twych towarzyszy, każda twoja myśl szlachetna jest jak gdyby porywem tam w górę, w ten lepszy świat właśnie. I porywem, który cię tam wznosi, jest każdy ból, każde cierpienie, bo każde z nich zmywa jakąś winę, a każda łza zmywa jakąś plamę.

Postanawiaj sobie codziennie, drogie dziecko, być lepszym dziś, niżli byłeś wczoraj. Miłować więcej dziś, niżli miłowałeś wczoraj. I mów każdego ranka tak: „Muszę dziś coś takiego zrobić, żebym uczuł słodycz w sumieniu i żeby się matka moja i ojciec mój cieszyli ze mnie; coś takiego, za co by mnie więcej kochał ten lub ów kolega, nauczyciel, mały mój brat lub ktokolwiek inny...”

I proś Boga o siłę do spełnienia przedsięwzięcia tego, i mów tak: „Boże, ja chcę być dobry, szlachetny, odważny, uczciwy, szczerzy... Pomóż mi! Uczyni, abym co wieczór, gdy matka moja całuje mnie na dobranoc w czoło, mógł jej powiedzieć: Mamo, całujesz dzisiaj lepsze i godniejsze pocałunku twego dziecko niżli wczoraj”.

Myśl często, pamiętaj zawsze o tym Henryku, już nadziemskim i szczęśliwym wiecznie, jakim będziesz kiedyś po cnotliwym życiu. I módl się. Mów słowa proste i szczerze do Potęgi Najwyższej i do Nieskończonej Dobroci, która jest nad nami. Wznos serce i myśl w świat lepszy. Nie możesz sobie wyobrazić, jaką słodycz czuję, jaką siłą wzbiera serce matki, gdy widzi syna ze złożonymi w modlitwie rękami. Gdy widzę, jak mówisz pacierz, zdaje mi się niemożliwym, żeby cię ktoś nie widział i nie słyszał w niebie... I wiara moja w ową Najwyższą Potęgę, w ową Nieskończoną Dobroć wzmaga się i więcej cię kocham, i z żywszym zapalem pracuję, i z większym wytrwaniem cierpię, i z głębszą miłością przebaczam, i pogodniej myślę o śmierci...

O Boże wielki i dobry! Usłyszeć po śmierci głos matki, odzyskać dzieci, znów ujrzeć mego Henryka, jego ducha jasnego i nieśmiertelnego... i objąć go w uścisku, który nie będzie już rozerwany nigdy, nigdy i na wieczność całą!

O, módl się, synu, módlmy się oboje, miłujmy się, bądźmy dobrzy, żyjmy i umierajmy z tą niebiańską nadzieją w duszy, moje drogie, moje najdroższe dziecko!

*Twoja matka.*

## LUTY

Zasłużony medal

4. sobota

Modlitwa, Matka

Dziś rano przyszedł rozdawać medale sam rektor<sup>88</sup>, niemłody już pan z siwą brodą i czarno ubrany.

Wszedł z dyrektorem do klasy, mało co przed dzwonkiem na „finis”, i usiadł obok nauczyciela. Zadał nam kilka pytań, po czym dał Derossiemu pierwszy medal; zanim jednak dał drugi, rozmawiał przez chwilę z nauczycielem i dyrektorem po cichu.

A nam wszystkim serca biły i wszyscyśmy się pytali wzrokiem, komu też da drugi.

A rektor tak przemówił głośno:

— Na drugi medal zasłużył w tym tygodniu uczeń Piotr Precossi, a to za ćwiczenia odrabiane w domu, za lekcje w szkole, za kaligrafię staranną, za dobre sprawowanie, za wszystko!

Tak my się zaraz poobracali frontem, patrząc na Precossiego; a znać było, że się wszyscy cieszą.

Powstał Precossi tak zmieszany, że sam nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje.

— Przybliź się, chłopcze! — rzekł rektor.

Precossi wyskoczył z ławki i podszedł do stołu nauczycielskiego. Pan rektor popatrzył ze współczuciem na jego twarzyczkę bladą jakby z wosku, na to drobne mizerne ciało, w pozawijanym i źle leżącym odzieniu, na te dobre smutne oczy, spuszczone nieśmiało, z których odgadnąć było można smutne dzieje chłopca, a potem przypinając mu medal do ramienia tak mówił serdecznym głosem:

— Oto twój medal, Precossi. Nikt nie jest godniejszy od ciebie, ażeby go nosić. Daję ci go nie tylko za naukę i dobre chęci, ale za twoje serce, za twoje męstwo, za twój charakter, za postępowanie godne dobrego, poczciwego syna. Nieprawdaż — dodał zwracając się do klasy — że i za to na medal zasłużył?

— Tak! Tak! — zawołaliśmy na to wszyscy jednym głosem.

A Precossi poruszył gwałtownie szyję, jakby chciał coś przełknąć, i powiódł po ławkach słodkim, wyrażającym najżywszą wdzięczność spojrzeniem.

— Idź więc, drogi chłopcze — rzekł rektor — i niech cię Bóg wspiera!

A już zaczęli dzwonić „finis” i nasza klasa wychodziła pierwsza.

Zaledwieśmy jednak na korytarz wyszli, kogóż to widzimy? Kto stoi przy drzwiach i czeka? Ojciec Precossiego, ów kowal, jak zwykle wybladły, z wzrokiem mętnym, z włosami na oczach, z czapką na bakier i chwiejący się na nogach. Nauczyciel spostrzegł go natychmiast i podszeptał coś rektorowi, który śpiesznie wyszukawszy wzrokiem Precossiego za rękę go wziął i do ojca powiódł. Chłopiec drżał cały. Nauczyciel i dyrektor zbliżyli się także, a my, klasa, otoczyliśmy ich kołem.

— To pan jesteś ojcem tego chłopczyny? — zapytał rektor kowala tak wesoło, jak gdyby przyjaciółmi byli. I nie czekając odpowiedzi mówił dalej: — Cieszę się razem z panem, z całego serca! Patrz pan! Zasłużył sobie na drugi medal spośród pięćdziesięciu czterech współuczniów! Za ćwiczenia, za arytmetykę, za wszystko... Bardzo to zdolny chłopiec i pełen najlepszych chęci. Wysoko on zajdzie! Dobry chłopiec, kochany i szanowany przez wszystkich. Możesz pan z niego być dumny, zapewniam pana!

Kowal słuchał zrazu z gębą otwartą, patrzył to na mówiącego, to na dyrektora, po czym spojrzął na syna, który stał przed nim drżący, ze spuszczonej oczyma i jak gdyby przypomniawszy sobie i zrozumiałwszy po raz pierwszy to wszystko, co musiał od niego przecierpieć ten biedny malec, i tę łagodność, i odwagę, z jaką cierpiał — wstrząsnął się pokazując w twarzy najpierw jakieś wółprzymotne zdumienie, potem przejmujący ból, a wreszcie gwałtowną, pełną żalu tkliwość, i szybkim ruchem objąwszy głowę syna do piersi ją sobie przytulił. A myśmy się do niego zaczęli zaraz cisnąć jeden przed drugim. Ja go zaprosiłem na czwartek z Derossim i Crossim, inni mu się kłaniali, to go pogłaskał który, to dotknął jego medalu, a każdy mu coś miłego powiedział. A kowal patrzył osłupiał, jak ze snu zbudzony, ciągle jeszcze przyciskając do piersi głowę syna, który lkał ze szczęścia.

Postanowienie

5. niedziela

<sup>88</sup>rektor — tu: inspektor szkolny. [przypis edytorski]



Ten medal Precossiego był wyrzutem dla mnie. Tyle czasu przeszło, a ja nie zasłużyłem dotąd na medal ani razu.

Za mało się uczę. Nie jestem z siebie rad. I nauczyciel, i ojciec, i mama — też nieradzi ze mnie. Nawet mnie już i zabawa tak nie ciągnie jak dawniej, kiedy się z zapalem do nauki brał, lekcje odrabiał, a później tak do zabawek moich leciał, jakbym ich z miesiąca nie widział. Do stołu też nie siadam tak wesół, jak bywało dawniej. Zawsze teraz mam jakby jakiś cień w duszy, a głos wewnętrzny ciągle mi jeszcze mówi: „Źle idzie! Źle idzie!”

Kiedy patrzę wieczorem, jak przez plac wśród gromady różnych robotników przechodzą wracający od roboty chłopcy, przemęczeni, a jednak weseli, wyciągają nogi, żeby przędzej do domu na kolację zejść, kiedy słyszę, jak się śmieją, jak głośno rozmawiają, jak się uderzają po plecach czarnymi od węgla albo białymi od wapna rękami, a pomyślę, że pracowali od świtu aż dotąd, cały dzień stojąc to na dachu, to przed ogniskiem kuźni, to w wodzie, to w podziemnych szybach, za całe pożywienie mając kawałek chleba tylko — to mi tak czegoś wstyd, że oczu podnieść nie śmiem! Bo cóż ja? Oto przez cały ten czas ledwo nabazgrałem jakieś cztery kartki — i to niechętnie.

Ach, bardzom, bardzom jest niekontent<sup>89</sup> z siebie! Doskonale też widzę, że ojciec mój jest w złym humorze, że chciałby mi powiedzieć, że go zasmucam, ale mu żal i czeka jeszcze... Mój drogi ojczu, który tak pracujesz! Ojczu mój, wszystko jest twoje, na cokolwiek spojrzę w domu, czegokolwiek dotknę. To, co mnie żywi, to, co mnie odziewa i co mnie uczy, i co mnie zabawia, wszystko to owoc pracy twojej, ojczu, a ja nic nie robię! Wszystko to powstało twoją myślą, twoim trudem, twoimi przykrościami, odmawianiem sobie niejednego, a ja nie pracuję.

Ach, nie, nie! To zbyt niesprawiedliwie i nadto mnie boli! Dzisiaj jeszcze, dziś zaraz zabiorę się do nauki jak Stardi! Pięście ścisnę, zęby ścisnę i całą siłą mojej woli i mojego serca pracować zacznę! Przewyciężę ziewanie wieczorem, jak mi się spać zachce, zerwę się wczesnym rankiem z pościeli, będę sobie w mózgownicę wpajał lekcje bez wytchnienia, będę walczył z lenistwem bez pardonu, żeby tylko raz skończyć to obrzydliwe życie beczynne i rozlazłe, które mnie upadła, a moich zasmuca.

Dalej! Do roboty! Do pracy całą duszą, wszystkimi siłami!

Do pracy, po której odpoczynek będzie mi słodki, zabawa miła, a posiłek smaczny! Do pracy, która mi powróci uśmiech mego nauczyciela i błogi pocałunek drogiego ojca mego!

Kolej żelazna

### 10. piątek

Przyszedł do nas wczoraj Precossi i Garrone także. Jakie było przyjęcie! Choćby byli synami książąt, nie mogłoby być lepsze. Garrone był u mnie po raz pierwszy, najpierw dlatego, że jest trochę dzikus, a potem wstydy się, że taki dryblas z niego, a jeszcze siedzi w trzeciej. Poszliśmy wszyscy otwierać drzwi, kiedy się dzwonek odezwał. Crossi nie przyszedł, bo ojciec jego po sześciu latach nareszcie z Ameryki wrócił. Zaraz mama uściskała Precossiego, a ojciec przedstawił jej Garronego mówiąc:

— Oto Garrone! To już nie tylko dobry chłopiec, to rycerz i szlachcic całą gębą!

A Garrone skłonił swoją wielką, rozczochraną głowę uśmiechając się do mnie ukradkiem.

Precossi miał na piersi swej medal i taki był wesół, taki szczęśliwy, bo ojciec jego znów się do roboty zabrał i od pięciu dni już nie pił. A syna to rad by ciągle przy sobie w kuźni miał i zupełnie się odmienił.

Zaraz wzięliśmy się do zabawy; powyciągałem, co tylko mam. Precossi stał w zachwycie przed moją koleją żelazną, która ma lokomotywę i leci sama przez pokój, jak ją nakręcić. Nie widział jeszcze nigdy takiej zabawki i wprost oczami pożerał te wagoniki czerwone i żółte, które się za lokomotywą toczyły. Dałem klucz do nakręcenia, żeby się bawił; ukląkł, nakręcił i oczu nie odrywał od maszyny. Jeszczem go tak rozbawionym nigdy nie widział. „Przepraszam... przepraszam”... — powtarzał co słowo, osłaniając rękami

<sup>89</sup>niekontent (daw.) — niezadowolony. [przypis edytorski]

maszynę, żebyśmy jej nie zatrzymali, a wagoniki ustawiał i przestawiał tak ostrożnie, jakby były szklane; tchnąć prawie nie śmiał na nie i wycierał co chwila, oglądał to z dołu, to z góry, uśmiechając się radośnie sam do siebie.

Staliśmy wszyscy i patrzyli na niego. Patrzyliśmy na tę cienką szyję, na biedne uszy, którym kiedyś zakrwawione widział, na ten kubrak z pozawijanymi do łokcia rękawami, z których wysuwały się wątle rączyny, zmuszone nieraz osłaniać od uderzeń twarz bladą... Tak mi go było żal, że oddałbym mu bez żalu wszystkie zabawki moje, wszystkie książki, odjąłbym sobie od ust ostatni kawałek chleba, żeby mu dać, ściągnąłbym z siebie ostatnie ubranie, żeby go odziać, i jeszcze bym przed nim na kolana padł i w ręce go całował...

„Przynajmniej mu tę kolej dam! — pomyślałem sobie. — Muszę się tylko spytać ojca, czy pozwoli”.

W tej chwili uczulem, że ktoś mi do ręki wsunął kartkę. Spojrzałem; była napisana ołówkiem przez mego ojca i zawierała te słowa:

„Precossi zachwycony jest twoją koleją. Nie ma on zabawek, biedaczysko. Czy ci serce nic nie podszepnęło, Henryku?”

Natychmiast zebrałem oburącz maszynę, wagony i dając je Precossiemu, rzekłem:

— Weź, to twoje!

Patrzył na mnie, słuchał, ale nie rozumiał.

— Twoje! — powtórzyłem. — Daruję ci to!

A on obrócił wtedy zadziwione oczy na mego ojca i na moją matkę, a potem zapytał:

— Ale dlaczego?...

Więc ojciec mój rzekł:

— Henryk daje ci to dlatego, że jest twoim przyjacielem, że cię kocha i że chce tym sposobem uczcić twój medal, drogi chłopcze!

Ale on nie mógł wyjść ze zdumienia rzecz nieśmiałym głosem:

— I... mogę to zabrać... do domu?

Więc my wszyscy:

— Naturalnie, że możesz! Prosta rzecz, że możesz!

Ale kiedy do odejścia przyszło, był już na progu, a jeszcze nie śmiał wyjść z tym wszystkim. A jaki był rozczulający w tym wahaniu i jaki szczęśliwy! Z dziesięć razy przynajmniej powtórzył swoje „przepraszam”, a usta jego drżały i uśmiechały się razem<sup>90</sup>. Garrone pomógł mu zawinąć cały pociąg w chustkę, a gdy się schylił, zachrobotały obwarzanki, którymi miał wypchane kieszenie.

— Przyjdź kiedy do kuźni — rzekł mi na odchodnym Precossi. — Zobaczysz, jak mój ojciec pracuje! Dam ci też gwoździ...

Tymczasem mama przypięła do kurtki Garronego bukiet, żeby go zaniósł w jej imieniu swojej matce. A Garrone swoim grubym głosem rzekł:

— Dziękuję! — I nawet brody nie podniósł od piersi. Ale w jego wzroku błyszczała dusza piękna i szlachetna.

Pycha

## II. sobota

I pomyśleć tylko, że Karol Nobis strzepuje sobie z przesadą rękaw, kiedy przechodząc dotknie go Precossi... To pyszałek dopiero, co się nadyma, bo ojciec jego jest bogacz. Ale i ojciec Derossiego jest bogaty przecież! A ten chciałby mieć ławkę sam dla siebie, tak się boi, żeby się kto nie otarł o jego fatalaszki; każdego mierzy wzrokiem od głowy do pięty i ma zawsze lekceważący uśmiech na ustach. A niech Bóg broni, żeby go który w nogę trącił, jak wychodzimy parami ze szkoły! O lada głupstwo zaraz rzuca w twarz przykre, obrażające słowa albo grozi, że ojciec jego przyjdzie się upomnieć za niego. A przecież ojciec dobrze mu uszów natarł wtedy, kiedy to nazwał gałganiarzem węglarzowego syna!

Nie widziałem jeszcze takiego złego kolegi. Nikt do niego nie zagada, nikt przy wyjściu z nim się nie żegna i ani mu pies nie podpowie, jak lekcji nie umie. A on cierpieć nikogo nie może i udaje, że nade wszystko lekceważy Derossiego, dlatego że prymus,

<sup>90</sup>razem (daw.) — naraz, jednocześnie. [przypis edytorski]

a także Garronego, dlatego że cała klasa go kocha. Ale Derossi nawet nie patrzy na niego, tak mu wszystko jedno, a Garrone, kiedy mu kto powtórzy jakie drwinki Nobisa, powiada:

— Taka głupia pycha nie warta nawet plunięcia.

Ale raz Coretti, kiedy Nobis wyśmiewał jego czapeczkę z kociej sierści, rzekł mu:

— Słuchaj no! Do Derossiego idź i od niego ucz się być panem!

Wczoraj poskarżył się nauczycielowi, że go Kalabryczyk trącił nogą w udo. Pyta się nauczyciel Kalabryczyka:

— Czyś to umyślnie zrobił?

A ów z całą szczerością:

— Nie, panie! Nieumyślnie!

Więc nauczyciel:

— Zanadto jesteś obraźliwy, Nobis.

A on z tą swoją miną wyniosłą:

— To ja to ojcu memu powiem!

Nauczyciel rozgniewał się nagle:

— Owszem! Powiedz! Tak samo ci uszów natrze, jak ci już natar! A potem masz wiedzieć, że w szkole nauczyciel tylko i sędzi, i karze.

Ale zaraz ochłonawszy dodał miękkiem głosem:

— Słuchaj, Nobis, zmień to twoje niemiłe obejście! Bądź grzeczny, uprzejmy, dobry dla kolegów! Widzisz przecie, że są między nimi chłopcy różnych stanów, bogatych rodziców synowie i ubogich robotników, a wszyscy się kochają, żyją z sobą po bratersku i widzisz, jak im z tym dobrze. Dlaczego nie postępujesz tak, jak postępują inni? Tak mało ci potrzeba, żeby cię polubili wszyscy, i zobaczyłbyś, jak tobie samemu byłoby z tym miło. No jakże? Nie masz mi nic do powiedzenia?

A Nobis, który stał ze swoją lekceważącą miną, odrzekł zimno:

— Nie, panie!

— Siadaj! — powiedział nauczyciel. — Żal mi cię. Jesteś chłopiec bez serca!

I wszystko zdawało się skończone, kiedy nagle Mularczyk, który siedzi w pierwszej ławce, zwrócił swoją okrągłą twarz do Nobisa, siedzącego w ostatniej, i zrobił tak wyborny i pocieszny zajęczy pyszczek, że cała klasa wybuchnęła śmiechem.

Krzyknął na niego nauczyciel, sam jednak musiał usta ręką zasłonić, żeby śmiech swój ukryć.

Roześmiał się wreszcie i Nobis, ale jakoś kwaśno.

Ranni na polu pracy

### 13. poniedziałek

Ten Nobis to mógłby z Frantim chodzić w parze! Ani jednego, ani drugiego nie wzruszył okropny widok, na któryśmy dzisiaj patrzyli. Było tak:

Wyszedszy ze szkoły, przystanęliśmy na chwilę z ojcem, żeby popatrzeć, jak kilku wstępniaków z drugiego oddziału rzuciło się na kolana, czapkami i pelerynami garnąc topniejące kawałki lodu, żeby woda prędzej ściekać mogła, kiedy nagle, w głębi ulicy, pokazał się tłum ludzi śpiesznie idących, zafrasowanych, przelękłych, mówiących półgłosem.

Wśród tłumu widać było straż miejską, a za nią dwóch mężczyzn dźwigających nosze. Chłopcy biegli ze wszystkich stron, a tłum zbliżał się ku nam.

Na noszach leżał wyciągnięty człowiek, błydy jak trup, z głową zwieszoną na ramię, z rozwichrzonymi i zakrwawionymi włosami, a krew dobywała mu się z ust i z uszów. Przy noszach szła kobieta z dzieckiem na ręku, która wyglądała jakby obłąkana i od czasu do czasu krzyczała:

— Nie żyje! Nie żyje! Nie żyje!

Za kobietą dreptał mały chłopczyna z książkami pod pachą i głośno płakał.

— Co się stało? — zapytał mój ojciec.

— A to murarz — odrzekł ktoś z bliżej stojących — z czwartego piętra spadł przy budowie domu.

Tymczasem ludzie idący z noszami stanęli, a wiele osób odwracało oczy, nie mogąc znieść straszego widoku. Właśnie zobaczył tę małą nauczycielkę z czerwonym piórem, podtrzymującą starszą, z pierwszej wyższej, która mdlała prawie, kiedy mnie ktoś łokciem trącił.

Był to Mularczyk, błądy i cały drżący. Niezawodnie musiał myśleć o swoim ojcu. I pomyślałem także zaraz o nim. Ja przynajmniej siedząc w szkole mogę być spokojny, bo wiem, że mój ojciec jest w domu i pisze przy swoim biurku, z dala od wszelkiego niebezpieczeństwa; ale iluż to moich kolegów drżeć musi wiedząc, że ojcowie ich pracują w tymże czasie na najwyższych rusztowaniach albo w pobliżu rozpędzonych kół jakiejś maszyny i że jeden ruch, jeden krok fałszywy może ich o śmierć przyprowadzić. Zupełnie jakby byli synami żołnierzy bijących się na wojnie.

Mularczyk tymczasem patrzył, patrzył i drżał coraz mocniej; spostrzegł to mój ojciec i rzekł:

— Idź do domu, chłopcze! Idź prędko do ojca, przekonaj się, że jest zdrow i cały. Idź, dziecko!

I Mularczyk poszedł z wolna, oglądając się za każdym krokiem.

Ale tłum poruszył się znowu, a nieszczęśliwa kobieta przy noszach wołała rozdzierającym głosem:

— Nie żyje! Umarł! Nie żyje!

— Ale żyje! Nie umarł! Nie! — mówili ludzie, żeby ją pocieszyć. Wszakże kobieta nie zważała, targając włosy w rozpacz.

Wtem usłyszałem głos oburzony.

— Śmiejesz się? — i w tej samej chwili zobaczyłem jakiegoś pana z brodą, który patrzył prosto w twarz Frantiego, a Franti uśmiechał się jeszcze.

Wtedy pan z brodą zrzucił mu laską czapkę z głowy i krzyknął:

— Odkryj głowę, hultaju, kiedy niosą ranionego na polu pracy!

A tłum oddalił się już i widać było w pośrodku ulicy długą smugę krwawą...

Więzien

Robotnik

## 27. piątek

Nie! Coś podobnego chyba się jeszcze nigdy nie zdarzyło!

Ojciec mój poszedł ze mną wczoraj z rana w stronę Moncalieri, żeby obejrzeć willę, która była do wynajęcia na przyszłe lato — bo tego roku nie jedziemy już do Chieri — i okazało się, że klucze miał jeden z nauczycieli będący zarazem sekretarzem właściciela willi. Oprowadził nas po całym domu, a potem zaprosił do swego pokoju, gdzie nam podano wyborną limonadę. Na stole pomiędzy szklankami stał drewniany kałamarz, wysmukłego kształtu, bardzo szczególnie rzeźbiony. Widząc, że ojciec mój na ten kałamarz patrzy, nauczyciel tak się odezwał:

— To pamiątka. Ciekawą historię ma ten drewniany kałamarz.

I tak nam opowiadać zaczął:

Przed kilku laty, kiedy był nauczycielem w Turynie, chodził przez zimę dawać lekcje więźniom.

Lekcje odbywały się w kaplicy więziennej, która jest budynkiem zupełnie okrągłym; dookoła w nagich i wysokich ścianach ma kwadratowe okienka, zakratowane dwiema sztabami na krzyż, a każde z okienek wychodzi na małą celkę.

Więc nauczyciel wykladał swoją lekcję chodząc po tej kaplicy zimnej i mrocznej, a uczniowie jego stali wprost tych zamkniętych sztabami okiennic, tak że nic widać nie było w pomroku, tylko twarze wynędzniałe, ponure, tylko brody roztargane, siwe, tylko oczy nieruchome zbrojów i zbrojów. Ale pomiędzy wszystkimi najuważniej słuchał tych lekcji jeden, oznaczony 78 numerem, który widocznie bardzo pragnął z nich skorzystać i patrzył na nauczyciela wdzięcznym i pełnym szacunku wzrokiem.

Był to młodzieniec z czarnym zarostem, nie tak może zły, jak nieszczęśliwy, stolarz, który w przystępie szalonego gniewu cisnął heblem w majstra, co go prześladował od jakiegoś czasu, i tak nieszczęśliwie, że zadał majstrowi temu śmiertelną ranę, za co skazany został na kilka lat więzienia.

Więzienie

Zbrodnia

Był tak zdolny, że w trzy miesiące nauczył się czytać i pisać, książek nie można mu było nastarczyć, a im więcej się uczył, tym stawał się łagodniejszy, lepszy i tym mocniej żałował występku swojego. Pewnego dnia, po skończeniu lekcji, dał znak nauczycielowi, żeby się do okienka zbliżył, i oznajmił mu ze smutkiem, że jutro będzie wywieziony do Wenecji, aby odbyć resztę kary w tamtejszym więzieniu, i żegnając go prosił pokornym, wzruszonym głosem, aby mógł dotknąć jego ręki. Nauczyciel rękę wyciągnął, więzień ucałował ją, po czym rzekł: „Dziękuję! Dziękuję!” — i zniknął w swej celce. Ręka nauczyciela była od łez więźnia mokra. I już go nauczyciel nie widział więcej.

Ubiegło lat sześć.

— Już zapomniałem o tym nieszczęśliwym — mówił nauczyciel — kiedy wczoraj z rana spotkałem się oko w oko przed samym moim progiem z jakimś nieznajomym, lichy odzianym, z dużą, czarną, nieco już szpakowatą brodą, który rzekł:

— Czy to pan jest tym a tym nauczycielem?

A ja na to:

— Któż wy jesteście?

— Ja jestem więzień 78 numer — odrzekł. — Pan mnie przed sześciu laty nauczył pisać i czytać. Może pan pamięta, jak pan do mnie rękę na ostatniej lekcji wyciągnął. Odsiedziałem karę i teraz jestem tutaj i przyszedłem prosić, żeby pan przyjął ode mnie tę małą pamiątkę... drobnostkę, którą zrobiłem w więzieniu... Niech mi pan nie odmawia, panie nauczycielu!

Oniemiałem na to ze zdumienia. A on myśląc, że przyjął pracy jego nie chcę, popatrzył na mnie ze smutkiem, właśnie jakby mówił: „Sześć lat cierpienia, męki i nie zdołały rąk moich oczyścić?” A tyle było w oczach jego bólu, że natychmiast rękę wyciągnął i dar jego przyjął. Oto on...

Spojrzeliśmy na kałamarz. Zdawał się być wyrzeźbiony ostrzem gwoźdźcia z nadzwyczajną cierpliwością i wytrwałym trudem. Rzeźba przedstawiała pióro leżące na kajecie<sup>91</sup>, a dokoła taki był napis:

„Mojemu nauczycielowi. Pamiątka numeru 78 — sześć lat”. A pod spodem drobnymi literkami: „Praca i nadzieja”.

Wyszliśmy pożegnawszy się z nauczycielem, który milczał wzruszony.

Ale przez całą drogę z Moncalieri do Turynu nie mogłem sobie wybić z głowy tego więźnia z przyciśniętą do okienka twarzą, tego pożegnania z nauczycielem, tego kałamarza zrobionego w więzieniu, który mówił tyle, tyle rzeczy, i wszystko to mi się w nocy jeszcze śniło, i rankiem też myślałem o tym, nie domyślając się bynajmniej, jaka niespodzianka czeka mnie dziś w szkole.

Zaledwem odrobił arytmetyczne zadanie na miesięczny egzamin siedząc obok Derossiego w mojej ławce, kiedy zaraz opowiedział koledze całą historię o więźniu i o kałamarzu, i jak ten kałamarz był zrobiony z tym piórem na kajecie i z tym napisem dokoła: „sześć lat”!

Zaledwem to rzekł, Derossi skoczył i zaczął bystro patrzeć to na mnie, to na Crossiego, synka zieleniarki, który siedział w ławce przed nami, zgarbiony nad kajetem i zagłębiony w swoim zadaniu.

— Cicho! — wyrzekł nagle stłumionym głosem, chwytając mnie za ramię. — Wiesz? Crossi opowiadał mi przedwczoraj, że taki właśnie kałamarz widział ukradkiem w ręku ojca, który wrócił z Ameryki. Kałamarz był jak wieżyczka, ręcznie rzeźbiony, z wyobrażeniem kajetu i pióra; to ten sam! A te „sześć lat”, wiesz, co to mówił, że ojciec jego jest w Ameryce, to on był w więzieniu!

Crossi był wtedy zupełnie mały, nie pamięta! Matka kryła to przed nim i on o niczym nie wie... Zmiluj się, nie piśnij ani słówka o tym!

Oniemiałem ze zdumienia, patrząc nieruchomo na zgarbione plecy Crossiego. A wtedy Derossi, który już skończył zadanie, przelazł pod ławką, usiadł przy Crossim, wziął mu z rąk opowiadanie miesięczne, które Crossi miał przepisać, żeby za niego odrobić tę pracę, pogłaskał go, uściskał, dał mu piórniki i ołówek, a ode mnie wziął słowo honoru, że nikomu nie powiem ni słowa. Kiedyśmy zaś mieli wychodzić ze szkoły, szepnęła mi z pośpiechem:

<sup>91</sup>kajet (daw., z fr.) — zeszyt. [przypis edytorski]

— Ojciec jego był tu wczoraj, żeby go odprowadzić, i dziś pewno przyjdzie... Co ja zrobię, i ty rób także, pamiętaj!

Wyszliśmy na ulicę. Ojciec jego stał cokolwiek na stronie i czekał. Był to człowiek z czarną brodą, trochę już szpakowaty, lichy odziany, z twarzą znędzniałą i zadumaną.

Derossi uściskał rękę Crossiego w taki sposób, że blady człowiek musiał to widzieć, i rzekł głośno:

— Do widzenia, Crossi! Do widzenia, drogi kolego! — I pogłaskał go pieszczotliwie po twarzy.

Ja za nim tak samo.

Ale mówiąc to i czyniąc, Derossi zaczerwienił się jak ogień. Ja także. Ojciec Crossiego patrzył na nas bystro, a w spojrzeniu jego, chociaż przyjaznym, tyle było podejrzliwego niepokoju, że aż mróz serce przenikał.

Przy łóżu „taty”

### *Opowiadanie miesięczne*

Pewnego ranka, w dżdżystym dniu marcowym, mały chłopiec w wieśniaczej odzieży, przemokły i zabłocony, z zawiniątkiem pod pachą, stanął przed odźwiernym „Szpitala Pielgrzymów” w Neapolu i zapytał o swego ojca, podając list, który przyniósł z sobą. Chłopiec miał twarz pociągłą, smagłą, bladawą, z zamysłonymi oczyma i zawsze wpółotwartymi grubymi wargami, przez które widać było bardzo białe zęby. Przyszedł z wioski leżącej w okolicach Neapolu. Ojciec jego, wydaliwszy się z domu w roku zeszłym, żeby szukać zarobku we Francji, powrócił był do Włoch i mało co przedtem wylądował w Neapolu, gdzie niespodzianie złożony niemocą, tyle tylko miał czasu, żeby w paru słowach zawiadomić rodzinę o powrocie i o tym, że leży w szpitalu.

Żona jego, zrozpaczona tą wiadomością, a nie mogąc ruszyć się z domu, bo miała córeczkę słabą, a najmłodszą dziecinę na ręku, wysłała do Neapolu najstarszego synka, dawszy mu na drogę kilka soldów, żeby pilnował ojca, „tatusia”, jak tam mówią. I tak chłopczyna przywędrował dziesięć mil piechotą i stanął w nieznanym mieście.

Odźwierny rzuciwszy na list okiem zawołał dozorcę chorych i powiedział mu, żeby zaprowadził małego do ojca.

— Do jakiego ojca? — zapytał dozorca.

Chłopczyna drząc cały, żeby się nie dowiedzieć czego złego, powiedział nazwisko. Ale dozorca takiego nazwiska nie przypomniał sobie.

— Taki stary robotnik wędrowny? — zapytał.

— Robotnik — odrzekł chłopiec jeszcze bardziej zalęknionym głosem — ale nie bardzo stary... Wędrowny robotnik... Tak.

— Kiedy przyszedł do szpitala?

Chłopiec rzucił okiem na list.

— Z pięć dni temu będzie.

Dozorca stał chwilę drapiąc się w głowę, po czym jakby nagle przypomniawszy coś sobie:

— Aha! — rzekł. — Już wiem! Czwarta sala, łóżko w rogu.

— A czy bardzo chory?... Jak się ma? — zapytał trwożliwie chłopczyna.

Dozorca spojrzął na niego i nie odповіdziawszy na pytanie rzekł:

— Pójdź ze mną!

Wstąpili na schody, przeszli szeroki korytarz i stanęli w otwartych drzwiach sali, skąd było widać łóżka ustawione we dwa długie rzędy.

— Pójdź! — powtórzył dozorca wchodząc.

Chłopiec zebrał odwagę i szedł za nim, w prawo i w lewo rzucając wystraszone spojrzenia na mizerne, blade twarze chorych. Jedni z nich mieli oczy zamknięte i wyglądali jakby już nieżywi, inni patrzyli przed siebie błyszczącym od gorączki, przerażonym wzrokiem, jeszcze inni jęczeli i skarżyli się jak dzieci. Sala była mroczna, powietrze przesycone ostrą wonią lekarstw; dwie siostry miłosierdzia kręciły się około chorych z fiaszeczkami w ręku. Doszedłszy w głąb sali dozorca zatrzymał się przy jednym z łóżek, rozsunął firankę i rzekł:

— Oto twój ojciec!

Chłopak uderzył w płacz, wypuścił zawiniątko spod pachy i uchwycił rękę chorego, bezwładnie na kółdrze leżącą, głowę do jego piersi przytulił.

Chory nie poruszył się nawet.

Podniósł się chłopczyna, popatrzał na ojca i znowu płaczem wybuchnął — a wtedy zwrócił na niego chory przeciągłe spojrzenie i zdawał się go poznawać.

Usta jego nie poruszyły się jednak. Biedny tata, jakże był zmieniony. Syn nigdy by go nie poznał.

Posiwiwały mu włosy, broda urosła, miał twarz spuchniętą, rozczwienioną, z naciągniętą i silnie błyszczącą skórą, usta zgrubiałe, oczy widne zaledwie, wszystkie rysy zupełnie zmienione. Tylko czoło i czarne łuki brwi zostały te same. Oddychał z trudem.

— Tatusiu! Mój tatusiu! — zawołał chłopczyna. — To ja! Czy mnie poznajesz, tato? Ja Szymuś, twój Szymuś... Przyszedłem ze wsi... mama mnie przysłała. Przyjrzyj mi się, drogi tatusiu! Przemów słowo!

Ale chory, popatrzawszy na niego uważnie, oczy zamknął.

— Tatusiu, co wam, tatusiu!... Ja jestem synek wasz, Szymuś!...

Wszkże chory nie poruszył się i tylko dyszał ciężko.

Wtedy, płacząc, przysunął sobie chłopiec stół, usiadł i czekał, nie zdejmując oczu z twarzy ojca.

„Pewno doktor przyjdzie — myślał sobie — to mi co powie”.

I pogrążył się w smutnym rozmyśleniu przypominając sobie, jak to się ojciec w świat puszczał, jak się żegnał z dziećmi na statku, jak go potem wyglądali wszyscy z dobrą myślą i jak przysłała wiadomość, że chory, i jak matka wtedy gorzko płakała...

I znów przychodziły mu na myśl straszne rzeczy. Widział ojca swojego umarłym, matkę w żałobie, całą ich gromadkę w nędzy...

Długo tak siedział osłupiały, aż uczył lekkie dotknięcie ręki na ramieniu. Odwrócił się żywo: była to zakonnica.

— Co jest mojemu ojcu? Na co chory? — zapytał z pośpiechem.

— To twój ojciec? — zapytała zakonnica.

— Tak, ojciec... Przyszedłem ze wsi... Co mu jest? Na co on chory?

— Nie smuć się, chłopcze! Bądź dobrej myśli. Zaraz tu przyjdzie doktor.

I oddaliła się, nic nie mówiąc więcej.

W pół godziny potem posłyszał dzwonek i ujrzał wchodzącego do sali doktora z asystentem swoim. Zakonnica i dozorca szli za nimi. Tak idąc przez długą salę zatrzymywali się przy każdym łóżku. Biednemu chłopcu zdawało się, że nigdy chyba do ojca jego nie dojdą, a za każdym krokiem lekarza trwoga jego rosła wraz z oczekiwaniem.

Nareszcie stanęli u sąsiedniego łóżka. Lekarz był starcem wysokim, przygarbionym nieco, a twarz miał poważną. Zanim się od owego łóżka oddalił, chłopczyna powstał ze stolka, a gdy się lekarz do ojca jego zbliżył, nie mogąc też powstrzymać, zapłakał.

Stary pan popatrzył na niego.

— To synek chorego — rzekła zakonnica — przyszedł ze wsi dziś rano.

Lekarz położył chłopcu rękę na ramieniu, po czym pochylił się nad chorym, pomacał puls jego, dotknął czoła i zadał kilka pytań siostrze miłosierdzia, która odpowiedziała:

— Wszystko jak było...

Wtedy lekarz zamyślił się, po czym rzekł:

— Jeszcze to samo trzeba robić dalej...

Tu chłopiec odważył się i zapytał drżącym głosem i z twarzą zalaną łzami:

— Co jest mojemu ojcu?

— Uspokój się, dziecko! — rzekł doktor kładąc mu znowu rękę na ramieniu. — Ojciec twój ma różę w twarzy. Niebezpieczna to rzecz, ale jest jeszcze nadzieja. Pilnuj go. Zostań przy nim. Twoja obecność ulgą jest dla niego.

— Ale kiedy mnie ojciec nie poznaje! — zawołał chłopiec zrozpaczonym głosem.

— Ale cię pozna. Nie bój się! Może cię jutro pozna. Miejmy nadzieję i bądź dobrej myśli.

Chłopiec chciałby się jeszcze o niejedno zapytać, ale nie śmiał. Tymczasem lekarz poszedł dalej, a on rozpoczął swoje czuwanie przy chorym.

Lekarz

Nie mogąc wiele pomóc, poprawiał mu kołdrę, dotykał delikatnie jego ręki, opędzał go z much, pochylał się nad nim za każdym stęknieniem, a kiedy siostra dawała choremu napój lub lekarstwo, odbierał od niej szklanekę, łyżeczkę lubo<sup>92</sup> też je podawał.

Zdarzało się, że chory otwierał oczy i patrzył na niego; ale nie dał dotąd żadnego znaku, że go poznaje, chociaż spojrzenie jego zatrzymywało się na nim coraz dłużej, zwłaszcza gdy chłopiec płacząc chusteczką oczy zakrywał.

I tak przeszedł dzień pierwszy.

Noc przespał chłopczyzna skulony na dwóch zestawionych w kącie sali krzesłach, a lewdo rozedniało, znów się zabrał do swojej posługi przy ojcu.

Dnia tego zdawało się, że spojrzenie chorego zaczyna być jakby przytomniejsze. Zdawało się, że pieszczotliwe słowa dziecka budzą jakiś błysk wdzięczności w jego źrenicach. Poruszył raz nawet wargami, jak gdyby coś chciał powiedzieć.

Kiedy po krótkim osłupieniu znów otworzył oczy, zdawało się, że wzrok jego szuka małego dozorczy.

Doktor był tego dnia dwa razy przy chorym i zauważył w stanie jego nieco polepszenia. Pod wieczór, zbliżając do nabrzmiałych ust ojca lekarstwo, spostrzegł chłopczyzna jak gdyby lekki uśmiech na nich. Nabrał więc ducha i dobrej nadziei. Zaraz też spodziewając się, że chory słowa jego coś niecoś zrozumie, zaczął mu opowiadać o matce, o małej siostrzyczce, o tym, jak to oni powrócą obaj do domu, i zaklinał ojca, żeby był dobrej myśli, głosem wzruszonym i w pełnych miłości wyrazach. A choć chwilami wątpił, czy jest rozumiany, mówił przecież, bo mu się zdawało, że chory, nie rozumiejąc go nawet, z jakąś ulgą i przyjemnością słucha głosu jego, w którym drżało głębokie przywiązanie, smutek — i nadzieja. I tak przeszedł dzień drugi i trzeci, i czwarty wśród małych polepszeń, pogorszeń nagłych, a chłopiec tak był swoim zajęciom oddany, że ledwie dwa razy na dzień przelknął kawałek chleba z serem, który mu przyniosła zakonnica, i prawie że nie widział i nie słyszał, co się w sali dzieje; ani umierających, ani pośpiesznych kroków sióstr wśród nocy, ani łkania rozpaczliwego tych, co odchodzili stąd od bliskich swoich bez nadziei żadnej, ani tych wszystkich bolesnych i strasznych scen życia szpitalnego, które w innych okolicznościach przykułyby go do ziemi niewymowną zgrozą.

Godziny i dnie przechodziły, a on był ciągle tam, przy swoim tatusiu, baczny, staranny, drżący za każdym westchnieniem chorego, za każdym jękiem jego; żyjąc pomiędzy nadzieją, która mu dodawała siły, a zwątpieniem, które mu mroziło serce.

Ale piątego dnia uczyniło się choremu nagle gorzej.

Doktor przyszedł, popatrzał i zwiesił głowę, jakby chciał rzec, że wszystko skończone, a chłopczyzna padł na stołek wybuchając łkaniem.

Wypłakał się biedak, po czym rozmyślać począł. Pocieszała go rzecz jedna. Bo przy pogorszeniu tym nawet zdawało mu się, że chory jest jakby przytomniejszym. Coraz bardziej patrzył na chłopca, z coraz widoczniejszym rozrzewnieniem; ani lekarstwa, ani napoju nie chciał brać, jak tylko od niego, i coraz częściej poruszał z wysiłkiem usta, jakby chciał przemówić, a nieraz czynił to tak wyraźnie, że syn chwycił jego rękę, podniecony nagłą otuchą, i wołał radośnie:

— Tatusiu! Drogi tatusiu! Niedługo już będziesz zdrowy! Wrócimy na wieś, do domu, do mamy!... Będziemy się cieszyli wszyscy! Niedługo!... Niedługo!...

Była czwarta z południa, kiedy właśnie w takim przystępie rozczulenia i radosnej nadziei chłopiec posłyszał nagle u najbliższych drzwi sali kroki ciężkie i silny głos, który mówił:

— Żegnam siostrę!

Były to tylko dwa słowa, a przecież chłopiec drgnął cały, a głos mu zamarł w piersiach.

W tejże chwili wszedł do sali człowiek z dużym zawinięciem w rękę, a za nim weszła zakonnica.

Chłopiec krzyknął przenikliwie, porwał się, lecz jakby wrósł w ziemię. Człowiek obejrzał się, popatrzył przez chwilę i krzyknąwszy gwałtownie: — Szymuś! — rzucił się ku niemu. Małec padł w ramiona ojca łkając, bez tchu prawie.

Zakonnice, dozorczy, asystenci zbiegli się i stali zdumieni. Chłopiec nie mógł przemówić ni słowa.

<sup>92</sup>lubo (daw.) — albo. [przypis edytorski]



— Mój Szymuś! Mój Szymuś! — powtarzał ojciec i patrzył nie rozumiejąc na łóżko chorego, i znów syna ścisnął i całował.

— Powiedź mi — rzekł wreszcie — co to wszystko znaczy? Przecież ciebie zaprowadzili do innego łóżka! A ja sypiać po nocach nie mogłem, bo tu matka pisze: Posyłam go, a ciebie nie ma i nie ma. Odkądżeś ty tutaj, chłopcze?... Jak się to stać mogło? A ja ledwom się wygrzebałem!... Ale teraz, ho! ho!... A mama? A Kostusia? A braciszek? Jakże się mają?... Ale po co my tu jeszcze w szpitalu! Pójdźmy, chłopcze! Jezus, Mario! Kto by to powiedział!...

Nareszcie chłopiec ochłonął i opowiedział naprędce o domu, orodzinie, po czym rzekł:

— Jakim ja szczęśliwy! Jaki szczęśliwy! Jakże to smutne dni były! Jakże ciężkie! — I znów całował ojca, oderwać się od niego nie mogąc. Ale jednak nie ruszał się z miejsca.

— No to pójdźmy! — rzekł ojciec. — Jeszcze tej nocy zajdziemy do domu. Pójdź!

I wziął chłopca za rękę.

Chłopiec odwrócił głowę i na chorego patrzył.

— No! Idziesz, czy nie idziesz? — zapytał ojciec zdziwiony.

Chłopiec raz jeszcze na chorego spojrział, a ten w tymże momencie otworzył oczy i też na chłopca patrzył. A wtedy potok słów rzucił się chłopcu do ust z głębi duszy:

— Nie, tato! Zaczekaj... Nie mogę... Nie mogę... Ten starzec, widzisz... Od pięciu dni jestem przy nim. Ciągłe patrzy na mnie... Myślałem, że to ty... Pokochałem go. Widzisz, jak patrzy na mnie... Dawałem mu pić, byłem ciągle przy nim... On bardzo chory... Miej cierpliwość, tato! Ja nie wiem... Ja nie mogę... Ja nie mam serca odejść tak od niego... Zostawić... Jutro do domu wrócę... Trochę jeszcze pobędę przy nim tutaj. Widzisz, jak patrzy ciągle... Nie wiem, kto jest, ale gdyby tak umarł... sam miałbyś żal do mnie... Pozwól mi zostać przy nim, tato, pozwól!...

— Dzielnym malec! — zawołał asystent.

A ojciec stał, niepewny, co czynić, patrząc to na syna, to znów na chorego.

— Co to za jeden? — zapytał wreszcie asystenta.

— Wieśniak jak i wy. Tak samo jak wy wracał z wędrówki i tegoż dnia do szpitala zapisany został. Przynieśli go bezprzytomnego. Nie przemówił dotąd. Może i on ma gdzieś rodzinę, dzieci. Może mu się zdawało, że wasz chłopiec to jedno z dzieci jego.

A gdy tak mówił asystent, chory patrzył na chłopca wyteżonym wzrokiem.

— To zostań! — rzekł ojciec do Szymusia.

— Nie na długo już... — szepnął z cicha asystent.

— Zostań! — powtórzył ojciec. — Masz dobre serce, chłopcze!

Ja zaraz idę do domu, żeby pocieszyć jak najprędzej matkę. Masz tu talara na swoje potrzeby. Bądź zdrow! Bądź zdrow, dobre dziecko!

Uściskał go, popatrzył na niego z rozrzewnieniem, raz jeszcze ucałował go w czoło i poszedł.

Chłopiec zbliżył się do łóżka, a chory, patrzący dotąd niespokojnie, zdawał się uciszać w uczuciu błogości i pociechy.

Tak tedy Szymuś powrócił do swego zajęcia dozorczy nieznanego starca, nie płacząc już, ale z tą samą baczną tkliwością, z tym samym wytrwaniem co i przedtem. I znów poprawiał mu koldrę, znów głaskał jego rozpaloną rękę i słodkimi słowy pocieszał go, dodawał odwagi. I tak go pilnował przez dzień ten cały i na tę noc przy łóżku jego pozostał, i przez dzień następny.

Ale choremu było coraz gorzej. Twarz jego posiniała okropnie, oddech był utrudniony, rzucał się, wydawał niezrozumiałe okrzyki, a wzrastająca puchlina czyniła go straszonym.

Podczas wieczornej wizyty swojej powiedział doktor, że biedak nie przeżyje nocy. A wtedy Szymuś podwoił starania i oczu nie spuścił z niego. Chory też patrzył a patrzył na chłopca i od czasu do czasu poruszał wargami, jakby coś chciał rzec, a wyraz niezmiernej czułości błyskał wtedy w jego rozszerzonych źrenicach, które jakby uciekały w czaszkę.

I tej nocy także chłopiec go nie odstępował ani na chwilę, póki świt nie zaczął szarzyć w oknach i nie pojawiła się na sali siostra.

Zaledwie jednak siostra podeszła do łóżka i rzuciła na chorego okiem, natychmiast zaczęła wołać lekarza dyżurnego i dozorcę, który przyniósł światło.

Zbliżył się lekarz dyżurny, spojrział i rzekł:

Śmierć

— Kona.

Wszyscy milczeli. Chłopiec ujął rękę chorego, jakby go chciał od śmierci bronić. Chory otworzył na chwilę oczy, spojrzął na niego i znowu je zamknął.

Ale chłopcu zdawało się, że w tej krótkiej chwili czuje uścisk jego ręki.

— Ścisnął mi rękę! — zawołał.

Lekarz pochylił się nad chorym, słuchając jego oddechu, po czym wyprostował się z wolna. Zakonnica zdjęła krucyfiks ze ściany.

— Umarł! — krzyknął z boleścią chłopczyzna.

— Idź, dziecko! — rzekł lekarz. — Twoja święta praca już skończona. Idź i bądź szczęśliwy, bo zasługujesz na to. Niech cię Bóg błogosławi. Bądź zdrow!

Ale siostra, która się oddaliła przed chwilą, podeszła do Szymusia trzymając bukietik fiołków, wyjęty ze stojącego na oknie kubka.

— Nie mam ci co dać, dziecko! — rzekła. — Weź chociaż te kwiatki na pamiątkę ze szpitala.

— Dziękuję! — odpowiedział, biorąc bukietik jedną ręką, a drugą ocierając oczy. — Ale ja mam tak daleko iść, że zgubiłbym go w drodze...

I rozwiązawszy kwiateczki, posypał je po łóżku, przy którym stali, mówiąc:

— Zostawię je memu biednemu zmarłemu...

I zaraz żegnać się począł.

— Dziękuję, siostro! Dziękuję, panie doktorze!

Wtem zwrócił się do zmarłego:

— Żegnam cię... — i urwał szukając w myśli, jakby go tu nazwać.

A wtedy, wprost z serca przyszło mu na usta słodkie imię, którym go przed pięciu dniami w łzach witał:

— Żegnam cię, biedny tatusiu!

I wziął swoje zawiniątko pod pachę i wolnym krokiem wyszedł ze szpitalnej sali.

Świtało.

W kuźni

### 18. sobota

Precossi przyszedł mi przypomnieć wczoraj, żebym obejrzał ich kuźnię, która jest w tej samej ulicy, na której mieszkamy. Więc dziś wychodząc z ojcem ze szkoły wstąpiliśmy tam na chwilę. Ale kiedyśmy się zbliżyli, spostrzegłem, że z kuźni wybiega pędem Garoffi, ze sporą paczką w rękę, przytrzymując poły wielkiego płaszcza, pod którym towary swoje zazwyczaj ukrywa.

— Ach, wiem teraz, skąd bierze te żelazne opiłki do polerowania, które sprzedaje potem za stare dzienniki, ten handlarz, Garoffi! To dopiero...

Zaraz ode drzwi kuźni zobaczyliśmy Precossiego, jak siedząc na ułożonych w kupkę cegłach uczył się lekcji z trzymanej na kolanach książki. Zerwał się i zapraszał do wejścia.

Była to izba pełna węglowego pyłu, na której ścianach sterczały młotki, cęgi, sztaby, zawiasy i różnych nie znanych mi kształtów żelastwo, w kącie zaś płonęło ognisko, które roziskrzył wielki miech rozdymany przez kowalczyka.

Ojciec Precossiego stał przy kowadle, a drugi pomocnik trzymał cęgami sztabę żelaza w ognisku.

— Ach! — zawołał kowal zobaczywszy nas i zdjął czapkę z głowy! — Oto dobry chłopczyzna, co podarował tę kolej żelazną! Przyszedł popatrzeć, jak to w kuźni robota idzie, nieprawda? Zaraz, zaraz się to pokaże!

A mówiąc tak, uśmiechał się i zaraz zauważyłem, że nie ma już tej ponurej twarzy i nie patrzy spode łba jak dawniej.

Wtem chłopak wyjął z ogniska sztabę rozpaloną na jednym końcu, a kowal ją na kowadle oparł. Miał być z tej sztaby taki łuk żelazny, z jakich się robią altany w kształcie klatek owalnie u góry wygiętych. Za czym podniósł okrutnie wielki młot i zaczął nim walić w rozpalony koniec sztaby okręcając ją to w tę, to w ową stronę na kowadle i nadając jej przy tym coraz nowe kształty. Rozkosz była patrzeć, jak pod szybkimi, pewnymi razami młota żelazo gięło się, zaokrąglało i z wolna przybierało formę pierzastego liścia kwiatu,

Praca

zupełnie tak, jakby to nie była twarda sztaba, ale miękkie ciasto ugniatane ręką podług woli.

A tymczasem syn patrzył na nas z jakąś dumą. Jak gdyby chciał powiedzieć: „Patrzcie tylko, co to mój ojciec potrafi”.

— No, cóż — rzekł wreszcie kowal — widział panicz, jak się to żelazo kuje?

I pokazywał mi sztukę, która wyglądała teraz jak pastorał biskupi. I zaraz ją odłożywszy na stronę<sup>93</sup>, drugą w ogień wsadził.

— Piękna robota! Tęga! — rzekł na to mój ojciec. I dodał:

— Wróciliście tedy do pracy? Wróciła wam do niej ochota?

— A wróciła! — odrzekł kowal ocierając pot z twarzy i wypoczywając chwilę. — A wiecie, panie, kto mi ją powrócił?

Ojciec mój udał, że o niczym nie wie.

— Ten poczciwy chłopak — rzekł kowal, palcem wskazując syna. — To dobre dziecko, co się przykładalo do nauki i utrzymywało honor ojca, podczas gdy ojciec... co tam długo gadać, po szynkach pił, a syna jak psa traktował. Dopiero kiedy ten medal zobaczył...

Tu urwał, przełknął ślinę, a wielkie wąsy jego zadrgały jak od tłumionego płaczu. Ale wnet zwróciwszy się do chłopca mówił żartobliwie:

— A pójdz no tu, malcze! Pójdz no tu, mój wielkoludzie, nie większy od wróbla na dachu! Niech no na ten twój dzióbek popatrzę!

Chłopiec podbiegł, kowal go schwycił wpół i prosto przed sobą na kowadle postawił.

— No — rzekł — wyszoruj trochę facjatę<sup>94</sup> temu niegodziwemu ojcu, kiedy tak!

A Precossi zaczął obsypywać pocałunkami czarną twarz ojca, a za chwilę i sam był zupełnie umorusany.

— Dobrze tak! — rzekł wtedy kowal i postawił chłopca na ziemi.

— Dobrze tak! Macie słuszność, Precossi! — zawołał z radością mój ojciec.

Pożegnawszy się z kowalem i z jego synem wyszliśmy z kuźni. Wszakże na progu dopędził nas mały Precossi, szepnął „przepraszam!” — i wsadził mi do kieszeni paczkę gwoździ. Podziękowałem mu serdecznie i zaprosiłem, żeby przyszedł zobaczyć karnawalowy pochód z naszego okna w ostatki<sup>95</sup>.

Gdyśmy już byli na ulicy, ojciec mój rzekł:

— Podarowałaś mu twoją kolej żelazną, mój chłopcze! Ale gdyby ona była nie z żelaza, tylko ze złota i z pereł, jeszcze byłaby darem zbyt małym dla tego świętego dziecka, które cierpieniem własnym i miłością tak odmieniło serce ojca swego!

„Pajacyk”

## 20. poniedziałek

Całe miasto aż się trzęsie od karnawałowej wrzawy, bo idą ostatki. Na wszystkich placach stoją budy linoskoków, kuglarzy, i przed naszymi oknami też stoi namiot z płótna, w którym daje widowiska cyrkowe małe towarzystwo z Wenecji, mające wszystkiego pięć koni. Ten cyrk jest w pośrodku placu, a przy nim stoją trzy zakryte wozy, gdzie się te linoskoki przebierają i w których śpią także. Zupełnie jakby trzy domki na kołach, każdy z kominem, z którego ciągle dym idzie, z okienkami; a między okienkiem a okienkiem suszą się na sznurku sukienki<sup>96</sup> dziecinne. Jest tam kobieta, która karmi dzieciątko i gotuje, i tańczy na linie. Biedni ludzie! Bo to się mówi: „skoczek na linie” — jakby coś ubliżającego; a oni przecież uczciwie zarabiają na chleb, bawiąc wszystkich i ciężko pracując.

Cały dzień biegają od wozów do namiotu w obcisłych, cienkich trykotach, na takie zimno, przegryzają co nieco naprędce, nie siadając nawet między jednym widowiskiem a drugim; a nieraz, kiedy cyrk pełen, zrywa się wicher, targa płócienne jego ściany, gasi światło i bądź zdrów, holenderski śledziu<sup>97</sup>! Muszą oddawać pieniądze i pracować nocą,

<sup>93</sup>na stronę (daw.) — na bok. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>facjata (daw., pot.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>ostatki — końcowe dni karnawału. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>sukienka (daw.) — tu: ubranie. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>bądź zdrów, holenderski śledziu (daw., pot.) — nic z tego, okazja zniknęła. [przypis edytorski]

żeby na dzień jako tako znów wyporządzić budę. Mają ze sobą dwóch chłopców, którzy też pracują. Ojciec mój poznał mniejszego, kiedy przez plac szedł, bo to jest synek właściciela cyrku, ten sam, któregośmy widzieli przeszłego roku na placu Wiktora Emanuela, jak na koniu jeździł. Urósł, może ma z osiem lat i ładny z niego chłopczyna. Ma okrągłą buzię, smagłą<sup>98</sup>, z mnóstwem czarnych kędziorów, które spadają spod spiczastego kapelusza.

Przebrany jest za pajaca, jakby w biały, czarno wyszywany worek z rękawami, a trzewiki to ma z płótna, też białe. Istne diabłatko z niego. Wszystkim się podoba. Ciągłe czymś zajęty.

Rankiem otulony w dużą chustę przynosi w garnuszku mleko do swego drewnianego domku; potem biegnie po konia do remizy przy ulicy Bertola; potem piastuje<sup>99</sup> to najmłodsze, a jak matka weźmie je od niego, to znosi obręcze, drążki, kozły, sznury; czyści wozy, rozpała ogień, a jak ma wolną chwilę, to ciągle się matki trzyma.

Mój ojciec patrzy na niego z okna i raz w raz mówi o nim i o rodzicach jego, którzy zdają się być bardzo poczciwymi ludźmi i bardzo do tego chłopczyka przywiązanymi.

Poszliśmy do cyrku wieczorem. Było zimno, buda była jeszcze prawie pusta, ale mały pajacyk nie dał się nudzić i tej małej garstce widzów. Przewracał nadzwyczajne kozły, stawał na głowie, uwieszał się koniom u ogonów, chodził na rękach trzymając nogi w powietrzu, zwijał się jak skra, śpiewał, śmiał się, zajmował sobą wszystkich, z tą swoją śliczną, smagłą twarzą, a ojciec jego, który miał kurtkę czerwoną, białe skórzane spodnie, buty z cholewami i szpicrutę w rękę, też patrzył na pajacyka, ale był smutny.

Mój ojciec posmutniał także, a gdy się do nas zbliżył pan Delis, który jest malarzem, tak do niego mówił:

— Biedni ludziska, zabijają się tą pracą, a tak mało zarobić mogą! Taka pustka! A to maleństwo takie miłe! Żeby to można coś uczynić dla nich?

Malarz pomyślał i rzekł:

— Napisz o nich co ładnego do gazety, jak to ty potrafisz. Opowiesz śliczne rzeczy o pajacyku, a ja zrobię portrecik jego. Gazetę wszyscy czytają i przynajmniej raz ludzie się tu zlecą!

I tak zrobili. Mój ojciec napisał artykuł pełen ślicznych żarcików, i tak piękny, że aż się płakać chciało, i opowiedział w nim wszystko, cośmy widzieli z okna, i jaki ten mały jest miły, i jak go zobaczyć warto; a pan malarz naszkicował portrecik, bardzo podobny i ładny, i gazeta wszystko to wydrukowała w sobotę wieczorem.

Istotnie, na niedzielne widowisko przybyły tłumy.

Na afiszu było wydrukowane: „Przedstawienie na benefis<sup>100</sup> pajacyka”.

Tak go nazwali, jak ojciec mój w gazecie. Cyrk był napchany, wiele osób trzymało w rękę gazetę i pokazywało ją pajacykowi, który był uszczęśliwiony, śmiał się i chodził od widza do widza.

Pomyśleć tylko! Jeszcze żaden dziennik tak go nie uhonorował, a i kasa była pełna. Ojciec mój siedział obok mnie. Między publicznością spostrzegłem dużo znajomych. Nauczyciel gimnastyki stał w pobliżu drzwi, którymi wprowadzano konie, ten sam, co to jeszcze pod Garibaldi<sup>101</sup> służył, a naprzeciwko nas w drugich rzędach siedział Mularczyk, ze swoją okrągłą buzią, tuż przy swoim wielkoludzie-ojcu. Ledwie spojrział, zaraz mnie zobaczył i na znak powitania zrobił zajęczy pyszczek. Trochę dalej stał Garoffi i liczył widzów rachując, ile też towarzystwo linoskoków zarobić może.

Niedaleko nas, w pierwszym rzędzie, siedział także biedny Robetti, ten, co uratował malca, trzymając między kolanami obie swoje kule, przytulony do swego ojca, kapitana artylerii, który mu rękę na ramieniu trzymał.

Zaczął się przedstawienie.

<sup>98</sup>smagły — posiadający ciemną, oliwkową cerę. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>piastować — opiekować się dzieckiem. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>benefis — koncert bądź przedstawienie mające uhonorować jakiegoś artystę bądź pomóc w zbieraniu dla niego funduszy. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Garibaldi, Giuseppe (1807–1882) — rewolucjonista włoski, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

Pajacyk dokazywał cudów na koniu, na trapezie, na linie, a ile razy się pokazał — wszyscy bili brawo. Potem popisywali się inni, żonglerzy, ekwilibryści<sup>102</sup>, konnojeźdźcy ubrani w trykoty i błyszczący od srebra. Ale jak chłopca nie było na widowni, wszystkim się jakoś zaczynało nudzić. Aż naraz widzę, że nauczyciel gimnastyki, stając przy wejściu samym, szepce coś właścicielowi cyrku, a ten patrzy dookoła na widzów, jak gdyby szukał kogo. A oczy jego zatrzymały się na nas.

Spostrzegł to mój ojciec, domyślił się, że nauczyciel gimnastyki wskazał go jako autora owego artykułu, i żeby uniknąć podziękowań, wyszedł mówiąc do mnie:

— Zostań, Henryku! Poczekam na ciebie na ulicy.

Bo już się przedstawienie kończyło. Ale pajacyk, któremu ojciec także coś szepnął, raz jeszcze wystąpił. Pędząc na galopującym koniu, cztery razy zmieniał postać i ubranie ukazując się już jako pielgrzym, już jako marynarz, już jako akrobata, a ile razy przelatywał koło mnie blisko, zawsze patrzył na mnie.

Gdy z konia skoczył, zaczął obchodzić dookoła cyrku ze swoim spiczastym kapeluszem pajaca w rękach, a publiczność rzuciła mu soldy<sup>103</sup> i cukierki.

Trzymałem i ja przygotowane dwa soldy, ale gdy doszedł do mnie, spojrział, usunął kapelusz za siebie i posunął się dalej. Był mi to przykre. Za cóż on mnie, pomyślałem, omija? A widowisko tymczasem się skończyło.

Właściciel dziękował publiczności, a wszyscy wstali i zaczęli się cisnąć do wyjścia. Zagarnięty tłumem znalazłem się już blisko drzwi, kiedy mnie ktoś trącił w rękę.

Odwróciłem się: to pajacyk z tą swoją miłą twarzyczką, z tymi lokami czarnymi, uśmiechał się do mnie trzymając pełne rączęta cukierków. Wtedy zrozumiał.

— Czy nie chciałbyś przyjąć od pajacyka tych cukierków?

Skinąłem głową i z nastawionych dłoni wziąłem trzy czy cztery.

— No, to weź jeszcze w dodatku całusa...

— Dawaj dwa! — i przychyliłem ku niemu twarzy.

Otarł sobie rękawem umączone usta. Objął mnie ramieniem za szyję i wycisnąwszy dwa głośne pocałunki na moich policzkach rzekł:

— Jeden tobie, a drugi twemu tatusiowi!

Ostatni dzień karnawału

## 21. wtorek

Widzieliśmy dziś w czasie pochodu masek bardzo smutną scenę. Dobrze się skończyła, ale mogło być wielkie nieszczęście.

Na placu Św. Karola (San Carlo), który cały był przystrojony w festony<sup>104</sup> białe, żółte i czerwone, zebrało się mnóstwo ludzi. Kręciły się tam różnobarwne maski, przeciągały wozy złocone, obwieszone chorągwiami w kształcie pagód<sup>105</sup>, teatrzyków, łódek, pełne arlekinów<sup>106</sup>, rycerzy, kucharzy, marynarzy i pasterek. Taki ścisk, taki zamęt, że nie wiadomo było, na co patrzeć, a wrzask trąb, rogów, tamburynów, bębnów uszy po prostu rozdzierał. Maski na wozach skacząc i śpiewając zaczepiały pieszych i tych, co to patrzyli z okien, a oni też nie żalowali gardła krzycząc i ciskając w nie pomarańcze i cukierki. Za wozami zaś i za zbitym tłumem, jak okiem sięgnąć, widać było więcej chorągiewki, błyszczące kaski, rozchwiane pióropusze, papierowe hełmy, olbrzymie czepce, nadzwyczajne zbroje, ogromne trąbiska, czerwone czapeczki, butle idące na nogach jak ludzie, kapelusze z dzwonekami, a wszyscy wyglądali jak wariaci.

Kiedy nasz powóz wjeżdżał na plac, jechał naprzeciw nas wspaniały wóz, zaprzężony w cztery konie pokryte makatami haftowanymi złotem, cały w girlandach róż sztucznych, na którym było kilkunastu panów, przebranych w stroje francuskiego dworu, w świetnych jedwabiach, w białych perukach, z kapeluszami składanymi pod pachami i szpadami

Zabawa

<sup>102</sup>ekwilibrysta — akrobata. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>sold — drobna moneta włoska. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>feston — rodzaj wiszącej dekoracji z roślin bądź z tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>pagoda — chińska świątynia w formie wieży z charakterystycznym, wielopoziomowym dachem. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>arlekin — postać zakochanego sługi z komedii dell'arte. [przypis edytorski]

u boków, z pękami wstążek i w koronkowych żabotach<sup>107</sup> na piersiach — prześlicznych! Panowie ci chórem śpiewali francuską piosenkę i rzucali cukierki publiczności, która biła im brawo i krzyczała „wivat”.

Wtem na lewo od nas człowiek jakiś podniósł ponad tłum małą dziewczynkę pięcioletnią, może sześciolletnią, niebożętko jakieś płaczące rozpaczliwie, które trzęsło rączkami jak gdyby w konwulsjach<sup>108</sup>. Człowiek ten przedarł się przez wszystkich do wozu tych panów, a gdy jeden z nich schylił się, ów zawołał głośno:

— Weźcie, panowie, tę dziewczynkę! Zgubiła matkę w tłumie. Podnieście ją na rękę, matka musi gdzieś tu blisko być, to zobaczy. Nie ma innej rady!

Jakiś pan wziął małą na ręce, inni przestali śpiewać, a dzieciak darł się wniebogłosy bijąc rękami i nogami w powietrzu. Pan zdjął maskę, a wóz posunął się powoli dalej.

Tymczasem na przeciwległym końcu placu jakaś uboga kobieta z na wpół obłąkaną twarzą przedzierała się przez tłum pięściami i łokciami, krzycząc przeraźliwie:

— Mańka! Mańka! Mańka! Dziecko zgubiłam! Porwali mi dziecko!... Zdusili!... Zdeptali!...

Krzyczała tak już od chwil paru, tu, to tam, popychana przez tłum, wśród którego chciała się gwałtem przedrzeć.

Tymczasem ów pan na wozie trzymał na rękach małą, przytulając ją do wstążek i koronek na piersiach, a wzrokiem szukając matki. Daremnie jednak chciał uspokoić dziewczynkę, która zakrywszy twarz rękami krzyczała, jakby jej serduszko pęknąć miało. Inni panowie z wozu dawali jej cukierki i pomarańcze, ale odtrącała wszystko, coraz bardziej przerażona i coraz niespokojniejsza.

— Ludzie! Szukajcie matki tego dziecka! — krzyknął pan.

Matka

Wszystkie głowy zwracały się to w prawo, to w lewo, matki nie było wszakże widać nigdzie. Nareszcie przy samym wylocie ulicy Rzymskiej na plac kobieta owa rzuciła się z krzykiem do wozu. Ach, nigdy jej nie zapomnę!

Niepodobna była do ludzkiej istoty.

Włosy rozpięte, zwichrzone, twarz wykrzywiona, odzież poszarpana a krzyk radości i trwogi, więcej do ryku zwierzęcia niż do głosu człowieczego podobny. Z rykiem tym wyciągnęła ręce, zakrzywiwszy palce jak szpony. Wóz stanął.

— Macie tu swoją małą! — rzekł pan i ucałowawszy dziewczynkę podawał ją matce. Kobieta chwyciła dziecko jak furia. Ale jedna z rączek maleńkiej nie mogła się przez chwilę wyplątać z wstążek i koronek pana, który zdjawszy z palca brylantowy pierścień włożył go szybkim ruchem na paluszek dziecka i rzekł:

— Masz! Będziesz miała na zaręczyny!

Matka podniosła głowę i stała jak wryta, a tłum widzów zaczął bić brawo. Wtedy pan włożył szybko maskę, towarzysze jego podjęli na nowo nutę francuskiej piosenki, a wóz, wśród okrzyków i oklasków, z wolna się oddalił.

Mali niewidomi

### 23. czwartek

Nauczyciel bardzo jest chory. Przysłał na swoje miejsce tego z czwartej klasy, który był dawniej nauczycielem w Instytucie Niewidomych, a jest najstarszy ze wszystkich i tak siwy, że zupełnie jakby miał perukę z bawelny, i jeszcze tak jakoś szczególnie mówi, że to jak gdyby śpiewał z wolna ogromnie smutną i melancholijną pieśń. Jest wszakże bardzo dobry i bardzo uczony. Zaledwie do klasy wszedł i zobaczył jednego z uczniów z zawiązanym okiem, zaraz się do niego zbliżył i zapytał, co mu jest w to oko.

— Szanuj, chłopcze, wzrok! Strzeż oczu! Dbaj o nie! — mówił mu dowiedziawszy się, że to nic wielkiego.

A wtedy Derossi zapytał:

— Czy to prawda, panie nauczycielu, że pan uczył niewidomych chłopców?

— Prawda. I przez długie lata.

A na to Derossi z cicha:

<sup>107</sup>żabot — dekoracja ze zmarszczonej tkaniny. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>konwulsje — drgawki. [przypis edytorski]

— To niech nam pan co o nich opowie!  
Nauczyciel odszedł od ławki i siadł przy swoim stoliku.  
Wtedy Coretti rzekł głośno:  
— Instytut ślepych jest przy ulicy Nicejskiej.  
Nauczyciel pokiwał siwą głową.

— Ślepych... ślepych... Tak mówisz: ślepych, jakbyś mówił chorych, biednych czy tam co... Ale czy ty dobrze rozumiesz znaczenie tego słowa? Pomyśl tylko: być ślepym... Nie widzieć nigdy, nigdy nic! Nie odróżniać dnia od nocy, nie widzieć słońca i nieba ani rodziców własnych, ani nic z tego wszystkiego, co nas otacza, czego się dotknąć można. Być pograżonym w wieczystej ciemności i jak gdyby pogrzebanym we wnętrznościach ziemi. Spróbujcie na chwilę zamknąć oczy i pomyśleć, że tak zostanieie na zawsze! Alboż nie czujecie przestrachu i zgrozy? Alboż wam się nie zdaje, że niepodobna<sup>109</sup> tak wytrzymać, że zaczniecie zaraz krzyżeć, że zwariujecie chyba i pomrzecie...

A przecież, moje dzieci, kto wejdzie po raz pierwszy do Instytutu Niewidomych podczas rekreacji<sup>110</sup>, a posłyszycie tych biedaków, jak grają na skrzypcach, na fletach, jak rozmawiają głośno i ze śmiechem, kto zobaczy, jak wbiegają na schody i zbiegają z nich szybkimi krokami, z jaką swobodą kręcą się po korytarzach, po sypialniach, ten nigdy by nie powiedział, że są tak nieszczęśliwi, jak są w istocie.

Trzeba im się tylko przypatrzeć.

Są tam młodzieńcy szesnasto- i osiemnastoletni, silni i weseli, którzy kalectwo swoje znoszą jakby od niechcienia, owszem, jakby z brawurą, ale widać z gorzkiego i dzikiego wyrazu ich twarzy, ile wycierpieli, ile przewalczyć musieli, zanim się pogodzili ze swoim nieszczęściem.

Są inni, z twarzą bladą i łagodną, w której uderza wielka rezygnacja, a przy tym taki przejmujący smutek, iż łatwo zrozumieć, że jeszcze nieraz płaczą nad sobą w ukryciu.

Ach, dzieci moje! Pomyślcie tylko, że wielu z tych nieszczęsnych straciło wzrok nagle prawie, w dni kilka, że inni znowu oślepli po latach męczeństwa, po różnych okropnych operacjach, które były daremne. Że jeszcze inni, a takich bardzo jest wielu, urodzili się już niewidomymi, w jakiejś straszliwej nocy, która już nigdy dla nich rozednieć nie miała, i że weszli w świat, jakby w wielki grób czarny, że nie wiedzą, jak twarz ludzka wygląda.

Wyobraźcie teraz sobie, co cierpieć muszą, kiedy pomyślą o tej różnicy, jaka zachodzi pomiędzy nimi a tymi, którzy świat ten widzą, i kiedy sami siebie pytają z goryczą: „Dlaczego? Cośmy zawinili komu?”

Więc kiedy pomyślę, ja, który na nich patrzyłem lat tyle, kiedy wspomnę wszystkie te oczy raz na zawsze zamknięte, wszystkie te źrenice bez wzroku, bez światła, bez życia, a potem spojrzę na was, to zdaje mi się niepodobieństwem, żebyście nie czuli, jak ogromnie szczęśliwi jesteście! Pomyślcie tylko: Jest we Włoszech około dwudziestu sześciu tysięcy niewidomych!

Dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, którzy nie widzą jasności dziennej! Rozumiecie? Przecież to cała armia, której przejście pod oknami naszej szkoły zabrałoby przynajmniej cztery godziny czasu!

Nauczyciel zamilkł. W całej klasie nie było słycać nawet i oddechu.

Po chwili Derossi przerwał tę ogólną ciszę pytając, czy prawda, że ociemniali mają zmysł dotykania delikatniejszy niżli ci, co widzą?

Nauczyciel rzekł:

— Prawda! I nie tylko dotykane. Wszystkie inne zmysły doskonalą się w nich szybko, bo każdy z nich musi w pewnej mierze wzrok im zastępować. Wycwiczone więc bywają nieraz tak, jak się nie zdarza nigdy u tych, którzy widzą.

Nieraz zbudziwszy się zapyta jeden drugiego w sypialni:

— Czy dziś słońce? — a który się prędzej ubierze, biegnie na dziedziniec, porusza w powietrzu rękami, żeby uczuć słoneczne ciepło, i wraca z dobrą nowiną: — Jest słońce!

Po głosie mówiącej osoby umiejają wzrost jej rozpoznać. My z oczu, ze spojrzenia odgadujemy duszę człowieka, oni — z dźwięku mowy. Latami też całymi pamiętają brzmienie czyjegoś głosu, jego intonację. Rozpoznają też, czy w pokoju jest jedna osoba, czy więcej,

<sup>109</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>rekreacja (daw.) — przerwa międzylekcyjna. [przypis edytorski]

choć jedna tylko mówi, a inni są całkiem nieruchomi. Dotknięciem samym miarkują, czy łyżka jest dobrze, czy źle oczyszczona. Małe dzieci rozróżnić potrafią, wzięwszy wełnę w palce, czy jest farbowana, czy też ma kolor naturalny. A gdy idą parami przez ulicę, rozróżniają powonieniem każdy sklep nieomal; taki nawet, w którym my żadnej nie czujemy woni.

Strzelają z procy i po świcie pocisku wiedzą, gdzie padł, i prosto po niego idą. Biegają za kółkiem, grają w kręgle, skaczą przez sznur, wyrabiają pudełka, wyrzynają skrzypki, zupełnie jakby widzieli. Robią kobiałki, koszyki, przeplatając różnobarwną słomą dokładnie podług rysunku. Takie mają czucie w palcach! To czucie jest ich wzrokiem; jedną też z największych przyjemności jest dla nich dotykać jakiejś rzeczy i odgadywać w ten sposób jej kształt, jej wygląd zewnętrzny.

Ogromnie to wzruszający widok, kiedy ich poprowadzą do muzeum przemysłowego i pozwolą im tam dotykać wszystkiego! Trzeba widzieć, z jaką radością rzucają się na figury geometryczne, na sprzęty domowe, na instrumenty, narzędzia, na modele domów, kościołów! Z jaką uciechą obwodzą dłonią kształt każdy, jak pocierają przedmioty palcami, jak wszystko obracają w rękę, żeby widzieć, jak to jest zrobione!

Słuchaliśmy z największym zaciekawieniem, choć nauczyciel umilkł, gdy wtem Garroffi zapytał, czy to prawda, że niewidomi chłopcy daleko łatwiej uczą się rachunków.

Nauczyciel odpowiedział:

— Prawda. Z wielką łatwością uczą się arytmetyki. Mają do tego umyślnie przygotowane książki z wypukłym drukiem; posuwają po nich palcem, rozpoznają litery i wymawiają wyrazy. Czytają biegle. A jak się to biedactwo wstydzi każdej pomyłki! Jak się to zaraz czerwieni! A i piszą także.

Zadziwicie się może, gdy wam powiem, że piszą — bez atramentu.

Mają oto przed sobą gruby, twardy papier, z ruchomą ramką metalową, która odbija mnóstwo punkcików wklęsłych i ułożonych podług specjalnego alfabetu. Punkciki te wychodzą odbite wypukło po drugiej stronie papieru, tak że odwróciwszy arkusz i wodząc palcem po tych wypukłościach z łatwością czytać mogą i to, co sami napisali, i pismo innych także; tym sposobem piszą wypracowania, a także i listy pomiędzy sobą. Podobnie piszą liczby i robią rachunki. Pamięciowe zadania geometryczne odrabiają z niesłychaną łatwością, może dlatego, że nie przeszkadza im w zebraniu myśli żaden widok zewnętrznych przedmiotów, jak się to nam zdarza...

A żebyście wiedzieli, jak szalenie lubią słuchać, kiedy im kto czyta! Jak uważają, jak pamiętają wszystko, jak malcy nawet rozprawiają między sobą o gramatyce, o historii! Jak siedząc rzędem w jednej ławce i nie obracając się ku sobie rozmawia pierwszy z trzecim, drugi z czwartym albo z piątym, głośno, wszyscy razem, nie tracąc przecież jednego słówka, tak mają słuch bystry i czujny. I zapewnić was mogę, że więcej dbają o egzaminy niż wy i że przywiązują się daleko bardziej do swoich nauczycieli. Każdego nauczyciela rozpoznać potrafią po odgłosie kroków, po woni odzieży. Spostrzegają natychmiast, czy jest w złym, czy w dobrym humorze, czy surowy, czy pobłażliwy, po dźwięku jednego słówka. A gdy ich nauczyciel pochwali, kiedy ich zachęca, proszą, żeby ich dotknął, i głaszczą go po rękawach, żeby wyrazić swą wdzięczność.

I między sobą żyją zgodnie, życzliwie; dobrzy z nich koledzy!

W czasie rekreacji trzymają się zawsze razem albo też kupkami bliżej żyjących z sobą. Dziewczęta na przykład tworzą grupy podług instrumentów muzycznych, na których grają. Jest grupa skrzypaczek, flecistek, fortepianistek i te nie rozłączają się nigdy.

Już to jak kogo taki biedaczek pokocha, to — na amen! Przyjaźń jest dla nich ogromną pociechą. A umieją też między sobą oceniać się właściwie. Mają bardzo jasne, bardzo głębokie pojęcie złego i dobrego. Żaden też z was, moje dzieci, nie odczuwa tak żywo, z takim uniesieniem pięknego, szlachetnego czynu!

Vatini zapytał, czy dobrze grają.

— Muzykę miłują nadzwyczajnie! — odrzekł nauczyciel. — Muzyka to ich radość, ich życie! Mali ociemnieli, zaledwie do Instytutu przybyli, zdolni są stać dwie, trzy godziny bez zmęczenia słuchając muzyki. Uczą się też jej łatwo i grają z namiętnym zamiłowaniem. Skoro któremu z nich nauczyciel powie, że nie ma do muzyki zdolności, sprawia mu to niesłychaną boleść, ale zaczyna uczyć się sam, oddzielnie.

Muzyka



Ach, żebyście wy kiedy słyszeć mogli tę ich muzykę! Żebyście mogli widzieć, jak oni tam grają z tym podniosłym czołem, z tym uśmiechem na ustach, zachwyceni jakby tą harmonią, którą rozlewają w nieskończonym mroku, jaki ich otacza. Dopiero byście uczyli, jaka to w muzyce słodycz i boska pociecha. A jacy szczęśliwi, jak promienieją radością, kiedy któremu z nich powie nauczyciel: „Zostaniesz artystą”. Dla nich ten, kto w muzyce pierwszy, czy to w grze na fortepianie, czy na skrzypcach — jest jakby królem. Kochają go, czczą niemal. Jeśli powstanie spór pomiędzy dwoma — idą do niego, żeby ich rozstrzygnął. Jeśli się dwóch przyjaciół poróżni — idą do niego, żeby ich pojednał. A ci najmniejsi, których taki grać uczy, za ojca go mają. Nie pójdzie żaden spać, póki mu dobranoc nie powie. A i mówią też o muzyce ciągle. Już są w łózkach, godzina późna, oni wszyscy zmęczeni nauką i pracą, wpółsenni — a jeszcze rozpowiadają sobie cichym głosem o operach, o kompozytorach, o instrumentach, o orkiestrze. Pozbawienie zaś lekcji muzyki i odczytywania nut jest dla nich karą tak ciężką i tak bolesną, że nie ma się prawie odwagi ukarać którego z nich w ten sposób.

Muzyka dla ich serca tym, czym światło jest dla naszych oczu...

Zamyślił się nauczyciel podparłszy głowę, gdy wtem Derossi zapytał, czy nie można by kiedy iść tam ich zobaczyć.

— Owszem, można — odpowiedział nauczyciel — ale wy, chłopcy, teraz jeszcze tam iść nie powinniście. Pójdziecie później, jak będziecie w stanie pojąć cały ogrom takiego nieszczęścia i uczuć całe współczucie dla tych, którzy są nim dotknięci.

To bolesny widok, moje dzieci.

Wszak przechodząc tam niekiedy widzicie chłopców siedzących w otwartych oknach dla odetchnięcia świeżym powietrzem, którzy, zdaje się, patrzą na szerokie zielone doliny, na błękit gór, które widzicie tam, z dala. I pomyśleć, że oni siedząc tak i patrząc nie widzą nic i nic nigdy nie zobaczą z tej niezmiernie piękności rodzinnego kraju, czy i to nie ścisła duszy tak, jakbyście sami nagle wzrok stracili? Jeszcze ci, którzy się urodzili już ślepi, mniej budzą litości; nie widzieli nigdy nic, nie żałują niczego, bo oniczym wyobrażenia nie mają.

Ale tam są chłopcy, którzy zaniewidzieli od kilku, paru miesięcy; którzy wszystko mają w żywej pamięci i rozumieją doskonale to, co utracili! Którzy nadto z niezmierną boleścią spostrzegają, jak co dzień po trochu zacierają się w ich myśli najdroższe obrazy, którzy czują, że najmilsi, najbardziej kochani umierają jak gdyby w ich duszy...

Jeden z tych nieszczęśliwych tak mówił do mnie pewnego dnia z niewysłownym smutkiem:

— Chciałbym, pragnąłbym gorąco, choć na jeden moment odzyskać wzrok dawny, żeby zobaczyć twarz mamy, bo jej już nie pamiętam prawie!

A kiedy matka przyszła go odwiedzić, dotykał twarzy jej rękoma, od czoła wodząc dłonią aż do brody, żeby uczuć jej drogie rysy i jakby nie mogąc wyperswadować<sup>111</sup> sobie, że jej nie zobaczy, wołał na nią: „Mamo!” — jak gdyby błagając, żeby mu się dała widzieć, choć na jedną chwilkę.

Nawet obyci z nieszczęściami, zahartowanego serca ludzie płakali wyszedłszy stamtąd.

A kiedy się stamtąd wychodzi, to zdaje się, że ci, co widzą niebo, słońce i ludzi współbraci są jakimś szczęśliwym, niezastępowanym uprzywilejowanym wyjątkiem.

Pewien jestem, że nie ma wśród was takiego, który by opuszczając tamte smutne progi nie chciał, nie pragnął oddać choć odrobinę swego wzroku tym nieszczęśliwym dzieciom, dla których słońce nie ma światła, a matka nie ma oblicza!

Chory nauczyciel

## 25. sobota

Wczoraj, po wyjściu ze szkoły, poszedłem odwiedzić mego nauczyciela, który jest chory. Za wiele pracuje i dlatego chory. Pięć godzin lekcji dziennie, i to z takimi jak my łobuzami, do tego jeszcze godzina lekcji gimnastyki i dwie godziny w szkole wieczornej, to znaczy za mało spać, jeść dorywkami tylko i wytężyć siły od rana do nocy, co mu też zrujnowało zdrowie, tak mówi moja matka.

<sup>111</sup>wyperswadować — wytłumaczyć. [przypis edytorski]

Zaczekała mama na mnie w bramie tego domu, a ja poszedłem sam na górę. Na schodach spotkałem tego czarnego brodacza, Coattiego, co to zawsze swoim uczniom grozi, a nigdy ich nie karze. Spojrzał na mnie srogimi oczyma i jak lew ryknął swoim grubym głosem odpowiadając na moje powitanie. Mimo tego żartu jednak nie roześmiał się wcale. Ja za to śmiałem się jeszcze pociągając dzwonek na czwartym piętrze; ale spoważniałem natychmiast, kiedy służąca wprowadziła mnie do ubogiego, wpółciemnego pokoju, w którym leżał mój nauczyciel. Leżał na niewielkim łóżku żelaznym, był blady, z zarośniętą brodą. Kiedym wszedł, podniósł rękę do czoła, żeby lepiej widzieć, i zawołał swoim miłym, przyjaznym głosem:

— Henryk!

Podszedłem do łóżka, a on mi rękę chudą na ramieniu położył i rzekł:

— Dobrze, dziecko! Dobrze, żeś przyszedł odwiedzić twego biednego nauczyciela! Jak widzisz, nietęgo się miewam, mój drogi Henryku! A jakże tam idzie nauka w szkole? Jak się mają koledzy twój? Wszystko dobrze, co? I beze mnie... Obywacie się doskonale, nieprawdaż, bez swego starego nauczyciela?

Chciałem odpowiedzieć, że nie, ale przerwał:

— Daj spokój, daj spokój! Wiem i tak, żeście mi życzliwi...

I westchnął. Spojrzałem na kilka fotografii, wiszących na ścianie. Spostrzegł to i rzekł:

— Widzisz, to wszystko moi uczniowie, którzy mi dali swoje portreciki, od lat dwudziestu przeszło... Dobre chłopczyska. To moje najmilsze pamiątki. Jak będę umierał, ostatnie moje spojrzenie będzie dla tych malców, wśród których ubiegło mi życie. Ty także dasz mi swój portrecik, prawda, jak skończysz elementarną szkołę?

Sięgnął do stolika przy łóżku, wziął pomarańczę i dał mi ją do ręki.

— Nie mam cię poczęstować czym innym — rzekł. — Taki oto poczęstunek chorego...

A ja patrzyłem na jego twarz bladą i miałem serce ściśnięte smutkiem, sam nie wiem czemu.

— Słuchaj, chłopcze — zaczął po chwili znów mówić — spodziewam się wygrzebać jakoś z tej choroby. Ale gdybym się nie wygrzebał, uważasz, to przykładaj się bardziej do arytmetyki, bo to twoja słaba strona. Przewycięż się, przemóż. Tylko o pierwsze przemnożenie się chodzi na razie, bo tobie nie zdolności brak, ale skupienia myśli, wpatżenia się w przedmiot, że tak powiem...

Tu odetchnął głęboko; znać było, że cierpi.

— Gorączkę mam — westchnął — że ledwo już żyję... Pamiętajże, dziecko! Arytmetyka, zadania arytmetyczne, do tego się ostro zabrać musisz! Nie uda się pierwszym razem? Odpocznij — i znowu je za łeb! Nie uda się i drugim razem? Znowu odpocznij i — do nich! A spokojnie, a wytrwale, a bez niepotrzebnego pośpiechu, bez nabijania sobie głowy... Idź. Pokłoń się mamie.

A nie drap się już na te schody... Zobaczymy się w szkole.

A jakbyśmy się już nie zobaczyli, wspomnij czasem twego nauczyciela z trzeciej, który cię kochał.

Na te słowa rozplakałem się. A on:

— Przychyl głowę...

Przychyliłem głowę do poduszki, pocałował mnie we włosy.

Potem rzekł jeszcze:

— Idź! — i odwrócił twarz do ściany.

A ja zbiegłem jak wiatr ze schodów, tak mi było pilno uściskać matkę moją.

Ulica

25. sobota

... Patrzyłem na ciebie z okna, dziś wieczorem, kiedyś powracał od nauczyciela. Potrafiłeś jakąś kobietę. Uważaj lepiej na to, jak się masz na ulicy zachować. Bo i tam są pewne obowiązki, które wypełniać trzeba.

Jeżeli miarkujesz<sup>112</sup> swoje kroki i swoje ruchy w prywatnym jakimś domu, dlaczego nie miałbyś tak samo czynić na ulicy, która jest domem dla wszystkich.

Pamiętaj, Henryku, to, co ci tu powiem: Ilekroć spotkasz starca niemocnego albo kobietę z dzieckiem na ręku, albo kalekę na szczydlach, albo człowieka schyłego pod ciężarem, albo rodzinę w żałobie, ustąp na bok przed nimi z szacunkiem, gdyż obowiązkiem naszym jest szanować starość, nędzę, miłość macierzyńską, kalectwo, pracę i — śmierć.

Ile razy widzisz, że wóz albo powóz najeżdża na kogo, usuń go, jeśli to dziecko, przestrzeż, jeśli to człowiek dojrzały. Gdy widzisz dziecko na ulicy płaczące i samo, zapytaj zawsze, co mu jest i dlaczego płacze; a gdy starzec upuścił swą laskę, schyl się i podnieś mu ją śpiesznie. Jeśli się dwoje dzieci bije na ulicy — rozłącz je, jeżeli dwóch dorosłych — oddal się; nie chciej być nigdy widzem brutalnych gwałtów, bo to obraża i zatwardza serce.

Lecz jeśli byś spotkał kiedy człowieka w więzach, idącego z dwoma strażnikami, nie przyłączaj się do okrutnej ciekawości tłumu; pomyśl, że człowiek ten niewinnym być może.

Przestań rozmawiać z kolegą i śmiać się, kiedy mijasz lektykę<sup>113</sup> szpitalną i wóz ratunkowy, bo może tam być ktoś umierający, a może umarły; a taki smutny pochód z twego domu wyjść by mógł dnia którego...

Patrz z poważaniem na te długie rzędy dzieci idących parami z różnych instytucji: na ociemniałych, na niemowły, na ułomnych, na sieroty, na nieszczęśliwe, opuszczone dzieci. Pomyśl wtedy, że oto przechodzi nieszczęście i miłosierdzie ludzkie.

Czyń tak, jakbyś nie widział, gdy napotkasz ułomność jakąś wstrętną albo śmieszna.

Miej też zwyczaj przydepnąć, zagasić każdą palącą się zapałkę, bo może ona być przyczyną smutnego wypadku.

Odpowiadaj zawsze uprzejmie, gdy cię który z przechodniów o drogę zapyta.

Nie przyglądaj się nikomu ze śmiechem, nie biegnij bez potrzeby, nie krzycz.

Szanuj ulicę — dom wszystkich.

Wyrobienie, cywilizacyjne wykształcenie jakiegoś narodu ocenia się przede wszystkim ze sposobu, w jaki się naród ten zachowuje na ulicy. Tam gdzie widzisz nieobyčajność, grubiaństwo na ulicy, znajdziesz je z pewnością i w domach. I znaj ulice, synu. Ucz się tego miasta, w którym żyjesz. Gdybyś jutro znalazł się daleko od nich, jakże by ci było przyjemnie mieć je w pamięci — jak żywe; przebiegać je myślą, to miasto twoje, twoją małą ojczyznę, które przez tyle lat światem ci całym było. Gdzieś stawał pierwsze kroki przy boku twej matki, gdzieś doznał pierwszych wrażeń, gdzie umysł twój otworzył się pierwszym pojęciom, gdzieś znalazł pierwszych przyjaciół.

Bo i to miasto jest ci jako matka. Uczyło cię, rozweselało, strzegło. Poznawajże je w ulicach jego i w jego mieszkaniach. I kochaj je także, a gdy mu kto urągać będzie, stań w jego obronie.

*Twój ojciec.*

## MARZEC

Szkoła wieczorna

2. czwartek

<sup>112</sup>miarkować (daw.) — powściągać, ograniczać. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>lektyka — tu: kryte nosze. [przypis edytorski]

Zaprowadził mnie wczoraj ojciec do wieczornej szkoły okręgu naszego, kiedy już światła były zapalone, a robotnicy zaczęli się schodzić.

Kiedyśmy weszli, dyrektor i nauczyciel byli bardzo rozgniewani, bo właśnie co tylko rzucił ktoś kamieniem w okno i wybił szybę. Pedel<sup>114</sup> wybiegł na ulicę, przytrzymał jakiegoś chłopca, ale zaraz nadszedł Stardi, który mieszka naprzeciwko, i powiedział, że to nie ten.

— Widziałem na własne oczy — mówił — że kamień w okno rzucił Franti i jeszcze krzyknął do mnie: „A piśnij tylko słowo, to zobaczysz!” — Ale ja się nie boję.

Dyrektor powiedział, że Franti będzie wydalony ze szkoły na zawsze.

Przypatrywałem się robotnikom, którzy wchodzili po dwóch, po trzech i już ich było ze dwustu może w sali.

Nie wiedziałem, że to taka piękna rzecz ta wieczorna szkoła. Bo to i chłopcy tam tacy po dwunastu latach, i mężczyźni z wąsami, z brodami, co od roboty wrócili, a teraz przychodzą tu z kajetami, z książkami, zupełnie jak my do klasy! Są stolarze, są palacze z czarnymi twarzami, są murarze z zawapnionymi rękami, są piekarczyki ubieleni mąką, a na sali czuć zapachy lakieru, skór, oliwy, smoły, zapachy wszystkich rzemiosł i warsztatów!

Przyszedł także oddział robotników artyleryjskich, w mundury ubranych, ze swoim kapralem.

Zaraz wszyscy posiadali w ławkach, popodnosili deseczki, na których my opieramy nogi, i pochylili nad książkami głowy. Kilku podeszło z otwartymi kajetami do nauczycieli prosząc o wyjaśnienia.

Zaraz zobaczyłem tego młodego, wyelegantowanego nauczyciela, któregośmy „adwokacikiem” przezwali. Stało przy jego stoliku trzech czy czterech robotników, a on im ćwiczenia poprawiał. I ten, co utyka na nogę, też był, widziałem, jak się śmiał z jakimś farbierzem, który mu przyniósł kajet zasmarowany na różowo i na niebiesko.

Był i mój nauczyciel, który, dzięki Bogu, wyzdrowiał i jutro przyjdzie do nas.

Drzwi z dolnej ogólnej sali były do wszystkich klas na roścież otwarte.

Zdumiony byłem, gdy zaczęły się lekcje, jak wszyscy pilnie uważali, jak słuchali wykładów z nieruchomym wzrokiem.

— A przecież — mówił dyrektor — wielu z nich, żeby się nie spóźnić, przychodzi tu prosto od roboty, nie wstępując do domu, żeby co przekąsić, i są głodni.

Tylko pomniejszym chłopcom, po jakiej pół godziny lekcji, zaczęły się oczy kleić, a kilku, którzy na dobre chrapnęli oparłszy głowy o ławkę, nauczyciel zbudził trącając ich piórem w ucho. Ale ci dorośli nie! Wszyscy słuchali lekcji z otwartymi ustami i żaden nie mrugnął nawet okiem. Okropnie było śmiesznie patrzeć, jak ci wąsale i brodacze w naszych ławkach siedzą.

Poszliśmy także na piętro, pobiegłem do drzwi naszej klasy i zobaczyłem, że na moim miejscu siedzi jakiś robotnik z okrutnymi wąsiskami, z obwiązaną ręką, którą pewno przy maszynie skaleczył, i powoli, powoli usiłuje pisać. Ale najbardziej podobało mi się to, kiedy na miejscu Mularczyka, w tej samej ławce i w tym samym rogu, zobaczył ojca jego, tego olbrzymiego murarza, który tam siedział podparty łokciami, trzymając brodę na rękach, a oczy utkwivszy w książce, tak zagłębiany w nauce, że nie tchnął prawie.

Nie był to prosty wypadek<sup>115</sup>. Owszem, on sam przyszedł pierwszego zaraz wieczora do dyrektora i prosił:

— Niechże pan dyrektor będzie taki łaskaw na mnie, żebym mógł siedzieć na miejscu mego „zajęczego pyszczka”. — Bo on go tak zawsze nazywa.

Kiedyśmy nareszcie wyszli z ojcem, zobaczyliśmy, że na ulicy dużo bardzo kobiet z dziećmi na rękę czeka mężów swoich i że zaraz w bramie następuje zamiana: ojciec bierze od matki dziecko, oddaje jej książki i kajety, i tak wracają do domu. Przez kilka chwil ulica pełna była ludzi i wrzawy ich głosów.

Po czym ucichło wszystko i zobaczyliśmy tylko długą, znużoną postać dyrektora, jak się oddalał powoli.

<sup>114</sup>pedel (daw.) — woźny. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>wypadek — tu: przypadek. [przypis edytorski]

## Walka

### 5. niedziela

Można się było spodziewać tego.

Franti, wypędzony przez dyrektora, postanowił się zemścić i zaczaiwszy się za węglem czekał na Stardiego, który po wyjściu ze szkoły wstępował zwykle na ulicę Wielkoziółtą po siostrę i razem z nią tędy powracał. Widziała to moja siostra Sylwia i wystraszona przybiegła do domu.

I stało się tak: Franti, w swojej ceratowej czapce wsadzonej na bakier, pobiegł na palcach za Stardim i szukając zaczepki pociągnął z tyłu za warkocz siostrę jego tak silnie, że mało jej na wznak nie przewrócił. Dziewczynka krzyknęła, brat jej się odwrócił, Franti o wiele od Stardiego wyższy i silniejszy rzekł:

— Albo nie piśniesz, albo cię zamaluję.

Stardi nie myślał długo i choć tak mały i gruby, rzucił się na tego dryblasa i zaczął walić pięścią, gdzie popadło. Niewiele mu jednak mógł zrobić, bo Franti chwycił go za oba ramiona. Na ulicy były tylko dzieciaki i nikt nie mógł bijących się rozdzielić.

Cisnął teraz Franti o ziemię Stardiego, ten zerwał się w mig, ale znów runął, a Franti walił w niego jak w kłodę. W jednej chwili rozerwał mu ucho, podbił oko i trzasnął pięścią w twarz tak, że biednemu chłopcu krew z nosa poszła. Ale Stardi twardy! Zaryczał tylko:

— Zabijesz mnie, ale ja ci zapłacę!

I oto Franti buch o ziemię, a Stardi na nim, kopie go, łbem bodzie jak baran, a kuje po nim pięścią, jakby młotem.

Jakaś kobieta woła z okna:

— Brawo, mały!

A inne:

— On broni swojej siostry.

A jeszcze inne:

— Bij! Nie daruj! A zdzielże go tego!

A do Frantiego:

— Na mniejszych się rzuca! Tchórz! Podły!

A wtem Franti się zerwał, podstawił nogę, Stardi padł, a ten dopieroż po nim!

— Poddaj się!

— Nie poddam!

— Poddaj się!

— Nie!

W mgnieniu oka Stardi się zerwał, chwycił Frantiego wpół, przegął go z szalonym wysiłkiem i wściekle o bruk cisnąwszy, padł mu jednym kolaniem na piersi.

— O nikczemnik, ma nóż! — krzyknął jakiś człowiek nadbiegając, aby rozbroić Frantiego. Ale już Stardi chwycił niegodziwca obu rękami za ramię i tak go ugryzł w zaciśniętą pięść, że nóż mu z niej wypadł, a krew broczyć zaczęła.

Teraz dopiero nadbiegli inni, rozerwali ich, podnieśli; Franti powlókł się poturbowany, na czworakach prawie, a Stardi został na placu bitwy, podrapany srodze na twarzy, z okiem podbitym, ale zwycięski, obok płaczącej siostry, wpośród chłopców, którzy zbierali rozrzucone po ulicy książki i kajety.

— Dzielny malec! — odzywały się dokoła głosy kobiet. — Nie dał ukrzywdzić siostry! Obronił!...

Ale Stardi, który się bardziej troszczył o swój tornister niżli o zwycięstwo, zaraz zaczął po jednym oglądać najpierw książki, potem kajety, czy nie brakuje czego, czy wszystko w całości, powycierał rękawem, obejrzał piórniki, każdą rzecz na swoim miejscu ułożył, po czym spokojny i poważny jak zwykle rzekł do swojej siostry:

— Pójdźmy prędko, bo mam robić zadanie na wszystkie cztery działania.

Rodzice uczniów

### 6. poniedziałek

Dzisiaj rano przyszedł po syna ten gruby Stardi, ojciec, bo się bał, żeby chłopak znowu nie spotkał się z Frantim. Ale Franti, powiadają, że się już nie pokaże w tej ulicy, bo by go chyba do kozy<sup>116</sup> zaraz wzięli. Bardzo dużo rodziców przyszło dziś przed szkołę, bo taka się niespokojność przez tę wczorajszą bójkę zrobiła. Był też między innymi ten handlarz drzewem, ojciec Corettiego, wykapany portret swego syna! Tak samo zwinny, wesoły, tyle tylko, że ma spiczaste wąsiki i dwukolorową wstążeczkę w dziurce od guzika. Ja już prawie wszystkich tych rodziców znam, co po uczniów przychodzi. Czasem to nie rodzice nawet. Bo na przykład jest jedna babusia, zupełnie pochyła, w białym, wielkim czepcu, która czy śnieg, czy burza przychodzi cztery razy dziennie odprowadzając swojego wnuczka z pierwszej wstępnej i zdejmuje mu płaszczyk, to znowu nakłada, wiąże mu krawatkę, otrzepuje go, muska, ogląda kajety. To zaraz widać, że ona tylko tym chłopakiem żyje, że o nim tylko myśli i że nie widzi nic na świecie poza nim. Przychodzi także czasem kapitan artylerii, ojciec Robettiego, tego o kulach, co to uratował dziecko od przejechania, a kto tylko z kolegów przejdzie koło kaleki, to każdy się uśmiechnie mile albo go pogłaska, żeby mu weselej było na świecie, toteż kapitan także albo się każdemu odkloni, albo go popieści. Nie było przypadku, żeby pominął kogo. Do wszystkich się schyla, wita albo żegna, a im który biedniejszy i w gorszej odzieży, tym bardziej zdaje się uradowany i tym mu więcej dziękuje.

Ale i smutne rzeczy widzi się tam czasem. Na przykład jeden pan, co już od miesiąca nie przychodził do szkoły, bo mu synek, co był uczniem, umarł, przyszedł znowu z drugim, młodszym, pierwszy raz po tej stracie. Więc kiedy tę klasę zobaczył i tych kolegów swego syna, który już nie żyje, poszedł do kąta i wybuchnął płaczem zakrywwszy twarz obu rękami, aż go dyrektor wziął pod ramię i do swojej kancelarii zaprowadził.

Są także ojcowie i matki, którzy znają po imieniu wszystkich kolegów swoich synów.

Nieraz też przychodzą po braci dziewczynki z pobliskiej szkoły, a także uczniowie z gimnazjum.

Jest także jeden pan, już stary, który gdy widzi, że jakiś malec upuścił na ulicy pióro albo kajet, to zaraz mu podnosi. A przecież był pułkownikiem!

Zdarza się też widzieć pięknie ubrane panie, jak gawędzą przed szkołą z prostymi kobietami w chusteczkach na głowie i z koszykiem w ręku.

Jedna mówi:

— Ach, jakie też trudne było dziś zadanie!

A druga:

— A ta gramatyka! Jezus Maria, myślałam, że się ten chłopak do świtu będzie uczył.

Kiedy który z uczniów zachoruje, zaraz wszystkie o nim wiedzą, a jak wyzdrowieje, to wszystkie się cieszą. Właśnie dzisiaj z osiem albo z dziesięć otoczyło zieleniarkę, matkę Crossiego, dowiadując się o zdrowie jednego malca, kolegi mego brata z wstępnej, którego rodzice mieszkają w tym samym co i ona podwórzu, a który jest ciężko chory.

Naprawdę się zdaje, że szkoła to wszystkich równa i wszystkich zaprzyjaźnia z sobą!

Numer 78

## 8. środa

Widziałem wczoraj wzruszającą scenę.

Już od pewnego czasu można było zauważyć, że ta biedna zieleniarka, przechodząc koło Derossiego, wpatrywała się w niego z głęboką wdzięcznością. Bo też Derossi, po tym odkryciu tajemnicy kałamarza i więźnia nr 78, szczególną życzliwością otacza syna jego, tego małego Crossi, co to ma włosy rude i zmartwiałą rękę. Pomaga mu odrabiać lekcje w szkole, podpowiada, jak się Crossi zatnie, daje mu papier, pióra, ołówki, zupełnie jakby to był brat. A to wszystko dlatego, żeby mu wynagrodzić za te nieszczęścia ojca, których się niechcący dowiedział, a o których syn nic nie wie.

Więc już ta matka tak na Derossiego patrzyła, tak patrzyła, jakby mu własne oczy oddać chciała, za tę życzliwość dla dziecka, bo to dobra kobieta i żyje tylko dla syna, a ten Derossi, który się nim opiekuje, który go wyróżnia, Derossi, panicz, pierwszy uczeń w klasie, wydaje jej się królewiczem z bajki i ma go sobie za świętego prawie. Wybornie

<sup>116</sup>koza (daw., pot.) — areszt. [przypis edytorski]

widziałem, że od dni kilku zieleniarka tak na Derossiego patrzy, jakby mu coś powiedzieć chciała, a tylko się wstydzi. Aż wczoraj z rana odważyła się jakoś, zatrzymała go we drzwiach i rzekła:

— Niech się panicz nie gniewa, proszę, bo panicz taki dobry dla mojego chłopca, i niech panicz będzie łaskaw przyjąć tę drobną pamiątkę od ubogiej matki.

I wyciągnęła z koszyka z jarzynami szkatuleczkę z białej, wylacanej tektury.

Derossi zaczerwienił się cały, cofnął krokiem i rzekł rezolutnie:

— Niech to pani da synowi. Ja nie przyjmę. Dziękuję!

Kobieta zafrasowała<sup>117</sup> się strasznie i przeproszała zmieszonym głosem:

— Nie chciałam panicza obrazić... To tylko trochę karmelków...

Ale Derossi potrząsnął tylko głową, że nie przyjmie.

A wtedy z wielką nieśmiałością wyjęła z koszyka pęczek różowych rzodkiewek i rzekła:

— Niechże chociaż paniczek te rzodkiewki weźmie, świeżuteńkie, i mamie zanieś.

Derossi uśmiechnął się na to.

— Nie! Bardzo dziękuję, ale nic nie chcę. Zrobię, co będę mógł dla syna pani, bo jest moim kolegą i poczciwym chłopcem, ale nic nie przyjmę. Dziękuję!

— Ale... przecież się paniczyk nie obraził na mnie? — zapytała trwożliwie kobieta.

— Nie, nie! — powtórzył z uśmiechem Derossi i odszedł, a zieleniarka aż w ręce klasnęła.

— Ale cóż to za dobre dziecko takie! A cóż za kochane! Jeszczem też takiego w życiu nie widziała.

No i tak się skończyło tymczasem. Ale o czwartej zamiast matki przyszedł po Crossiego ojciec, z tą swoją bladą, smutną twarzą. Zatrzymał u wyjścia Derossiego, a ze sposobu, w jaki w niego patrzył, poznałem od razu, iż domyśla się, że Derossi odgadł jego tajemnicę.

Więc patrząc tak, rzekł smutnym i wzruszonym głosem:

— Panicz jest bardzo dobry dla mojego dziecka... Dlaczego panicz jest dla niego taki dobry?

Derossi stanął w ogniu cały, tak się zaczerwienił. Widać było, że chciałby po prostu powiedzieć szczerze:

„Bo jest nieszczęśliwy. Bo i wy, ojciec jego, byliście więcej nieszczęśliwi niżeli winni i odpokutowaliście szlachetnie winę swoją, bo macie dobre serce...”

Ale, choć to wszystko można było wyczytać na jego twarzy, brakło mu odwagi, żeby wypowiedzieć w słowach; czuł przy tym jak gdyby jakąś trwożę, jakiś wstręt wobec człowieka, który przelał krew bliźniego i sześć lat przesiedział w więzieniu. A ten biedak, jak gdyby odgadł wszystko, pochylił się do ucha Derossiemu i półgłosem rzekł:

— Panicz jest życzliwy dla dziecka, ale nie pogardza i ojcem... Nieprawdaż?

A Derossi z wybuchem uczucia:

— Nie! O, nie! Całkiem przeciwnie...

A wtedy ten blady, smutny człowiek uczynił nagły ruch, jakby chciał Derossiego objąć za szyję. Ale nie śmiał widać i dotknąwszy tylko jego ślicznych jasnych włosów, poniósł potem rękę swoją do ust i ucałował ją patrząc na chłopca mokrymi od łez oczyną, jakby mu powiedzieć chciał, że to dla niego jest ten pocałunek.

Po czym wziął syna za rękę i odszedł szybkim krokiem.

Mały umarły

### 13. poniedziałek

Ten chłopczyk, kolega mego brata z wstępnej, ten, co to mieszkał w tym samym korytarzu co i zieleniarka, umarł. Panna Delcati, moja dawna nauczycielka, przyszła powiedzieć o tym nauczycielowi w sobotę po południu, a Garrone i Coretti oświadczyli zaraz, że pomogą trumnę nieść.

Był to bardzo pilny chłopczyzna; w przeszłym tygodniu jeszcze dostał medal; i dobry bardzo; ogromnie mego brata lubił i podarował mu raz skarbonkę. Moja matka zawsze go

<sup>117</sup>zafrasować się (daw.) — zmartwić się. [przypis edytorski]

pieściła spotkawszy. Nosił czerwoną sukienną czapeczkę, w której wyglądał jak czerwony grzybek.

Ojciec jego jest tragarzem na kolei.

Wczoraj, w niedzielę, o wpół do piątej po południu, poszliśmy tam do nich do domu, żeby go odprowadzić do kościoła. Mieszkają na parterze. W podwórzu zastaliśmy już dużo chłopców z wstępnej wyższego oddziału z matkami. Trzymali palące się świece. Było także pięciu czy sześciu nauczycieli i kilku sąsiadów.

Panna Delcati i ta młodsza nauczycielka z czerwonym piórem były już wewnątrz mieszkania, a widzieliśmy przez okno, jak tam płakały. Matka chłopczyka też głośno szlochała. Dwie panie, pewno matki kolegów jego szkolnych, przyniosły dwa wieńce kwiatów. O samej piątej pochód ruszył do kościoła.

Najpierw szedł chłopiec z krzyżem w rękę, potem ksiądz, potem trumna. Taka mała, taka maluśka trumienka! Biedne dziecko! I była przykryta czarnym sukniem, a wieńce kwiatów, co te panie przyniosły, opasywały ją wkoło. Na suknie czarnym przypięty był medal i trzy pochwały, które sobie chłopczyka przez ten rok wysłużył. Trumnę nieśli: Garrone, Coretti i dwóch jeszcze chłopców z tej samej sieni. Za trumną szła najpierw panna Delcati i tak płakała, jakby to małe niebożątko było jej własne. Za nią szli nauczyciele, a za nauczycielami wstępniaki, koledzy; niektórzy, zupełnie mali jeszcze, nieśli bukietki fiołków, patrząc z osłupieniem na trumnę, a matki prowadziły ich za ręce, trzymając zapalone świece. Jeden z malców spytał:

— To on teraz nie przyjdzie do szkoły?

Kiedy trumnę wynieśli z sieni, dał się słyszeć z okna krzyk rozpaczliwy matki małego nieboszczątka, ale ją zaraz wprowadzili na powrót do mieszkania. Wyszedłszy na ulicę spotkaliśmy idących we dwa rzędy uczniów z jakiegoś kolegium, którzy, jak tylko zobaczyli trumnę z medalem, nauczycielki i nauczycieli, zaraz odkryli głowy.

Biedne maleństwo! Idzie już spać na zawsze ze swoim medalem! Nie zobaczymy już nigdy jego czerwonej czapeczki!

Był zdrow i we cztery dni już go nie ma. Ostatniego dnia, powiadała matka, jeszcze chciał wstać i uczyć się zadanych przed chorobą słówek... A medal to musieli mu na łóżeczku położyć, bo się bał, że mu kto zabierze.

Nikt ci go już nie zabierze, biedny chłopcze. Żegnaj nam! Śpij z Bogiem! Będziemy cię wspominać zawsze w naszej szkole. Śpij w spokoju, dziecko!

Wigilia 14 marca

Dziś był weselszy dzień od wczorajszego. Trzynasty marca! Wigilia rozdawania nagród w teatrze Wiktora Emanuela; doroczna uroczystość, wielkie, piękne święto! Tym razem nie poniosą świadectw na scenę chłopcy, wzięci na chybił trafił z tej albo z tej szkoły, żeby je przedstawić panom mającym rozdać nagrody. Wcale nie!

Dyrektor przyszedł dziś na „finis” i powiedział tak:

— Chłopcy, przynoszę wam piękną wiadomość!

Potem zawołał:

— Coraci! Kalabryjczyk!

Kalabryjczyk podniósł się w ławce.

— Czy chcesz należeć do tych, którzy jutro poniosą świadectwa do nagród, żeby je władzy przedstawić w teatrze?

Kalabryjczyk odpowiedział, że chce.

— Dobrze! — dyrektor na to. — Tym sposobem będzie także i reprezentant Kalabrii. A będzie to piękna rzecz! Municipium<sup>118</sup> postanowiło, żeby dziesięciu albo dwunastu chłopców pochodzących z różnych części Włoch, a należących do różnych oddziałów szkolnych, przedstawiło władzom świadectwa do nagród.

Mamy dwadzieścia oddziałów takich i pięć pomocniczych oddziałów i mamy sześć tysięcy uczniów. W tak znacznej liczbie z łatwością przyjdzie znaleźć chłopca z każdej prowincji kraju. W sekcji Torquata Tassa jest dwóch przedstawicieli wysp naszych: jeden Sycylijczyk i jeden Sardyńczyk. W szkole „Boncom pagni” jest mały Florentczyk, synek

Ojczyzna

<sup>118</sup>municipium (z łac.) — zarząd miasta. [przypis edytorski]



snycerza<sup>119</sup> ; w szkole „Tommaso” jest mały Rzymianin, z Rzymu rodem; paru Wene-  
cjan, Lombardczyków, Romaniolów znajdziemy również; Neapolitańczyk jest w szkole  
„Monviso”, synek urzędnika; a my, z naszej szkoły, mamy Genuńczyka i Kalabryjczy-  
ka — ciebie, Coraci! Dodawszy Piemontczyka będziemy mieli dwunastu. Nieprawdaż,  
jak pięknie to będzie? Zbiorą się tedy wasi bracia ze wszystkich części kraju, aby wam  
rozdzielić nagrody. Tak, jakby je wam dawały Włochy całe.

Uważajcie sobie: Ukażą się na scenie wszyscy dwunastu. Przyjmijcie ich głośnym  
oklaskiem. Dzieci to wprawdzie, ale przedstawiać będą kraj swój jak dorośli ludzie. Wszak  
i mała trójkolorowa chorągiewka tak samo jest symbolem Włoch, jak duża chorągiew.  
Nieprawdaż? Powitajcie więc ich gorącym aplauzem. Dajcie dowód, że i wasze małe,  
dziesięcioletnie serca czują zapach, że i wasze dusze unoszą się na widok świętego obrazu  
ojczyzny!

To powiedziawszy dyrektor wyszedł, a nauczyciel uśmiechnął się i rzekł:

— A więc, Coraci, zostałeś deputowanym<sup>120</sup> z Kalabrii!

A my dalej śmiać się i klaskać!

I teraz wyszedłszy na ulicę wzięliśmy go za nogi i podnieśli w triumfie, wołając:

— Wiwat deputowany z Kalabrii! Wiwat!

Ma się rozumieć, że to był żart, ale bynajmniej nie dla ośmieszenia, owszem, żeby  
go uczcić serdecznie, bo tego chłopca wszyscy lubią bardzo. Więc my go tak niesiemy  
i krzyczymy, a on się uśmiecha tylko, a tu na rogu ulicy widzimy pana z czarną brodą,  
który też się śmieje.

Tak Kalabryjczyk:

— To mój ojciec! Puszczajcie!

A my nic! Maszerujemy precz i dopiero kiedyś już się na tego pana natknęli, od-  
daliśmy mu syna w ręce i rozbiegli się, każdy w swoją stronę.

Rozdanie nagród

14. marca

Około drugiej wielki teatr był zapchany ludźmi. Parter, galeria, loże, balkon —  
wszystko pełne. Tylko że się w oczach migały te tysiące twarzy, ci uczniowie, te pa-  
nie, ci nauczyciele, te kobiety z ludu, te dzieci; taki był ruch głów i rąk, taki szum piór,  
wstążek, jedwabi, taki szmer przeciągły, uroczysty, że aż się coś w sercu działo!

Cały teatr był obwieszony trójkolorowymi draperiami, czerwono, białą i zielono.  
Z obu stron parteru zrobiono po kilka stopni; z jednej strony mieli uczniowie po  
nagrody na scenę wchodzić, a z drugiej schodzić dostawszy już nagrody. Na froncie sceny  
był rząd czerwonych foteli, a na oparciu środkowego wisiał wieniec z wawrzynu; całą  
zaś głębię sceny ozdabiała mnóstwo chorągwi, a po jednej stronie stół pięknie nakryty,  
na którym leżały nagrody, trójkolorowymi wstążkami związane. Orkiestra stała poniżej  
sceny jak zwykle w teatrze; nauczyciele i nauczycielki zapelniali już z połowę pierwszej  
galerii, która była przeznaczona dla nich; ławki i przejścia w orkiestrze zajmowała może  
setka chłopców, którzy mieli śpiewać chórem i już trzymali w rękach rozwinięte nuty;  
a jeszcze tu, to tam przechodzili nauczyciele i nauczycielki ustawiając rzędem tych, co  
mieli brać nagrody, a matki poprawiały im włosy i krawatki.

Ledwom wszedł z rodzicami do loży, zarazem zobaczył w loży przeciwległej tę małą  
nauczycielkę z czerwonym piórem, która się śmiała, ukazując śliczne dołeczki w okrągłej  
twarzyczce, a z nią nauczycielkę mego brata i tę, co ją nazywają „zakonnica”, ubraną zu-  
pełnie czarno, i moją drugą nauczycielkę z wyższego oddziału pierwszej; była tak biała  
i kaszłała tak głośno, że ją z jednego końca sali w drugim było słyhać.

W parterze zobaczyłem zaraz tę kochaną facjatę<sup>121</sup> Garronego i małą blond główkę  
Nelliego, który stał przytulony do jego ramienia.

<sup>119</sup>snycerz — rzemieślnik rzeźbiący w drewnie. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>deputowany — poseł. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>facjata (daw., pot.) — twarz. [przypis edytorski]

Nieco dalej spostrzegłem Garoffiego ze spiczastym nosem jastrzębia, który był silnie zajęty zbieraniem listy nagrodzonych i miał już w ręku sporą paczkę, którą pewnie będzie później handlował. Ano, zobaczymy to jutro.

Tuż przy drzwiach stał przekupień drzewa ze swoją żoną, oboje wystrojeni od święta, a przy nich syn, który ma dostać trzecią nagrodę z drugiej klasy. Oślupiałem, nie widząc jego zwykłej czapeczki z kocię sierści ani brązowej kurtki. Wyelegantowany był jak jaki panicz.

W jednej z galerii ujrzałem przelotem Vatiniego, w wielkim koronkowym kołnierzu, ale mi zaraz zniknął gdzieś sprzed oczu.

Na proscenium<sup>122</sup>, pełnym publiczności, stał kapitan artylerii, ojciec Robettiego, tego, co to o kulach chodzi, co wyratował od śmierci wstępniaka.

Równo z uderzeniem drugiej godziny orkiestra poczęła grać, a jednocześnie przez schodki z prawej strony wszedł na scenę pan syndyk, pan prefekt, pan asesor<sup>123</sup>, pan inspektor i wielu innych panów, ubranych czarno, którzy zasiadali na owych czerwonych fotelach. Nagle orkiestra urwała, a nauczyciel szkoły śpiewu zbliżył się z laseczką w ręku. Na jego znak wszyscy chłopcy siedzący w ławkach orkiestry powstali i zaczęli śpiewać chórem. Ach, jak to było prześlicznie! Wszyscy słuchali nieruchomie jak zaczarowani. Bo to był taki słodki, czysty, powolny śpiew, jak gdyby w kościele albo w raju... Gdy umilkł, zagrzmiały oklaski, a potem zrobiło się cicho. Miało się zacząć rozdawanie nagród. Już stał na scenie mój mały nauczyciel z drugiej, ten z rudą głową i bystrzymi oczyma, bo to on właśnie miał czytać nazwiska nagrodzonych. Czekano tylko przybycia tych dwunastu chłopców, którzy mieli przedstawiać świadectwa.

Dzienniki zapowiedziały, że chłopcy wybrani zostali ze wszystkich części Włoch. Publiczność wiedziała o tym i wyglądała ich przyjscia, patrząc ciekawie w drzwi boczne, którymi wejść mieli. Pan syndyk, inni panowie milczeli i cały teatr milczał w tym oczekiwaniu...

Naraz wbiegli aż na proscenium samo i stanęli rzędem, wszyscy dwunastu z uśmiechem radości i dumy. Cały teatr, trzy tysiące ludu zerwało się z miejsc, wybuchając grzmotem oklasków jak burza.

Chłopcy stali przez chwilę zupełnie oszołomieni.

— Oto Włochy! — zawołał jakiś głos donośny z łoży.

Ludzie byli bardzo wzruszeni, a choć nie było smutno, jakoś się płakać chciało. Pознаłem zaraz Coracięgo, naszego Kalabryjczyka; był czarno ubrany jak zawsze.

Jeden pan z municipium<sup>124</sup>, który był z nami, a znał wszystkich, pokazywał ich po jednym mojej matce.

— Ten mały blondynek jest przedstawicielem Wenecji. Rzymianin to ten wysoki, kędzierzawy.

Ze trzech może było paniczyków między nimi, a reszta dzieci robotników. Ależ ślicznie wyglądali w swych ludowych strojach! Florentczyk, najmniejszy ze wszystkich, był przepasany wpół błękitną szarfą.

I zaraz poczęli przed panem syndykiem z paradą iść, a on każdego z nich całował w czoło; podczas gdy pan, co przy nim siedział, mówił mu z uśmiechem, z jakiego miasta który:

— Florencja, Neapol, Bolonia, Palermo...

A co który przeszedł, to mu cały teatr oklaski walił, aż grzmiało. Po tej paradzie przed panem syndykiem pobiegli wszyscy do stolika po leżące na nim świadectwa; nauczyciel zaczął odczytywać z listy imiona szkół, klas oraz nazwiska nagrodzonych, którzy zaczęli wstępować na scenę równym, wolnym krokiem.

Zaledwie wstąpili pierwsi, kiedy za sceną odezwała się cicha muzyka samych skrzypiec. Przez cały czas rozdawania nagród trwała ich słodka, jednostajna pieśń, zupełnie jakby szmer wielu łagodnych głosów; głosów matek, nauczycieli i nauczycielek cieszących się razem z nagrodzonymi chłopcami.

A chłopcy, wywoływani z listy, zbliżali się jeden po drugim do siedzących panów, którzy im podawali nagrody głaszcząc ich głowy i mile przemawiając do nich. A pokazał

<sup>122</sup>proscenium — wysunięta w kierunku widowni część sceny przed kurtyną. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>pan syndyk, pan prefekt, pan asesor — urzędnicy władz miejskich i sądowych. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>municipium — urząd miejski. [przypis edytorski]

się który małuśki, to zaraz ci najmniejsi w galeriach i w parterze klaskali w ręce; niemało też osób klaskało tym, którzy byli biednie odziani albo mieli długie, wijące się w puklach po ramionach włosy, albo ubrania w narodowych barwach.

A te wstępniaki! Wgramoliło się to na scenę, stanęło i nie wiedziało, co ze sobą zrobić i gdzie się obrócić. To cały teatr pękał od śmiechu! Aż jeden, może na łokieć wysoki, z wielką różową kokardą na plecach, ledwo się wdrapawszy na schodki zaplątał się w dywan i bęc, leży! Skoczył pan prefekt, podniósł go, postawił na nogi, a wszyscy się śmieją i klaszczą, że taki bohater po nagrodę idzie...

Któryś tam znowu, przyciskając nagrodę obu rękami, pośliznął się przy zejściu na schodach i spadł.

Panie krzyknęły, ale nic mu się nie stało i choć parę kozłów wywrócił, nagrody nie puścił!

Różni tam byli pomiędzy nimi, można się było napatrzeć! Były twarzyczki poważne, były wystraszone, były czerwone jak wisienki, a były też i błazenki małe, które się wszystkim tym panom prosto w oczy śmiały, a ledwie zeszyły ze sceny, zaraz je chwytaly matki na ręce i zabierały z sobą do domu.

A dopiero jak przysła na naszą szkołę kolej! No, z tych bardzo wielu znałem. Szedł Coretti w nowym ubraniu od stóp do głów, z tym pięknym, rześkim uśmiechem, który mu odsłania rzędy białych zębów. Nikt by się nie domyślał, ile on dziś już centarów drzewa przydzwigał od rana! Pan syndyk, dając mu atestat<sup>125</sup> zapytał, co znaczy ten czerwony znak, który ma na czole, i trzymał na ramieniu rękę. Poszukałem oczyma na parterze rodziców jego: śmiali się oboje, zakrywając usta dłonią.

Potem szedł Derossi, cały niebiesko ubrany, w błyszczących bucikach, z tymi złotymi kędziorami, szczupły, zgrabny, z podniesionym czołem, tak piękny, tak ujmujący, że rad bym go był uściskał! Wszyscy też ci panowie w fotelach ściskali go za rękę i każdy mu coś miłego powiedział.

Wtem rudy nauczyciel zawołał:

— Juliusz Robetti!

I oto ukazał się kaleka nasz drogi na szczydlach... Wszyscy uczniowie szkół naszego miasta wiedzieli o jego przypadku. W mgnieniu oka przebiegł szept między publicznością. I rozległy się oklaski jak teatr długi i szeroki! Od okrzyków ściany drżały! Mężczyźni powstali z miejsc, panie powiewały chusteczkami, a biedny chłopiec zatrzymał się w środku sceny, drżący i oszołomiony. Pan syndyk wstał, podprowadził go sam, a wręczysz mu nagrodę, ucałował w czoło. Potem myślałem, że ryknę płaczem — odczepił ten wianek z wawrzynu, który był nad fotelem jego, i zawiesił mu go na rączce od kuli. A że chłopiec drżał coraz silniej, odprowadził go sam do parterowej łoży, gdzie stał ojciec jego, kapitan, a ten chwycił chłopca na ręce i posadził go przy sobie w łoży wśród nieopisanej burzy okrzyków: „Niech żyje! Niech żyje!”

Tymczasem ciągle jeszcze za sceną grały skrzypce swoją cudną, słodką pieśń, a chłopcy szli i szli...

Szli ze szkoły „Consolata” (Pocieszenia), prawie wszyscy synowie kupców; szli ze szkoły „Vanchiglia”, synowie robotników; szli z „Boncompagni”, gdzie przeważnie oddają na naukę dzieci swe wieśniacy; szli na koniec ze szkoły „Rayneri”, która była ostatnia.

Zaledwie przeszli, sześciuset chłopców w orkiestrze odśpiewało inną znowu pieśń prześliczną; potem przemawiał pan syndyk, potem pan asesor, który mowę swoją skończył zwróciwszy się do chłopców tak:

— Zanim opuścicie te mury, pokłońcie się z miłością i czcią tym, którzy pracują nad wami; którzy wam poświęcają wszystkie siły i ciała, i ducha; którzy dla was żyją i umierają dla was! Oto oni! — I skłoniwszy głowę, ukazał ruchem ręki galerię nauczycieli.

A wtedy chłopcy powskakiwali na ławki, na krzesła wyciągając ręce do nauczycieli i nauczycielek, wywoływali imiona tych, co im najbliżsi i najmiłsi byli, wydając okrzyki idące prosto z serca.

A w galerii zrobił się też ruch nieopisany. Nauczyciele i nauczycielki odpowiadali uczniom także okrzykami wrzuszonych głosów, a kapelusze, ręce, chusteczki, wszystko to chwiało się w powietrzu ku chłopcom.

<sup>125</sup> *atestat* (z łac.) — świadectwo. [przypis edytorski]

Za czym orkiestra jeszcze raz zagrała hymn narodowy, a publiczność raz jeszcze podziękowała grzmiącym oklaskiem dwunastu małych reprezentantów prowincji włoskich, którzy w przeszlicznej grupie, ramionami i rękoma spleceni stali na proscenium, pod ulewą rzucanych im kwiatów.

Spór

20. *poniedziałek*

A przecież, nie! To nie przez zazdrość, że on dostał nagrodę, a ja nie, pokłóciłem się dziś rano z Corettim. Wcale nie przez zazdrość! Ale on zawinił. Nauczyciel posadził go przy mnie, a ja pisałem kaligrafię w moim nowym kajecie. Wtem trącił mnie łokciem tak, że nie tylko zrobiłem okropnego żyda<sup>126</sup> na kaligrafii, ale jeszcze i na miesięcznym opowiadaniu, którym wziął do przepisania od chorego Mularczyka i podłożył sobie pod kajet. Powiedziałem mu naturalnie kilka słów z brzegu.

A on na to z uśmiechem:

— To nienaumyślnie!

Wiem dobrze, że nienaumyślnie; znam go przecież, ale mnie to rozgniewało, że się uśmiecha, i zaraz pomyślałem sobie:

„Dostałeś, patzku, nagrodę, to zaraz się puszysz!” — I aż wszystko zatrzęśło się we mnie.

Niedługo też myśląc, jak go nie wyrznię łokciem, tak zamazał sobie rękawem całą zapisaną stronę.

Zaczerwienił się ze złości i krzyknął:

— Ale ty — umyślnie! — I podniósł rękę.

Nauczyciel zobaczył i powstrzymał go. Siadł, ale mi szepnął:

— Czekać cię będę przed szkołą.

A mnie złość już ominęła, było mi żal i wstyd. „Nie — myślałem — Coretti z pewnością nie chciał mi się spsocić! On dobry!” I zaraz mi się przypomniało, jakem go to widział w jego domu, jak pracował, jak posługiwał chorej matce, a potem jakieśmy go przyjmowali, kiedy mnie odwiedził, i jak się ojcu mojemu podobał. Dałbym nie wiem co, żeby się to wszystko odstało! Żeby nie był tak paskudnie względem niego postąpił! A jeszcze i to przypomniałem sobie, co mi radził ojciec!

„Zawiniś — prosz o przebaczenie!”

Ale coś mnie wstrzymywało jednak. Było mi wstyd przyznać się, przepraszać. Patrzyłem więc na niego spod oka i widziałem, że ma kurtkę rozdartą na plecach, może właśnie od noszenia drzewa, i uczułem, że go bardzo lubię, i mówiłem sam do siebie. „Co tam, przeproszę go!” A jednak to małe słówko „przepraszam” uwięzło mi w gardle. On zaś spoglądał na mnie z ukosa od czasu do czasu i zdawał się być więcej zmartwiony niżli rozgniewany. A wtedy i ja patrzyłem na niego z ukosa, bom chciał pokazać, że go się nie boję.

Wtedy powtórzył raz jeszcze:

— Zobaczymy się przed szkołą!

A ja:

— Zobaczymy się przed szkołą!

I znowu mi się przypomniało, co raz mówił ojciec:

„Jeśliś zawinił, broń się, ale nie uderzaj”.

I zaraz sobie postanowiłem.

„Będę się bronił, ale go nie uderzę”. — Ale tak byłem z siebie nierad, tak smutny, że nie słyszał wcale, co nauczyciel wyklada.

Aż przyszła chwila wyjścia.

Kiedym się znalazł na ulicy sam, spostrzegłem, że idzie za mną.

Zatrzymałem się i czekałem na niego z linią w ręku.

Podszedł — podniosłem linię.

A on:

<sup>126</sup>żyd (daw., pot.) — kleks. [przypis edytorski]

— Nie, Henryku! — rzekł z tym swoim miłym, dobrym uśmiechem, biorąc mnie za rękę z linią. — Nie! Bądźmy przyjaciółmi po dawnemu!

Jakoś mi się głupio zrobiło na sercu i tak zupełnie, jakby mi kto kuksa w plecy dał, rzuciłem mu się na szyję.

Ucałował mnie i rzekł:

— Nigdy już żadnych kłótni między mną a tobą! Prawda?

— Nigdy! Przenigdy! — odrzekłem.

I rozstaliśmy się uradowani, szczęśliwi.

Ale kiedy wróciłem do domu i opowiedziałem ojcu wszystko, jak było, myśląc, że mu tym przyjemność sprawię, ojciec się zachmurzył i rzekł:

— Nie on, ale tyś był powinien pierwszy rękę do zgody podać, boś ty zawinił!

A po chwili:

— Nie powinieneś się być ośmielić podnieść linię na kolegę lepszego od ciebie, na syna żołnierza!

I rozgniewany wyrwał mi linię z ręki, złamał ją na dwoje i cisnął o ścianę.

Moja siostra

#### 24. piątek

... Czemu ty, Henryku, już i tak rozgniewawszy ojca swoim złym postępkami względem Corettiego, i mnie jeszcze dokuczyć chciałeś?

Nie uwierzysz, jaką mi zrobiłeś przykrość! Czy nie wiesz, że jak byleś malutki, całymi godzinami stałam przy twojej kołysce, zamiast się bawić z innymi dziećmi, a jakieś zachorował, wstawałam w nocy z mego łóżeczka, żeby zobaczyć, czy masz gorące czoło. I czy nie wiesz, obrażając siostrę, że gdyby nieszczęście najstraszniejsze w dom nasz uderzyło, ja byłabym ci za matkę i tak bym cię jak matka kochała? Czy nie wiesz, że gdy nam już zabraknie i ojca, i matki, najlepszą twoją przyjaciółką ja będę? Jedyna, z którą będziesz mógł mówić o naszych drogich umarłych i o dzieciństwie swoim i która — gdyby trzeba było — pracowałaby dla ciebie, Henryku, żebyś miał co jeść i mógł się uczyć. Czy nie wiesz, że cię kochać będę zawsze, choć już będziesz duży, że myśl moja pójdzie za tobą, gdy będziesz daleko, że ci zawsze będę wierną sercem, bośmy razem w jednym gnieździe wzrosli?

O, Henryku, bądź pewien, że gdy już będziesz mężczyzną, a spotka cię nieszczęście i uczujesz się samotny wśród ludzi, bądź pewien, że będziesz mnie szukał i przyjdiesz do mnie, i powiesz:

„Sylwio, siostró, daj mi zostać z tobą, mówmy o tych czasach, kiedyśmy byli szczęśliwi. Mówmy o naszej matce, o naszym domu, o tych dniach dobrych, a takich dalekich!”

I będziemy o nich mówili, Henryku, i znajdziesz zawsze ramiona siostry otwarte!

Tak, mój drogi Henryku! Przebac mi, że cię dzisiaj tym wyrzutem zasmutcam! Nie będę ci pamiętała żadnej winy twojej i choćbyś mi powiedział znowu coś niemiłego — zapomnę!

Ty i tak pozostaniesz zawsze moim drogim bratem i o tym tylko pamiętać będę, że cię niegdyś piastowała, kiedyś był malutki, że razem z tobą kochała ojca i matkę, że patrzyła na ciebie, jakieś rósł, i że przez tyle lat była najwierniejszą towarzyszką twego życia.

Więc napisz mi teraz jakie dobre słowo na tym samym kajecie, a ja przeczytam je przed wieczorem jeszcze.

Tymczasem zaś, żeby ci dać dowód, że wcale się nie gniewam, a także widząc cię zmęczonym, przepisałam za ciebie miesięczne opowiadanie „Krew romańska”, które miałeś przepisać za chorego Mularczyka; znajdziesz je w lewej szufladzie twojego stolika. Pisałam je dziś w nocy, kiedyś spał. Napisz mi więc dobre słówko, mój Henrysiu, proszę!

*Twoja siostra Sylwia.*

\*

... Nie jestem godzien rąk twych ucałować.

*Henryk.*

Krew romańska

*Opowiadanie miesięczne*

Tego wieczora dom Ferruccio cichszy był jeszcze niżeli zazwyczaj. Ojciec jego, który utrzymywał mały sklepik z prowiantami, udał się po zakupy do Ford, matka poniosła tam także małą Ludwisię do doktora, mającego jej operować chore oko, i ledwie nazajutrz z rana powrócić mieli oboje.

Północ była już blisko. Posługująca we dnie kobieta odeszła jeszcze o zmroku. W domu pozostał tylko trzynastoletni Ferruccio i stara babka jego, na obie nogi sparaliżowana.

Ten dom to był właściwie — domek. Mały parterowy domek stojący tuż przy gościńcu na dobry strzał z fuzji od wioski, niezbyt dalekiej od Forti, które jest miastem Romanii.

Za całe zaś sąsiedztwo miał on nie zamieszkaną rudere, przed dwoma miesiącami zgorzałą<sup>127</sup>, na której widać było jeszcze napis „Oberża”.

Poza domkiem był mały ogródek otoczony żywopłotem, do którego prowadziła niska, wiejska bramka; drzwi zaś sklepiku, będące drzwiami domu, wychodziły na gościniec prosto. Dokoła zaś rozciągała się okolica pusta, szerokie pola uprawne zasadzone morwą.

Wieczór był wietrzny, dżdżysty, północ dochodziła już prawie.

Ani babka, ani Ferruccio nie spali jeszcze i siedzieli w jadalnej izbie, która była i kuchnią zarazem, przedzieloną od ogrodu małą stancijką, zastawioną starymi gratami.

Ferruccio powrócił do domu ledwie o jedenastej po kilkugodzinnej wyprawie, a babka czekała na niego nie zmrzywszy oka, pełna niepokoju, przykuta do swego obszernego fotela, na którym spędzała dni całe, a często i kawał nocy, gdyż ciężka duszność nie zawsze pozwalała jej w łóżku się położyć.

Deszcz wzmagał się, wiatr bił nim w małe szyby okien; noc stała się zupełnie czarna.

Ferruccio powrócił zmęczony, zablocony, w podartej kurtce i z wielkim siniakiem na czole. Jak zazwyczaj, on i jego towarzysze ciskali na siebie kamieniami, najpierw dla zabawy, a potem przyszło do bijatyki; co gorsza, przegrał wszystkie swoje groszaki, a czapkę zostawił gdzieś w rowie.

W kuchni oświetlonej tylko małą lampką stojącą w rogu stołu, tuż blisko fotela — nie było zbyt jasno: a przecież biedna babka dojrzała natychmiast, w jak nędznym stanie wnuk wraca, i częścią<sup>128</sup> sama odgadła, częścią dobyteła z niego szczegóły jego włóczęgi. Ogromnie babka kochała tego chłopca. Ile razy się z kim pobił, zawsze się splotała. I teraz także tak było.

— Ach nie! — mówiła później po długim milczeniu. — Nie masz ty serca dla twej starej babki! Nie masz ty serca, kiedy w taki sposób korzystasz z tego, że nie ma w domu ojca ani matki i tak mnie ciężko zasmucasz! Przez cały prawie dzień zostawiłeś mnie samą. Bez żadnego współczucia jesteś dla kaleki! Strzeż się, Ferruccio. Na złą drogę wchodzisz! Na drogę, co cię może zaprowadzić do smutnego końca. Stara już jestem... Widziałam niejednego, co tak zaczynał jak ty, a bardzo źle kończył. Zaczyna się od wałęsania poza domem, od ciskania kamieniami, od przegrywania groszy, a potem, powoli, powoli przechodzi się od kamieni do noża, od zabawy do hazardu, od gry do innych występków, do nadużyć aż i... do kradzieży!

Ferruccio stał i słuchał, o trzy kroki od fotelu babki, oparty o kredens, z głową spuszczoną, z namarszczonymi brwiami, cały jeszcze rozgrzany świeżo stoczoną bójką. Piękne jego kasztanowate włosy spadały mu na czoło, błękitne oczy były nieruchome.

<sup>127</sup> zgorzeć (daw.) — spłonąć. [przypis edytorski]

<sup>128</sup> częścią — dziś: częściowo. [przypis edytorski]

— Od gry prosta do kradzieży droga! — powtórzyła babka, ocierając łzy ze starych oczu. — Pamiętaj, dziecko moje, o tym! Przypomnij sobie tę zakałą całej okolicy, tego Witka Mozzoni, który teraz po mieście się wałęsa, nie miał ci on dwudziestu czterech lat jeszcze, kiedy już dwa razy w więzieniu siedział; aż jego biedne matczyisko przeżyć tego nie mogło i serce jej pękło... Znałam ją! A jakże! A ojciec to aż gdzieś za morze wywędrował z tego wstydu i z tej desperacji! Pomyśl tylko o tym hultaju, którego ojciec twój pozdrawiać się wstydzi, choć go zna dobrze! Nie zobaczysz go inaczej, tylko w kompanii takich samych jak i on łotrzyków albo i gorszych jeszcze, aż do tego niechybnego dnia i terminu, w którym na galery pójdzie! Otóż znam go od dziecka, patrzyłam na niego. I tak samo zaczynał, jako ty zaczynasz! Bacz, chłopcze, abys nie doprowadził ojca i matki do tego, do czego on doprowadził swoich rodziców.

Ferruccio milczał. Nie był to chłopiec zły. Przeciwnie, owszem. Całe też to jego urwosstwo wynikało raczej z nadmiaru życia, z dzikiej jakiejś fantazji, z odwagi nieokiełzanej — a nie ze złych skłonności. Czuł ojciec jego, że syn w głębi serca zdolny jest do uczuć zacnych, a w danym razie do męskiego, szlachetnego czynu, i nie hamował go zbyt ciekawostką, aż sam osądzi przekroczenia swoje. Jakoż był to chłopiec dobry, ale uparty, samowolny strasznie, a choć mu się serce ścisnęło od żalu, nigdy słowo przyznania się do winy i prośby o przebaczenie przez usta mu nie przeszło. Nieraz miał duszę pełną najtkliwszych wyrazów, ale duma i zaciętość trzymały je jakby na uwięzi.

Tymczasem staruszka widząc go tak milczącym znowu zaczęła wyrzekać:

— Ach, Ferruccio! Żebyś też choć jedno słówko żalu przemówił! Jedno słówko skruczy! Widzisz przecie moje ciężkie kalectwo i że mi już mało do śmierci brakuje! I ty masz serce zasmucać do łez matkę twojej matki, starą babkę twoją, dla której dzień ostatni już bliski.

A jam cię kołysała, kiedyś był maleńki, i mówiłam zawsze: to będzie moja pociecha! A teraz — śmierć mi przyspieszasz! Nie żal mi życia. Oddałabym chętnie resztę dni moich, byłeś był znowu tak dobrym, tak posłusznym dzieckiem jak wówczas, kiedy cię zaprowadziła po raz pierwszy do kościoła, pamiętasz, Ferruccio, a tyś mi kwiateczków i trawy do kieszeni nakładł, a jam cię śpiącego do domu na ręku przyniosła. Wtedy kochałeś jeszcze swoją babkę. A teraz, kiedy mi to kalectwo nogi odjęło, kiedy mi tak przywiązania twego trzeba jak właśnie powietrza do oddechu, kiedy już nikogo nie mam na ziemi, przez pół<sup>129</sup> nieżywa... teraz... Boże mój!

Już, już miał się Ferruccio rzucić do kolan babki, tak go zwyciężyło wzruszenie, kiedy wtem wydało mu się, że słyszy jakiś szmer w owej zastawionej rupieciami stancyjce, która wychodziła na ogród. Nie mógł jednak pomiarkować<sup>130</sup>, czy to okiennicą wiatr porusza, czy też co innego.

Nadstawił ucha...

Deszcz ustawał. Szmer się powtórzył. Babka go słyszała nawet.

— Co to? — spytała zaniepokojona.

— To deszcz — zamruczał chłopak.

— A więc jakże, Ferruccio — przemówiła po chwili ocierając łzy — przyrzekasz mi, że będziesz dobry? Że już te stare oczy nie będą przez ciebie płakały?

Wtem nowy szmer dał się słyszeć.

— To nie deszcz chyba?!... — zawołała staruszka blednąc. — Idź no i zobacz!

Natychmiast jednak chwyciła go za rękę.

— Nie! Nie! Zostań tutaj...

I zostali tak wstrzymując oddech. Ale nie było słyhać nic, tylko krople spadającej wody.

Wtem dreszcz przeszył serce obojga. I babce, i wnukowi wydało się, że podłoga w stancyjce skrzypnęła pod czyimiś krokami.

— Kto tam? — zapytał chłopiec z trudnością odzyskując oddech.

Nikt nie odpowiedział.

— Kto tam? — powtórzył Ferruccio na wpół zmartwiały z przestachu.

<sup>129</sup>przez pół — dziś: w połowie. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>pomiarkować (daw.) — zorientować się. [przypis edytorski]

Zaledwie wszakże słowa te wymówił, kiedy oboje z babką wydali okrzyk przerażenia. Dwóch ludzi wpadło do izby, jeden pochwycił chłopca i usta mu ręką zatknął, drugi zaś gardło staruszce zacisnął. Pierwszy rzekł:

— Ani piśnij, jeśli ci życie mile!

A drugi:

— Milcz! — i podniósł nóż nad kalekę.

Jeden i drugi mieli twarze obwiązane ciemnymi chustkami, że tylko oczy błyszcząły złowrogo.

Przez chwilę słychać było tylko przyśpieszony oddech wszystkich czworga, zmieszany ze szmerem słabnącego deszczu. Staruszka dyszała chrapliwie, oczy jej były wysadzone z głowy.

Wtem złoczyńca trzymający chłopca zaszeptał mu do ucha:

— Gdzie ojciec pieniądze chowa?

Chłopiec szcękając zębami odpowiedział cicho:

— Tam... w skrzyni...

— Pójdź, prowadź — rzekł człowiek.

I powłókł go do stancyjki, trzymając mu rękę na gardle.

W stancyjce stała ślepa latarka na podłodze.

— Gdzie skrzynia? — zapytał.

Chłopiec pokazał skrzynię. Wtedy, żeby być pewnym chłopca, rabuś rzucił go na klęczki przed skrzynią, ścisnął mu kolanami szyję, tak że gdyby krzyknął, mógłby być zduszony, i trzymając nóż w zębach, a latarkę w jednej ręce, wydobył drugą z kieszeni zakrzywione żelazo, podważył zamek, zakręcił, wyłamał, oderwał wieko, zaczął gwałtownie wszystko przewracać, naładował kieszenie, skrzynię zatrzaskał, a ścisnąwszy znów chłopca za gardło, powłókł go tam, gdzie drugi trzymał w garści staruszkę na wpół zduszoną, z twarzą posiniałą i otwartymi ustami.

— Znalezione? — zapytał z cicha.

— Znalezione! — odrzekł tak samo towarzysz. I zaraz dodał:

— Pilnuj teraz wyjścia.

Puścił na to zbój staruszkę i pobiegł do drzwi do ogrodu, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi, po chwili cichym, podobnym do gwizdnięcia głosem zawołał ze stancyjki:

— Pójdź!

Wtedy ów, który jeszcze trzymał chłopca, pokazał mu nóż, potrząsnął nim przed staruszką, z wolna otwierając oczy, i rzekł:

— Jeżeli które piśnie, wrócę i zabiję! — I patrzył na oboje strasznymi oczyma.

W tej chwili wszakże dało się na gościńcu słyszeć śpiewanie wielu głosów.

Rabuś zwrócił się gwałtownie ku drzwiom, a w ruchu tym chustka opadła mu z twarzy.

— Mozzoni! — krzyknęła babka.

— A przeklęta! — ryknął poznany złoczyńca. — Musisz umrzeć!

I rzucił się z podniesionym nożem do staruszki, która opadła zemdlna.

Zbój cios wymierzył.

Zanim jednak ostrze noża jej dotknęło, Ferruccio krzyknął przeraźliwie i błyskawicznym rzutem zasłonił babkę swym ciałem.

Morderca umknął potrąciwszy stół, tak że lampka spadła i zgasła.

Chłopiec osunął się z wolna z łona babki, upadł na klęczki i tak pozostał, z rękoma obejmującymi ją w pół, z głową o jej kolana opartą.

Przeszło chwil kilka. Ciemność zalegała izbę. Śpiew idących wieśniaków rozplynął się z wolna po dalekich polach. Staruszka zbudziła się z omdlenia.

— Ferruccio! — zawołała ledwo zrozumiałym głosem, szcękając zębami.

— Babciu! — odpowiedział chłopiec.

Staruszka usiłowała przemówić, ale zgroza paraliżowała jej język. Trzęsła się więc tylko przez chwilę w milczeniu. Nareszcie zapytała z wysiłkiem:

— Czy... już... ich... nie ma?

— Nie.

— Nie... zabili mnie? — zaszeptała jeszcze stłumionym głosem.



— Nie, babciu! Babcia jest... ocalona! — odparł Ferruccio słabym głosem. — Babcia żyje... Droga babciu... Tylko pieniądze zabrali. Ale... niedużo. Tata prawie wszystko z sobą wziął.

Staruszka zaczęła lżej oddychać.

— Babciu! — przemówił Ferruccio, ciągle jeszcze na klęczkach, ściskając ją w pół rękoma. — Droga babciu. Babcia mnie kocha, prawda?

— Oh, Ferruccio, biedny mój chłopczyka! — odpowiedziała kaleka kładąc mu ręce na głowie — jakże się musiałeś przerazić! O Boże miłosierny! Zapal no światło, dziecko! Albo nie! Zostańmy tak jeszcze po ciemku. Jeszcze się boję.

— Babciu — rzekł chłopiec. — Babcia tyle zawsze miała zmartwienia ze mną.

— Nie, dziecko! Nie! Kto by tam o tym myślał teraz. Zapomniałam już o wszystkim, drogie dziecko moje. Moje ukochanie!

— Tyle zmartwienia miała babcia ze mną — mówił dalej Ferruccio głosem, który drżał — ale... ja przecież babcię zawsze kochałem... Zawsze... Babcia mi przebaczy? Niech babcia mi przebaczy!

— Ale tak, dziecko drogie! Przebaczam! Przebaczam ci z serca! Jakżebym ja się na ciebie gniewać mogła? Podnieś się z kolan, drogi chłopczyko, podnieś! Tyś dobry! Tyś bardzo dobry i kochany! Zapalmy światło! Nabierzmy odwagi! Wstań, Ferruccio, wstań!

— Dziękuję ci, babciu! — mówił chłopiec coraz słabszym głosem. — I jestem teraz taki szczęśliwy! Babcia zawsze pamiętać o mnie będzie... Nieprawdaż? Zawsze... pamiętać będzie babcia oswoim... Ferruccio...

— Ferruccio! Dziecko! Co tobie? — zawołała niespokojnie staruszka i kładąc mu na ramionach ręce pochyliła się nad głową jego, jakby mu chciała w twarz spojrzeć.

— Niech babcia pamięta... — szepotał jeszcze chłopiec gasnącym głosem. — I uściska... mamę i... ojca... i... Ludwisię... Bądź zdrowa... Babciu!

— Na imię boskie, co ci jest? — zawołała babka, podnosząc z trudem głowę chłopca, która jej na kolana opadła, a potem z nagłym przenikliwym krzykiem: — Ferruccio!... Ferruccio!... Ferruccio!... Dziecko moje!... Kochanie moje!... O, ratujcie mnie, wy rajscy anieli!...

Ale Ferruccio już nie odpowiedział. Mały bohater, zbawca matki swej matki, uderzony w krzyż nożem mordercy oddał już Bogu piękną i gorącą duszę.

Mularczyk umierający

28. wtorek

Biedny Mularczyk bardzo ciężko chory. Powiedział nam nauczyciel, żebyśmy go odwiedzili; więc umówiliśmy się: Garrone, Derossi i ja, że pójdziemy razem, Stardi także miał iść, ale że nam nauczyciel zadał ćwiczenie o pomniku Cavoura<sup>131</sup>, więc poszedł ten pomnik oglądać, żeby opis był dokładniejszy.

Tak na próbę zaprosiliśmy też z sobą tego pyszałka Nobisa, ale powiedział krótko: „Nie” — i koniec. Vatini także się wymówił, może ze strachu, żeby sobie ubrania nie pobielić.

Poszliśmy we trzech po wyjściu ze szkoły o czwartej. Deszcz lał jak z cebra. Na ulicy zatrzymał się Garrone i z gębą zapchaną chlebem zapytał:

— A co mu się kupi? — Tu zabrząkał dwoma soldami, które miał w kieszeni.

Daliśmy każdy po dwa soldy i kupiliśmy trzy duże pomarańcze, po czym weszliśmy na poddasze. Derossi odpiął przede drzwiami swój medal i schował go do kieszeni.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Nie wiem — odpowiedział. — Żeby nie myślał... tak mi się zdaje, delikatniej jakoś bez medalu iść...

Zapukaliśmy. Otworzył nam ojciec, ten wielkolud murarz. Twarz miał stroskaną i jakby przestraszoną.

— A co to panicze za jedni?

Garrone wysunął się naprzód.

<sup>131</sup> *Cavour, Camillo Benso* (1810–1861) — włoski polityk liberalny, premier królestwa Piemontu i Sardynii, działał na rzecz zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

— My koledzy szkolni Antosia i przynieśliśmy mu trzy pomarańcze...

Olbrzymi murarz pokiwał głową i westchnął:

— Oj, biedny Antek! Nie poje on już może tych pomarańcz... nie poje... — I wierzchem ręki otarłszy sobie oczy zaprosił, żebyśmy weszli.

Weszliśmy do izdebki na strychu i ujrzeliśmy Mularczyka, który spał na małym łóżku żelaznym. Matka pochylona, oparta oto łóżeczko, z zakrytą rękami twarzą, ledwie się odwróciła, żeby spojrzeć na nas. Na ścianie nad nim wisiały pędzle, sito do wapna, kielnie. Nogi chorego okryte były ojcową kapotą ubieloną gipsem. Biedny chłopiec okropnie wychudł, nosina mu się wydłużyła, był strasznie blady i tak prędko oddychał...

O drogi Antosiu, mały mój towarzyszu, taki dobry i taki wesoły, jakże mi cię żal, jak żal! Co bym dał za to, żebym mógł zobaczyć, jak robisz „zajęczy pyszczek”, biedny Mularczyku!

Garrone położył mu pomarańcze tuż przy twarzy, na poduszce. Zapach go zbudził. Wziął pomarańczę do ręki, ale ją zaraz wypuścił i wlepił oczy w Garronego.

— To ja, Garrone — rzekł mu ów wtedy. — Czy mnie poznajesz?

Mularczyk uśmiechnął się lekuchno, podniósł z trudnością z łóżka krótką swoją łapkę i podał ją koledze.

Garrone ujął ją w obie dłonie i przycisnął sobie do piersi mówiąc:

— Nie bój się, nie bój. Drogi Mularczyku! Wyzdrowiejesz niedługo, przyjdiesz znów do szkoły, a nauczyciel posadzi cię zaraz przy mnie! Czy dobrze?

Ale Mularczyk nic nie odpowiedział, tylko matka jego szlochać zaczęła.

— Ach, biedaczysko moje, biedaczysko! Taki dobry, taki pocziwy, a teraz Pan Bóg go nam chce zabrać! O Jezu!...

— Ciszej — krzyknął zrozpaczony murarz — ciszej, na miłość boską, bo zwariuję. — A potem do nas dysząc ciężko:

— Idźcie, idźcie, chłopcy! Dziękuję... Idźcie! Tu nie macie co robić... Do domu idźcie! Dziękuję...

A Mularczyk zamknął oczy i zdawał się umierać.

— Może byśmy w czym posłużyli? — zapytał Garrone.

— Nie, dobry paniczu, nie! Idźcie do domu. — Mówiąc to zagarnął nas ręką ku drzwiom i zamknął je za nami. Zaledwieśmy jednak byli w połowie schodów, słyszymy, woła:

— Garrone! Garrone!

Tak pędzimy wszyscy trzej z powrotem.

— Który to Garrone? — pyta murarz ze zmienioną twarzą. — Niech idzie... Dwa razy go po nazwisku wołał... Czekaj... Niech prędko idzie! Ach, Boże Wszechmogący! Może to dobry znak!

— Do widzenia! — rzekł nam Garrone. — Zostaję tutaj!

I skoczył do izby za ojcem.

Derossi miał pełne łez oczy. Rzekłem mu:

— Czy Mularczyka płaczesz? Kiedy przemówił, to może jeszcze wyzdrowieje.

— Może! — odpowiedział Derossi. — Ale nie o nim myślałem. Myślałem, jaki dobry i jaką piękną duszę ma Garrone!

Hrabia Cavour

29. środa

... Masz opisać pomnik hrabiego Cavoura<sup>132</sup>. Nie jest to rzecz trudna. Kim wszakże był Cavour dla ojczyzny twojej, tego jeszcze teraz zrozumieć nie możesz. Teraz pamiętaj tylko to, że przez długie lata był on pierwszym ministrem w Piemontie, że wysłał na Krym naszą armię piemoncką, która przez zwycięstwo pod Czernają zmazała klęskę dawną pod Novarą i przywróciła sławę oręża włoskiego, że on przeprowadził przez Alpy sto pięćdziesiąt

<sup>132</sup>Cavour, Camillo Benso (1810–1861) — włoski polityk liberalny, premier królestwa Piemontu i Sardynii, działał na rzecz zjednoczenia Włoch. [przypis edytorski]

tysięcy Francuzów, ażeby wypędzić Austriaków z Lombardii, że on rządził Wiochami w najświetniejszej epoce naszej rewolucji, że dał najpotężniejszą pobudkę do naszego zjednoczenia, że dzisiejsze Włochy są przeważnie dziełem jego genialnego umysłu, jego stałości niewzruszonej i jego pracowitości prawie że nadludzkiej.

Straszne godziny przeżyło wielu generałów na polach bitew, ale on przeżył straszniejszą wśród czterech ścian gabinetu swego, w śmiertelnej trwodze, aby olbrzymie jego dzieło — odrodzenie ojczyzny, nie runęło lada chwila jak nie dokończony gmach, gdy ziemia drży w swych posadach. A takie to właśnie godziny były mu w te bezsenne noce, które spędzał w walce z sobą w niepewności tak srogiej, że rozum mógł się obłąkać, a serce pęknąć mogło.

I ta to olbrzymia i burzliwa praca skróciła mu życie o jakie lat dwadzieścia.

A przecież, pożerany gorączką, która go do grobu wtrącić miała, walczył z chorobą, żeby tylko dłużej jeszcze służyć swej ojczyźnie.

— Dziwna rzecz — mówił na łożu śmierci. — Nie mogę już czytać, nie mogę pisać, a tyle jest do roboty!

A kiedy gorączka się wzmagala i opuszczały go siły, tak mówił do lekarzy głosem rozkazującym prawie:

— Leczenie mnie, śpieszcie, bo umysł mój się zaciemnia, a potrzebuję koniecznie całej jasności jego dla ważnych spraw kraju.

Kiedy już godziny jego były policzone, kiedy całe miasto oblegało z niepokojem dom jego, a król stał przy jego wezgielciu, tak mówił z wysiłkiem:

— Wiele ci rzeczy miałbym mówić, królu... wiele ci rzeczy pokazać... ale już sił nie mam... Nie mogę... I to mnie zabija, że już nic dla ziemi mojej i dla ciebie, królu, uczynić nie mogę...

Myśl jego zwracała się ciągle gorączkowo do spraw państwa, do prowincji, które się połączyć miały z nami, do wielkiego, nie skończonego jeszcze dzieła jedności narodowej.

Świadomość nikła już prawie, a jeszcze wołał:

— Nauczajcie dzieci... kształćcie młodzież... Rządźcie wolnomyślnie krajem!

Już śmierć była nad nim i ogarniał go oblęd konania, a jeszcze wołał generała Garibaldięgo, z którym był poróżnił się dawniej, żeby szedł naprzód, naprzód... Jeszcze dopominał się o Rzym dla Włoch, o Wenecję. Miał ogromne widzenia przyszłości Włoch i Europy, śniło mu się jakieś najście obcych ras, obcych plemion, pytał o wojsko, o wodzów, drżał i wtedy jeszcze o swój lud, o kraj...

Wielkim jego, ostatnim bólem nie było to, że życie mu ucieka, ale to, że musi odejść już, a ojczyźnie służby jego trzeba. Tej służby, która strawiła w niewielu latach potężne siły jego niezwykłego organizmu.

Umarł z okrzykiem bojowym na ustach, a śmierć jego była tak wielką, jak życie.

A teraz pomyśl, Henryku, czym jest praca nasza wobec tych olbrzymich wysiłków ducha i umysłu, praca, która ci przecież nieraz cięży!

I czym są nasze troski, nasze bóle, nasza śmierć nawet, w porównaniu z tytanicznymi trudami, z lękiem śmiertelnym o losy narodu całego, z ostatnią godziną tych olbrzymów, którzy sercem podparli rosnącą budowę ojczyzny, czują, że serce to zamiera...

Synu! Myśl ty o tym, gdy będziesz przechodził przed tym marmurem, drogim dla każdego Włocha, a pochyliwszy ze czcią czoło, mów w sercu swoim: „Chwała”!

*Twój ojciec.*

## KWIECIEŃ

Wiosna

1. sobota

Pierwszy kwietnia! Jeszcze tylko trzy miesiące! Dzisiejszy poranek był chyba najpiękniejszy z roku. W szkole byłem bardzo wesół, wszystko mi dobrze szło, bośmy się umówili z Corettim, że pojutrze pójdziemy zobaczyć króla. To jest Coretti mnie weźmie z sobą, bo jego ojciec zna króla. A i tym się cieszyłem, że matka moja obiecała mnie zaprowadzić do ochronki<sup>133</sup> małych dzieci na Corso Valdocco. Ale już chyba najwięcej tym, że Mularczyk ma się lepiej i że wczoraj wieczorem nauczyciel przechodząc powiedział mojemu ojcu:

— Dobrze idzie! Dobrze!

A jaki był cudny ten wiosenny ranek! Z okien szkoły widać było czysty lazur nieba, drzewa pokryte świeżą zielonością, a na oknach, na balkonach, wszędzie gdzie spojrzeć — doniczki i bukiety kwiatów.

Nauczyciel wprawdzie się nie śmiał, bo on się nigdy nie śmieje, ale był w humorze tak wyborynym, że nawet ta prostopadła zmarszczka w pośrodku czoła gdzieś mu się podziąła i żartując tłumaczył nam zadanie przy tablicy. Zaraz można było poznać, że z ogromną przyjemnością oddycha świeżym powietrzem, które z ogrodu przez okna do klasy szło pełne zapachu kwiatów i skopanej ziemi, tak że się zaraz musiało myśleć o spacerach na wsi.

Więc że tak okna były otwarte, to było słychać, jak gdzieś nieopodal w ulicy kowal bije w kowadło, a kobieta jakaś śpiewa usypiając dziecko. A z daleka, z daleka gdzieś dolatywał dźwięk trąb ze szkoły wojskowej. Wszyscyśmy byli radzi temu gwarowi, ale nie Stardi. Więc kiedy kowal zaczął silniej kuć, a kobieta głośniej śpiewać, nauczyciel przerwał sobie i słuchał chwilę. Potem patrząc w okno rzekł z wolna:

— Niebo, które się uśmiecha, matka, która śpiewa, obywatel, który pracuje, dzieci, które się uczą — oto rzeczy piękne i dobre!

Jakoż przy wyjściu ze szkoły zauważyłem, że wszyscy inni też byli weseli; chłopcy szli rażno, tupiąc mocno, wielu nuciło półgłosem, zupełnie jak przed czterodniowymi feriami. Nauczycielki żartowały; ta z czerwonym piórem skakała ze swoimi wstępniakami jak pensjonareczka; rodzice uczniów rozmawiali ze sobą śmiejąc się, a matka Crossiego, zieleniarka, miała w koszu taką moc fiołków, że w całym przysionku pachniało. Nigdy nie też tak nie uradował jak tego ranka zobaczywszy mamę, która na mnie w ulicy czekała. Więc pobiegłem do niej mówiąc:

— Takim rad! Takim wesół! Czego ja, mamó, taki jestem wesół?

A mama uśmiechnęła się i rzekła:

— Bo jest pogoda wiosenna w tobie i na świecie!

Król Humbert

3. poniedziałek

Punkt o dziesiątej spostrzegł mój ojciec przez okno Corettiego, który handluje drzewem, oraz jego syna, jak mnie oczekiwali, podług umowy, na placu. Zaraz mnie zawołał i rzekł:

— Spiesz się, Henryku, nie daj im czekać. Idź zobacz twojego króla!

Skoczyłem jak strzała.

Obydwaj Coretti, i duży, i mały, szczególnie byli dziś rześcy, weseli, a ich nadzwyczajne podobieństwo nie uderzyło mnie tak jeszcze nigdy, jak tego ranka. Ojciec miał u kurtki medal za odwagę i dwa odznaczenia, a wąsiki tak zaostrome jak szpilki.

Ruszyliśmy zaraz ku dworcowi kolei żelaznej, gdzie król miał przybyć o wpół do jedenastej. Ojciec Coretti palił fajkę i zacierał rękę.

<sup>133</sup>ochronka (daw.) — sierociniec bądź instytucja opiekująca się ubogimi dziećmi. [przypis edytorski]

— Wiecie wy, dzieci, żem ja nie widział króla od wojny w 66? Bagatela! Piętnaście lat i sześć miesięcy jak obszy! Najpierw trzy lata we Francji, potem w Modovi... Dobrze mówię! Piętnaście! A tu, gdzie go przecież mógł widzieć, trzeba trafu, żem ani razu nie był w mieście, kiedy król przyjeżdżał! I oto powiadają, że nie ma przeznaczenia...

Ojciec Coretti mówił o królu: Humbert — jakby to był jego kolega. Humbert dowodził 16 dywizją, Humbert miał dwadzieścia dwa lata i tyle a tyle miesięcy, Humbert dosiadał konia tak i tak.

— Piętnaście lat — powtórzył idąc wielkimi krokami, żeśmy ledwie nadążyć mogli. — Okrutniem go ciekaw zobaczyć! Zostawiłem go księżęciem, a zobaczę królem... No i ja też się zmieniłem trochę... Z żołnierza przeszedłem na przekupnia drzewa.

I rozśmiał się głośno.

Syn go zapytał:

— Czy jakby ojca król zobaczył, to by ojca poznał?

Ojciec śmiał się.

— Głupiś, mój kochany! Że ja go poznam, to co innego! On był jeden jak tuz<sup>134</sup> pomiędzy nami. Ale takich jak ja było jak much. Cóż to, miał się nam po jednym przypatrywać, czy co?

Skręciliśmy na Corso Wiktora Emanuela. Mnóstwo osób szło tędy w stronę stacji kolejowej. Szła kompania alpejska z trąbami. Dwóch karabinierów pędziło galopem na koniach. Jeden koń był siwy i strasznie się wspinał.

Ojciec Coretti ożywał się coraz.

— Bardzo, ale to bardzom rad, że go znów zobaczę. Przecież to generał mojej dywizji! Ot, jak się to człowiek prędko postarzał! A pamiętam, jakby wczoraj ten poranek 24 czerwca. Tornister na plecach, karabin w ręku, a tu dookoła... proch aż pachnie, bo zaraz bitwa zacząć się miała. Humbert przelatywał z adiutantami tu, to tam, a tu już armaty zaczynały grzmieć. Wszyscy patrzyliśmy na niego, a żołnierze mówili: „Żeby go aby która kulka liźnąć nie chciała!” — O tysiąc mil byłem od tej myśli, że za niewiele czasu znajdę się przed lancami austriackimi. Ale to o cztery kroki, powiadam wam, nie więcej! Piękny to był dzień! Niebo — jak lustro. A upał! — Chryste Panie! Zobaczymy teraz, czy można wejść. Spróbujmy!

Doszliśmy właśnie do stacji. Były tu już tłumy ludzi, powozy, stowarzyszenia z chorągiewkami. Muzyka wojskowa grała. Ojciec Coretti próbował wejść na podjazd, ale mu się nie udało. Postanowił więc stanąć w pierwszym rzędzie tych, którzy się tłoczyli u wyjścia. Jakoż rozstawiwszy łokcie nie tylko sam się przepchnął, ale i nam miejsce przy sobie zrobił. Ale tłum chwiał się i popychał nas to w tę, to w ową stronę. Coretti zauważył pierwszy słup podjazdu, gdzie straż nikomu stać nie pozwala.

— Chodźcie, dzieci! — zawołał nagle i ciągnąc nas za ręce w dwóch skokach przebył pustą przestrzeń i przy owym słupie, oparty plecami, stanął.

Natychmiast przybył brygadier i rzekł:

— Tu nie wolno stać.

— Jestem z czwartego batalionu czterdziestej dziewiątej dywizji — odpowiedział Coretti dotykając swojego medalu.

Brygadier popatrzył na niego i rzekł:

— Zostańcie.

— A co? Nie mówiłem — zawołał triumfujący Coretti. — To jest zaczarowane słowo, ten czwarty z czterdziestej dziewiątej! Jeszcze czego! Żebym ja nie mógł tu stać i patrzeć wygodnie na mojego generała, ja, com był w karabatalionie! Jeślim go wtedy mógł widzieć nos w nos, to i teraz słuszna rzecz, żeby go tak widział! I co ja nawet gadam: generał. Przecież był komendantem mego batalionu przez dobre pół godziny, bo jużci on komenderował batalionem, kiedy nas ustawiał, a nie major Ulbrich, do kaduka!

Tymczasem widać było w sali poczekalnej i przed nią ogromny ruch panów i oficerów, a u podjazdu stawały rzędem powozy ze służbą w czerwonej liberii.

Mały Coretti zapytał ojca, czy księżę Humbert miał szablę w ręku, kiedy ustawiał karabataliony.

Król, Żołnierz

Broń

<sup>134</sup>tuz (daw.) — as w talii kart. [przypis edytorski]

— Naturalnie, że musiał mieć szablę, ażeby odbić lancę, która tak dobrze jego, jak innego dźgnąć mogła! Ach, te lotry, z piekła urwane! Jak ta szarańcza spadli nam na karki. Jakże się nie zaczną uwijać! A my też! To ludzie, armaty, co tylko żyło, tak się w oczach kręciło jak ten młyn diabelski! A w takie otręby szło, jakby ten wichler koła obracał... Wszystko się pomieszało jak groch z kapustą. Szwoleżery z Aleksandrii, ułan z Foggi, bersalierzy, kawaleria, diabeł wie nie co, tak że ani komendy zrozumieć nie można było. Aż tu słyszę krzyk: „Książę! Książę!” — I widzę lance jak te błyskawice.

Cel! pal!

Chmura dymu zakryła naraz<sup>135</sup> wszystko.

Kiedy opadła, ziemia była pokryta końmi i ułanami, co ich przez pół było martwych, a zaś przez pół rannych. Obejrzą ją się i widzę w pośrodku naszego batalionu stoi Humbert na koniu, spokojnie, i tylko patrzy po nas, jakby chciał zapytać:

„Nie podrapali mi tam moich zuchów?”

Tak my zaraz poczuli krzycząc: „Wiwat!” Tak prosto w twarz my mu krzyczeli, jak wariaty. To była chwila!... Niech licha porwie, jaka to była chwila!...

A otóż i pociąg...

Muzyka zaczęła grać hymn narodowy; panowie cywilni iwojskowi podbiegli, publiczność wspięła się na palce.

— E, nie wyjdzie jeszcze tak zaraz, bo będą mowy — rzekł jeden ze straży.

Ojciec Coretti nie mógł się powstrzymać w opowiadaniu.

— Hej, kiedy o nim myślę, to jakbym go tam widział... Były przecie i cholery, i trzęsienia ziemi, i licha wie nie co, i tam też wszędzie mężnie stał; ale ja go tak widzę, jakem go widział wtedy w pośrodku naszego karabatalionu z tą spokojną twarzą. I pewny jestem, że on też dobrze naszą czwórkę pamięta, nawet teraz, kiedy już królem jest, i że chciałby nas kiedy tak wszystkich razem przy swoim stole zobaczyć, jak nas wówczas widział. Cóż! Teraz ma generałów, szambelanów, dwór. A wtedy miał tylko nas, żołnierzy biedaków... Oj, żebym ja mógł z nim pogadać tak we cztery oczy... Nasz generał!... Dwadzieścia dwa lat! Jak świeca! Nasz książę, co naszym bagnietom się powierzył! Piętnaściami lat go nie widział... Nasz Humbert! E!... A jeszcze ta muzyka człowiekowi wątrobę przewraca! Eh!...

Wtem przerwał mu wybuch okrzyków. Tysiące kapeluszy zaczęło powiewać w powietrzu. Czterech panów czarno ubranych wsiadło do pierwszego pojazdu.

— To on! — krzyknął Coretti i wpatrzył się jakby urzeczony.

Potem rzekł cicho:

— Matko Boska! Jak też posiwiał!

Wszyscy trzej odkryli głowy; pojazd odkryty z wolna się ku nam toczył, wśród okrzykującego, machającego kapeluszymi tłumu. Spojrzałem na ojca Corettiego. Wydał mi się zupełnie innym. Był jakby wyższy, poważny, trochę bladawy, sztywno okolumnę oparty.

Pojazd zbliżył się tak, że ledwie o dwa kroki był od niego.

— Niech żyje! — krzyczano dokoła.

— Niech żyje! — krzyknął z innymi Coretti.

Król spojrział mu prosto w twarz i zatrzymał wzrok przez chwilę na jego medalach.

A Coretti całkiem głowę stracił i jakże nie ryknie:

— Czwarty batalion czterdziestej dziewiątej kompanii!

Król, który tymczasem patrzył gdzie indziej, zwrócił się znów nagle w naszą stronę i patrząc bystro w oczy Corettiemu, rękę do niego wyciągnął.

Skoczył Coretti, chwycił ją, uściskał z całej mocy. Pojazd ruszył, tłum się ruszył, zakolysał i oddzielił nas na chwilę od ojca Corettiego. Aleśmy go zaraz zobaczyli znowu. Zdyszany był, oczy miał wilgotne, i wyciągnawszy rękę w górę syna po imieniu zawołał. Mały Coretti rzucił się ku ojcu, a ów krzyknął:

— Prędej, chłopcze! Prędej, póki ręka ciepła jeszcze... — I powiódł mu ręką dokoła twarzy mówiąc: — To jakby cię król pogłaskał.

I stał jak senny utkwivszy oczy w dalekim już pojeździe, uśmiechnięty, z zagasłą fajką w rękę, wpośród ciekawego tłumu, który go otoczył dokoła.

<sup>135</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

— To jeden z karabatalionu czterdziestej dziewiątej! — mówiono.  
— To żołnierz, co króla zna...  
— To król poznał tego żołnierza...  
— Król do niego rękę wyciągnął...  
— Suplikę<sup>136</sup> królowi dał... — rzekł jeden głośniejszy.  
Wyprostował się na to Coretti i nagle odwrócił.  
— Nie! — zawołał. — Nie dałem mu żadnej supliki! Dałem mu zupełnie co innego, jeśli chcecie wiedzieć!  
Wszyscy wlepili w niego oczy, a on z prostotą odparł:  
— Dałem mu krew moją!

W ochronce

#### 4. wtorek

Zaprowadziła mnie mama wczoraj pod wieczór, tak jak to obiecała, do ochronki<sup>137</sup> przy Corso Valdocco, gdzie chciała polecić przełożonej małą siostrzyczkę Precossiego.

Pierwszy raz w życiu widziałem ochronkę. Bardzo mi się podobała! Między dziewczętami i chłopcami było ze dwieście tak małych, że nasze wstępniaki mogły uchodzić w porównaniu z nimi za dorosłych ludzi!

Przyszedliśmy w chwili, kiedy się to wszystko pakowało rzędem do refektarza<sup>138</sup>, gdzie były dwa niskie, ogromne, długie stoły, z mnóstwem okrągłych wgłębień, a w każdym wgłębieniu czarna miseczka, pełna ryżu i fasoli, a przy niej łyżka blaszana. Wiele z tego drobiazgu przewracało się idąc i leżało to jak gruszki na ziemi, póki która z ochroniarek nie przybiegła i nie postawiła tego na nogi. Inne zatrzymywały się przed pierwszą lepszą miseczką i dalej łyżkę do buzi! Krzyknie ochroniarka: „Dalej! Dalej!” — to zrobi parę kroków i znów łap za łyżkę! I tak idzie to „dalej!” — i to pochłepywanie, że nim miejs swoich dojdą, w miseczkach — zupy już połowa tylko.

Nareszcie z wielkim mozolem i po wielu wołaniach: „Na miejsca! Na miejsca!” — ustawiono je w jakim takim porządku; zaczął się pacierz. Ale oba te rzędy, które miały się do stołu plecami obrócić i na obraz patrzeć, nie mogły się jakoś z miseczkami rozstać i trzymając głowy w tył na oku miały swoje porcje, żeby im kto nie ujadł. A tak, ręce były złożone, pacierz na ustach, a fasola z ryżem w sercu.

Zaczęło się jedzenie. Co za widowisko! Tu jedno dwiema łyżkami zajada, tu drugie ręką wprost się napycha, tu trzecie wybiera po jednym ziarnku fasoli i do kieszeni kładzie, a inne przez fartuszek zupełny cedzi i z pozostałej fasoli ciasto sobie w fartuszkach ugniata.

Były i takie, co nie jadły, tylko muchy łapały po stole; i takie, co zakrzusiwszy się rozpryskiwały fontanny ryżu dokoła. Tak wyglądała zupełnie ta sala jak wielki kurnik z kurczętami. Ale bardzo było ładnie patrzeć na nie! Szczególniej te dwa długie, długie rzędy dziewczynek, wszystkie z włosami związanymi w czubek, że tylko się mieniły w oczach te wstążeczki czerwone, niebieskie, zielone.

Wtem pyta ochroniarka jakichś ośmiu rzędem stojących dziewczynek:

— A gdzie ryż rośnie?

A one wszystkie razem z buzią zupełnie zapchaną:

— W kuchni!

A inne poprawiając:

— W wodzie!

Więc ochroniarka znowu:

— Ręce do góry!

Trzeba było widzieć, jak się nagle podniosły te wszystkie ramionka, które niedawno jeszcze były w powijakach, jak się zatrzepotały te wszystkie małe rączki, zupełnie jak motyle białe iróżowe.

Po zupie — wyjście na spacer. Ale przed wyjściem pobrały dzieci swoje koszyczki wiszące nisko na ścianie i rozproszyły się, wyciągając z nich różne przyniesione z domu

<sup>136</sup>suplika (z łac.) — prośba, podanie. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>ochronka (daw.) — sierociniec bądź instytucja opiekująca się ubogimi dziećmi. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>refektarz — jadalnia w klasztorze lub w innej instytucji kościelnej. [przypis edytorski]

zapasy: chleb, śliwki suszone, kawałeczek sera, jajko gotowane, małe jabłuszko, garsteczka bobu, skrzydełko kury. W jednej chwili ogród pokrył się okruszynami, jak gdyby kto je posypał dla całej chmary ptactwa. A jadły w najdziwniejsze sposoby! Jak króliki, jak myszy, jak koty, przeżuwać, liżąc, wysysając. Jakiś małe przytrzymał sobie grzanek na piersiach i wecował<sup>139</sup> ją jabłuszkiem, jakby ostrze szabli. Małe dziewczątka wyciskały w garstkach twaróg, z którego im serwatka po palcach ciekła, chowały go w rękawy, nic sobie nie robiąc z nikogo. Biegały i goniły się z chlebem i jabłkami w zębach, zupełnie jak małe psiatka. Widziałem też trzech chłopców, którzy stali w kupce pochylwszy głowy i dłubiąc patyczkiem w gotowanym jajku, jakby się tam skarb jakiś spodziewali znaleźć; a co wydlubali na ziemię, to później podnosili z największą cierpliwością, jakby to były perły drogocenne.

A niech się u którego w koszyczku znalazło coś osobliwego, to cała kupka stawała nad nim i patrzyła jak na księżyc w studni.

Ze dwunastu może stało tak dokoła jakiegoś tyciego szczęśliwca — który trzymał tutkę mialkiego cukru — nadskakując mu i dworując<sup>140</sup>, żeby pozwolił chleb w niej raz umaczać; a on jednym pozwalał, a innym, kiedy go już bardzo prosili, palec umaczawszy w tym cukrze polizać dawał.

Tymczasem przyszła i matka moja do ogrodu i zaczęła pieścić to jedno, to drugie. Przyszła do niej cała kupka, pchając się i tak podnosząc buzie do pocałunku jakby gdzieś do trzeciego piętra.

Jedno ofiarowało jej skórkę pomarańczy, drugie kromeczkę chleba, którego już dojeść nie mogło, a jakaś dziewczynka obdarzyła ją zerwanym z krzaka liściem. Aż przyszła „ta chora”, z wielką asystą towarzyszek, i pokazała jakiś maluśki pęcherzyk na końcu paluszka, którym wczoraj dotknęła zapalanej świecy. Ale inne przykolebawszy się do mojej matki, która na trawie przysiadła, podsuwały jej przed same oczy jakieś małe robaczki, jakieś muszki, które nie wiem jak nawet dojrzeć mogły, to znów guziczki od koszulek swoich, to kwiateczki jakieś, z miną ważną, jakby największe dziwo!

Jakiś małe z obwiązaną głową, który chciał koniecznie być słyszany, rozповідаł krzykliwie jakąś historię o tym, jak skądś spadł, z czego jednak ani słówka nie można było zrozumieć.

Inny przypiął się do niej jak bąk i szeptał jej w ucho: — A mój tatuś robi miotły, aha!

A tymczasem tysiące nieszczęść okropnych przytrafiło się na wszystkich ścieżkach ogrodu i na wszystkich grządkach. Tu dzieciak darł się, że nie może rozwiązać węzła u chustki od nosa; tu dwaj inni skakali sobie do oczu o większą z dwóch części jabłka; tu jeszcze jakoweś bobo przewróciło się przez rozbitą stołek i gorzko na tych ruinach losy swe oplakiwało, nasek tylko nad nie podniósłszy.

Przed odejściem matka moja wzięła na ręce jedno, drugie, trzecie; a wtedy zaczął ten drobniak ze wszystkich stron się zbiegać z umazanymi buziemi, i dalej się czepiać, jak które mogło, za suknię, za ręce, dalej oglądać pierścionki, pociągać za łańcuszek od zegarka, za włosy.

— Na pani suknię poplamiał! — mówiły ochroniarki.

Ale matce mojej nie szło wcale o suknię, więc je tylko całowała, a one cisnęły się coraz natarczywiej, te bliższe wyciągając ręce, żeby je wziąć, te dalsze wołając cienkim głosem:

— Adie!<sup>141</sup> Adie! Adie!

Ledwie że się jej udało uciec od nich z ogrodu. A wtedy pobiegły wszystkie do sztachet, poprzystawiały buzie jak mogły do żelaznych prętów, a rączyny między nie, machając nimi, podając skórki chleba, lupinki jabłek z ogryzkiem sera i wołając:

— Adie! Adie!... Niech pani jutro przyjdzie! Niech pani znów przyjdzie!

A moja matka, idąc szybko, przeciągnęła jeszcze ręką po tych łapkach wyciągniętych — jak po girlandzie żywych róż, i nareszcie uszła cała na ulicę, z suknią poplamioną i pełną okruszyn, wygnieciona, roztargana, z pełną ręką kwiecica, z oczyma nabrzmiałymi od łez, a tak wesoła, jakby wyszła z najlepszej zabawy.

A z wewnątrz dolatywał jeszcze świergot, podobny do świergotu ptaszat:

— Adie, pani, adie! Niech pani tu do nas znowu przyjdzie!...

<sup>139</sup>wecować — polerować. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>dworować (daw.) — żartować. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>Adie! (z fr. *adieu*) — do widzenia. [przypis edytorski]



Na gimnastyce

5. środa

Taka prześliczna ciągle jest pogoda, żeśmy przeszli z gimnastyki pokojowej na gimnastykę ogrodową.

Garrone był wczoraj w kancelarii dyrektora, kiedy przysła matka Nelliego, ta pani czarno ubrana z jasnymi włosami, i prosiła, żeby dyrektor zwolnił jej syna od tych nowych ćwiczeń. Widać było, że każde słowo dużo ją kosztuje, a mówiąc trzymała rękę na głowie Nelliego.

— On nie może... — mówiła do dyrektora.

Ale Nelli był strasznie zmartwiony, że go mają wyłączyć z tych ćwiczeń, że jeszcze to jedno upokorzenie będzie miał...

— Zobaczysz, mammo — prosił prawie ze łzami — zobaczysz, że potrafię wszystko jak i drudzy!

Matka popatrzyła się na niego z wyrazem smutku i przywiązania, potem zawahała się i rzekła:

— Obawiam się, że jego koledzy...

Chciała pewno powiedzieć: „Boję się, że go wyśmieją”... — Ale nie skończyła.

Nelli przerwał:

— Niech tam, mammo! Co mi szkodzi! Zresztą jest Garrone. Jak on się nie śmieje ze mnie, to mi dość.

Więc go do nas puścili.

Nauczyciel, ten z bliźną na szyi, co to pod Garibaldim służył, zaprowadził nas zaraz do słupów, które są bardzo wysokie i trzeba wleźć na sam czubek, i stanąć prosto na poprzecznej belce u góry.

Derossi i Coretti wdrapali się jak wiewiórki. Także i mały Precossi zwinnie wlaźł, chociaż mu przeszkadzała ta długa do kolan kapota, co ją po ojcu dodziera. A jeszcze w dodatku stanęło kilku pod słupem i żeby go rozśmieszyć, wołali ciągle: — Przepraszam! Przepraszam! — przedrzeźniając przysłowie<sup>142</sup> jego.

Stardi zasapał się, rozczzerwienił jak indyk, zgrzytał zębami jak pies, kiedy się wścieknie, ale żeby miał pęknąć zaraz, to by i tak się wdrapał. Jakoż wydrapał się. Nobis także; ale kiedy już był u samej góry i na belce stanął, to zrobił taką minę, jakby był cesarzem. Vatini dwa razy się zesunął, pomimo swego pięknego ubranka w niebieskie paski, które mu umyślnie do gimnastyki uszyli.

Żeby łatwiej wyleźć, wszyscyśmy sobie ręce nacierali kalafonią<sup>143</sup>. Kalafonię przyniósł ze sobą, naturalnie, ten handlarz, Garoffi. Nakupił tego, porobił tutki z papieru, ponasypywał i co było grosz albo i pół grosza warte, po trzy nam sprzedawał.

Co do Garronego, to laźł na słup z zapchaną chlebem gębą, jakby to była zabawka tylko; jestem pewny, że gdyby mu jednego z nas na plecy wsadzono, to i z nim byłby się wydrapał. Gruby, bo gruby, ale mocny jak wół!

Ale po Garronem miał wlazić Nelli. Ledwie go zobaczyli, że się chwycił słupa tymi swymi długimi, cienkimi rękami, zaraz zaczęli jedni podśpiewywać, drudzy śmiać się. Garrone chleb przełknął, te grube swoje ramiona skrzyżował na piersiach i takim wzrokiem dokoła popatrzył, że śmiech w momencie ustał.

Nelli zaczął się wdrapywać. Odpoczywał co chwila, ciężko dyszał, na twarzy zrobił się prawie fioletowy, a pot mu kapał z czoła.

— Schodź! — zawołał nauczyciel.

A on — nie! Zaciął się, uparł, i nie!

Tylko czekał, jak się puści i zleci wpółżywy. Biedny Nelli! I zaraz sobie pomyślałem, jakby to musiała cierpieć moja matka, gdybym ja był na jego miejscu, a ona patrzyła na mnie. I tak mi się go zrobiło żal, że nie wiem co bym dał za to, żeby on tylko wdrapać się mógł... Żeby go jakoś od dołu pchać, a żeby nikt nie widział...

Tymczasem Garrone, Derossi, Coretti wołali:

<sup>142</sup>przysłowie — tu: stale powtarzane powiedzenie. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>kalafonia — produkt uzyskiwany z żywicy przez oddestylowanie terpentyny, używany m. in. do nacierania nim smyczków. [przypis edytorski]

— Dalej, Nelli!... Dalej!... Dobrze! Trzymaj się! Jeszcze trochę! Jeszcze!  
Zrobił więc gwałtowny wysiłek, aż jęknął, ale był już teraz o jakie dwie dłonie zaledwie od poprzecznej belki.

— Brawo! Brawo! Brawo! — krzyčeli tamci. — Jeszcze odrobinę! Dalej — go! Jeszcze!

Aż Nelli pochwycił belkę.

Wszyscyśmy klaskać zaczęli.

— Brawo — rzekł nauczyciel — i dość tego! Schodź no, schodź!

Ale Nelli koniecznie tak samo na czubek chciał się dostać jak inni.

Więc odpocząwszy trochę, znowu sił natężył i udało mu się łokcie za belkę przelozyc; tak zaparty, dźwignął się, zaparł kolana, potem stopy i podniósł się wyprostowany, promieniejący, uśmiechnięty. Więc my tu znowu dalej brawo bić, a on głowę zwrócił i patrzył w ulicę.

Spojrzałem także i poprzez krzewy pnące się po sztachetach ogrodu zobaczyłem matkę jego, która chodziła po trotuarze<sup>144</sup> nie mając odwagi patrzeć. Zszedł wreszcie Nelli, wszyscy mu wieszowali, a on podniecony, rozgrzany, z błyszczącymi oczyma zdawał się jakby nie ten sam. Więc przy wyjściu, kiedy matka podeszła ku niemu, z niepokojem zapytała:

— Jakże ci tam, biedactwo moje, poszło? Jak?

Wszyscy, ilu nas było, zaczęliśmy jeden przez drugiego wołać:

— Doskonale! Świetnie!

— Tak się wdrapał jak kot!

— Jak każdy z nas!

— Silny, mocny!

— I taki zgrabny!

— Od żadnego z nas niegorszy!

Więc my tak krzyczymy na wyścigi, a ta pani aż topnieje z radości! Chciała dziękować, ale przemówić nie mogła, tylko rękę trzem czy czterem uściśnęła, pogłaskała tego dryblasza Garronego, jakby małym dzieckiem był, i odeszła z synem.

Kawałek już byli od szkoły, a jeszcześmy patrzyli za nimi, jak idą śpiesznym krokiem, jak rozmawiają żywo, oboje tak szczęśliwi, jakby szczęśliwszych od nich nie było na całym świecie.

Nauczyciel mego ojca

## II. wtorek

Prześliczną wycieczkę zrobiłem z ojcem wczoraj. Tak było: Przedwczoraj przy obiedzie ojciec czytał dziennik. Naraz<sup>145</sup> wydał okrzyk zadziwienia, a potem rzekł:

— A jam myślał, że nie żyje od jakich lat dwudziestu! Wiecie? Jeszcze żyje mój pierwszy nauczyciel ze szkoły elementarnej, Wincenty Crosetti, który ma teraz osiemdziesiąt cztery lata. Czytam właśnie, że ministerium dało mu medal za sześćdziesiąt lat nauczania. Sześć-dzie-siąt lat! Rozumiecie? I dopiero od dwóch lat przestał uczyć w szkole! Biedny Crosetti! Mieszka ogodzinę stąd drogi koleją, w Cordowie, tam, skąd to była nasza dawna ogrodniczka z willi Chieri...

I dodał pomyślawszy chwilkę:

— Henryku, pojedziemy go odwiedzić!

I już przez cały wieczór o nim tylko mówił. To wycytane niespodzianie nazwisko pierwszego nauczyciela przypomniało mu tysiące rzeczy z tych czasów, kiedy był małym chłopcem: imiona kolegów, śmierć matki.

— Crosetti! — wołał co chwila i uspokoić się nie mógł.

— Mógł mieć — opowiadał nam — ze czterdzieści lat, kiedym był w jego klasie. Dziś jeszcze go widzę! Mały człowieczyna, pochyły trochę, z jasnymi oczyma, z wygoloną twarzą. Surowy był, ale w obejściu pełen dobroci, zupełnie jak ojciec, który dzieci kocha, ale im nie przebacza, kiedy przeszkrobią. Z ludu prostego wyszedł, ze wsi, wykształcił się

<sup>144</sup>trotuar (z fr.) — chodnik. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

pracą ciężką, odmawianiem sobie wszystkiego. Sam sobie winien był<sup>146</sup> szlachectwo swoje. Matka moja bardzo go szanowała i lubiła, a ojciec mój za przyjaciela go miał. Bardzo ciekaw, co spowodowało, że się z Turynu do Cordowy przeniósł. Pewno mnie nie pozna... Nic nie szkodzi! Ja go z pewnością poznam. Czterdzieści cztery lata przeszło... Czterdzieści cztery lata... Henryku! Pojedziemy jutro go odwiedzić!

I oto wczoraj o dziesiątej rano byliśmy na dworcu kolei żelaznej. Bardzo chciał, żeby i Garrone jechał z nami, ale nie mógł, bo matka jego zasłabła. A jaki był cudny dzień! Taka prawdziwa wiosna.

Pociąg leciał wśród łąk zielonych i kwitnących żywopłotów, a powietrze pachniało, jakby cały świat był ogrodem. Ojciec był wesół, a co i raz to mi ramię na szyję zakładał i mówił do mnie, jak do przyjaciela już dużego, patrząc na szerokie pola.

— Biedny, stary Crosetti! — mówił. — To pierwszy po moim ojcu człowiek, który mnie kochał i był dobroczyńcą moim. Nigdy nie mogłem zapomnieć niektórych dobrych rad jego i tych jego suchych wymówek, po których wracałem do domu ze ściśnionym gardłem. Ręce to miał takie grube, krótkie. Widzę go prawie, jak wchodzi do szkoły, jak stawia laskę w kącie, jak wiesz płaszcz na wieszadle, zawsze co dzień systematycznie jednostajnym ruchem. I zawsze w jednakim usposobieniu, cichym, pogodnym, zawsze sumienny, uważny, życzliwy, jak gdyby każdego dnia odbywał z nami lekcję po raz pierwszy. I głos jego pamiętam, jakbym go słyszał, kiedy spojrzał na mnie:

„Bottini, he, Bottini! Środkowy i wskazujący palec na pióro wyżej!” — Musiał się ogromnie zmienić po czterdziestu czterech latach!

Jakieś tylko przyjechali do Cordowy, poszliśmy zaraz szukać naszej dawnej ogrodniczki z Chieri, która ma tu jakiś sklepik w małej uliczce.

Zastaliśmy ją z dziećmi w domu. Ogromnie się ucieszyła, że nas widzi, zaczęła nam opowiadać o mężu swoim, który od trzech lat do Grecji za zarobkiem wywędrował, a teraz ma wrócić, o swojej najstarszej córce, która jest w Instytucie Głuchoniemych w Turynie. Potem wskazała nam drogę do tego nauczyciela, bo go tutaj wszyscy znają.

Wyszliśmy z wioski na ścieżynę wijącą się po wzgórzu wśród kwitnących krzewów. Ojciec nie mówił nic, pogrążony w swoich wspomnieniach, czasem tylko się uśmiechnął, czasem wstrząsnął głową.

Nagle zatrzymał się i rzekł:

— To on! Zażość się, że to on!

A ścieżką szedł ku nam mały staruszek z brodą zupełnie białą, w dużym kapeluszu, opierając się na lasce. Powłóczył trochę nogami, a ręce mu się trzęsły.

— On! — powtórzył mój ojciec i przyspieszył kroku. Kiedyśmy byli już zupełnie blisko, stanęliśmy na ścieżynie. Staruszek stanął także i patrzył na ojca. Twarz miał czerstwą<sup>147</sup> jeszcze, oczy jasne, żywe.

— Wszak to pan — rzekł mój ojciec zdejmując kapelusz. — Wszak to pan jest nauczycielem Wincentym Crosettim?

Staruszek też zdjął kapelusz.

— Tak, panie!

Głos jego drżał trochę, ale był dźwięczny, czysty.

— No, to niechże pan pozwoli — zawołał mój ojciec, ujmując jego rękę — niech pan pozwoli dawnemu uczniowi swojemu uścisnąć zaciętą dłoń swoją i powitać się serdecznie... serdecznie! Przybywam z Turynu, żeby odwiedzić pana.

Staruszek patrzył zdumiony. Potem rzekł:

— Zaszczyt to dla mnie... Nie wiem prawdziwie... Kiedy pan był moim uczniem? Przepraszam! Nazwisko pana? Jeśli łaska...

Ojciec mój powiedział swoje nazwisko: Albert Bottini, i rok, w którym był w jego klasie i gdzie, a potem dodał:

— Pan nie może mnie pamiętać, to rzecz prosta. Ale ja wybornie pana pamiętam!

Stary nauczyciel pochylił głowę i patrząc w ziemię zamyślony powtórzył kilka razy nazwisko mego ojca, który patrzył na niego tymczasem z uśmiechem i rozrzuwionym wzrokiem.

<sup>146</sup> *Sam sobie winien był* — sens: wyłącznie jego zasługą było. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *czerstwy* (daw.) — zdrowy. [przypis edytorski]

Naraz podniósł staruszek twarz z rozrzuwionymi oczyma.

— Albert Bottini? Syn inżyniera Bottiniego? Tego, który mieszkał na placu Conso-  
lata?

— Ten sam! — zawołał ojciec wyciągając ręce.

— Jak tak — rzekł staruszek — to niechże mi będzie wolno... drogi panie... niech  
mi będzie wolno...

I mówiąc tak, objął mego ojca. Biała jego głowa sięgała ojcu ledwie do ramienia.  
Ojciec pochylił się i przytulił twarz do jego twarzy.

— Bądźcie łaskawi do mnie — mówił nauczyciel.

I zaraz się zawrócił na ścieżynie, prowadząc nas do swego domu. W kilka minut we-  
szliśmy na małe podwórko przed niskim domkiem o dwóch wyjściach. Przed jednym  
z nich wznosił się kawałek wybielonego muru.

Nauczyciel otworzył drugie wejście i zaprowadził nas do pokoju. Cztery białe ściany,  
w kącie łóżko składane, przykryte koldrą w białe i niebieskie kraty, w drugim kącie biurko  
z małą biblioteczką, cztery krzesła, wielka, stara mapa przybita do ściany i rzeźwy zapach  
jabłek.

Siedliśmy wszyscy trzej. Nauczyciel i mój ojciec patrzyli na siebie przez chwilę w mil-  
czeniu.

— Bottini! — zawołał wreszcie nauczyciel utkwivszy oczy w ceglana podłogę, na  
której słońce kładło złote plamy. — Jakżeby nie?... Pamiętam! Doskonale pamiętam!...  
Miał matkę, taką dobrą, taką zacną panią! Jakże nie? Przecież pan siedziałeś w pierwszej  
ławce na lewo, niedaleko okna! Widzisz pan, że pamiętam pana! Taka ciemna, kędzierzawa  
głowa!

Zamyślił się na chwilę.

— Taki żywy chłopak... eh? Jak iskra. Na drugim kursie miał grypę... Przywieźli  
go po niej do szkoły wychudzonego, w dużym ciepłym szalu. Ze czterdzieści lat temu  
chyba będzie, nieprawdaż? I pan tak dobry, żeś przypomniał sobie starego nauczyciela  
swego... A przychodzą tu, przychodzą... Pułkownik jeden, księża... Różni panowie. Dawni  
uczniowie moi.

I zaczął pytać mego ojca, jaki by był zawód jego. Po czym rzekł:

— Cieszę się! Serdecznie się cieszę! Dziękuję panu! Kawałek już czasu, jak tu nie  
widziałem nikogo. I myślę sobie, że pan może będziesz ostatnim, drogi panie!...

— Ale co pan profesor mówi! — zawołał mój ojciec. — Widzę pana, dzięki Bogu,  
zdrowym, czerstwym! Nie trzeba tak mówić!

— Ej, nie! — uśmiechnął się stary nauczyciel. — Widzisz pan to drżenie? — i pokazał  
ręce. — To jest zły znak, panie. Zaczęło się to przed trzema laty, kiedym jeszcze uczył  
w szkole. Z początku nie dbałem, myślałem, że samo przejdzie. Ale nie przeszło, kochany  
panie. Owszem, z dnia na dzień gorzej. Niedługo nie będę mógł wcale pisać. Ach, tego  
dnia, kiedy po raz pierwszy ręka mi tak zadrżała, że zrobił kleksa na kajecie ucznia, to,  
panie drogi, jakby mi kto nóż w serce tknął! Szło to tam jeszcze jakiś czas, wlokło się,  
ciągnęło, ałem już czuł, że nie mogę dłużej. I tak, po sześćdziesięciu latach nauczycielstwa  
rozstać się musiałem ze szkołą, z uczniami, z pracą. Nie było to lekko, nie!

Kiedym skończył ostatnią już lekcję, wszyscy mnie odprowadzili do domu, wszyscy  
winszowali... Ale jam był smutny, rozumiałem, że życie moje — skończone...

Na rok przedtem jeszcze — kończył po chwili milczenia — straciłem żonę i jedynego  
syna. Zostało mi tylko dwóch synowców, prostych wieśniaków. I tak oto żyję z tych  
paruset lirów emerytury. Nie pracuję już. Te dni, to mi się zdaje, że końca nie mają,  
takie długie. Jedyne zajęcie moje, widzi pan, to ot tam — wskazał małą biblioteczkę. —  
Przerzucam stare moje szkolne podręczniki, szkolne czasopisma, te kilka książek, którym  
w podarunku dostał. Tam wspomnienia. Tam cała przeszłość moja. Nic więcej nie mam  
już na świecie.

Naraz podniósł głowę i głosem rozweselonym rzekł:

— Muszę też panu zrobić niespodziankę, kochany panie Bottini!

Podniósł się i podszedłszy do biurka otworzył długą szufladę, w której było mnóstwo  
małych paczek powiązanych sznurkiem, a na każdej data z czterech cyfr złożona. Szukał  
przez chwilę, wyjął jedną z paczek, otworzył, przerzucił kilka ćwiartek papieru, po czym

wyciągnął jakiś arkusz poźółkły i ojcu mojemu podał. U wierzchu arkusza było napisane: „Albert Bottini, 3 kwietnia 1838 r.”

Ojciec mój poznał natychmiast swoje grube, chłopięce pismo i czytał je z uśmiechem. Naraz lży mu w oczach stanęły. Podniosłem się i zapytałem: — Dlaczego? — A ojciec objął mnie w pól, przytulił do swego boku i rzekł:

— Patrz, dziecko! To są poprawki mojej matki jeszcze... Zawsze mi pogrubiała moje l i moje r... A ostatnie linie, to pismo jej ręki... Wyuczyła się pisać podobnie do mnie, a kiedyś był zmęczony i śpiący, kończyła moją robotę sama... Święta matka moja!

Ucałował kartkę.

— Oto — rzekł nauczyciel ukazując powiązane pakieciki — pamiętniki moje. — Rokrocznie odkładałem na bok jakąś część prac każdego z moich uczniów i mam ich tu wszystkich w porządku, ponumerowanych. Więc to tu sobie przerzucam czasem, tu kartkę, tam kartkę, i przychodzi mi na myśl tysiąc rzeczy minionych i zdaje mi się, że jeszcze żyję w tych dawnych, dawnych czasach. Iluż to ich przeszło, drogi panie! Jak zamknę oczy, to widzę — głowy przy głowach, twarze przy twarzach, klasy za klasami, setki, setki chłopców, z których — kto wie — ilu już pomarło! Wielu pamiętam dobrze. Pamiętam dobrze — tych najlepszych i tych znów — najgorszych. Tych, co mi sprawili dużo radości, i tych, przez których miałem dużo ciężkich godzin. Boć w takim mnóstwie są i gadziny, są, mój drogi panie! Ale już teraz żalu do nich nie mam... Zupełnie jakbym już na drugim świecie był... Życzliwy jestem dla wszystkich... dla wszystkich równo!

Usiadł i wziął moją rękę w swoje drżące dłonie.

— A niech mi pan powie, drogi profesorze — zapytał mój ojciec z uśmiechem — nie pamięta pan żadnego urwisostwa...

— Pańskiego urwisostwa? — podjął starsuszek także z uśmiechem. — W tej chwili nie. Ale to bynajmniej nie ma znaczyć, żebyś pan ich nie wyprawiał! Ale przecież byleś pan dość rozsądny, poważny nawet, jak na swoje lata. Pamiętam, jak wielkie przywiązanie miałeś pan do matki swojej... — A po chwili: — Aleś też pan bardzo dobry, bardzo łaskaw, żeś mnie odwiedził... Porzuciłeś swoje zajęcia dla zobaczenia starego, biednego nauczyciela...

— Panie Crosetti — odparł żywo mój ojciec — nie zapomniałem dotąd tego dnia, kiedy mnie matka moja po raz pierwszy odprowadziła do szkoły. Pierwszy raz miała rozstać się ze mną na dwie godziny i zostawić mnie w innych rękach niżli w rękach ojca. Mnie oddać komuś — nieznanemu. Moje wejście do szkoły było dla niej jakby wejściem w świat moim — pierwszym z szeregu tych koniecznych a bolesnych rozstań, jakie sprowadza życie. Ono to zabierało jej dziecko, żeby go już nigdy nie oddać takim, jakim było i tak zupełnie jej własnym. Wzruszona była, a i ja także, choć nie pojmowałem dlaczego. Polecała mi panu głosem drżącym, a odchodząc zęgnęła mnie jeszcze przez okienko we drzwiach mając pełne łez oczy. I pamiętam, że pan wtedy położył rękę na piersiach i uczynił drugą taki ruch, jakby chciał rzec: „Niech pani mi zaufa!”

Otóż tego ruchu, tego spojrzenia, które dowiodło, żeś pan zrozumiał wszystkie myśli i uczucia matki mojej, spojrzenia, które zdawało się mówić: „Odwagi!”, tego gestu, który był uczciwą obietnicą opieki, dobroci, pobłażania — ja, panie, nigdy nie zapomniałem już tego i na zawsze zachowałem to w sercu wyryte. I dlatego przyjechałem z Turynu, i dlatego jestem tu po czterdziestu latach, żeby powiedzieć panu: Dziękuję ci, mój drogi nauczycielu!

Starsuszek milczał. Drżąca jego ręka gładziła mi włosy trzęsąc się coraz silniej, z włosów opadając na czoło, z czoła na ramię.

A ojciec mój tymczasem patrzył na te nagie ściany, na ubogie łóżko, na kromkę chleba i ampułkę oliwy będące na oknie, a twarz miał taką, jak gdyby chciał mówić:

„O biedny nauczycielu! I to cały twój dobytek, cała nagroda po sześćdziesięciu latach ciężkiej pracy?”

Ale starsuszek wcale nie był smutny i z wielką żywością zaczął mówić o naszej rodzinie, o innych nauczycielach z tamtych lat dawnych, o kolegach mego ojca. Ojciec jednych pamiętał, innych nie mógł sobie przypomnieć, więc sobie obydwoj udzielali wiadomości to o tym, to o tym, aż wreszcie ojciec przerwał tę rozmowę prosząc nauczyciela, żeby poszedł razem z nami zjeść śniadanie we wsi.

Staruszek serdecznie dziękował, ale zdawał się niepewny, czy ma przyjąć to zaproszenie. Ojciec nie ustępował i ująwszy obie jego ręce prośbę swą powoli.

— Ale jakże ja będę jadł tymi trzęsącymi rękami? — mówił nauczyciel. — Przecież to i dla drugich przykry widok.

— Już my panu pomożemy — rzekł na to mój ojciec.

Przystał więc staruszek i tylko głową kiwał, i uśmiechał się.

— Co za dzień! Co za piękny dzień, kochany panie Bottini! — mówił zamykając na klucz drzwi wchodowe. — Do końca życia będę go pamiętał!

Podał ramię mój ojciec nauczycielowi, on zaś wziął mnie za rękę i zaczęliśmy schodzić ścieżyną.

W drodze spotkaliśmy dwie bose dziewczynki, które pędziły krowy, i chłopca biegnącego z pękiem zielska na plecach. Poznał ich nauczyciel i objaśnił nam, że to są dwie uczennice i uczeń tutejszej dwuklasowej szkoły. Rano pasą bydło i pracują w polu boso, a potem się obuwają i do szkoły idą.

Południe dochodziło. Na ścieżce było pusto. W parę minut byliśmy już w oberży przy dużym stole, nauczyciel w pośrodku nas obu i zaraz wzięliśmy się do jedzenia.

W oberży było cicho jak w klasztorze. Staruszek był niezmiernie kontent, ale ze wzruszenia tak mu ręce drżały, że prawie jeść nie mógł. Więc mu ojciec mój krajał mięso, łamał chleb, sypał do talerza sól. A kieliszek, szklanekę, to musiał starowina w obu rękach trzymać i jeszcze mu zęby o brzeg szkła szczękały.

Rozmawiał jednak bardzo żywo i z wielkim zapałem o książkach, które czytywano za jego młodości, o rozkładach jazdy z onych czasów, o pochwałach otrzymanych od zwierzchności, o zarządzeniach szkolnych z lat ostatnich, a wszystko wesołym głosem, z twarzą pogodną, trochę więcej może zarumienioną niż pierwej, a nawet ze śmiechem zupełnie młodzieńczym.

A mój ojciec patrzył na niego, a patrzył, zupełnie tak samo, jak czasem patrzy na mnie w domu, jak gdyby myślał o czymś, i uśmiechał się mimo woli, przechyliwszy nieco na bok głowę.

A wtem staruszek pijąc rozlał po sobie wino. Zerwał się mój ojciec i starannie serwetą go ocierał.

— Ale nie! Ale nie! Nie pozwalam — mówił nauczyciel i śmiał się, i coś po łacinie powiedział.

Wreszcie podniósł kieliszek, który mu się trząś w rękę, i z wielką powagą rzekł:

— Piję za zdrowie twoje, panie inżynierze, i za zdrowie twoich dzieci, i za pamięć twojej dobrej matki.

— A ja za wasze zdrowie piję, mój drogi, mój kochany mistrzu!

I uścisnęli sobie ręce mocno, długo. A w głębi izby siedział oberżysta i inni jeszcze, którzy przypatrywali się nam z uśmiechem, widocznie radzi, że tak fetują nauczyciela z ich wioski.

Było już po drugiej, kiedyśmy wyszli.

Staruszek chciał nas koniecznie odprowadzić do stacji. Więc mój ojciec znów go wziął pod ramię, a on mnie za rękę. Ja zaś niosłem jego laskę. Ludzie stawali po drodze patrząc, bo wszyscy go tu znają. Niektórzy kłaniali mu się.

Wtem posłyszeliśmy przez otwarte okno głosy wielu chłopców, którzy — sylabizując — razem czytali.

Staruszek zatrzymał się i zdawał się być zasmucony.

— Oto, drogi panie Bottini — rzekł — co mnie zasmuca! Słyszeć te głosy uczących się chłopców, a nie iść już do szkoły i wiedzieć, że tam inny uczy! Nasłuchałem się tej muzyki przez sześćdziesiąt lat, mam jej pełne serce... A teraz jestem jakby bez rodziny. Sam. Sierota... Nie mam już dzieci!

— Nie, drogi mój nauczycielu! Nie! — odrzekł mój ojciec i znów iść zaczął. — Pan masz jeszcze dużo dzieci! Dużo rozproszonych po świecie, ale kochających cię synów! Pamiętają oni pana tak, jak i ja pamiętałem zawsze!

— Nie, nie! — powtarzał starowina trzęsąc ze smutkiem głową. — Nie mam już szkoły, to i dzieci nie mam. A bez dzieci to ja już nie pożyję długo... Tylko słuchać, jak moja godzina uderzy...

— Drogi, drogi panie! Nie mów, nie myśl o tym! O tym myśl, ileś uczynił dobrego! Jakim szlachetnym trudem było całe twoje życie!

Stary nauczyciel przytulił głowę do ramienia ojca, a mnie za rękę uściskał.

Doszliśmy do stacji. Pociąg już stał przed nią.

— Bądź zdrow, drogi mój nauczycielu! — mówił ojciec całując staruszkę w oba policzki.

— Żegnaj... dziękuję... żegnaj! — odpowiedział nauczyciel i wzięwszy w drżące dłonie rękę mego ojca przycisnął ją sobie do serca.

Potem ja go ucałowałem i uczulem, że ma twarz od łez mokrą. Ojciec podsadził mnie do wagonu i w chwili, gdy wsiadał, wziął kij nauczyciela, a dał mu w rękę swoją piękną laskę z srebrną gałką i ze swoją cyfrą mówiąc:

— Zachowaj to, panie, jako pamiątkę moją.

Bronił się staruszek, usiłował oddać laskę, a kij swój odebrać, ale mój ojciec był już w wagonie i drzwiczki zatrzasnął.

— Bywaj mi zdrow, mistrzu mój drogi!

— Bywaj zdrow, synu! — zawołał staruszek, gdy pociąg począł poruszać się z wolna.

— Niech ci Bóg błogosławi za pociechę, za radość, jakąś sprawił biednemu starcowi!

— Do widzenia — krzyknął mój ojciec wzruszonym głosem.

Ale stary nauczyciel potrząsnął głową przecząco, jakby powiedzieć chciał, że już się nie zobaczą więcej.

— Tak! Tak! Do widzenia! — powtórzył mój ojciec.

A wtedy starzec podniósł ku niebu drżącą swoją rękę i zawołał:

— Tam!

I takeśmy go, z tą ręką wzniesioną, utracili z oczu.

Wyzdrowienie

## 20. czwartek

Kto by to powiedział, kiedym tak wesół wracał z ojcem z tej pięknej wycieczki, że przez dziesięć dni z rzędu nie zobaczę ani nieba, ani pola.

Byłem bardzo, bardzo chory. Jak nic mogłem umrzeć, powiadają.

Słyszałem, jak mama płakała, widziałem, jak mój ojciec taki błady, taki mizerny patrzył na mnie godzinami całymi, a Sylwia i mały mój braciszek rozmawiali zupełnie po cichu, a doktor w okularach ciągle przychodził i ciągle coś mówił, a ja nie wiedziałem co. Niewiele brakowało, żebym wszystkim powiedział: „Adie państwu!”

Dobrze teraz żartować! Ale co też ze mną przeszła biedna moja mama! Przez jakieś trzy, cztery dni to wcale nie wiedział, co się ze mną dzieje i wcale ich sobie nie mogę przypomnieć, tak jakbym ten czas przespał w jakim śnie ciężkim i męczącym.

Zdawało mi się chwilami, że widzę przy sobie moją dobrą nauczycielkę z pierwszej wyższego oddziału, jak zasłaniała usta chusteczką powstrzymując kaszel, żeby mnie nie zbudzić; trochę też przypominam sobie, niejasno, jak nauczyciel mój pochylił się nade mną, żeby mnie pocałować, i po twarzy mnie brodą drapnął. Jak przez mgłę także widziałem rudą głowę Crossiego i jasne włosy Derossiego, i Kalabryjczyka w czerni, i Garronego, co mi przyniósł mandarynkę na gałązce z listkami, i zaraz odszedł, bo matka jego chora...

A potem — jakbym się ze snu długiego obudził i zaraz poznałem, że mi lepiej, bo ojciec i mama uśmiechali się do mnie, a Sylwia śpiewała. Więc się cieszył, bo to był taki smutny, smutny sen. A potem było mi już co dzień weselej; a jak przyszedł Mularczyk, to się pierwszy raz roześmiał z tego zajęczego pyszczka, co go do mnie zrobił. A robi go tak wybornie, jak nigdy, bo schudł i tak mu się twarz, biedakowi, wydłużyła w chorobie.

Odwiedził mnie też Coretti i Garoffi przyniósł mi w podarunku dwa bilety do swojej nowej loterii na scyzoryk o pięciu ostrzach, który kupił u tandeciarza<sup>148</sup> na ulicy Bertola. Ale wczoraj, kiedym spał, przyszedł Precossi i przyłożył twarz do mojej ręki, a że szedł prosto z kuźni swego ojca i był poczerniony węglami, więc mi zostawił czarny znak na rękę i było mi bardzo przyjemnie, kiedym się obudził i ten znak zobaczył.

<sup>148</sup>tandeciarz — handlarz starzyzną. [przypis edytorski]

A jakie się drzewa zrobiły zielone przez te kilka dni! Jaka mnie zazdrość bierze, kiedy widzę, jak chłopcy biegną z książkami do szkoły, a ja tylko patrzę z daleka, gdy mnie ojciec do okna przyniesie! Ale już niedługo i ja pójdę! Tak bym już chciał, tak chciał zobaczyć wszystkich kolegów, moją ławkę, ogród, ulicę; i o wszystkim się dowiedzieć, co się tam przez ten czas stało, i znów się zabrać do kajetów, do książek, co zdaje mi się, że im rok nie widział...

A jak przy tym mama zmizerniała. Jaka teraz blada! A ojciec jak wygląda strasznie zmęczony!

I ci moi przyjaciele, co mnie odwiedzić przyszli, a potem odchodzili na palcach pocałowawszy mnie w czoło! Okropnie mi smutno, jak pomyślę, że się z nimi będę musiał rozstać. Z Derossim i z kilku jeszcze będziemy się jeszcze pewno razem dalej uczyli; ale ci wszyscy inni?...

Jak skończymy czwartą, bądź zdrów, nie zobaczymy się więcej! Nie zobaczę już przy łóżku moim, kiedy będę chory, Garronego, Precossiego, Corettiego, takich dzielnych, dobrych chłopców, takich kochanych kolegów!... Już nigdy!...

Przyjaciele robotnicy

20. *czwartek*

... Dlaczego, Henryku, „Już nigdy!”? Przecież to będzie zależało od ciebie. Jak skończysz czwartą klasę twojej szkoły, pójdziesz do gimnazjum, a oni zaczną pracować; prawda! A przecież będziecie w jednym mieście, być może przez długie lata.

Więc dlaczegoż byście się widywać nie mieli? — Kiedy wstąpisz na uniwersytet albo do liceum jakiego, będziesz ich odwiedzał w ich sklepach, w ich warsztatach i zobaczysz, jak to ci będzie miło mieć przyjaciół i towarzyszy lat dziecińczych między ludźmi pracy.

Chciałbym to widzieć, czy nie pobiegłbyś do Corettiego, do Precossiego, gdziekolwiek by byli! Pobiegiesz, pobiegiesz nieraz, spędzisz niejedną godzinę wraz z nimi i zobaczysz — poznawszy świat i życie — ilu od tych dawnych kolegów będziesz mógł nauczyć się takich rzeczy, których nikt inny nauczyć by cię nie potrafił. I o ich rzemiosłach, i o ich stanie społecznym, i o twoim własnym kraju.

I to jeszcze uważ, że gdybyś tych przyjaźni zachować nie miał, to byłoby ci niezmiernie trudno zawrzeć w przyszłości podobne; przyjaźni, mówię, poza klasą towarzyską, do której należysz. A tak umiałbyś żyć w zakresie jednej tylko klasy swojego narodu. Człowiek zaś, który tylko w zakresie swojej klasy żyje, podobny jest do tego, kto umie czytać tylko z jednej książki.

Postanówże zaraz, mój chłopcze, dotrzymać przyjaźni twoim towarzyszom szkolnym i wtedy także, kiedy się rozłączycie ze sobą, i od razu zacznij wyróżniać tych przyjaciół twoich, właśnie dlatego, że są dziećmi robotników.

Widzisz, to tak: ludzie należący do klas wyższych są jakby oficerami, a robotnicy jakby żołnierzami wielkiej narodowej armii. Ale tak samo w społeczeństwie, jak i w wojsku żołnierz nie jest mniej godnym niżeli oficer; bo godność w pracy leży, a nie w zapłacie, i leży w wartości, a nie w stopniu. Owszem, jest prawie że coś godniejszego tak w żołnierzu, jak i w robotniku, którzy, ciężiej pracując, mniejszy zysk odnoszą.

Kochaj więc ich nad innych swych kolegów, szanuj synów wielkiej armii pracowników, uczcij w nich trudy i ciężką dolę ich rodziców; wżgardź różnicami klas i stanów, podług których nikczemni tylko stopniują grzeczność swoją i uczucia swoje; pamiętaj, że ta krew błogosławiona, która ci odrodziła ojczyznę, wypłynęła wszystka niemal z żył robotników pracujących w polach i przy warsztatach. Kochaj Garronego, kochaj Precossiego, kochaj małego Corettiego, kochaj twojego Mularczyka, bo oni w swoich piersiach małych

Robotnik

Spółczeństwo



robotników mają książęce serca, przysięgnij sam sobie, że żadna odmiana losu nie wydrze ci z duszy tych świętych dziecięcych przyjaźni.

Przysięgnij, że jeśli po latach czterdziestu przechodząc koło jakiejś stacji kolei żelaznej poznasz w bluzie maszynisty swojego dawnego Garronego, z czarną od dymu twarzą... Ach, nie wymagam, żebyś przysięgał! Jestem pewny, że skoczysz na maszynę i zarzucisz mu ręce na szyję, choćbyś też był senatorem państwa.

*Twój ojciec.*

Matka Garronego

28. piątek

Ledwie powrócił do szkoły, zaraz smutna wiadomość. Od kilku dni Garrone nie przychodził, bo matka jego była bardzo chora. W sobotę wieczór umarła. Wczoraj rano wszedłszy do klasy nauczyciel powiedział:

— Biednego Garronego spotkało największe nieszczęście, jakie dziecko spotkać może. Stracił matkę. Jutro powraca do szkoły. Proszę was, chłopcy, uszanujcie tę straszną boleść, która mu duszę rozrywa.

Gdy wejdzie, powitajcie go serdecznie a z powagą, żadnych żartów, żadnych śmieszków, bardzo was o to proszę!

I oto dziś z rana, trochę później niż inni, wszedł biedny Garrone. Jakby mi serce kto przebił, jakem na niego spojrział.

Twarz wybladła, oczy zaczerwienione, cały aż chwiał się na nogach. Można by myśleć, że z miesiąc chorował. Prawie nie do poznania się zmienił i w dodatku był czarno ubrany. Litość brała patrzeć. Żaden z nas nie pisnął; patrzyliśmy na niego ze smutkiem. Gdy wszedł i zobaczył tę klasę, gdzie matka prawie co dzień przychodziła po niego, tę ławkę, nad którą tyle razy pochylała się w dzień egzaminu dając mu ostatnie polecenia i na której siedząc tyle razy myślał o matce, niecierpliwie czekając wyjścia, aby pobiec do niej, kiedy tak spojrział na to wszystko, wybuchnął rozpaczliwym płaczem.

Nauczyciel przyciągnął go do siebie, przytulił do piersi i rzekł:

— Płacz, płacz, biedny chłopcze, a tym się pocieszaj, że choć twojej matki nie ma, patrzy ona przecież na ciebie, kocha cię po dawnemu, żyje blisko ciebie i że przyjdzie dzień, w którym ją zobaczysz, bo masz, jak ona, duszę czystą i prawą. Odwagi, dziecko!

Powiedziawszy to poprowadził go sam do ławki i przy mnie posadził. Nie śmiałem spojrzeć na niego. Wydostał swoje książki i kajety nie ruszane od wielu dni, a otworzywszy czytania w tym miejscu, gdzie jest winieta, która przedstawia matkę idącą z synem za rękę, znowu płaczem wybuchnął i głowę pochylił na ramię.

Nauczyciel dał nam znak, żeby go tak zostawić, i rozpoczął lekcję.

Pragnąłem koniecznie coś przemówić do Garronego, ale nie śmiałem. Wsunąłem mu tylko rękę pod ramię i szepnąłem do ucha: — Nie płacz, Garrone! — Nie odpowiedział i nie podnosząc głowy znad ławki włożył swoją rękę w moją i tak ją przez chwilę trzymał.

Przy wyjściu było okropnie cicho, bo nikt nic nie mówił i wszyscy obchodzili Garronego z daleka, z szacunkiem i w milczeniu.

Zobaczyłem, że mama czeka na mnie, i pobiegłem ją uściskać; ale ona odsunęła mnie od siebie, patrząc na Garronego. Z początku nie rozumiałem tego, ale spostrzegłem się, że Garrone stoi sam na stronie i pogląda na mnie niewypowiedzianym smutnym wzrokiem, jak gdyby chciał mówić: „Ty całujesz swoją matkę, a ja mojej nigdy już nie ucałuję! Ty masz jeszcze swoją matkę, a moja już nie żyje!” — Więc rozumiałem, dlaczego mama odsunęła mnie od siebie, i wyszedłem nie trzymając jej ręki.

Józef Mazzini<sup>149</sup>

<sup>149</sup>Mazzini, Giuseppe (1805–1872) — włoski dziennikarz, prawnik i rewolucjonista, jeden z założycieli organizacji „Młode Włochy”. [przypis edytorski]

I dzisiaj też Garrone przyszedł bardzo blady, z oczami zapuchniętymi od płaczu i ledwie spojrzął na małe podarunki, któreśmy mu położyli na ławce, żeby go pocieszyć. Ale nauczyciel przyniósł z sobą książkę i dał mu do czytania, żeby go rozerwać.

Wpierw jednak zapowiedział nam, że pójdziemy jutro w samo południe do ratusza, gdzie chłopcu, który uratował tonące dziecko, mają dać medal za „odwagę cywilną”, i że w poniedziałek podyktuje nam opis tej uroczystości zamiast miesięcznego opowiadania. Potem zwrócił się do Garronego, który stał z głową spuszczoną, i rzekł:

— Garrone, przezwycięż się i pisz także, co będę dyktował.

Wszyscy wzięliśmy pióra. Nauczyciel dyktować zaczął:

—...Józef Mazzini urodził się w Genui 1805 roku, umarł w Pizie 1872 roku. Wielka dusza patrioty, wielki geniusz pisarstwa, pierwszy apostoł i twórca rewolucji włoskiej, który dla<sup>150</sup> miłości ojczyzny żył przez czterdzieści lat w biedzie na wygnaniu, prześladowany w tułactwie, a bohaterstwo niewzruszony w swoich słowach i zasadach. Józef Mazzini, który uwielbiał matkę swoją, a odziedziczył po niej wszystko, co miał najwyższego i najszlachetniejszego w duszy, pisał do wiernego przyjaciela, aby go pocieszyć w najsroźszym z nieszczęść tymi prawie słowy:

„Przyjacielu, nie zobaczysz już nigdy matki twej na tej ziemi. To jest straszna i okrutna prawda. Nie spieszę cię odwiedzić, bo twoja boleść jest jedną z tych boleści uroczystych i świętych, które człowiek sam przecierpieć i sam przezwyciężyć musi. Rozumiesz dobrze, co chcę powiedzieć, gdy mówię, że boleść zwyciężyć trzeba? Bo tu chodzi o zwyciężenie tego, co w boleści jest mniej świętym, mniej oczyszczającym, tego, co zamiast ducha wznosić i umacniać, osłabia go i poniża. Ale ta druga część boleści, jej część szlachetna, od której dusza rośnie i dostaje skrzydeł, ta powinna z tobą pozostać i nie opuścić cię nigdy.

Tu, na ziemi, nic nie zastąpi dobrej, kochającej matki. Czy życie przyniesie ci smutki, czy cię obdarzy pociechą, nigdy jej nie zapomnisz i będziesz o niej myślał z utęsknieniem.

Ale musisz ją wspominać, kochać i smuć się jej śmiercią w sposób jej godny. O przyjacielu, posłuchaj mnie: Śmierć nie istnieje. Śmierci nie ma zgoła. Trudno pojąć, a jednak to pewne. Życie jest życiem, a prawem jego jest postęp. Wczoraj miałaś matkę na ziemi, a dziś masz anioła — w niebie.

Wszystko, co dobre, co święte — przerasta życie ziemskie, idzie wyżej. Tu też należy miłość twojej matki. Miłuje cię ona teraz więcej niżli kiedyś. A ty bardziej niż w pierw odpowiedzialny jesteś przed nią za czyny swoje. Od ciebie, od twych czynów zależy spotkać ją i zobaczyć w nowym, wyższym istnieniu.

Trzeba ci więc przez miłość i cześć dla niej być coraz lepszym i duszę jej radować sobą. Trzeba ci odtąd przy każdym postępku zapytać samego siebie: „Co by też powiedziała na to moja matka?”

To przemienienie, jakie się w niej dopełniło z ujściem ziemskiego żywota — zrodziło dla ciebie anioła stróża, któremu powinieneś powierzać wszystkie twoje sprawy. Bądź silny i dobry; przezwycięż boleść rozpaczliwą, ludziom pospolitą; miej spokój wielkich bólów milczących w wielkich sercach. Tęgo chce ona”.

Skończył, a po chwili rzekł:

— Garrone, bądź silny i spokojny. Tęgo chce ona. Rozumiesz?

Kiwnął głową Garrone na znak, że rozumie, a łzy wielkie, rzęśiste zaczęły mu lecieć z oczu na rękę, na kajet, na ławkę.

Odwaga cywilna

Punkt o dwunastej stanęliśmy z nauczycielem naszym przed ratuszowym gmachem, gdzie miano dawać medal chłopcu, który uratował towarzysza od utonięcia w Po.

Na frontowym tarasie powiewała wielka trójkolorowa chorągiew. Weszliśmy dwójkami na dziedziniec. Pełno już się tam tłoczyło ludzi.

W głębi stół czerwonym dywanem przykryty, na stole papiery, a za stołem rząd wyślanych foteli dla pana syndyka i dla panów radnych. Szwajcarzy<sup>151</sup> municipalni w niebie-

<sup>150</sup>dla (daw.) — tu: z powodu. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>szwajcar — tu: portier. [przypis edytorski]

skich koletach<sup>152</sup> i białych spodniach otaczali tę przestrzeń, pilnując porządku. Po prawej stronie dziedzińca stali miejscy gwardziści, każdy z medalami na piersiach, a przy nich straż celna; z drugiej strony pompierzy<sup>153</sup> w paradnych mundurach i dużo luźno stojących żołnierzy, którzy przysli patrzeć: kawalerzyści, bersalierzy, artylerzyści.

A dookoła panie, panowie, robotnicy, kilku urzędników, proste kobiety, dzieci, a wszystko to jedno drugiemu patrzące przez głowę.

Wcisnęliśmy się w kąt, gdzie już było dużo uczniów z innych szkolnych sekcji z nauczycielami swoimi; a tuż przy nas stała spora kupka wyrostków, tak pomiędzy dziesiątym a osiemnastym rokiem, którzy śmiali się i mówili głośno, i znać było, że wszyscy są z przedmieścia nadrzecznego, znajomi i towarzysze chłopca, który miał dostać medal. A dookoła dziedzińca wszystkie okna zapchane głowami urzędników municypalnych. Nawet łoża nad biblioteką miejską pełna była ludzi, którzy się do balustrady cisnęli; w łoży zaś przeciwległej, tej nad bramą wchodową<sup>154</sup>, cisnęły się uczennice szkół publicznych i „Córki żołnierzy”, w pięknych swoich niebieskich welonach.

Cały dziedziniec wyglądał zupełnie jak teatr.

Wszyscy rozmawiali wesoło, co chwila poglądając ku czerwonemu stołowi, czy nikt się nie pojawił jeszcze. W głębi portyku orkiestra poczyniała grać z cicha. Wysokie mury stały w jasnym słońcu. Było pięknie.

Naraz wszyscy zaczęli klaskać. W dziedzińcu, w łożach, w oknach. Wspiąłem się na końce palców, żeby coś zobaczyć. Tłum, który się cisnął poza czerwonym stołem, poruszył się nagle, a z tłumu wystąpili naprzód jakiś mężczyzna i jakaś kobieta. Mężczyzna trzymał za rękę chłopca. To był ten chłopiec, który ocalił kolegę. Mężczyzna zaś to był ojciec chłopca, mularz, w odświętnym ubraniu. Matka zaś chłopca to była ta kobieta niska, drobna, z włosami jasnymi i w czarnej sukni. Chłopiec, także blondynek i drobny, ubrany był w szarą kurteczkę. I stanęli tak wszystko troje patrząc na te tłumy ludzi, ogłuszeni tą burzą oklasków, onieśmieleni, nie wiedząc, co z sobą zrobić i jak się poruszyć. Szwajcar municypalny posunął ich z lekka ku stołowi, w prawo.

Ucichło wszystko na chwilę, po czym znowu wybuchły oklaski. Chłopczyna poglądał po oknach, potem zadarłszy jasną główkę patrzył na łożę, w której stały „Córki żołnierzy”, obracał kapelusz w ręku i taką miał minę, jakby nie zdawał sobie sprawy, skąd się tu wziął i gdzie się znajduje. Był jakby troszkę podobny do Corettiego, ale rumieńszy w twarzy. Ojciec jego i matka trzymali oczy w stół utkwione.

Tymczasem wszystkie stojące przy nas wyrostki z nadrzecznego przedmieścia Po, patrzyli się naprzód, kiwali na chłopca i dając znaki, żeby na nich spojrzął, wołali z cicha: — Pin... Pin... Pino!... — póki nie usłyszał.

Odwrócił ku nim głowę, spojrzął i ukrył uśmiech, zakrywszy usta kapeluszem.

A wtem straż stanęły w pozycji. Wszedł syndyk, a z nim wielu panów. Syndyk, zupełnie siwy, z trójkolorową szeroką szarfą, stanął za stołem, panowie zaś nieco za syndykiem po obu jego stronach. Orkiestra przestała grać, syndyk dał znak, zrobiła się cisza.

Wtedy zaczął mówić.

Pierwszych słów nie dosłyszałem dobrze; ale zrozumiał, że opowiadał postępek chłopca.

Potem głos jego wzmógł się i jasnym brzmieniem wypełnił tak dziedziniec cały, że słyhać było dobrze każde słówko.

—... Kiedy zobaczył z brzegu kolegę, który walczył z falą, ogarnion już grozą śmierci, zerwał z siebie odzież i nie wahając się ani chwili, na ratunek biegł.

„Utoniesz!” — krzyczano z brzegu. Nie odpowiadał. Chciano go przytrzymać — wyrwał się; wołano na niego po imieniu — był już w wodzie.

Rzeka była wezbrana, pędziła z szumem, straszliwe niebezpieczeństwo groziło nawet dorosłemu człowiekowi w jej wzburzonych falach. On jednak rzucił się przeciw śmierci całą siłą swego drobnego ciała i swego wielkiego serca, pochwycił tonącego, który już pod wodą był, i wyciągnął nieszczęśnika za włosy, walcząc zajadłe z falą, która w niego wściekle biła, i z uratowanym, który go się czepiał i ruchy jego tamował. To zniknął pod wodą, to z rozpaczliwym wysiłkiem dobywał się na powierzchnię, uparty w dziele swoim

<sup>152</sup>kolety (z fr.) — kurtki, bluzy. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>pompier (daw.) — strażak. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>wchodowy — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

nie jak chłopiec chcący uratować drugiego chłopca, ale jak dojrzały mężczyzna, jak ojciec walczący śmiertelnym bojem dla ocalenia dziecka, które jest życiem jego i całą nadzieją.

Na koniec — Bóg nie pozwolił, żeby to męstwo, tak szlachetne, zostało daremnym. Mały pływak wydarł rzece jej drobną ofiarę i oddał ją ziemi, tam jeszcze na brzegu ratując z innymi małego topielca, po czym powrócił do domu sam, spokojny, z prostotą opowiadając rodzicom o całym zdarzeniu.

Panowie! Piękną, czcigodną jest rzeczą heroizm mężczyzny! Ale w dziecku nie znającym jeszcze ambicji ani jakichkolwiek pobudek osobistego interesu, w dziecku, które musi mieć o tyle więcej odwagi, o ile siły jego są słabsze, w dziecku, od którego nie wymagamy nic jeszcze i które do niczego nie jest obowiązane, które nam już dobrym i szlachetnym się wydaje, kiedy rozumie i uznaje poświęcenie innych — heroizm w dziecku takim jest czymś boskim.

Nic więcej nie powiem, panowie!

Nie chcę obniżyć pochwałami tej wielkoduszności tak prostej. Oto macie tu przed sobą tego męznego wybawcę, tę świętą dziecinę!

Żołnierze! Powitajcie go jak brata!

Matki! Błogosławcie go jak syna!

Dzieci! Uczcie się imienia jego, wyrzycie sobie w sercach rysy jego twarzy, żebyście go już nie zapomniały, nigdy, nigdy.

Przybliź się, chłopcze!

W imieniu króla Włoch daję ci medal za cywilną odwagę!

Ogromny okrzyk wznoszonych głosów zatrzęsł murami gmachu, tysięcznym echem w nich odbity.

Syndyk wziął ze stołu medal i przypiął go chłopcu na piersiach, potem go objął i ucałował serdecznie.

Matka chłopczyny zasłoniła ręką oczy, ojciec stał ze spuszczoną głową.

Syndyk uściśnął rękę obojgu, a wręczwszy dekret królewski, dotyczący medalu tego i związany wstążką, podał go matce.

Zwrócił się potem raz jeszcze do chłopca i rzekł:

— Niechaj wspomnienie dnia tego, który cię w oczach współobywateli chlubą okrywa, a jest dniem szczęścia dla ojca twego i dla matki twojej, niech to wspomnienie utrzymuje cię przez całe życie na drodze prawości i honoru!

Bądź zdrów, bohaterze mały!

Oddalił się syndyk, muzyka zabrzmiała i wszystko zdawało się skończone, kiedy spoza oddziału pompierów chłopczyna lat ośmiu lub dziewięciu może, popchnięty przez kobietę, która zaraz cofnęła się sama, rzucił się do udekorowanego i padł mu w ramiona.

Nowy grzmot oklasków wstrząsnął murami dziedzińca.

Wszyscy zrozumieli od razu, że to uratowany dziękuje wybawcy swemu. Wycalowali się, uściśkali, po czym ten mniejszy wziął chłopca z medalem za rękę i tak, oni dwaj najpierw, a za nimi ojciec i matka skierowali się ku wyjściu, torując sobie drogę wśród straży, gwardzystów, dzieci, kobiet, żołnierzy, pań i panów, którzy się rozstąpili przed nimi w dwa skrzydła, niemniej się pchając i wspinając jedni przez drugich, żeby tylko chłopca z medalem zobaczyć. Ci, co byli najbliżej, ściskali mu ręce. Kiedy przechodził koło uczniów szkół, wszystkie czapki wiewały w powietrzu. Ale ci z przedmieścia Po to już sami nie wiedzieli, co robić. Ciągnęli go za kurtkę, chwyтали za ramiona, wrzeszcząc jak opętani:

— Pin!... Brawo, Pin! Brawo nasz Pino!

Ja go też widziałem z bliska, jak przechodził. Miał twarz rozpaloną, znać było, że szczęśliwy. Przy medalu widniała wstążeczka biała, czerwona i zielona.

Matka śmiała się i płakała razem<sup>155</sup>, ojciec pomuskiwał wąsa, a ręka tak mu drżała, jak gdyby miał febrę.

<sup>155</sup>razem (daw.) — tu: naraz, jednocześnie. [przypis edytorski]

A z góry, z okien, z balkonów leciały okrzyki i oklaski. Naraz, kiedy już mieli wejść pod portyk, spadł z łoża „Córek żołnierzy” prawdziwy deszcz kwiatów, fiołków, stokrotek na głowę chłopca, na głowy ojca, matki i usiał im jakby dywan pod nogi.

Rzuciło się wielu zbierać, podawać matce. A muzyka tam w głębi grała prześliczną pieśń, zupełnie jakby tysiące srebrzystych głosów śpiewało oddalając się z wolna z szumem wielkiej rzeki.

## MAJ

Rachityczne<sup>156</sup> dzieci

### 5. piątek

Dziś miałem wolny dzień, bo nie bardzo jakoś zdrowy byłem, więc matka wzięła mnie z sobą do zakładu rachitycznych dzieci, gdzie chciała polecić córeczkę odźwiernej, ale nie pozwoliła mi wejść tam do ich szkoły.

\*

... Czyś nie zrozumiał, Henryku, dlaczego ci wejść nie pozwoliła? Dlatego, widzisz, żeby im nie stawiać na oczy, tym nieszczęśliwym dzieciom, i to jeszcze w szkole, jakby dla popisu, zdrowego i silnego chłopca, bo oni i tak mają aż nadto sposobności do bolesnych dla siebie porównań. Jakaż to smutna, smutna rzecz, takie zbiorowisko upośledzonych od natury dzieci!

Plakać mi się chce, kiedy tam wchodzę. Sześćdziesiąt ich było, chłopców i dziewczynek. Biedne, wymęczone kostki! Biedne ręce, biedne nóżki powykęcane, nieforemne, słabe. Biedne ciała ułomne, bezkształtne. Widziałam twarze wdzięczne, spojrzenia pełne inteligencji i uczucia, to znów jakąś twarzyczkę dziewczynki z nosem wydłużonym i spiczastą brodą, która się wydawała twarzą podeszłej staruszki, a miała uśmiech niebiańskiej słodyczy.

Niektóre z dzieci, widziane z przodu, są śliczne i nie widać w nich żadnej ułomności; ale niech no się które obróci, serce ściska patrzeć. Był właśnie doktor i oglądał je. Stawiał je na ławce, podnosił ubranka, żeby opukać ich wzdęte brzuszyny, ich zgrubiałe wiązania kostne; a one, biedne, wcale się nie wstydzily; przywykły już widać, żeby je tak rozbierano, oglądano, obracano na wszystkie strony. I pomyśleć tylko, że to już jednak okres polepszenia w ich chorobie; że prawie wcale nie cierpią.

Ale któż obliczy, ile wycierpiały od pierwszego pojawienia się ich ułomności, kiedy w miarę rozwoju choroby widziały się z dnia na dzień coraz mniej kochane, kiedy były zostawiane godzinami gdzieś w kącie izby albo podwórza, źle żywione, a nieraz wyśmiane albo miesiącami całymi torturowane jakimiś bandażami albo ortopedycznymi przyrządami, które im nie miały nic pomóc! Teraz przynajmniej dzięki staraniom rozumnych, dobremu pożywieniu, gimnastyce wiele z nich ma się znacznie lepiej. Odbywała z nimi nauczycielka niektóre ćwiczenia gimnastyczne. Przykro było patrzeć, jak te biedactwa wyciągały pod ławkami nogi. Ściśnięte w łupkach<sup>157</sup>, węzłowate, niekształtne, kalekie nogi małych Łazarzy<sup>158</sup>, które by się okryć chciało pocałunkami litości. Niektóre z dzieci nie mogły podnieść się z ławki, siedziały więc z główkami przechylonymi na ramię głaszcząc swoje szczudła. Innym, kiedy im przyszło wyciągnąć prosto ramię, zaczynało braknąć oddechu, tak że opadały na ławkę blade, ale uśmiechające się, żeby pokryć ten ciężki wysiłek.

Zdrowie, Choroba

Kaleka

<sup>156</sup>rachityczne — wątły, słaby, z objawami krzywicy. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>łupki — kawałki drewna stosowane do usztywnienia kończyny. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>Łazarz — postać biblijna, wg Ewangelii św. Jana wskrzeszona z grobu przez Chrystusa; przen. osoba cierpiąca. [przypis edytorski]

Ach, Henryku, jak wy też nie umiecie cenić zdrowia i jaką małą rzeczą wydaje wam się być zdrowym!

Więc kiedyś pomyślała o tych silnych i kwitnących dzieciach, które matki jak w triumfie obnoszą dokoła, dumne z ich piękności, miałam ochotę wszystkie te biedne główki przycisnąć do serca z rozpaczą, za ich los, za ich dołę! I mówiłam sobie, gdybym była sama na świecie, nie wyszłabym już stąd i oddała życie, aby im służyć, aby je pocieszać, aby im być matką aż do ostatniej godziny mojej.

A one tymczasem śpiewały. A były to głosy wątłe, słodkie, smutne, które wprost do duszy szły. Pochwaliła je nauczycielka, więc były uszczęśliwione i przechodzącą pomiędzy ławkami całowały w ręce, bo są ogromnie wdzięczne za dobroć dla siebie i niezmiernie uczuciowe. I zdolności okazują duże, i uczą się dobrze — mówiła nauczycielka.

Miała, młoda nauczycielka, która na dobrotliwej twarzy ma jakiś wyraz troski, jakby odbicie tej niedoli, którą koi, pielęgnuje i pociesza.

Drogie, serdeczne dziewczę! Między istotami ludzkimi, które pracą zarabiają na życie, nie ma chyba ani jednej, która by zarabiała na nie święciej i ofiarniej!

*Twoja matka.*

## Poświęcenie

### 9. wtorek

Jaka też moja mama dobra! A Sylwia — zupełnie tak samo! Tak samo ma wielkie szlachetne serce!

Właśnie przepisywał wczoraj wieczór moją część miesięcznego opowiadania: „Od Apeninów do Andów”, które nauczyciel podzielił między nas do skopiowania, takie jest długie, gdy Sylwia weszła na palcach pośpiesznie a z cicha:

— Pójdź ze mną do mamy! Słyszałam, jak ojciec z mamą rozmawiał dziś z rana. Ojcu źle poszła jakaś sprawa i bardzo był zmartwiony, mama go pocieszała. Jesteśmy w ciężkim położeniu, rozumiesz. Nie mamy już pieniędzy. Ojciec mówił, że trzeba będzie wyrzec się niejednego, żeby koniec z końcem związać. Więc i nam trzeba ograniczyć się, uczynić jakąś ofiarę, nieprawdaż? Czyś gotów to zrobić? Dobrze! Ja będę mówiła z mamą, a ty mi przytakuj tylko i na twój honor przyrzeknij sobie, że wszystko, co powiem — uczynisz!

Powiedziawszy to wzięła mnie za rękę i poszliśmy do mamy, która szyła coś, pogrążona w myślach. Siadłem na sofie z jednej strony przy mamie, Sylwia siadła z drugiej i zaraz zaczęła:

— Mamo! Ja chcę z mamą pomówić o czymś. Oboje chcemy z mamą pomówić.

Mama spojrzała zdziwiona, a Sylwia:

— Ojciec nie ma pieniędzy, prawda?

— Co ty mówisz? — rzekła mama zacerwieniwszy się lekko — To nieprawda! Skądże ty to wiesz? Kto ci to powiedział?

— Już ja wiem! — odrzekła rezolutnie Sylwia. — Więc niech tylko mama posłucha! Myśmy także powinni uczynić jakąś ofiarę z siebie. Chcemy bardzo! Mama mi obiecała kupić wachlarz w końcu maja, a Henryk też miał dostać szkatułkę z farbami. Ale teraz my nic nie chcemy! Nie chcemy, żeby rodzice wydawali pieniądze. I tak będziemy kontenci<sup>159</sup>. Jeszcze bardziej. Wie mama?

Matka nasza chciała coś mówić, ale Sylwia rzekła:

— Nie, mamo! Tak musi być. Tak będzie. I póki tata nie będzie miał pieniędzy, nie chcemy ani owoców, ani żadnych dobrych rzeczy, nic. Wystarczy nam zupa na obiad, a na śniadanie i na kolację będziemy tylko chleb jedli. Tym sposobem wyda się mniej na życie; bo teraz to się za dużo wydaje, a my przyrzekamy mamie, że będziemy tak samo kontenci i jeszcze bardziej! Nieprawdaż, Henryku!

<sup>159</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

Kiwnąłem głową z zapalem.

— Zawsze jednak będziemy kontenci — powtórzyła Sylwia zasłaniając mamie usta ręką. — A jeśli można zrobić jakąś ofiarę czy to w ubraniu, czy w czym innym, to też zrobimy ją najchętniej! I posprzedajemy także wszystkie nasze podarunki. Ja wszystko oddam, co mam, i będę mamie posługiwała sama, i nie będziemy oddawali nic do roboty z domu, bo ja z mamą będę pracowała cały dzień, będę wszystko robiła, co mama zechce, gotowa jestem — na wszystko! Na wszystko! — zawołała głośniejszym głosem zwracając ręce na szyję mamy. — Żeby tylko tata i mama nie mieli kłopotów i żebym znowu widziała, że są spokojni, weseli, jak przedtem, i radzi ze swoich dzieci, które was bardzo, bardzo kochają! Tak kochają, żeby oddały życie za was!

Nigdy jeszcze chyba nie widziałam mamy tak szczęśliwej, jak kiedy słów tych słuchała; nigdy nie całowała Sylwii z taką czułością, płacząc i śmiejąc się razem i wcale przemówić nie mogąc.

Uspokoili się wreszcie i zapewniła Sylwii, że tak źle nie jest, że nie jesteśmy przeprowadzeni do takiego niedostatku bynajmniej, i dziękowała jej, i przez resztę dnia była wesółka, a kiedy ojciec wrócił, wszystko mu opowiedziała. A biedny ojciec ust nie otworzył nawet.

Ale nazajutrz w południe siadając do stołu uczułem radość i smutek zarazem. Pod moją serwetką była szkatułka z farbami, a Sylwia znalazła pod swoją serwetką — wachlarz.

Pożar<sup>160</sup>

## II. czwartek

Skończyłem dziś rano przepisywać moją część opowiadania: „Od Apeninów do Andów”, i obmyślałem właśnie, o czym by tu napisać wypracowanie dowolne, które nam nauczyciel zadał, kiedy usłyszałem jakiś niezwykły hałas na schodach, a zaraz potem weszli do naszego mieszkania dwaj pompierzy<sup>161</sup> ze straży ogniowej i powiedzieli memu ojcu, że muszą zbadać piec i kominki, bo się sadze palą w domu, a nie wiadomo, skąd ogień pochodzi.

Ojciec rzekł:

— Owszem, proszę! — I chociaż u nas nigdzie ogień się nie palił, zaczęli chodzić po pokojach i przykładać ucho do ścian nasłuchując, czy w przewodach kominowych wiodących na wyższe piętra nie huczy gdzie pożar.

A kiedy tak chodzili, rzekł mi ojciec:

— No i masz, chłopcze, temat do wypracowania: „Straż ogniowa”. Spróbuj opisać to, co ci opowiem:

Widziałem ich przy robocie przed dwoma laty, późną już nocą, wyszedłszy z teatru Balbi. Dochodziłem właśnie do ulicy Roma, kiedy ujrzałem jakieś niezwykle światło i tłum biegnących ludzi. Palił się dom. Języki ognia i chmury dymu wydobywały się z okien jego i z dachu, mężczyźni i kobiety ukazywali się wśród nich i znikali zaraz, wydając okrzyki rozpacz, przed bramą tłoczył się tłum wołając:

— Ratunku! Żywcem się palą! Ratunku! Pompierzy! Pompierzy!

W tej chwili stanął przed bramą wóz, czterech strażaków, jacy byli na razie w ratunku, skoczyło z niego i rzuciło się do płonącego domu.

Ledwo tam weszli, kiedy okropny widok krew nam w żyłach zmroził. Jakaś kobieta z nieludzkim rykiem podbiegła do okna trzeciego piętra, chwyciła za rynnę i przerzuciwszy się na zewnątrz muru zawisała w próżni, smagana dymem i ogniem, które za nią oknem buchnęły.

Tłum krzyknął ze zgrozy. Strażacy zatrzymani na drugim piętrze przez wystraszonych mieszkańców już ścianę tam rozbijając zaczęli, kiedy tysięczne głosy buchnęły z ulicy:

— Na trzecie! Na trzecie piętro! Na trzecie!...

Skoczyli na trzecie. Całe piekło ognia! Gorejące belki dachu przebijały sufity, korytarze w płomieniach i w duszącym dymie.

<sup>160</sup>pożar — rozdział wspomina autentyczne zdarzenie z 27 stycznia 1880 r. [przypis autorski]

<sup>161</sup>pompier (daw.) — strażak. [przypis edytorski]

Żeby się dostać do mieszkań zamkniętych, nie było innej drogi jak przez dach. Rzucili się więc na strychy, a w chwilę później ujrzelśmy jakby czarne widmo skaczące skroś dymu i płonących belek. Był to kapral, który dobiegł pierwszy.

Ale żeby się od strony dachu dostać do zamkniętego mieszkanka, trzeba było przejść przez niezmiernie wąską przestrzeń między wylotem strychowego okienka a kominem. Nie było innej drogi, gdyż pożar wszystko już objął, tę zaś jedyną, po spadzistości dachu wiodącą, pokrywał w owej porze śnieg i lód, a uchwycić się nie było czego.

Nie przejdzie! Niepodobna<sup>162</sup>! — wołał tłum z ulicy.

Kapral posunął się aż na brzeg dachu, a dosięgnąwszy punktu, na którym mógł weszprzeć nogę, zaczął gwałtownie rozbijać belki, krokwie, rynny, żeby sobie otwór do wnętrza uczynić. A kobieta ciągle wisiała za oknem, a ogień huczał nad jej głową, a dym owijał ją jak w całun śmiertelny. Chwila jeszcze, a upadnie na bruk ulicy. Ale otwór już wybito został, kapral sparł się na haku i zesunął do wewnątrz. Inni nadbiegli tymczasem i skoczyli za nim.

W tymże momencie ustawiono olbrzymią drabinę, przywieszoną właśnie, oparłszy ją pod oknami, z których buchały płomienie i krzyki szaleństwa. Wszyscy jednak myśleli, że to już za późno.

— Nie uratujecie aikogo! — krzyczał tłum w ulicy.

— Popalą się, poduszą nawet i strażacy!

— Skończone!

— Daremne!

Nagle w okienku nad rynną ukazała się czarna postać kaprała, oświetlona jaskrawym płomieniem. Schylił się, kobieta chwyciła go za szyję, ujął ją oburącz wpół i wciągnął do wnętrza. Okrzyk tysiąca głosów zagłuszył na chwilę huk ognia.

Ale inni.

Jak zejda? Drabina, oparta o dach pod innym oknem, oddalona była jednakże od niego dość znacznie. Jakże się jej uczepią?

Lecz kiedy tak pytano z bijącym trwogą sercem, jeden ze strażaków stanął na gzymsie jedną nogą, drugą na drabinie i tak wyprostowany w powietrzu brał w ramiona jednego po drugim mieszkańców płonącego domu, których mu inni podawali z wnętrza, i oddawał stojącemu na drabinie towarzyszowi, a ten uwiązywał ich silnie na linie i przy pomocy przybyłych z drabiną spuszczał na dół.

Pierwsza uratowana została w ten sposób kobieta uczepiona przedtem rynny, po niej dziecko jakieś, potem znów druga kobieta, potem starzec. Wszyscy ocaleni zostali! Po nich dopiero zaczęli spuszczać się strażacy. Ostatni spuścił się kapral, ten, który pierwszy na ratunek przybiegł. Zebrany w ulicy tłum przyjął ich grzmiotem oklasków. Ale kiedy się ukazał kapral, wódz tej gromadki zbawców, ten, który wobec wszystkich nad przepaścią zawisł, ten, który byłby zginął, gdyby jeden z nich zginąć musiał, tłum powitał go jak triumfatora krzycząc i wyciągając ku niemu ramiona z uniesieniem wdzięczności i podziwu, a imię jego, nikomu przedtem nie znane imię: „Józef Robino”, brzmiało na wszystkich ustach.

Czy zrozumiałeś?

To jest odwaga! Odwaga serca, która nie rozumuje, nie waha się, ale jak ślepy piorun tam bije, gdzie krzyk śmiertelny posłysz.

Muszę cię którego dnia zaprowadzić na ćwiczenia strażaków. I pokażę ci też kaprała Robino! Rad będziesz, że go poznasz, nieprawda?

— Tak, prawda — odrzekłem.

A wtem ojciec:

— Otóż i on!

Odwrociłem się w bok. Dwaj strażacy skończywszy swoje oględziny przechodzili przez pokój do wyjścia.

Ojciec pokazał mi mniejszego, który miał galon<sup>163</sup> na ramieniu, i rzekł:

— Uściśnij rękę kapralowi Robino!

<sup>162</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>galony — ozdoby z taśmy naszytej na ubraniu, zwł. na mundurze. [przypis edytorski]



Kapral zatrzymał się i podał mi rękę z uśmiechem. Ścisnąłem ją z całej siły, a on się skłonił i wyszedł.

— Nie zapomnijże go — dorzucił ojciec — bo z tych tysięcy rąk, jakie ci w życiu uściskać przyjdzie, nie wiem, czy będzie z dziesięć godnych jego ręki!

Od Apeninów do Andów

### *Opowiadanie miesięczne*

Przed wielu laty chłopiec jeden, Genuńczyk, mający lat trzynaście, syn robotnika, wybrał się z Genui do Ameryki sam, aby odszukać swą matkę.

Matka jego przed dwoma laty wywędrowała do Buenos Aires, stołecznego miasta Republiki Argentyńskiej, aby tam przyjąć służbę w jakim bogatym domu i zarobić w krótkim czasie tyle, żeby poratować jakoś swoją rodzinę, przywiedzioną do ostatniego ubóstwa i zadłużoną nawet skutkiem różnych nieszczęść.

Niemal u nas w kraju jest odważnych kobiet, które się puszczają w tak daleką drogę z tym samym zamiarem, i dzięki wysokiej zapłacie, jaką tam otrzymuje uzdolniona służba, po niewielu latach wracają do domu z kilkoma tysiącami lirów.

Kiedy biednej matce przyszło się rozstać ze swoimi synami, z których jeden miał lat osiemnaście, a drugi jedenasty kończył, zapłakała krwawymi łzami z serdecznego żalu, wszakże wiedząc, że to dla ich dobra, ruszyła w drogę mężnie i pełna nadziei. Podróż była pomyślna. Zaledwie stanąwszy w Buenos Aires, odważna kobieta, za pośrednictwem męzowskiego krewniaka, który od dawna był tam osiedlony, znalazła dobrą służbę u jakiejś argentyńskiej rodziny, gdzie płacono ją hojnie i obchodzono się z nią życzliwie. Rada była tedy i przez czas dłuższy pisywała do rodziny regularnie, donosząc o powodzeniu swoim. Jeszcze przedtem umówili się oboje, że mąż będzie posyłał listy na ręce owego krewniaka, który je doręczy żonie, żona zaś będzie oddawała odpowiedź także krewniakowi temu, a on ją do Genui pośle dodawszy co nieco od siebie.

Tak zarabiając osiemdziesiąt lirów miesięcznie, a nie wydając na siebie nic, posyłała dzielna kobieta co kwartał do domu wcale ładną sumkę, z której mąż, człowiek uczciwy, spłacał co pilniejsze długi, odyskując z wolna dobrą opinię i niecierpliwie wyglądając chwili, w której żona wróci, gdyż dom bez niej wydawał się pusty, a młodszy z synów, ogromnie przywiązany do matki, tęsknił za nią bardzo i nie mógł do tego rozłączenia nawyknąć w żaden sposób.

Ale po upływie roku, po krótkim liście, w którym kobieta zawiadamiała swoich, że niezupełnie jest zdrowa, wiadomości od niej przestały nadchodzić.

Pisali dwa razy do owego krewniaka — i on nie odpowiedział.

Pisali do owej rodziny argentyńskiej, u której kobieta służyła, ale nie wiadomo, czy list doszedł, czy nie, nazwiska bowiem nie pamiętali dobrze, dość że i stamtąd nie mieli żadnej wieści.

Wtedy w obawie nieszczęścia napisał ojciec do konsulatu włoskiego w Buenos Aires prosząc o zarządzenie poszukiwań, wszakże po trzech miesiącach tyle się dowiedział tylko, że na ogłoszenie dane przez konsulat do tamtejszych gazet nikt się nie zgłosił i że nie znaleziono śladu zaginionej.

I nie mogło też być inaczej! Dobrej kobiecie bowiem przyszło do głowy, żeby dla ocalenia rodzinnego honoru, który wejście do służby poniżać jej się zdawało — zmienić nazwisko i podać inne zgoła tam, gdzie przebywała.

Przeszło kilka miesięcy bez najmniejszej wieści. Ojciec i synowie byli bardzo zmarzwieni, młodszy zaś z tęsknoty niewyciężonej zapadał na zdrowiu. Co czynić? Do kogo się udać? Pierwszą myślą ojca było jechać i szukać żony w Ameryce. Ale robota? I kto przez ten czas utrzymywałby dom i dzieci? Nie mógł też jechać syn starszy, który właśnie coś niecoś zarabiać zaczął i był potrzebny rodzinie.

I tak w ciężkiej tej trosce żyli z dnia na dzień powtarzając to bolesne pytanie: „Co czynić?” — i patrząc na siebie w milczeniu. Aż raz wystąpił mały Marek i rzekł rezolutnie:

— Ja pojedę do Ameryki i wyszukam mamę!

Imię

Ojciec pokiwał głową ze smutkiem, nie odpowiadając. Tak! To był pomysł serdeczny, ale rzecz — nie do wykonania! W trzynastu latach sam do Ameryki, kiedy podróż trwała miesiąc blisko!

Ale chłopiec nie ustępował. Nalegał tego dnia, nalegał drugiego, trzeciego, nalegał co dzień, z wielką bystrością rozumując jak dorosły człowiek.

— Pojechało już tam wielu i młodszych ode mnie! — mówił. — Jak tylko już na okręcie będę, to przecież dopłynę, czym mały, czy duży. Nie bójcie się, już mnie tam dowiozą!

A jak już tam będę na miejscu — cóż to? Nie potrafię to odszukać sklepu owego krewniaka? Przecież tam tylu Włochów jest, to mi pierwszy lepszy pokaże ulicę! A jak do niego trafię, to jakbym trafił do mamy!

Gdybym zaś nie znalazł, to prosto pójdę do konsula i dopytam się o tych państwa, gdzie mama była. Co się stanie, zresztą, to się stanie, a tam roboty nikomu nie zabraknie. Znajdę robotę i ja i zapracuję tyle przynajmniej, żeby do domu wrócić! — I tak po trochu, po trochu, prawie że przekonał ojca.

Ojciec mu ufał. Wiedział, że chłopiec jest roztropny i odważny, widział też, że do niedostatku, do biedy nawykł od dzieciństwa i że do spełnienia zamiaru tego znajdzie siły w sercu, dla którego odnalezienie ukochanej matki było świętym celem. Zdarzyło się przy tym, że kapitan parostatku, udającego się na morze, posłyszawszy coś o tym od znajomego, zobowiązał się dać chłopcu darmo bilet trzeciej klasy aż do Argentyny. I tak ojciec po krótkim wahaniu przystał, a podróż została zdecydowana. Naładowali małemu Markowi pełną torbę żywności, dali mu do kieszeni kilka skudów<sup>164</sup>, zaopatrzyli go w adres krewniaka i pewnego pięknego dnia, w kwietniu, odprowadzili go na pokład okrętu.

— Synu mój, Marku drogi! — mówił ojciec, ściskając go raz jeszcze na schodach parostatku, z pełnymi łez oczyma. — Sprawże się dobrze! Jedź z Bogiem! Syna, co matki szuka, Pan Bóg nie opuści!

\*

Biedny Marek! Miał serce mężne i przygotowane na najcięższe próby w tej podróży, ale kiedy piękna jego Genua zniknęła mu z oczu, kiedy znalazł się na pełnym morzu, wśród tłumu emigrantów zapelniających cały parostatek — sam, nie znany nikomu, z tą małą torbą, która zamykała w sobie całe jego mienie, ogarnęła go wielka żalność i wielkie zwątpienie. Jak pies bezpański leżał przez dwa dni na przodzie pokładu, nie mogąc nic przelknąć, a tylko mu się chciało płakać, płakać. Różne myśli chodziły mu po głowie, a jedna smutniejsza od drugiej; a najcięższa z nich i najsmutniejsza wracała uporczywie, ciągle: myśl, że matka jego, kto wie — nie żyje już może...

W niespokojnych, przerywanych snach swoich widział ciągle twarz jakiegoś nieznanego, który pochylał się nad nim, patrzył z współczuciem i mówił mu do ucha: „Twoja matka umarła!” — A on się budził tłumiąc krzyk rozpaczny.

Dopiero kiedy okręt przebył Cieśninę Gibraltarską i wypłynął na Ocean Atlantycki, nieco nadziei, nieco otuchy wstąpiło w ducha Marka. Na krótko wszakże. To niezmiernie, ciągle jednostajne morze, ten wzrastający upał, ten ścisk tłumu biedaków, który go otaczał, a nade wszystko uczucie zupełnej samotności i oderwania od swoich, pograżyły go prędko w stan bliski rozpaczny. Więc te dni puste, jednostajne, wlokące się po sobie bez żadnej odmiany, tak mu się mąciły w pamięci, jak się to chorym przytrafia. Zdawało mu się, że już rok przynajmniej po tym morzu płynie. I każdego ranka budząc się zdumiony był na nowo, że jest sam wpośród tych wód niezmiernych i płynie do Ameryki oto!

Te śliczne latające ryby, które czasem spadały na pokład, te nadzwyczajne zachody i wschody słońca w pobliżu równika; te mgły srebrzyste wieczorów, te zadziwiające fosforescencje<sup>165</sup> morza w nocy — wszystko to zdawało mu się być nie zjawiskiem rzeczywistym, lecz dziwem przyśnionym tylko. Ale potem było gorzej jeszcze. Potem przyszły

<sup>164</sup>skud — dawna moneta włoska. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>fosforescencja — tu: świecenie wód morskich, zjawisko wywoływane przez niektóre wiciowce, tj. organizmy jednokomórkowe, stojące na pograniczu świata roślinnego i zwierzęcego. [przypis edytorski]

dnie dżdżyste, podczas których ciągle przebywał w zamknięciu międzypokładowym, gdzie wszystko trzęsło się i przewracało i gdzie nie słyszał nic prócz wyrzekania i strasznych klótni. Wtedy to myślał, biedak, że ostatnia godzina jego już nadeszła.

A potem znów zmiana. Dnie ciężkie, duszne, skwar nieznosny, morze gładkie żółtawe, bez ruchu, milczące, w martwym powietrzu brak tchu, nuda nieskończona; dnie posępne, śmiertelne, ciężkie nie do udźwignięcia, w ciągu których pasażerowie rozciągnięci nieruchomo na podłodze, na ławkach, zdawali się trupami. A drogi nie ubywało jakby. Niebo i morze, morze i niebo, dziś jak wczoraj, jutro jak dziś, i jeszcze, i ciągle, i wiecznie.

I stał tak chłopczyzna oparty o poręcz pokładu, wlepiwszy wzrok w ten ocean bez początku i bez końca, ogłuszony, oszołomiony, niejasno a uparcie myślący o matce, póki mu powieki nie zaciężyły, a głowa nie spadła na ręce. A wtedy — spostrzegł znowu tę twarz nieznaną, która patrzyła na niego litośnie, i słyszał jej szept cichy: „Matka twoja umarła”. — I budził się, i zrywał nagle, aby znów śnić na jawie, zapatrzony w horyzont cichy, nieruchomy.

\*

Dwadzieścia siedem dni trwała podróż taka! Ostatnie z nich przecież były lepsze. Powietrze się odświeżyło, pogoda była piękna. Marek zaznajomił się z jednym starym Lombardczykiem, który jechał do Ameryki, aby odwiedzić syna mającego kawałek ziemi niedaleko miasta Rosario. Opowiedział mu wszystko o swojej rodzinie, a stary słuchając klepał go po ramieniu i raz w raz powtarzał: „Odwagi, chłopcze! Odnajdziesz matkę zdrową i szczęśliwą!”

Te rozmowy, ten tak odmiennego wieku towarzysz wzmocniły go trochę, przeczucia smutne zmieniły się w oczekiwanie radosne.

Siedząc na tylnym pokładzie obok starego wieśniaka palącego fajkę, pod pięknym, gwiaździstym niebem, wpośród gromadek emigrantów, którzy śpiewali, po sto razy przedstawiał sobie w myśli, jak to on przyjedzie do Buenos Aires; widział się już na wskazanej sobie ulicy, odnajdywał sklepik krewniaka i biegł do niego z okrzykiem: „Mama czy zdrowa?... Gdzie mama?... Idźmy prędko! Idźmy prędko do niej!” — Więc wybiegali razem, wstępowali na schody, drzwi się otwierały — i... I tu urywała się gra jego wyobraźni, głosy, którymi sam przemawiał, milkły, a całe serce jego zalewało uczucie niewypowiedzianej tkliwości. Wyjmował wtedy z zanadru mały medalik, całował go i odmawiał z cicha swe modlitwy.

\*

Dwudziestego siódmego dnia od wyruszenia z Genui przybyli nareszcie. Majowa różana zorza stała na niebie, kiedy okręt zarzucił kotwicę w zatoce olbrzymiej rzeki La Plata, na której brzegu wznosi się obszerne miasto Buenos Aires, stolica Republiki Argentynskiej.

Ta zorza wydawała się dobrą wróżbą naszemu chłopcu. Radość i niecierpliwość zmysły mu odbierały niemal. Jego droga, ukochana matka była już tak blisko, tak blisko! Za parę godzin zobaczy ją, uściska! I oto był w Ameryce, w tym Nowym Świecie, i odważył się na tę drogę sam, i dobił do celu!

Wszystko, co przeszedł, przecierpiał w podróży, wydało mu się być niczym. Leciał, ot, widać tak we śnie, a teraz się obudził. A tak był szczęśliwy, że ani się zdumiał, ani też zasmucił, kiedy sięgnąwszy do kieszeni nie znalazł w niej jednego z dwóch węzłków, w których zawiązał swój mały skarb, rozdzieliwszy go na połowy, dla większej pewności, że nie zgubi wszystkiego. I otóż jeden z węzłków tych wyciągnął mu jakiś zły człowiek, tak że mu pozostało tylko kilka lirów. Ale cóż go to mogło obchodzić teraz, kiedy był blisko swej matki?

Wziąwszy tedy torbę w rękę zeszedł razem z wielu innymi Włochami do małego parowego statku, który ich dostawił nie opodal portu, ze statku przesiadł się na łódź, noszącą imię „Andrzej Doria”, ta go doniosła do portu, skąd — pożegnawszy starego Lombardczyka — ruszył wielkimi krokami ku miastu.

Doszedłszy do zakrętu pierwszej ulicy zatrzymał przechodnia i grzecznie prosił o wskazanie mu, w jakim kierunku ma się udać, aby dojść do ulicy Los Artes. Wypadek zdarzył, że ów przechodzień był robotnikiem — Włochem. Spojrzał ciekawie na chłopca i zapytał go, czy umie czytać. Chłopiec potwierdził, że umie.

— A więc — rzekł ów robotnik wskazując mu ulicę, z której zszedł — idź ciągle prosto, prosto i czytaj nazwy ulic na wszystkich rogach, to znajdziesz i swoją.

Chłopiec podziękował i puścił się przed siebie.

Ulica to była prosta, niezmiernie długa, choć wąska, obudowana po obu stronach białymi, niskimi domkami, które wyglądały jakby dworki wiejskie, pełna ruchu ludzi, pojazdów i ciężkich wozów, toczących się z ogłuszającym hałasem; tu i ówdzie zaś powiewały olbrzymie chorągwie, na których wypisano wielkimi, różnokolorowymi literami, gdzie i kiedy okręt jaki odpływa. Były to nazwy miast nie znanych mu zgoła.

Co i raz idąc, na prawo i na lewo, widział poprzeczne ulice, tak samo proste i długie, i tak samo zabudowane małymi, niskimi domami, i tak samo pełne ludzi i powozów, przecięte w głębi prostą linią nieskończonej płaszczyzny<sup>166</sup> amerykańskiej, podobnej do widnokregu morza.

Miasta niepodobna było objąć wzrokiem. Zdawało mu się, że mógłby tak całymi dniami, całymi tygodniami iść a iść, nie widząc nic innego, tylko takie proste przecinające się ulice, jak te, które spostrzegł, i że cała Ameryka musi być nimi pokryta.

Uważnie przecież bardzo czytał na wszystkich rogach nazwy ulic; były mu one, te nazwy, całkiem obce i wyczytywał je z trudem. Przy każdym rogu serce zaczynało mu bić silniej na myśl, że to tu już może. Baczenie też patrzył na przechodzące kobiety, nabiwszy sobie głowę, że mógłby matkę wprost spotkać. Zdarzyło się, że zobaczył dość daleko przed sobą idącą kobietę, która mu się wzrostem dość podobna wydała. Krew uderzyła mu do głowy. Dobiegł jej i ujrzał, że była to Murzynka. Szedł więc a szedł, przyspieszając coraz kroku. Nareszcie na którymś rozstaju uciekającej w prawo i w lewo ulicy zaczął czytać i stanął, jak gdyby wrósł w ziemię. Była to ulica jego. Ulica Los Artes.

Odwrócił się i zobaczył nr 117. Sklep krewniaka zaś znajdować się miał pod 175. Zaczął iść teraz tak śpiesznie, że prawie biegiem. Przed nr 171 musiał stanąć, żeby tchu nabrać. I mówił sobie: „O matko moja! Matko moja! Czyż to prawda, że ja cię zaraz zobaczę?...”

Pobiegł dalej, spostrzegł mały sklepik z wiktuałami<sup>167</sup>. Ten sam. Wszedł. W sklepiku siedziała kobieta w okularach, z siwymi włosami.

— A czego to, chłopcze? — spytała po hiszpańsku.

— Czy to nie tu — rzekł chłopiec usiłując głos dobyć z ściśnionego gardła — czy to nie tu sklep Franciszka Merelli?

— Franciszek Merelli umarł! — odrzekła kobieta po włosku.

Chłopiec zachwiał się jakby uderzony w piersi.

— Kiedy umarł?

— Eh, kawałek już czasu, moje dziecko! — odpowiedziała kobieta. — Kilka miesięcy temu. Nie wiodło mu się. Przedał. Wyprowadził się. Słyszałam, że daleko stąd, aż do Bahii, gdzie zaraz też podobno miał umrzeć. Sklepik teraz mój.

Chłopiec zbladł.

Przezwyńczył się jednak i rzekł szybko:

— Merelli znał moją matkę. Moja matka służyła tutaj u państwa Mequinez. On sam tylko mógłby mi powiedzieć, gdzie mam jej szukać. Bo ja przyjechałem do Ameryki po to, żeby odszukać moją matkę. Merelli posyłał jej listy nasze. Ja przecież muszę znaleźć moją matkę.

— Biedny chłopiec! — westchnęła kobieta. — Ja nie wiem. Mogę się zapytać stróża. On znał chłopaka, który Merelliemu posyłki załatwiał. Może być, że wie cokolwiek.

I zaraz poszła w głąb sklepu wołając przez drzwi stróża.

Przybiegł natychmiast.

— Powiedz mi — rzekła sklepikarka — czy pamiętasz, żeby ten chłopak od Merelliego nosił listy do kobiety służącej u jednych tu, wiesz, tutejszych...

<sup>166</sup>płaszczyzna — tu: równina. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>wiktuały — artykuły spożywcze. [przypis edytorski]

— U państwa Mequinez! — odpowiedział stróż. — Tak, proszę pani, nosił czasem. Tam dalej, w tej samej ulicy.

— Ach, dziękuję pani! — zawołał Marek. — Proszę mi tylko powiedzieć numer... Nie wiecie? Niech pani każe mnie zaprowadzić! Zaprowadźcie mnie, stróżu! Mam jeszcze pieniądze...

Mówił tak żarliwie, że stróż, nie czekając na to, co powie sklepikarka, rzekł:

— To idźmy! — I wyszedł pierwszy prędkim krokiem.

Biegąc niemal i bez słowa doszli w głąb tej nadzwyczaj długiej ulicy, przeszli korytarz wiodący wskroś małego białego domku i zatrzymali się przed piękną kratą, przez którą widać było dziedzińczyk umeblowany i pełen gazonów<sup>168</sup> z kwiatów. Marek pociągnął za dzwonek. Ukazała się młoda panna.

— Czy tu mieszkają państwo Mequinez? — zapytał chłopiec trwożliwie.

— Mieszkali — odpowiedziała panna po włosku, ale akcentem hiszpańskim. — Teraz my tu mieszkamy, Zeballoz.

— A gdzie się wyprowadzili państwo Mequinez? — zapytał Marek z bijącym sercem.

— Wyjechali do Kordowy.

— Kordowa? — wykrzyknął Marek. — Gdzież to Kordowa?... A ta służąca, która u nich była? Ta kobieta? Moja matka? Ich służąca była moją matką... Czy zabrali także matkę moją z sobą?

Panna spojrzała na niego i rzekła:

— Nie wiem. Może mój ojciec będzie wiedział, bo znał się z nimi, zanim wyjechali. Proszę poczekać chwilę.

Odeszła, a za chwilę powróciła z ojcem, wysokim panem z siwą brodą. Pan popatrzył chwilę na sympatyczną postać małego genueńskiego marynarza, z noskiem orlim i jasnymi włosami, po czym zapytał nietęgą włoszczyzną:

— Twoja matka była z Genui?

— Z Genui, panie!

— No to ta służąca z Genui wyjechała razem z państwem. Wiem o tym na pewno.

— A gdzie wyjechali?

— Do Kordowy... Do takiego miasta.

Westchnął ciężko chłopczyna, a potem z rezygnacją odrzekł:

— Kiedy tak, to ja muszę także udać się do Kordowy.

— Ach, biedny malcze! — zawołał pan patrząc na niego litośnie. — Ależ to przecie o jakie sto mil stąd!

Marek zbladł jak trup i oparł się ręką o kratę.

— Zobaczmy, zobaczmy — mówił pan, tknięty współczuciem, i otwierając drzwi dodał:

— Wejdź na chwilę, zobaczmy, czy ci w czym pomóc można.

Kazał mu usiąść i opowiedzieć rzecz całą, a wysłuchawszy z wielką uwagą namyślał się czas jakiś, po czym rzekł szybko:

— Nie masz pieniędzy, nieprawdaż?

— Mam jeszcze... trochę — odpowiedział Marek.

Pan znów myślał przez parę minut, potem siadł do stolika, napisał list i podając go chłopcu rzekł:

— Sluchaj, mały Włoszku! Idź z tym listem do Boca. Jest to miasteczko przez pół<sup>169</sup> genueńskie o dwie godziny drogi stąd. Każdy ci pokaże drogę. Idź tam i wyszukaj tego pana, którego nazwisko masz tu na adresie. Znają go wszyscy. Zanieś mu ten list. Ten pan wyprawi cię jutro do Rosario i poleci komuś, kto się postara ułatwić ci dalszą drogę aż do Kordowy, gdzie znajdziesz państwa Mequinez i matkę twoją. Tymczasem, masz tu oto — włożył mu kilka lirów do ręki — idź śmiało, nie bój się! Wszędzie tu znajdziesz Włochów, wszędzie się rozmówisz i nie będziesz opuszczony! Adios<sup>170</sup>!

Chłopiec rzekł tylko: — Dziękuję!... — Nie mógł znaleźć innych słów, wyszedł ze swoją torbą i pożegnawszy przewodnika, zaczął iść z wolna ku onemu Boca, pełen smutku i zdumienia, przez to duże, hałaśliwe, tętniące przyspieszonym ruchem miasto.

<sup>168</sup>gazon — ozdobny trawnik obsadzony kwiatami i krzewami. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>przez pół — dziś: w połowie. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>Adios (hiszp.) — do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

Wszystko, co mu się od chwili tej aż do wieczora następnego dnia zdarzyło, zostało mu w pamięci zmacone, niejasne, podobne do gorączkowych majaczeń w chorobie, tak był znużony, stroskany, upadły na duchu.

Dopiero kiedy drugiego dnia wieczorem przespawszy noc w jakiejś komórce obok tragarza portowego w Boca i przesiedziawszy dzień cały prawie na stosie belek, w pół-sennym wzrokiem wpatrzony w tysiące łodzi, statków parowych i okrętów, znalazł się wreszcie na dużej, żaglowej, naładowanej owocami barce, uczyniło mu się jakoś rzeświej w duszy.

Barkę prowadziło trzech silnych, na brąz spalonych słońcem genueńskich żeglarzy, których głos i ten miły mu, znajomy od dzieciństwa akcent ich wymowy, dodawały biedakowi otuchy, odwagi.

Ruszyli.

Podróż trwała trzy dni i cztery noce, a była jednym wielkim zdumieniem dla naszego małego wędrowca. Trzy dni i cztery noce spędził na tej olbrzymiej, pełnej zadziwiających widoków rzece Paranie, wobec której nasza Po — też przecie duża rzeka — drobnym jest strumyczkiem zaledwie, a której długość przewyższa długość Włoch cztery razy wziętą.

Barka posuwała się z wolna, płynąc mozolnie pod falę tych wód niezmiernych. To mijala podłużne wyspy, niegdyś tygrysów i węzów siedliska, teraz uprawne, pokryte plantacjami pomarańcz gaje; to przesuwala się przez kanały tak wąskie, iż zdawało się niepodobieństwem, aby z nich wyjść mogła; to wypływała na szerokie wodne roztocze mające pozór<sup>171</sup> wielkich, cichych jezior. A potem znów inne wyspy i znowu kręte kanały skroś archipelagu, wpośród ogromnych gąszczów dzikiej roślinności. Te brzegi, te wody samotne szeroko rozlane, czyniły niekiedy wrażenie jakichś nowych światów, na które ta uboga barka przedzierała się pierwsza od stworzenia ziemi. A im się posuwali dalej, tym ta potworna rzeka straszniejszą się zdawała biednemu Markowi.

Wyobraził sobie, że matka jego jest gdzieś u jej źródeł i że będzie tak płynął do niej lata, lata.

Dwa razy dziennie spożywał nieco chleba i solonego mięsa razem z wioślarzami, którzy widząc go smutnym, przestali się do niego odzywać. Nocą sypiał na pokładzie, budząc się wszakże co chwila, zdumiony nadzwyczajnym blaskiem księżycy, który wysrebrzał niezmierne wody i dalekie brzegi, a wtedy ścisakało mu się serce.

— Kordowa! — Tak powtarzał to słowo „Kordowa”, jakby to była nazwa tajemniczego miasta, o którym gdzieś, kiedyś, w bajce jakiejś słyszał.

I zaraz poddawał się myślom słodkim i cieszącym.

„Mama tędy płynęła także... Mama także patrzyła na te wyspy, na te brzegi”.

A wtedy miejsca i widoki utracaly dla niego coś z obcości swojej i nie zdawały mu się tak samotne, bo przecież zostało w nich coś ze spojrzenia matki jego.

Nocą, żeby nie usnąć, jeden z wioślarzy śpiewał. Jakże mu śpiew ten przypominał słodkie pieśni, którymi usypiała go matka.

Ostatniej nocy, słuchając owego śpiewania, zapłakał głośno. Wioślarz przerwał piosenkę, chwilę milczał, a potem zawołał:

— A nie bądźże babą, chłopcze! Cóż u licha! Genueńczyk — i beczy, że mu dom daleko... A nie wiesz to, że Genueńczycy świat opłynęli dokoła w sławie i w triumfie?

Więc biedak zwyciężył się jakoś, poczuł krew genueńską w żyłach i podniósł mężnie czoło uderzając pięścią w rudel<sup>172</sup> dla nadania sobie bardziej męskiej miny.

„A więc dobrze! — myślał. — I ja tak będę! I ja muszę opłynąć cały świat dokoła, i będę płynął lata, lata całe, a potem będę szedł pieszo setki, setki mil, będę szedł ciągle, póki nie znajdę mamy! Choćbym miał dojsć umierający i paść u nóg jej nieżywy! Niech tam, bylebym ją raz zobaczył! Będę odważny. Będę odważny! Będę mężny! Będę!”...

I z tak umocnioną duszą przybył o chłodnym, wczesnym brzasku dnia czwartego do miasta Rosario, które leżało na wysokim brzegu Parany, tam gdzie tysiące powiewających chorągwiami masztów przeglądało się w uciszonych jej wodach.

<sup>171</sup>pozór (daw.) — tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>rudel (daw.) — ster. [przypis edytorski]

Zaraz po wylądowaniu udał się Marek do miasta z swoją torbą w ręku, aby odszukać owego Argentyńczyka, do którego protektor z Boca dał mu na wizytowym bilecie kilka słów polecających.

Kiedy wszedł do Rosario, zdawało mu się, że wchodzi do miasta już znanego. Były to te same nieskończenie długie i proste ulice, zabudowane niskimi, białymi domami, zasnutę ponad dachami niezmierną siecią telefonicznych i telegraficznych drutów, które wisiały niby pajęczyna olbrzymia, a na brukach tętent koni, huk wozów, wrzawa ludzi. W głowie mu się mieszało. Chwilami takie miał wrażenie, że oto przybył do Buenos Aires i ma szukać owego krewniaka raz jeszcze.

Chodził tak z godzinę może, zawracając to tu, to tam, wśród ogłuszającej jednostajności widoków, zupełnie jakby ciągle się kręcił w tej samej ulicy, aż, dopytując się usilnie, znalazł dom nowego protektora swego. Zadzwoił. We drzwiach ukazał się jakiś grubas z jasnymi włosami, z twarzą niemłą, wyglądający na rządcę domu, który go opryskliwie i cudzoziemską wymową zapytał:

— Czego chcesz?

Chłopiec wymienił nazwisko pana domu.

— Pan — odpowiedział rządcą — wyjechał wczoraj wieczór do Buenos Aires z całą rodziną.

Chłopiec oniemiał. Potem rzekł zmieszany:

— Ale ja... Ja tu nie mam nikogo... jestem sam. — I podał ów polecający bilet.

Rządcą go wziął, odczytał i rzekł niechętnym głosem:

— Ja tam nic nie wiem. Dam panu za miesiąc, jak wróci.

— Ale ja, ja tu sam... Mnie koniecznie trzeba! — zawołał błagalnie chłopczyna.

— Eh, ruszaj sobie! — odpowiedział grubas. — Mało to jeszcze mamy tych obieżyświatów z tego kraju! Idź do Włoch żebrać, do Włoch!

I zamknął mu drzwi przed nosem. Chłopiec stał jak skamieniały.

Wziął wreszcie torbę swoją i odszedł z wolna, z sercem jakby przebitym i zamętem w głowie.

Co czynić? Gdzie iść?

Z Rosario do Kordowy był jeszcze dzień jazdy koleją. Ale Marek miał już tylko parę lirów. Odjawszy to, co musi dziś jeszcze wydać — cóż mu zostanie? Skąd wziąć pieniędzy, żeby kupić bilet do Kordowy. Mógłby zarobić... Ale gdzie, kogo prosić o zajęcie jakie, o pracę? Żebrać? Ach nie! Te odmowy, obelgi, upokorzenia, jak tego świeżo doznał... Nigdy, nigdy! Sto razy lepiej najpierw umrzeć...

Kiedy tak rozmyślając spojrzął w tę nieskończenie długą ulicę, która ginęła gdzieś daleko, na niezmiernej, nie objętej okiem płaszczyźnie, poczuł, że cała odwaga z serca mu uchodzi... Rzucił więc torbę na chodnik, siadł na niej, oparł się o mur plecami i ukrywszy twarz w rękach, bez jednej lzy nawet, pozostał tak nieruchomy jak obraz rozpaczy.

Przechodnie potrącali go nogami: ulica drżała od turkotu ładownych wozów; kilku chłopców zatrzymało się i patrzyło na niego.

Jak długo to trwało, sam nie czuł. Nagle zbudził go jakiś głos, mówiący wpół po włosku, a wpół po lombardzku:

— A co ci to, dziecko?

Podniósł twarz na te słowa i spojrzawszy skoczył z okrzykiem zdziwienia:

— Wy tutaj?...

Przed nim stał ów wieśniak, Lombardczyk, z którym się zaprzyjaźnił przepływając morze.

Ale i stary wieśniak nie mniej był od chłopca zdziwiony. Marek wszakże w nagłym podnieceniu nie dał mu nawet czasu na pytania, tylko sam zaczął opowiadać pośpiesznie wszystko, co go od owego czasu spotkało.

— A teraz — kończył — nie mam już pieniędzy i trzeba mi koniecznie na drogę zarobić. Zmiłujcie się, znajdźcie mi jaką robotę, żebym mógł uciułać kilka lirów! Każdą robotę chętnie podejmę... Mogę nosić pakunki, mogę zamiatać ulicę, mogę biegać za posyłkami, mogę także na wsi pracować. Niechbym czarnym suchym chlebem żył, bylebym mógł jak najprędzej jechać i odnaleźć już raz moją matkę!

Więc się ulitujcie nade mną i znajdźcie mi jaką robotę! Na miłość boską, znajdźcie, bo już nie wytrzymam dłużej!...

— Diaski! Diaski! — powtarzał wieśniak patrząc dokoła i drapiąc się w brodę. — Co za awantura!... Robota!... Łatwo powiedzieć: robota! Ale skąd jej wziąć? Posłuchaj no... A nie dałoby się zebrać jakich trzydziestu lirów tak pomiędzy naszymi?... Przecie tu tylu naszych jest!

Chłopiec spojrział na niego z odbłyskiem nadziei w oku.

— Pójdź no ze mną! — rzekł wieśniak po nowym namyśle.

— Gdzie? — zapytał chłopczyna schylając się po torbę.

— Jak mówię pójdź, to pójdź!

I zaraz ruszył z miejsca.

Marek szedł za nim. Tak przeszli razem duży kawał ulicy w zupełnym milczeniu. Nareszcie zatrzymał się wieśniak przed oberżą, na której szyldzie była gwiazda, a pod nią napis: „Jutrzenka Włoch”, wsadził głowę przez drzwi i cofnąwszy ją zaraz, obrócił się do chłopca i rzekł wesoło:

— W dobrą chwilę my przyszli! Chodź!

I weszli do izby. W izbie było kilka stołów, a przy stołach siedziało dużo ludzi pijak i rozprawiając głośno. Stary Lombardczyk zbliżył się do pierwszego stołu z brzegu, a po sposobie, jakim powitał sześciu siedzących przy nim gości, zaraz można było poznać, że tylko co, przed niedawną chwilą, należał do ich kompanii. Goście mieli twarze czerwone i brząkali szklankami śmiejąc się i krzycząc razem<sup>173</sup>.

— Towarzysze! — rzekł wieśniak bez żadnego wstępu, stojąc i trzymając Marka za rękę. — Oto jest biedny chłopak, nasz rodak, który przybył z Genui do Buenos Aires szukając matki. Tam jej nie znalazł, bo jest aż w Kordowie. Zabrali go na barkę do Rosario. Płynął trzy dni i cztery noce z paroma słowami polecającymi. Przedstawił kartkę, wykrzywili gębę na niego. Nie ma ani grosza. Jest sam i nikogo nie zna. Chłopak pełen serca. Pomyśleć tylko: z Genui do Rosario!... Dalej, towarzysze! Nie trząsnęlibyście też tak kieszenią, żeby miał za co bilet kupić do Kordowy i matkę odszukać? Bo jakże! Mamy go tak jak psa zostawić na ulicy?...

— Nigdy w świecie, na Boga!... Nigdy się to po nas nie pokaże! — krzyczeli wszyscy razem tłukąc w stół pięściami. — Rodak nasz przecie!... Chodź no tu, mały! My jesteśmy emigranci! Patrzcie, jaki bęben ładny!

— Dalej towarzysze, na stół miedziaki!

— A to zuch! Sam, przez takie morze!...

— Dzielny chłopak! Napijże się, rodaku!

— Nie może inaczej być, tylko cię wyprawim do matki!

I już jeden klepał go po ramieniu, już drugi uszczypnął go w policzek, już trzeci odejmował mu torbę. Inni emigranci zaczęli się też zbliżać od stołów swoich powstawszy.

Historia chłopca obleciała w mig oberżę całą; z sąsiedniej stancji przyszło kilku Argentyńców i mniej niż w dziesięć minut stary Lombardczyk, który nadstawił kapelusza, miał już w nim czterdzieści dwa liry.

— Widziałeś — rzekł wtedy zwracając się do chłopca — jak to wszystko galopem w Ameryce idzie?

— Pij, zuchu! — zawołał któryś z gości podając Markowi szklankę wina. — Za zdrowie twojej matki!

Wszyscy podnieśli szklanki, zaczęli się trącać, a Marek powtarzał:

— Za zdrowie... mojej... — A wtem radosne jakieś łkanie tak mu ścisnęło gardło, że postawił szklankę na stole i rzucił się na szyję staremu.

\*

Nazajutrz rano, o pierwszym dnia brzasku, mały podróżny był już w drodze do Kordowy, ufny, wesoły i pełen najlepszych przeczuć. Ale nie ma takiej wesołości, która by się długo ostała wobec posępnych widoków natury. Dzień był pochmurny, szary, pociąg prawie że pusty przebiegał olbrzymią równinę pozbawioną wszelkich śladów pomieszkań

<sup>173</sup>razem (daw.) — tu: naraz, jednocześnie. [przypis edytorski]



ludzkich. Marek siedział sam w niezmiernie długim wagonie, podobnym do tych, którymi przewożą rannych. Patrzył na prawo, patrzył na lewo, ale i na prawo, i na lewo była głucha pustka, na której to tu, to tam sterczały drobne karłowate drzewa, pnie potworne, gałęzie powykręcane w nigdy nie widzianych kształtach, jak gdyby z gniewu i z przerażenia przyjęły tę dziwną postać. Cała roślinność<sup>174</sup> ciemna, rzadka, smutna dawała tej ogromnej równinie pozór niezmiernie długiego cmentarza.

Drzemał pół godziny, drzemał godzinę, otworzył oczy, spojrzął, zawsze ten sam widok. Stacje, które mijali lub przed którymi zatrzymywali się, były samotne jak domy pustelników, a kiedy pociąg stawał, nie słychać było żadnego głosu. Zdawało się więc chłopcu, że jedzie tak w jakimś straconym pociągu, o którym nikt nie wie i który przez pustynię pędzi. A i to mu się zdawało, że lada stacja będzie już ostatnią i że wprost z niej będzie wyjście na tajemnicze i straszliwe siedziby dzikich plemion. Zimny wiatr twarz mu owiewał. Wsadzając go w Genui na pokład okrętu w końcu kwietnia ojciec jego nie spodziewał się, żeby w Ameryce za jego przybyciem zima jeszcze była, i wyprawił go w letniej odzieży. Więc po kilku godzinach tej ponurej jazdy uczył wielkie zimno, a razem z zimnem ciężkie znużenie dni ubiegłych, pełnych gwałtownych wzruszeń, a także bezsensnych albo nie dospanych nocy.

Zdjął go sen. Spał długo i przebudził się całkiem skostniały. Uczuł, że mu źle jakoś. A wtedy ogarnął go jakiś głuchy niepokój, że może zachorować i umrzeć w tej drodze, i być porzuconym tu, na tej równinie rozpaczliwie smutnej, gdzie ciało jego byłoby poszarpane przez drapieżne ptaki albo rozwleczone przez psy, jak to się działo w oczach jego z ciałami krów i koni, porzuconymi na przydrożu, od których oczy ze wstrętem odwracał. Otóż z tym uczuciem niedomagania, wpośród ponurego milczenia natury, myśli jego i uczucia stały się posępne, złowróżbne.

Strach

Czyż to już takie pewne, że matkę znajdzie w Kordowie? A jeśli jej tam wcale nie było? Jeśli pan z ulicy Los Artes pomylił się co do niej? A jeśli też... jeśli już nie żyje?

W myślach tych zasnawszy śnił, że jest w Kordowie, że noc, że on idzie ulicą, a tu ze wszystkich drzwi, ze wszystkich okien krzyk słyszy: „Nie ma jej! Nie ma! Nie ma!”

Zbudził się nagle, zmarznięty srodze, i zobaczył w głębi wagonu trzech jakichś brodaczy, otulonych w szale kolorowe, którzy z cicha z sobą gadając patrzyli na niego.

Strach

Jakiś błysk podejrzania go przeniknął. Kto wie, czy nie są to zbóje, którzy chcą go zamordować i ukraść mu torbę? Ogarnęła go więc trwoga, której dreszcz równie był przykry jak dreszcz zimna, a wyobraźnia jego podniecona zaczęła snuć coraz to bardziej przerażające widziadła.

Tymczasem trzech podróżni patrzyli na niego ciągle, a jeden z nich podniósł się i ku niemu posuwać się zaczął. Wtedy chłopiec głowę stracił i biegnąc do człowieka owego z otwartymi ramionami zakrzyknął:

— Nie mam nic! Jestem biedny chłopak! Idę z Włoch szukać matki mojej! Jestem sam, bezbronny, nie czyńcie mi nic złego!

Zrozumieli tę trwogę biednego chłopca podróżni, użalili się, ugłaskali go, uspokoili mówiąc do niego wyrazami, których nie rozumiał zgoła; a widząc, że szczęka zębami, owinęli go jednym z swoich trzech szalów i namówili, żeby się w kątku przytulii i zasnął, a oni go na czas obudzą.

Jakoż zasnął, gdy mrok już zapadał. Kiedy go obudzili, był w Kordowie.

\*

Ach, jakże głęboko odetchnął, z jakim pośpiechem wyskoczył z wagonu! Zaraz na stacji zapytał jednego z urzędników, gdzie jest dom inżyniera Mequinez. Urzędnik wymienił nazwę kościoła, obok którego dom ten się znajdował. Chłopiec pobiegł, ledwo zdążywszy powiedzieć „dziękuję”.

Była noc. Wszedł do miasta. I zdawało mu się, że znowu do Rosario powrócił, bo znów zobaczył tak samo proste i tak samo nieskończenie długie ulice, przy których stały domy niskie, białe, ulice tak samo pocięte przecznicami, równie długimi i równie prostymi. Były one wszakże dość puste, a kiedy przy świetle rzadko stojących latami spojrzął w twarze

<sup>174</sup>roślinność — tu: roślinność. [przypis edytorski]

nielicznych przechodniów, wydały mu się one dziwne co do rysów, a koloru także nie widzianego nigdy, niby czarnego, niby oliwkowego.

Podniósł tedy oczy i zaczął szukać wzrokiem kościołów. Ujrzał ich kilka, rysujących się na czamności nocy ciężkimi, dziwnymi kształtami.

Miasto było ciemne i milczące, ale po przebyciu tej śmiertelnie ponurej i nieskończonej wlokącej się równiny wydało mu się prawie że wesołe.

Spotkał księdza: zapytał o kościół, znalazł go niebawem, a także dom przy nim. Drżącą ręką pociągnął za dzwonek, a drugą przycisnął z całej siły do piersi, żeby powstrzymać gwałtowne uderzenia serca, które go aż w gardle dusiło.

Na odgłos dzwonka wyszła jakaś starsza kobieta ze światłem. Ale chłopiec przemówić nie mógł.

— Do kogo to? — zapytała po hiszpańsku stara.

— Do inżyniera Mequinez — odrzekł Marek.

Stara zrobiła taki ruch, jakby chciała ręce skrzyżować na piersi, i kiwając głową rzekła:

— Jeszcze i ty?... Jeszcze do inżyniera Mequinez? Zdaje się, że byłby już czas z tym skończyć! Trzy miesiące, jak go nie ma, a ci go precz szukają!... Nie dosyć, żeśmy dali ogłoszenie do gazet? Jeszcze może na rogach ulic drukować, że pan inżynier Mequinez wyprowadził się do Tucuman!

Markowi opadły ręce, lecz zaraz chwycił go nagły gniew rozpaczy.

— Cóż to? — zawołał. — Przekleństwo jakie czy co?... Mam umrzeć tak na ulicy, na drodze, nie znalazłszy matki mojej? Ja oszaleję!... Ja się zabiję! Boże, Boże! Jak się nazywa ten kraj?... Gdzie jest? Daleko stąd?

— Czy daleko, mój biedny chłopcze! Bagatela... Jakieś czterysta czy pięćset mil rachując lekko...

Marek zakrył twarz rękami. Gniew jego rozplynął się w dziecięcych łzach bezsilności. Płakał i powtarzał z cicha:

— Co ja pocznę?... Co ja pocznę? Co ja teraz pocznę?

— A skądże ja mogę wiedzieć, mój biedaku! — odpowiedziała kobieta. — Ja też nie wiem!

Ale w tej chwili przeleciał jej przez głowę błysk jakby, więc rzekła spiesźnie:

— Słuchajże, chłopcze! Spróbuj jeszcze! Idź na prawo w ulicę, znajdziesz za trzecią bramą duży dziedziniec. Tam mieszka *capataz*, taki kupiec, wiesz?... On jedzie jutro do Tucuman ze swoimi wozami i wołami. Spróbuj proś... Może by cię zabrał za posługę w drodze. Może by ci się dał przysiąc na który wóz... Tylko się spiesz... Leć!...

Chwycił chłopak torbę i pobiegł dziękując. W dwie minuty później był już w obszer- nym dziedzińcu, oświetlonym latarniami, gdzie kilku ludzi pakowało worki pszenicy na ogromne wozy, podobne do tych ruchomych domów, w których mieszkają i przenoszą się z miejsca na miejsce linoskokki; wozy miały dachy półokrągłe i nadzwyczaj wysokie koła. Robotą zarządzał wysoki, barczysty mężczyzna, owinięty obszernym płaszczem w biało-czarne kraty i w wysokich butach z cholewami. Podeszedł do niego chłopczyna i nieśmiałym głosem przedstawił mu swoją prośbę dodając, że przybył z Włoch i że szuka matki swojej. Capataz, co znaczy tyleż prawie w tych wyprawach lądowych, co kapitan w wyprawach morskich, obrzucił go bystrym okiem od stóp do głowy i rzekł krótko:

— Nie ma miejsca.

— Panie — rzekł chłopiec głosem błagalnym — ja mam piętnaście lirów... Ja panu dam te piętnaście lirów... Za drogę będę pracował, służył... Będę nosił wodę, paszę dla bydła... Będę wszystko robił, co pan każe. Niech mi pan pozwoli się przysiąc na którym wozie... Ja nie jestem ciężki...

Capataz popatrzył znowu, tym razem przyjaźniej nieco.

— Nie ma miejsca! A potem, widzisz, my nie jedziemy do Tucuman. Jedziemy do innego miasta, do Santiago dell'Estero. Więc musielibyśmy puścić cię stamtąd samego, a to jeszcze duży kawał drogi. Musiałbyś pieszo iść.

— Pójdę panie. Jeszcze dwa razy taki kawał pójdę! Ja dobrze chodzę. Czy tak, czy owak, ja już się tam dostanę... Niech mnie pan tylko weźmie na wóz. Niech mnie pan zabierze! Malutki kącik jaki, proszę pana! Ja się skurczę... Niech się pan zmiłuje nade mną! Niech mnie pan nie zostawia tutaj samego!

— Ale, chłopcze! To jest dwadzieścia dni drogi stąd.

— Niech będzie! Nie szkodzi!  
— I to jest ciężka podróż!  
— Już ja wytrzymam, proszę pana! Ja mocny!  
— I pamiętaj, że będziesz musiał potem sam iść.  
— Pójdę, panie! Ja się niczego nie boję. Żebym tylko matkę znalazł! Niech się pan ulituje nade mną!

Capataz zbliżył mu do twarzy trzymaną w rękę latarnię i przez chwilę patrzył. Po czym rzekł:

— Dobrze.

Chłopiec pocałował go w rękę.

— Prześpisz się na wozie. Jutro o czwartej rano cię obudzę. *Buenos noches...* — dodał po hiszpańsku, co znaczy: „dobranoc”.

\*

O czwartej rano, przy świetle gwiazd jeszcze, długi rząd ładownych wozów ruszył z wielkim łoskotem i brzękiem łańcuchów, każdy wóz ciągniony przez zaprzęg dwóch wołów, a za każdym wozem uwiązane dwie jeszcze pary na zmianę.

Chłopiec, zbudzony i umieszczony w jednym z wozów na stosie worków, zasnął powtórnie zaraz.

Kiedy się obudził, cały konwój wypoczywał w ustronnym, słonecznym miejscu, a ludzie należący do wyprawy, *los peones* zwani, siedzieli na ziemi wokół dopiekającej się ćwierci cielęciny, nadzianej na rodzaj różna, opartego na koziołkach przy dużym ognisku, które wiatr rozdymał.

Gdy pieczeń była gotowa, zjedli ją razem wszyscy, przespali się i ruszyli dalej. I tak szła ta podróż równym trybem, regularnie jak pochód żołnierzy. Każdego rana ruszali o piątej, zatrzymywali się o dziesiątej, znów wyruszali o piątej z południa, a o dziesiątej stawali na nocleg.

Peoni jechali konno i poganiali woły długimi prętami. Chłopiec rozpałał ognisko, dawał jeść bydłu, czyścił latarnie, przynosił wodę do picia.

Kraj, który przebywali, wydawał mu się być niewyraźną jakąś wizją: były to obszerne zarośla drzew drobnych, prawie że brunatnych, osady o niewielu rozrzuconych domach, których fronty były ząbkowane i malowane czerwono, olbrzymie przestrzenie, może prawdziwe łożyska wielkich słonych jezior, bielejące solą, jak tylko okiem zajrzeć, a wszędzie i zawsze płaszczyna, pustka i milczenie.

Niezmiernie rzadko spotykali dwóch, trzech konno jadących podróżnych z uwiązanymi zapasowymi końmi, którzy przelatywali jak wicher galopem, i znów wielka pustka i szeroka cisza. Dnie były tak jednostajne, jak na pełnym morzu, znojne, nudne nieskończenie długie.

Ale czas<sup>175</sup> był prześliczny.

Wszakże peoni co dzień stawali się bardziej wymagający, zupełnie tak, jakby chłopiec był ich płatnym służącym, niektórzy traktowali go brutalnie, a wszyscy żądali ciągłych posług, bez żadnego względu. Kazali mu dźwigać ogromne brzemiona<sup>176</sup> paszy, posyłali go po wodę w bardzo oddalone miejsca, a on złamany tą ciężką dzienną pracą, nie mógł się nawet dobrze wyspać, budzony nocą rykiem bydła, rżeniem koni, ujadaniem wielkich psów, które mieli z sobą, a rankiem wstrząsany nieustannie podskakującym ruchem wozów, skrzypieniem kół i brzękiem żelastwa. W dodatku, niech tylko wiatr się zerwał, a zrywał się często, czerwonawy, tłusty pył pokrywał wszystko, dostawał się do wozu, przenikał pod ubranie, napełniał mu usta i oczy, tamując oddech, przeszkadzając patrzeć, uporczywy, niezbyt<sup>177</sup>, nieznośny.

Zmęczony ciężką pracą i niespaniem, obdarty i brudny, poniewierany od rana do nocy, biedny chłopiec z dnia na dzień coraz bardziej marniał i byłby zupełnie upadł na duchu, gdyby capataz nie przemówił do niego od czasu do czasu paru słów życzliwych.

<sup>175</sup>czas — tu: pogoda. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>brzemię — ciężar. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>niezbyt — taki, którego nie sposób się pozbyć. [przypis edytorski]

Często też skulony w kącie wozu, nie widziany przez nikogo, płakał gorzko — oparłszy twarz o swoją torbę, w której już nic nie było, prócz trochę łachmanów. Co rano wstawał słabszy, bardziej zniechęcony, a patrząc na tę równinę nieskończoną, nielitosną, nieprzebytą, zupełnie jak ocean ziem pustych, milczących, myślał sobie:

„Ach, tego wieczora to już nie doczekam. Już co dzisiaj, to zamrę z pewnością!”

A roboty przybywało, a dokuczliwe obejście coraz było cięższym.

Pewnego ranka, że wody na czas nie przyniósł, w nieobecności capataza, jeden z penonów go uderzył i odtąd w zwyczaj wprost weszło, że wszyscy razem z rozkazem jakimś dawali mu szturchańca mówiąc:

— Weź to do torby, włóczęgo! Weź dla matki!

A jemu serce pękało. Znosił, ale nie mógł znieść i zachorował.

Trzy dni leżał w wozie, okryty kołdrą, szcękając zębami w okrutnej febrze<sup>178</sup> i nie widując nikogo prócz capataza, który przynosił mu pić i liczył puls jego. Więc się już za zgubionego miał i wzywał matki z rozpaczą śmiertelną, słodkie jej imię ciągle na ustach mając:

— O matko! Droga mammo! Ratuj mnie! Przyjdź, zanim umrę, żebym się pożegnał! O mammo, czy ja cię już nigdy nie zobaczę? Czy mnie mammo, umarłego, znajdziesz na tej drodze?

I składał ręce, i tulił je do piersi, i modlił się żarliwie, gorąco.

Aż dzięki staraniom poczciwego capataza ozdrowiał jakoś i począł mieć się lepiej. Ale właśnie wtedy nadszedł dzień najstraszniejszy dla niego; dzień, w którym miał zostać sam.

Dwa tygodnie byli już w drodze.

Kiedy więc przyciągnęli do tego rozstaju, gdzie od drogi, idącej ku Tucuman, odgałęzia się droga idąca do Santiago dell'Estero, capataz oznajmił chłopcu, że tu się rozłączą. Dał mu kilka wskazówek co do dalszej podróży, założył mu torbę na plecy tak, żeby mu łatwiej było iść, i — jak gdyby obawiał się własnego rozczulenia — krótko się z nim pożegnał, tak że chłopak ledwie miał czas pocałować go w rękę. Ale i peoni, którzy mu tyle nadokuczali, zdaje się, że byli wzruszeni litością, widząc go tak samym, stojącym bezradnie na drodze, gdyż oddalając się, pożegnali go przyjaznym ruchem ręki. A on, oddawszy im z serca pożegnanie owo, stał i patrzył, póki cała wyprawa nie znikła mu w chmurze czerwonego pyłu, po czym westchnął i puścił się w drogę.

\*

Jedna rzecz wszakże dodała mu ducha zaraz na wstępie. Oto po tak długiej podróży skroś nieskończonej, śmiertelnie jednostajnej płaszczyzny, spostrzegł wznoszące się przed sobą na dalekim widnokręgu niezmiernie wysokie, lazuruowe góry z białymi szczytami, które mu przypominały Alpy i dawały złudzenie czegoś swojskiego, czegoś, co go do oddalanej ojczyzny zbliżało. Były to Andy, skalisty grzbiet amerykańskiego lądu, olbrzymi łańcuch, ciągnący się od Ziemi Ognistej do morza podbiegunowych lądów, na przestrzeni stu dziesięciu stopni szerokości geograficznej.

A i to go orzeźwiło bardzo, że powiew wiatru stawał się coraz cieplejszy, wprost jakby ogrzane powietrze biegło naprzeciw niego. I nie dziw; gdyż droga jego, wstępująca teraz znowu ku północy, zbliżała go powoli ku sferom zwrotnikowym.

Uszedł już kawał, kiedy spotkał nareszcie grupę małych domków z dość nędznym kramikiem, do którego wstąpił, żeby coś do jedzenia kupić. Jakoż był porządnie głodny. Posiliwszy się nieco szedł dalej. Droga była całkiem pusta.

Spotykał męczczyzn jadących konno, widział kobiety i dzieci siedzące na trawie, nieruchome poważne, z twarzami całkiem osobliwymi, koloru ziemi, o mocno wystających policzkowych kościach i podłużnych oczach, które wpatrywały się w niego uparcie i przeprowadzały spojrzeniem, powoli obracając głowy zupełnie jak automaty. Byli to Indianie. Pierwszego dnia szedł Marek, dopóki mu sił starczyło, noc zaś przespał pod drzewem. Drugiego uszedł mniej trochę i z większym wysiłkiem. Buty miał dziurawe, nogi pobijane, a i w sobie jakoś nie czuł się dobrze przy lichym posiłku. Pod wieczór strach go ogarnął. Przypomnił sobie, że mówiono we Włoszech, jakoby w krajach tych były

<sup>178</sup>febra — gorączka połączona z dreszczami. [przypis edytorski]

jadowite węże, zaraz też wydało mu się, że słyszy w trawach jakieś podejrzane świsty. Zatrzymywał się, słuchał, potem szedł znowu, a kości mu przenikał dreszcz strachu. To znów ogarniała go wielka litość nad samym sobą, że płakał idąc w milczeniu. Zaraz wszakże otrząsał się z tego:

„Ach — myślał — jakże by się mama o mnie martwiła, gdyby wiedziała, że ja się tak boję!”

I to wracało mu odwagę. Więc czepiał się tej myśli o matce jak deski ratunku. Przypominał sobie o niej różne rzeczy. Jej drogą twarz, jej głos, jej słowa, którymi go żegnała, opuszczając Genuę... to znów przypominał sobie, jak mu poprawiała koldrę i poduszkę w łóżeczku, kiedy był mały, jak go brała na kolana, mówiąc:

„Posiedź trochę u mnie!” — i oparłszy głowę długo tak nieraz siedziała zamyślona, zadumana... Więc orzeźwiwszy się wspomnieniami tymi nabierał otuchy:

„Przecież ja cię znów, droga mamó, zobaczę! Przecież ja dojdę kiedyś do końca tej drogi, prawda, mamó?”...

I szedł, szedł, pośród nieznanich drzew, pośród wielkich plantacji trzciny cukrowej, przez ogromne stopy trawiaste, zawsze ku onym lazurowym góróm, które wierzchołkami ośnieżonymi przecinały niebo. Tak przeszło cztery dni, pięć dni, przeszedł tydzień cały.

Siły chłopca znikły, topniały jakby, stopy miał pokaleczone.

Aż pewnego dnia o zachodzie słońca zapytany przechodzień odpowiedział mu:

— Tucuman? Pięć mil stąd będzie jeszcze do Tucuman.

Marek wydał okrzyk radości i przyspieszył kroku, jakby cudem odzyskał utracone siły. Ale było to złudne podniecenie. Za chwilę pociemniało mu w oczach, siły go opuściły i padł nad brzegiem przydrożnego rowu.

Serce przecież uderzyło mu w piersi radośnie, radośnie! Niebo, iskrzące promiennymi gwiazdami, nigdy mu się jeszcze nie wydawało tak pięknym. Patrzył w nie, wyciągnięty na trawie i do snu się mając, a jednocześnie myślał, że może w tej samej chwili i matka jego na te gwiazdy patrzy. I mówił:

Gdzie jesteś, mamó droga! Co robisz teraz? Czy myślisz o twoim Marku, który już tak blisko jest ciebie?”

\*

Biedny Marek! Gdyby wiedział, w jakim stanie matka jego właśnie się znajduje, byłby zrobił nadludzki wysiłek, żeby tylko być przy niej parę godzin wcześniej. Była chora, leżała w łóżku w parterowym pokoiku pięknej willi, zamieszkiwanej przez rodzinę inżyniera Mequinez, która dobrą kobietę polubiła serdecznie i opiekowała się nią najtroskliwiej.

Biedna kobieta była już słaba nieco, kiedy inżynierowi Mequinez wypadło niespodziewanie opuścić Buenos Aires, wprędce jednak wyborny klimat Kordowy powrócił jej siły.

Ale kiedy na listy pisane i do męża i do owego krewniaka nie otrzymała żadnej odpowiedzi, przecucie jakiegoś nieszczęścia, obawa ciągła, w której żyła z dnia na dzień, pozbawiona wszelkich wieści o dzieciach, o domu, wahanie, czy jechać, czy zostać, szalony niepokój odbierający jej sen w nocy i możliwość posiłku we dnie — wszystko to pogorszyło stan jej w niezwykły sposób. W końcu rozwinęła się choroba groźna, jakieś ostre, wewnętrzne zapalenie, które ją od dni piętnastu trzymało pomiędzy życiem a śmiercią. Żeby ocalić to życie, trzeba było zdecydować się na operację chirurgiczną.

I właśnie w chwili, kiedy jej wzywał Marek, państwo Mequinez stali oboje przy jej łóżku, przekładając<sup>179</sup> jej łagodnymi słowy, dlaczego operacja ta konieczna była, a ona upierała się płacząc, że jej nie chce.

Zdolny lekarz z Tucuman zeszłego już tygodnia przybył tu na próżno.

— Nie, drodzy państwo! — mówiła słabym głosem chora. — Nie liczcie już na to! Ja już na to za słaba... umarłabym pod nożem doktora... Toć już wolę tak umierać. Co mi już po życiu. Już dla mnie się wszystko skończyło. Lepiej mi umrzeć nawet wpierw, zanim się dowiem, co się tam z moimi biedakami stało!

Tęsknota, Choroba

<sup>179</sup>przekładać — dziś: tłumaczyć, wyjaśniać. [przypis edytorski]

A państwo perswadowali. Toż trzeba przecie mieć trochę odwagi! Trochę ufności! Toć gdyby pisała do Genui wprost, a nie przez krewnego, byłaby już dawno miała wiadomość od rodziny. Że nie może lekceważyć zdrowia, że musi poddać się tej operacji, jeśli nie dla siebie, to dla dzieci swoich. Ale to słowo „dzieci” powiększyło tylko srogą boleść i rozpaczliwą tęsknotę, która ją przygnębiała od długiego czasu.

— Ach, moje dzieci! Moje dzieci! — zawołała składając wychudzone ręce. — Nie ma już was może na świecie! Niechże i ja lepiej nie będę na nim! Dziękuję wam, drodzy państwo! Z serca wam dziękuję, ale wolę już umrzeć raz niż co dzień z żałości umierać! Ja i z tą operacją nie będę już zdrowa! Wiem, że nie będę! Dziękuję za te wszystkie koszty i starunki<sup>180</sup>. Niech już ten doktor nie przyjeżdża tu pojutrze, jak mówi! Ja już chcę tak umrzeć. Już tak przeznaczone, żeby tu była śmierć moja. Już niech będzie, co ma być!

Ale państwo Mequinez nie ustępowali:

— Dłaboga! Nie mówcie tego! Nie można! — I brali jej rękę w swoje dłonie i prosili, i pocieszali, jak mogli. Wszakże chora zamknęła oczy i zapadła w osłupienie, które wydawało się jak gdyby już śmiercią.

A pani i pan przy świetle małej lampki patrzyli z ogromnym współczuciem na tę bohaterką matkę, która dla ratowania rodziny umiera oto o sześć tysięcy mil od ojczyzny swojej, po tylu trudach, po tylu cierpieniach, taka zacna, taka dobra, a tak nieszczęśliwa.

\*

Następnego dnia, wczesnym rankiem, ze swoją torbą na plecach, zgarbiony i kulejący, ale pełen otuchy w sercu, wchodził Marek do miasta Tucuman, jednego z najmłodszych i najbardziej kwitnących grodów Republiki Argentyńskiej.

I zaraz przypomniały się chłopcu jak żywe: Buenos Aires, Rosario, Kordowa, gdyż i tu były takie same proste, niezmiernie długie ulice i takie same, z obu ich stron, białe, niskie domy. Tylko że gdzie spojrzał, widział wspaniałą i świeżą roślinność, niebo głębokie i przeczyste, tak nieskalanego szafiru, jakiego nigdy, nigdzie i we Włoszech nawet nie oglądał; powietrze zaś, którym oddychał, miało przecudny zapach pomieszanych kwiatów. Tak idąc spieszenie przez ulice, czuł to samo gorączkowe wzruszenie, jakiego doznał w Buenos Aires. Drżał cały jakimś dziwnym wewnętrznym dreszczem przyglądając się oknom i drzwiom domów i obrzucając badawczym spojrzeniem przechodzące niewiasty z jakąś trwożną nadzieją, że ujrzy swą matkę. Chciałby wszystkich o nią pytać, a przecież nie śmiał zatrzymać nikogo. Ci jednak, którzy go spotkali, zatrzymywali się na progach domów patrząc na biednego, obdartego, pokrytego kurzawą chłopca, na którym znać było, że idzie z jakiegoś niezmiernego daleka...

A on tymczasem upatrywał twarzy, która by go ośmieliła do trwożnych zapytań, kiedy mu wpadł w oczy szyld jakiegoś sklepu z włoskim nazwiskiem właściciela. W sklepie spostrzegł mężczyznę w okularach i dwie kobiety. Zbliżył się z wolna do drzwi i zebrawszy całą odwagę zapytał:

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu mieszka pan Mequinez?

— Pan inżynier Mequinez? — zapytał właściciel sklepu.

— Pan inżynier Mequinez — odpowiedział chłopiec drżącym głosem.

— Państwa Mequinez — rzekł właściciel sklepu — nie ma w Tucuman.

Krzyk rozpaczliwego bólu, jak gdyby z piersi przebitej nożem idący, był echem słów jego. Zerwał się kupiec, zerwały się kobiety, kilku przechodniów stanęło na trotuarze, kilku sąsiadów przybiegło.

— Co to? Co ci to, chłopcze? — pytał wystraszony kupiec prowadząc Marka do sklepu i sadzając go na krześle. — Dłaboga, nie ma desperować<sup>181</sup> czego! Państwa Mequinez tu nie ma, ale są niedaleko, o kilka godzin od Tucuman...

— Gdzie? Gdzie? — zakrzyknął Marek i skoczył z krzesła jak gdyby wskrzeszony.

— Będzie z piętnaście mil stąd — mówił kupiec. — Na brzegu Saladilli, w tym miejscu, gdzie budują wielką cukrownię i osadę przy niej. Tam teraz mieszka pan inżynier, wszyscy wiedzą o tym, a byleś tego nogi zbierał, będziesz tam w kilka godzin.

<sup>180</sup>starunki — dziś: starania. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>desperować (daw.) — rozpaczać. [przypis edytorski]

— Ja tam byłem miesiąc temu — rzekł jakiś młodzieniec, który na krzyk do sklepu podbiegł.

Marek spojrział na niego prawie że wystraszonego wzrokiem i błędąc, zapytał nagle:

— Czy pan tam widział służącą państwa Mequinez, Włoszkę?

— Genuenkę? Widziałem.

Marek wybuchnął konwulsyjnym łkaniem, płacząc i śmiejąc się razem. I zaraz porwał się gwałtownie bieć pytając jedno przez drugie:

— Jak się idzie? Prędko! Jaką drogą? Na miłość Boską! Prędko! Zaraz muszę bieć... Pokażcie mi drogę!...

— Ale to cały dzień trzeba tam iść! — mówili wszyscy razem. — Jesteś zmęczony... Musisz odpocząć do jutra. Jutro pójdziesz z rana.

— Nie mogę! Nie mogę! — wołał chłopiec. — Powiedzcie mi tylko, gdzie. Pokażcie! Ani chwili nie mogę czekać. Idę zaraz, choćbym miał paść... Drogę mi pokażcie!

Widząc go tedy tak zdecydowanym, nikt się już nie przeciwiał biednemu chłopczynie.

— Niechże cię Bóg prowadzi! — mówili. — A pilnuj się w drodze przez las. Szczerześliwej drogi, mały Włoszku!

Ów młodzieniec wyprowadził go z miasta, pokazał gościniec, udzielił kilku objaśnień i patrzył za nim, kiedy chłopiec ruszył. Po kilku chwilach mały wędrowiec, kulejący, z torbą na plecach, zniknął mu z oczu poza drzewami wysadzonymi z obu stron ulicy.

\*

Noc, która po dniu tym zapadła, była okropna dla chorej. Biedna kobieta cierpiała straszliwe bóle, które jej wydierały nieprzytomne jęki i wprawiały ją w szal jakiś chwilami. Osoby czuwające nad nią traciły głowę. Pani przybiegała przerażona, od czasu do czasu daremnie szukając, czym by ulżyć w męce. Wszyscy zaczęli się obawiać, że gdyby nawet chora zdecydowała się na operację, lekarz, który miał przybyć z Tucuman nazajutrz rano, mógłby już przybyć za późno.

Wszakże w chwilach kiedy kobieta odzyskiwała przytomność, można było poznać, że najcięższym cierpieniem była nie męka ciała, lecz męka duszy, myśl rozpaczliwa o dalekiej, dalekiej rodzinie. Błada, wycieńczona, z twarzą zmienioną chwytiała się za włosy ruchem rozpacz, który przenikał serca.

— Boże mój! Boże mój! Umierać tak daleko! Umierać i nie widzieć nikogo, nikogo! O dzieci moje, moje sieroty! O nieszczęsne sieroty wy moje! O Marku mój! Takie małe, takie dobre, takie kochające dziecko! Nie wiecie wy ludzie, nikt nie wie, co to za kochające było dziecko! O, żeby pani wiedziała! Od szyi go sobie nie mogłam oderwać, kiedy odjeżdżała, a płakał!... Tak płakał, że mało mu serce nie pękło. Oj, wiedziałeś ty, wiedziałeś, sieroto, że matki nie zobaczysz więcej! Żem też ja wtedy trupem nie padła! Że się też wtedy Pan Bóg nie zmiłował i śmierci mi nie dał! Oj, żeby ja była tam padła przy tym pożegnaniu! Żeby we mnie piorun Boży był trzasnął!

Bez matki... Takie dziecko... Takie serdeczne... Takie kochające... A to tylko wisiało przy mnie cały dzień... w sieroctwie... w nędzy zmarnieje to, na żebry pójdzie... Oj, dziecko moje wygłodniałe... rękę wyciągające po kawałek chleba... Och! Stwórco litościwy! Nie! Nie! Nie chcę umierać! Doktora! Wołajcie prędko doktora. Niech idzie, niech się spieszy, niech mnie kraje, niech ja zwariuję, ale niech mnie ocali! Chcę życia, chcę zdrowia, chcę za morze jechać, zaraz chcę do swoich... do dzieci... Ratujcie!... Ratujcie...

I wpadła w straszny szal rozpacz. Pilnujące kobiety chwytaly ją za ręce, trzeźwiły, uspokajały, mówiły jej o Bogu, o ufności, aż z wolna, z wolna przychodziła do siebie zapadając w śmiertelne zgnębienie lub płacząc jak dziecko. A z piersi jej, razem z tym płaczem, dobywały się ciche jęki i westchnienia:

— O Genuo! O miasto moje... O mój domu... O ty, morze moje! O mój Marku! Gdzieś ty, drogie, drogie dziecko!

\*

Północ była. Marek, wypocząwszy parę godzin na brzegu rowu, zaczął iść przez ogromny las, przez puszcę zarosłą olbrzymimi drzewami, potworną roślinnością, pniami

Tęsknota

Las

podobnymi do kolumn w jakiejś katedrze, które na niezmiernej wysokości splatały korony swoje, wysrebrzone księżycowym światłem. W półmroku tej gęstwy i miesięcznej<sup>182</sup> nocy widział zastępujące mu drogę miliony drzew najrozlicniejszych kształtów, prostych, pochylonych, pokręconych, pokrzyżowanych, poplątanych z sobą w najdziwniejszych ruchach, jak gdyby walki, zaczajenia, groźby.

Niektóre z pni, leżące na ziemi jak powalone bramy, pokryte były bujną roślinnością, która zdawała się być tłumem wydzierającym sobie każdą ich pięć<sup>183</sup> w zażartym boju. Inne, ściśnięte i prostopadłe, zebrane w wielkie grupy wyglądały jak powięzie tytanicznych lanc, których ostrze przebijało chmury. Jakaś pycha wielkości, jakiś cudowny zamęt olbrzymich kształtów, jakiś straszliwy i majestatyczny widok, na jaki natura rzadko tylko się zdobywa w wielkim swoim roślinnym państwie. Marek zatrzymywał się niekiedy w podziwieniu i osłupieniu, ale wnet dusza jego porywała się znowu ku matce. Szedł więc dalej, choć omdlewał ze znużenia, a stopy miał krwawe. Szedł sam, skroś tej potwornej puszczy, gdzie tylko w rzadkich odstępach czasu spotykał nędzne, mrowiskom podobne siedziby ludzkie, przytulone do tych pni olbrzymich, i stada bawołów uśpione nad drogą. Omdlewający był, a nie czuł zmęczenia; sam był, a nie czuł bojaźni. Ta królewska potęga natury duszę mu podniosła. Bliskość matki dawała mu siłę i wytrwanie męskie, wspomnienie oceanu, przerażeń, zawodów, boleści przecierpianych i zwyciężonych, trudów podjętych i prac wykonanych, poczucie żelaznej i niezłomnej woli czoło jego podnosiło wysoko, wysoko! Wszystka jego szlachetna genueńska krew zalewała mu serce gorącą falą wielkodusznego męstwa.

I zaszła w nim jedna jeszcze rzecz niespodziewana. Ten obraz matki, który nosił w sercu i w myśli aż dotąd, obraz zamierzchły i wyblakły przez te dwa lata jej nieobecności, rozjaśnił mu się jakimś wielkim światłem wśród tych majestatycznych widoków natury. Ujrzał tę drogą twarz tak widną, tak czystą, jak gdyby patrzył na nią swymi oczyma, ujrzał ją bliską siebie, mówiącą, wzruszoną, rozróżniał każdy ruch jej oczu, jej ust, każdy gest jej ręki, każdy cień jej zamyślenia. I popchnięty wspomnieniami tymi, które prawie że mu się jawą stawały, przyśpieszał, przyśpieszał kroku. A serce rozplywało mu się w jakimś nowym, stokroć mocniejszym kochaniu, w jakiejś tkliwości niezmiernej, która wzbierała, wzbierała, aż uczył płynące po twarzy łzy słodkie i ciche. Więc idąc tak coraz dalej, mówił do niej słowa rzewne, gorące, jakie za czas mały powtórzyć jej miał w uścisku.

„Otom jest, matko ukochana! Otom jest przy tobie! Nigdy cię już nie opuszczę, nie zostawię samą. Razem powrócimy do domu! Na okręcie będę stał ciągle przy tobie, blisko, przez całe morze. Nikt nie oderwie mnie od ciebie. Nikt, nigdy, aż do końca życia mojego”.

I nie spostrzegł się nawet, że ponad wierzchołkami tych drzew-olbrzymów srebrzyste światło miesięczne<sup>184</sup> gasło w rozbieleniu wschodzącej jutrzenki.

\*

O ósmej godzinie rano lekarz z Tucuman, młody Argentyńczyk, stał przy łożu chorej w towarzystwie asystenta i przekładał po raz ostatni konieczność operacji. Pan Mequinez i jego żona łączyli do rad lekarza gorące swe słowa. Wszystko jednak było daremne.

Kobieta, czując się zupełnie wyczerpaną z sił, nie wierzyła już w tę operację. Była pewna, że albo umrze w czasie jej trwania, albo przeżyje ją o kilka godzin, po wycierpieniu mąk stokroć straszniejszych niż te, które ją o śmierć naturalną drogą przyprawić miały.

— Ale operacja uda się jak najpewniej. Ozdrowienie wasze jest niezawodne. Więc odwagi trochę, odwagi! Bo i śmierć wasza równie jest niezawodna, jeśli odmówicie.

Ale słowa te, którymi lekarz starał się ją przekonać, były jak na wiatr rzucane.

— Nie! — mówiła słabym głosem. — Ja się nie boję śmierci, ale nie mam odwagi cierpieć bezużytecznie. Dziękuję panu bardzo, panie doktorze. Pan jest tak dobry, ale to już przeznaczone. Dajcie mi już umrzeć spokojnie!

Lekarz, zniechęcony, ustąpił. Nikt już o tym nie mówił więcej. Wtedy chora, zwróciwszy twarz ku swojej pani, polecała jej ostatnie prośby swoje zamierającym już głosem:

<sup>182</sup>miesięczny — księżycowy. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>pięć — dawna miara długości a. powierzchni. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>miesięczny (daw.) — księżycowy. [przypis edytorski]



— Droga, dobra moja pani — mówiła z wielkim trudem. — Proszę posłać te trochę pieniędzy i te moje biedne odzienie mojej rodzinie przez pana konsula. Ufam, że żyją jeszcze. Serce moje mi to wróży w tych ostatecznych momentach. I niechże mi pani moja dobra tę łaskę uczyni i napisze, żem o nich zawsze myślała, żem dla nich zawsze pracowała, dla moich dzieci, i że najbardziej ze wszystkiego to mnie bolało, żem ich już zobaczyć nie mogła. I to, żem umierała odważnie, na Boga miłosiernego zdana i błogosławiąca dzieciom... I że polecam mężowi i starszemu synowi mego najmłodszego, mego biednego Marka, któregom miała w sercu do ostatniego tchu mego.

A wtem, w nagłym uniesieniu i składając ręce:

— Marek mój! Dziecko moje! Życie moje!

Ale potoczywszy dokoła pełnymi łez oczyma spostrzegła, że pani już nie ma. Ktoś przyszedł i odwołał ją nagle. Oglądała się tedy za panem, ale i jego nie było. Przy łóżku jej stał tylko asystent i dwie posługaczki. Wszakże w pokoju obok słychać było przyspieszone kroki, szmer rozmów prędkich, zmieszanych i powstrzymywane okrzyki. Chora utkwiała we drzwiach oczy gasnące — i czekała.

Po kilku minutach wszedł lekarz z twarzą dziwnie zmienioną, po lekarzu pan i pani silnie wzruszeni. Wszyscy troje patrzyli na chorą wzrokiem dziwnym i zamieniali z sobą wymowne słowa cichym głosem. Chorej zdawało się, że lekarz mówi do pani:

— Lepiej zaraz!

Nie zrozumiała tego.

— Józefo — przemówiła pani drżącym głosem — mam dobrą wiadomość dla ciebie! Przygotuj się w sercu na dobrą nowinę!

Kobieta patrzyła bacznie na mówiącą.

— Na taką nowinę — mówiła pani coraz bardziej wzruszona — która ci sprawi wielką, wielką radość!....

Oczy chorej rozszerzyły się nagle.

— Przygotuj się na to, że zobaczysz kogoś... pewną osobę... którą bardzo kochasz.

Kobieta silnym ruchem podniosła głowę i poczęła patrzeć płonącymi oczyma to na panią, to na drzwi...

— Osobę — mówiła pani blednąc, jakby sama zemdleć miała — która tylko co... przybyła... niespodziewanie.

— Kto przyjechał?! — zawołała kobieta głosem zduszonym, nieswoim, głosem śmiertelnie przerażonego człowieka.

I nagle, porwawszy się z pościeli z przenikliwym krzykiem, siadła nieruchoma, z oczyma szeroko otwartymi, a rękami podniesionymi do skroni, jakby wobec nadludzkiego widma. Marek, obdarty, okryty kurzawą, stał w progu podtrzymywany ramieniem lekarza.

Chora wydała trzykrotny, w jakieś wyżyny szału wznoszący się okrzyk:

— Boże! Boże! Boże mój!...

Rzucił się Marek. Chora wyciągnęła wychudłe ramiona i cisnąc głowę jego do swej piersi z konwulsyjną siłą, wybuchnęła gwałtownym śmiechem, przerywanym jakimś suchym, bez jednej łzy, łkaniem, które ją powaliło na pościel jak martwą. Ale się zerwała natychmiast i szalona ze szczęścia pokrywała głowę syna pocałunkami — także szalonymi.

— Jesteś?... Skąd?... Jak?... Dlaczego jesteś?... Czy to ty? Jak urósł! Boże! Jakes się tu dostał? Kto cię przyprowadził? Sam jesteś? Czyś nie chory? Czy to ty, Marku? Czy mi się tylko tak śni! Boże... Boże mój! Przemów! Mów do mnie!

I nagle zmieniając ton głosu:

— Nie! Nie mów nic! Nic... Czekaj! — Zwróciła się do doktora gwałtownie: — Prędko! Prędko, doktorze! Bo ja chcę być zdrowa! Ja muszę być zdrowa! Jestem gotowa. Niech pan ani chwili nie traci. Zabierzcie Marka... Niech Marek nie słyszy...

I słodko do syna:

— Nic, Marku! Nic, dziecko! Mają mi coś powiedzieć. Ucałuj matkę. Idź! Doktorze, już... już...

Wyprowadzono chłopca.

Państwo Mequinez — posługujące kobiety, wszyscy wyszli pośpiesznie. Został chirurg i asystent, który za nimi drzwi zamknął.

Pan Mequinez próbował zabrać z sobą Marka do oddalonego pokoju. Ale okazało się to niepodobnym<sup>185</sup>. Chłopiec był jakby przygwożdżony do posadzki. Oczy jego stały się jakby obłąkane, usta mu drżały, chwiał się i ledwo mógł przemówić głośno:

— Co to?... Co jest mamie? Co oni tam z mamą robią?

Więc pan Mequinez, ciągle usiłując go poprowadzić dalej, tak mówił z cicha:

— Słuchaj! Zaraz ci powiem. Matka twoja jest chora. Trzeba jej zrobić małą operację...

Pójdź, to ci opowiem wszystko!

I pociągał go za sobą.

— Nie! — odrzekł chłopiec opierając się. — Ja chcę tu być. Tu niech mi pan opowie.

Wtedy inżynier opowiadając bezładnymi słowy niebywałe jakieś rzeczy, wprost ciągnąc go zaczął.

Chłopiec przeraził się i drżał cały.

Naraz krzyk przenikliwy, jak gdyby krzyk śmiertelnie ranionej osoby, rozległ się po całym domu.

Odpowiedział mu krzyk chłopca, jak echo boleści:

— Umarła matka moja!

Lekarz stanął we drzwiach:

— Twoja matka ocalona, chłopcze!

Marek patrzył na niego przez chwilę, a potem do nóg mu się rzucił z głośnym łkaniem:

— Dziękuję, panie doktorze, dziękuję, dziękuję...

Ale doktor podniósł go i rzekł:

— Wstań, dziecko! To nie ja, to ty, mały bohaterze, ocaliłeś matkę!

Lato

#### 24. środa

Marek Genuńczyk jest przedostatnim małym bohaterem, z którym zapoznaliśmy się w tym roku; jeden nam jeszcze na czerwiec zostaje.

I dwa już tylko egzaminy miesięczne, i tylko dwadzieścia sześć dni lekcji, i sześć czwartków, i pięć niedziel. Już zalatuje jakby końcem roku! Zagęściły się liście na drzewach kwitnących w ogrodzie; śliczny już cień mamy podczas gimnastyki. Uczniowie chodzą w letnich ubraniach. Aż miło spojrzeć przy wyjściu ze szkoły! Zupełnie inaczej niż za tamtych szarych miesięcy. I wszystkie te długie włosy — też poszły precz; chłopaki postrzyżone jak owce. Ten chodzi bez pończoch, ten boso, szyje gołe, kapelusze słomiane przeróżnej formy przepasane wstążkami spadającymi na plecy; koszule i krawatki kolorowe, a ci mali zawsze coś mają czerwonego albo niebieskiego: jakiś fular<sup>186</sup>, jakiś gałganek, jakieś obszycie, jakąś kokardkę w żywym kolorze, przypiętą gdziekolwiek przez mamę, bo teraz paradują najbiedniejsi nawet. A wielu też przychodzi do szkoły z gołą głową, bez kapelusza, tak jak wylecieli z domu. Niektórzy eleganci ubierają się do gimnastyki całkiem biało. Jest też jeden chłopak z klasy panny Delcati ubrany cały czerwono, a wygląda jak rak gotowany. Kilku nosi marynarskie ubranka. Ale najpiękniejszy ze wszystkich jest Mularczyk, który chodzi w jakimś olbrzymim kapeluchu słomianym (też musi chyba po ojcu być!) i zupełnie tak wygląda, jak upalona do połowy świeca z abażurem. Pęknać można od śmiechu, kiedy pod tym kapeluszem zajęczy pyszczek zrobi!

Coretti także już nie nosi swojej czapeczki z kocięj skórki, tylko jakąś starą czapczynę podróżną z szarej jedwabnej materii. Vatini nosi jakiś rodzaj szkockiego kostiumu i ciągle po nim pogląda<sup>187</sup>. Crossi ani jednego guzika nie ma w koszuli i słońce mu wprost na gołe piersi świeci. Precossiego ledwo widać z jakowejś letniej, niebieskiej tatusiowej kapoty, którą po starym kowalu donasza.

A Garoffi?... Źe musiał teraz rozstać się z swoją wielką peleryną, pod którą cały swój handel ukrywał, wyszły na jaw wszystkie jego wypchane przenośnym kramem kieszenie, a listy loteryjne to aż z nich wylaża. Teraz wszystko widać, co tylko kto nosi: wachlarzyki

<sup>185</sup>niepodobny (daw.) — nieprawdopodobny, niemożliwy. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>fular — jedwabna chusta zastępująca krawat. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>poglądać — dziś: spoglądać. [przypis edytorski]

ze starej gazety, sikawki z trzciny, strzały (jeszcze zimowe) na wrony, zioła różne, żuczki majowe albo też chrabąszcze, które wylażą z kieszeni i po kurtkach spacerują sobie. Wstępniaki zaś jeden w drugiego przynoszą bukietki nauczycielkom, czasem z kwiatków, a czasem z byle jakiego chwastu, aby przynieść. I nauczycielki także w letnich sukniach i jasnych kolorach, oprócz „zakonnicy”, która zawsze czarna. A ta mała nauczycielka z czerwonym piórem ciągle nosi swoje czerwone pióro, ale wiąże teraz różową wstążkę na szyi. I wstążka, i pióro strasznie są wygniecione łapkami jej kochanych wstępniaków, z którymi zawsze ugania się i śmieje.

Nastała pora czereśni, motylów, grania po ulicach, wycieczek na miasto. U nas i tacy są, co o czwartej, prosto z klasy, do rzeki się kąpać lecą!

Wszystkim już wakacje pachną! Każdego dnia wychodzi się ze szkoły prędzej, niecierpliwiej i z większą radością, że znów jeden przeszedł. Smutno mi tylko patrzeć na Garronego w żałobie i na moją dawną nauczycielkę z pierwszej wyższego oddziału, która jest coraz mizerniejsza i bledsza i coraz bardziej kaszle. Tak się pochyla idąc i tak smutno uśmiecha się do mnie!

Poezja

## 26. piątek

Zaczynasz pojmwować poezję szkoły swej, Henryku; ale teraz widzisz szkołę tylko z wewnątrz. Daleko jednak piękniejszą, daleko poetyczniejszą wyda ci się za jakie lat trzydzieści, kiedy poprowadzisz tam dzieci swoje, zobaczysz ją z zewnątrz, tak jak ja ją widzę. Nieraz czekając, aż wyjdiesz, obchodzę cichymi ulicami dokoła twojej szkoły i nastawiam ucha ku parterowym, zasłoniętym żaluzjami oknom. Z jednego okna słyszę głos nauczycielki, która mówi:

—... Ach, cóż to za t?... Zmiłuj się, chłopcze! Co by na takie t powiedział twój ojciec?

Z drugiego okna słyszę gruby głos nauczyciela, który dyktuje z wolna:

— Kupiłem trzydzieści metrów materii<sup>188</sup> po cztery liry i pięćdziesiąt centymów metr. Odprzedałem ją zaś po...

Tam znów ta mała nauczycielka z czerwonym piórem na głos czyta:

— A wtedy Piotr Micca<sup>189</sup> z zapalonym lontem...

Ale z klasy ubocznej dolatuje mnie świergot całego stada wróbli, co znaczy, że nauczyciel oddalił się na chwilę.

Idę dalej i na zakręcie narożnym słyszę, jak uczeń płacze, a nauczycielka strofuje go i pociesza razem. Nagle wylatują z okna brzmiące wiersze, imiona wielkich i szlachetnych ludzi, jakieś porywające nawoływania do cnoty, do miłości ojczyzny, do męstwa... A potem przychodzą chwile ciszy, w której, rzekłbyś, że szkoła pusta, i wierzyć się nie chce, że wewnątrz jest sześciuset chłopców. Wtem wybuch hałaśliwej wesołości z powodu żarciku nauczyciela, który jest w dobrym humorze. A przechodnie zatrzymują się i słuchają i każdy mile patrzy na ten miły budynek, który zamyka w sobie tyle młodości i tyle nadziei.

Nagle — słyszę głuchą wrzawę, łoskot zamykanych książek, szelest kajetów, tupotanie nóg, gwar rozchodzący się od klasy do klasy, z dołu na górę, jak gdyby jakaś dobra nowina obiegała szkołę całą: to pedel obchodzi gmach cały i na „finis” dzwoni.

Natychmiast tłum kobiet, mężczyzn, dziewcząt i młodzieńców zaczyna się cisnąć ze wszech stron ku bramie, wypatrując synów, wnuków, braci i siostrzeńców!

Tymczasem, jakby wystrzelone z armaty, wylatują przez drzwi klasy do przedsionka te malcy ze wstępnej, potykają się, podskakują do wieszadeł,

<sup>188</sup>materia (daw.) — tkanina. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>Micca, Pietro (1677–1706) — żołnierz, włoski bohater narodowy, zginął podczas obrony Turynu, wysadzając beczkę z prochem. [przypis edytorski]

ściągają z kołków okrycia, czapki, zwalają całą kupę tego na podłogę i przebijają w niej, grzebią, póki ich pedel po jednym jakoś nie wysadzi za próg. Wreszcie wychodzą długimi rzędami i z różnym tupotem. A wtedy grad pytań z tej chmury, co czeka u bramy:

— Umiałeś lekcję?

— Co masz zadane na jutro?

— Dużo masz roboty?

— Kiedy egzamin miesięczny?

Nawet te biedne matki, które nie umieją czytać, biorą od synów kajety, otwierają je, patrzą na zadanie, pytają o stopnie.

— Ósemka tylko?...

— A! Dziesiątka z pochwałą!

— Dziewiątka za lekcje?...

I niepokoją się, i radują, i rozpytują nauczycieli, i rozprawiają o programach, o egzaminach. Ach, dziecko, jakie to wszystko piękne, jakie wielkie — i jaka w tym ogromna obietnica dla przyszłości świata.

*Twój ojciec.*

Głuchoniema

28. niedziela

Nie mógł mi się lepiej maj skończyć jak dzisiaj rano! Słyszymy — dzwoni ktoś. Biegniemy wszyscy. Otwieramy, a tu mój ojciec tonem największego zdziwienia:

— Wy tutaj, Grzegorzu?...

Bo to właśnie był Grzegorz, nasz dawny ogrodnik z Chieri, którego rodzina mieszka w Kordowie i który tylko co przybył z Genui, dokąd przedtem przyплыł na okręcie z Grecji, po trzech latach pracy przy kolei żelaznej. Dźwigał duży tłumok, postarzał się, ale zawsze czerwony na twarzy i wesół.

Chciał mój ojciec, żeby do pokoju wszedł, ale Grzegorz się wymówił; poważniejąc spytał prędko:

— Jakże się tam moi miewają? Jakże tam Ludwisia?

— Dobrze się miała przed niewielu dniami, kiedym ją widziała — odrzekła matka moja.

Grzegorz westchnął z głębi:

— Ach, Bogu dzięki!... A tom odwagi nie miał do tych głuchoniemych iść, póki się tu czego u państwa nie dowiem. Dziękuję pani! To ja teraz zostawię tu mój tłumok i skoczę po nią. Trzy lata już, jakem nie widział biednego dziecka! Trzy lata, jak nikogom ze swoich nie widział!

Ojciec mój skinął na mnie.

— Idź z nim razem.

— Jeszcze słówko, za przeproszeniem państwa! — rzekł ogrodnik, gdyśmy byli w sieni.

Ojciec przerwał mu:

— A jakże tam interesy?

— Dobrze — odpowiedział — Bogu dziękować! Przyniosło się trochę grosza! Ale ja się chciałem spytać. Nauczylu oni też czego tę moją biedotę? Bom ją to tak zostawił, jak tę rybę niemą... Niewiele ja to tam tym naukom wierzę... Czy aby choć znaki jakowe rozumie? Pisała mi tam moja, że niby się uczy mówić, że niby tam coś niecoś potrafią. Ale co mi tam z tego, że oni ją wyuczą tak albo tak, kiedy ja takich znaków nie umiem robić, jak ona je rozumie...

To jakże się z nią zrozumiem?

Biedactwo to moje! Te znaki to aby<sup>190</sup> między nimi, biedakami, dobre, co jedno w drugie jako ryby nieme!... Więc nie wiem, proszę łaski pana, i chciałem właśnie spytać, jak to tam jest?

Ojciec mój uśmiechnął się i rzekł:

— Nie powiem nic, zobaczycie sami. Idźcie, idźcie! Niech się jak najprędzej ucieszy!...

Wyszliśmy. Instytut Głuchoniemych jest niedaleko od nas. Po drodze, stawiając olbrzymie kroki, żem nadażyć nie mógł, Grzegorz zasępił się i tak mówił:

— Ach, moja biedna Ludwisia! Urodziło się to już z tym kalectwem!... I pomyśleć, żem ani razu nie słyszał, żeby do mnie powiedziała: „Mój ojciec!” — A ona ani razu nie słyszała, żebym do niej powiedział: „Moja córko!” — Nigdy w życiu nie rozumiała jednego ludzkiego słowa! Bogu i za to jeszcze dziękować, że ją do tego tam Instytutu wzięli darmo... Aleśmy się naczekali, naczekali! Że to musiała osiem lat wpierw skończyć, dopiero ją wzięli... Teraz trzy lata mnie nie było w domu, to osiem, a trzy... To będzie miała jedenaste lat teraz. Czy też urosła, paniczu? Panicz ją widział? Urosła? Czy też wesola?

— Zaraz Grzegorz zobaczy sam! Zaraz zobaczy! — odrzekłem, nadążając jego wielkim krokiem.

— A gdzie to będzie ten Instytut? Daleko? Bo to już mnie tu nie było, jak ją odprowadziła matka... niby, żona moja. Widzi mi się, że to gdzieś w tej stronie...

Właśnieśmy przed nim stanęli. Weszliśmy zaraz do poczekalni, a odźwierny wyszedł naprzeciw nas.

— Ja jestem ojciec Ludwisi... Ludwisi Voggi — objaśniał ogrodnik. — Niech tu przyjdzie moja córka prędko, prędko!

— Są na pauzie — odpowiedział odźwierny — pójdę powiedzieć nauczycielce. — I zniknął.

Ogrodnik zamilkł, ale nie mógł znaleźć sobie miejsca. Oglądał obrazy na ścianach, ale znać było, że ich nie widzi wcale.

Wtem drzwi się otworzyły, weszła nauczycielka czarno ubrana, prowadząc za rękę dziewczynkę.

Ojciec i córka patrzyli na siebie przez chwilę, a potem rzucili się sobie z okrzykiem radości w objęcia. Dziewczynka była ubrana w sukienkę w paski różowe i białe i w biały fartuszek. Wyższa jest ode mnie. Rozpłakała się i ścisnęła ojca za szyję obu rękami.

Wreszcie oderwał ją od siebie ojciec i zaczął ją od stóp do głowy oglądać rozpromienionym wzrokiem, dysząc tak, jakby gdzieś z daleka przybiegł, aż zawołał:

— Ach, jak urosła! Jak wyładniała! Ach, mojej kochanie! Moja biedna Ludwisia! Moje niemowlętko drogie! — Tu zwrócił się do nauczycielki: — Proszę też, łaski pani, pokazać mi jakie znaki, coby mnie choć trochę rozumiała! Ja się duchem nauczę... Żeby aby mnie choć oskubinkę rozumiała!

Nauczycielka uśmiechnęła się i zapytała dziewczynki z cicha:

— Kto jest ten człowiek, co cię odwiedzić przyszedł?

A dziewczynka grubym jakimś, dziwnym głosem, zupełnie jakby dziki jaki pierwszy raz mówił po włosku:

— To... mój... oj... ciec...

Ogrodnik cofnął się krokiem i wrzasnął jak wariat:

— Mówi! Jak Boga kocham, mówi!... Cud czy co? Mówi! Dziecko moje drogie! Ty mówisz? Mówisz? Gadajże mi: mówisz?

I znowu chwycił ją i całował.

— Jakże to, proszę łaski pani! To nie na migi? Nie na znaki? Nie na palce? Tylko tak wprost? Jakże to może być?...

— Nie, panie Voggi — odrzekła nauczycielka. — Nie na migi. To stara już metoda. Tu się dzieci uczą nową metodą, pamięciową. Nie wiedział pan o tym?

— Ale pierwszy raz w życiu słyszę! — zawołał ogrodnik zdumiony. — Nie wiedziałem nic! Zgoła! Trzy lata nie było mnie w domu. A może mi i pisali, a ja nie zrozumiał! Taki ze mnie łeb zakuty! — I zaraz zwrócił się do dziewczynki: — Dziecko moje! To ty mnie rozumiesz? To ty słyszysz mój głos? Odpowiedzże ojcu! Słyszysz? Czy słyszysz, co ja do ciebie mówię?

<sup>190</sup>aby (daw.) — tu: tylko. [przypis edytorski]

— Ależ nie, kochany panie! — rzekła nauczycielka. — Głosu ona nie słyszy, bo głucha. Ale rozumie z ruchu ust, jakie słowa pan wymawia do niej. Pojmuje pan? Ani słów pana nie słyszy, ani tego, co sama do pana mówi; wymawia zaś słowa, bośmy ją nauczyli, litera po literze, układać usta, poruszać gardłem i nadawać piersiom ruch taki, że może głos wydać i każdą z tych liter wymówić.

Ogrodnik patrzył osłupiały, stojąc z otwartą gębą. Znać było, że nie rozumie ani słowa z tego całego wykładu i że zresztą nie dowierzał temu. Więc sam próbować zaczął:

— Powiedźże mi, Ludwisiu — rzekł schyliwszy się jej do ucha — czyś kontenta<sup>191</sup>, że ojciec powrócił?

I podniósłszy twarz czekał, co powie. Dziewczynka patrzyła na niego zadumana i nic nie odpowiedziała.

Stał więc zmieszany, a nauczycielka roześmiała się i rzekła:

— Dobry człowieku, nie odpowiada wam, bo nie widziała poruszeń ust waszych, boście jej do ucha mówili! Powtórzcież teraz swoje pytanie, trzymając twarz prosto przed jej twarzą!

Nastawił się Grzegorz i powtórzył:

— Kontentna jesteś, że ojciec wrócił? Że już nie odjedzie?

Dziewczynka, która uważnie patrzyła mu na usta, gdy mówił, usiłując widzieć nawet ruch języka — odpowiedziała swobodnie:

— Bar-dzo kon-ten-ta je-stem, że oj-ciec wró-cił, że już nie po-je-dzie ni-gdy!

Ojciec zaczął ją gwałtownie ścisnąć i całować i zaraz, żeby się bardziej upewnić, zarzucił ją pytaniami:

— Jak się nazywa mama?

— An-to-nia.

— Jak się nazywa mała siostrzyczka?

— A-de-la-i-da.

— Jak się nazywa ten Instytut?

— Głu-cho-nie-myh.

— Ile będzie dwa razy dziesięć?

— Dwa-dzie-ścia.

No, i kiedyśmy myśleli, że się zacznie śmiać z radości — nagle płakać zaczął.

— Ależ, panie — przekładała mu nauczycielka — zamiast się cieszyć, to pan płacze? Wszak pan ma powód do radości, nie do smutku! Patrz pan! Córka pana także płacze. Niechże więc pan przestanie i powie mi, czyś pan zadowolony.

Ogrodnik pochwycił rękę nauczycielki i całując ją po wiele razy mówił:

— Dziękuję! Dziękuję stokrotnie! Tysiącrotnie dziękuję dobrej, drogiej pani! I niech mi też pani wybaczy, że tego lepiej powiedzieć nie umiem.

— Ale córka pana umie i pisać także — dodała nauczycielka — i rachować. Wie, jak się co nazywa w domu. Umie także trochę historii, trochę geografii. Jest teraz w normalnej klasie. Ale jak jeszcze dwie wyższe klasy ukończy, będzie umiała o wiele więcej. Po wyjściu stąd będzie mogła zająć się czymś, wybrać sobie profesję jakąś. Niektóre z dawnych naszych uczennic głuchoniemych są w sklepach i tak dobrze obsługują kupujących, jak i inne.

Ogrodnik znów usta otwarł osłupiały. W głowie mu się to wszystko mieszało. Patrzył na córkę, drapiąc się za uchem. Wzrok jego domagał się jeszcze nowych objaśnień.

Wtedy nauczycielka zwracając się do odźwiernego rzekła:

— Zwołajcie mi tu którą małą z klasy przygotowawczej!

Odźwierny wrócił za chwilę z małą głuchoniemą, ośmiu lub dziewięciu lat może, która świeżo do Instytutu weszła.

— Oto tę małą — mówiła nauczycielka — zaczynamy dopiero uczyć. Patrzcież, jak się to robi! Chcę, żeby wymówiła *e*. Niechże pan uważa teraz.

Tu nauczycielka otworzyła usta w taki sposób, w jaki je otworzyć trzeba dla wymówienia *e*, i ułożyła usta owej małej w podobny sposób. Dziewczynka trzymała je posłusznie w tym układzie. Wtedy nauczycielka dała jej znak, żeby głos z siebie wydała. Jakoż wydała go, ale zamiast *e* zrobiło się z tego *o*.

<sup>191</sup> *kontent* (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

— Nie — rzekła nauczycielka. — To nie to! — I wzięwszy obie ręce malej położyła sobie jedną na gardle, a drugą na piersiach i powtarzała: *e, e*.

Mała, czując pod ręką ruch gardła i ruch piersi nauczycielki, otworzyła usta tak samo, jak wpierw, i wybornie wymówiła: — *e*.

W tenże sposób kazała jej nauczycielka wymówić: *e* i *d*, trzymając ciągle obie rączki na swoim gardle i na swoich piersiach. Po czym zwróciła się do ogrodnika:

— Zrozumieliście teraz?

Zrozumiał nareszcie! Wszakże jeszcze bardziej był zdumiony niż wtedy, kiedy nie rozumiał.

I one się tak uczą mówić? — zapytał po chwili namysłu patrząc na nauczycielkę. — I to mają cierpliwość tak po ździebku uczyć mówienia te wszystkie kaleki? Jedną po drugiej? Przez całe lata? A to święte są! — zawołał nagle składając jak do pacierza dłonie. — A to są anioły rajskie! A to caluśki świat by im dać i tak by mało nagrody! Cóżem to chciał powiedzieć? A! Prosiłbym łaski pani, żebym tak mógł na chwilę z dzieckiem sam być... Nacieszyć się... Pięć minut aby... sam...

I pociągnąwszy dziewczynkę na stronę zaczął ją pytać, a ona zaczęła odpowiadać. Śmiał się, bił pięściami w kolana, oczy mu błyszczały, a co i raz to córkę za ręce brał i przyglądał jej się, odchodził prawie od zmysłów z radości i zachwytu, gdy mówiła, zupełnie jakby to był głos idący z nieba.

Nagle zapytał nauczycielkę:

— Czyżbym też nie mógł, proszę łaski pani, podziękować panu dyrektorowi?

— Dyrektora nie ma — odpowiedziała — ale jest ktoś inny, komuście podziękować powinni. Tu u nas każda mała uczennica oddawana jest w opiekę starszej koleżance, która jest jej jak siostrą, jak matką. Waszą powierzyliśmy siedemnastoletniej głuchoniemej, córce zduna, która jest dla niej bardzo dobra i bardzo ją kocha. Od dwóch lat pomaga jej codziennie ubierać się, czesze ją, uczy ją szyć, naprawia jej sukienki, opiekuje się nią na każdym kroku. Ludwisiu! Jak się nazywa twoja mamusia z Instytutu?

Dziewczynka uśmiechnęła się i odpowiedziała:

— Ka-ta-rzy-na Gior-da-no. — A zwróciwszy się do ojca dodała: — Bar-dzo, bar-dzo do-bra.

Odźwierny, który na znak nauczycielki oddalił się był, wrócił puszczając przed sobą panienkę z jasnymi włosami, silną, wesołą, w takiej samej sukience w paski białe i różowe i w szarym fartuszk. Panienska zatrzymała się u progu zarumieniona, a później spuściła głowę i roześmiała się. Wyglądała jak osoba dorosła, a zdawała się dzieckiem.

Córeczka Grzegorza pobiegła naprzeciw niej, wzięła ją za rękę i przyprowadziła do ojca mówiąc swoim grubym głosem:

— Ka-ta-rzy-na Gior-da-no!

— Ach, dobra panienko! — zawołał ogrodnik i wyciągnął rękę, jak gdyby chciał ją pogłaskać, ale wnet cofnął się zmieszany. — Ach, dobra panienko! A niechże ci Bóg błogosławi! A niechże ci da szczęście na ziemi i w niebie! I całej familii! Taka panna, mój Boże, a taka dobra! Dla mego dziecka taka, dla mojej Ludwisi! A niechże cię anieli niebiescy piastują. Robotnik ubogi jestem, ojciec tego biedactwa. A dziękuję ci, panienko, z duszy, serca!

Panna pogłaskała małą, trzymając ciągle głowę spuszczoną i uśmiechając się. Ogródnik złożył ręce przy ustach i patrzył w nią jak w cudowny obraz.

— A jak chcecie, to możecie teraz zabrać z sobą waszą córkę.

— Czy chcę? — odrzekł wesoło. — Zabiorę ją ze sobą do Kordowy dziś, a jutro to znów ją tu odprowadzę.

Dziewczynka pobiegła się ubrać.

— Tociem jej trzy lata nie oglądał. Ale teraz patrzajcież — mówi! Zaraz ją do Kordowy biorę. Niech się wszyscy cieszą! A jeszcze wpierw to po Turynie trochę pochodzę z moją tą niemotą! Niech ją wszyscy widzą! I zaprowadzę ją do moich znajomych, żeby też słyszeli! O Boże, Boże, żem też tej pociechy dożył! Dawajże rękę, Ludwisiu! Bierz ojca pod rękę!

Dziewczynka, która wróciła w czepeczku i w pelerynce, wsunęła mu rękę pod ramię.

— I kłaniam się wszystkim pięknie! — mówił Grzegorz już z proga. — I wszystkim z duszy, serca dziękuję! I jeszcze się tu powrócę, żeby wszystkim dziękować!

Nagle zatrzymał się, jakby uderzony jakąś myślą, puścił dziewczynkę, wrócił z ręką w kieszonce od kamizelki i krzyknął jak wariat:

— Co tam! Biedne ze mnie lichy, ale przecie dwadzieścia lirów dam na ten Instytut! Nową dam, piękną sztukę!

I grzmotnąwszy garścią w stół, zostawił na nim swoją ofiarę.

— Nie, nie, pocziwy człowieku! — zawołała nauczycielka wzruszona. — Zabierzcie swoje pieniądze. Nie mogę ich przyjąć. Zabierzcie. To nie należy do mnie. Dacie, jak wróci dyrektor. Ale i on nie przyjmie, możecie być pewni. Ciężkoście zapracowali to złoto! I bez tego będziemy wam zawsze radzi!

— Nie, zostawię! Muszę zostawić! — odpowiedział Grzegorz uparcie. — A zresztą się zobaczy.

Ale nauczycielka włożyła mu do kamizelki na powrót ową sztukę złota, nie dając czasu na odmowę. Poddał się więc i tylko pokiwał głową, po czym przesławszy pocałunek od ust panience i nauczycielce, wziął córkę pod rękę i wyszedł wołając:

— Pójdźmy, pójdźmy, córuchno! Biedna niemowo moja! Mój skarbie!

A ona stojąc we drzwiach otwartych swoim okropnie grubym głosem:

— Och, ja-kie ślicz-ne stori-ce!

## CZERWIEC

Garibaldi

3. lipca

*Jutro Święto narodowe*

Dzisiaj jest żałoba narodowa. Wczoraj wieczorem zmarł Garibaldi<sup>192</sup>. Czy wiesz, kto to był? To ten, który wyzwolił dziesięć milionów Włochów spod tyranii Burbonów<sup>193</sup>. Umarł mając lat siedemdziesiąt pięć.

Urodził się w Nizy; był synem kapitana okrętu. Mając lat osiem ocalił życie pewnej kobiecie. W trzynastym uratował barcę tonącą z jego kolegami. W dwudziestym siódmym wyciągnął w Marsylii z wody młodzieńca, który się topił. W czterdziestym pierwszym wyrwał z pożaru okręt na oceanie.

Przez dziesięć lat bił się w Ameryce za wolność obcego ludu; przeciw Austrii walczył w trzech wojnach dla wyzwolenia Lombardii i Trydentu; bronił Rzymu przeciw Francuzom w 1849 r.; wyswobodził Palermo i Neapol w 1860; bił się drugi raz o Rzym w 67, a w 1870 stawał w obronie Francji przeciw Niemcom.

Pałił się w nim płomień heroizmu: był udarowany od natury geniuszem wojennym. Bił się w czterdziestu bitwach, a w trzydziestu sześciu zwyciężył.

Pomiędzy wojną a wojną pracował na kawałek chleba albo zamykał się na samotnej wyspie i uprawiał ziemię. Był nauczycielem, marynarzem, robotnikiem, kupcem, żołnierzem, generałem, dyktatorem. Był wielki, prosty i dobry.

Nienawidził ucisku, miłował wszystkie ludy, bronił słabych. Nie miał innego pragnienia nad dobro ludzkości. Odrzucił zaszczyty, gardził śmiercią, uwielbiał Włochy. Kiedy rzucił okrzyk bojowy, legiony mężnych biegły ze wszech stron pod jego sztandary. Panowie opuszczali pałace, robotnicy warsztaty, młodzież szkoły, aby walczyć w słońcu jego chwały.

W czasie wojny nosił koszulę czerwoną. Był to dorodny, piękny mężczyzna z jasnymi włosami.

Na polu bitwy był — piorunem, w uczuciach swoich — dzieckiem, w cierpieniu — świętym.

<sup>192</sup>Garibaldi, Giuseppe (1807–1882) — rewolucjonista włoski, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>Burbonowie — dynastia królów francuskich, hiszpańskich, rządząca też Neapolem z Sycylią. [przypis edytorski]



Tysiące Włochów umarło za ojczyznę z uśmiechem, gdy umierając widzieli go choćby z daleka, jak bije się i zwycięża; tysiące dałoby się porąbać za niego. Miliony błogosławiły go i zawsze błogosławić będą.

Umarł. Cały świat go oplakuje. Ty jeszcze tego zrozumieć dziś nie możesz. Ale później będziesz czytał o jego czynach i będziesz słyszał ustawicznie w życiu — jego imię.

W miarę jak będziesz rósł, obraz jego będzie rósł przed oczyma twymi; a gdy zostaniesz człowiekiem, ujrzysz go olbrzymem; a kiedy cię już nie będzie na świecie, kiedy już żyć przestaniesz, synowie synów twoich i ich dzieci, jeszcze pokolenia całe widzieć będą wysoko przed sobą promienną głowę wybawcy ludów, uwieńczoną gwiazdzistym diademem zwycięstw, a każdy Włoch wymawiając imię jego podniesie czoło i rozjaśni duszę!

*Twój ojciec.*

Wojsko

II. niedziela

*Święto narodowe (opóźnione o siedem dni z powodu śmierci Garibaldiego)*

Poszliśmy na plac Castello, żeby zobaczyć ćwiczenia żołnierzy, którzy defilowali przed komendantem korpusu wojskowego wpośród dwóch wielkich skrzydeł przypatrującego się tej paradzie ludu.

A gdy tak defilowali, przy hucznej muzyce trąb i odgłosie bębnow, ojciec mój objaśniał mi nazwy oddziałów wojska i opowiadał chwałę ich sztandarów.

Pierwsi szli uczniowie Akademii Wojennej, którzy się kształcą na oficerów inżynierii i artylerii. Było ich trzystu, mieli czarne mundury, szli z jakąś wytworną pewnością siebie, na wół studenci, a na wół żołnierze. Po nich rozwinęła się rzędem piechota. Szła brygada Aosty, która biła się pod Goitą i pod San Martino; szła brygada Bergamo, która się biła pod Castelfidardo<sup>194</sup>; cztery regimenty, kompanie za kompaniami, tysiąc czerwonych pomponów u kasków, które wydawały się girlandą krwawych kwiatów wyciągniętych za dwa końce i niesioną wśród tłumu w powietrzu.

Po piechocie defilował oddział inżynierii wojskowej, robotnicy wojny, z czarnymi grzywami u kasków i z galonami<sup>195</sup> karmazynowymi. A podczas tej defilady widać było poza oddziałem sto piór sterczących prosto i wysoko ponad głowami widzów: byli to górale, przednia straż Włoch, wszyscy rośli, czerstwi, silni, włosy z kalabryjska strzyżone, a mundury pięknego zielonego koloru, jakby odbłask tej zieleni, która ich góry pokrywa. Jeszcze szli, kiedy szmer przebiegł między tłumem i ukazali się bersalierzy, dawny 12 batalion, ten, który pierwszy do Rzymu wszedł przez wylom Porta Pia. Śniadzi, zwinni, szybcy, z rozwianymi pióropuszcami przeszli jak fala czarnego strumienia, pod ostrym głosem trąb, które zdawały się radosnym krzykiem napełniać plac cały.

Ale fanfara ich pokryta została głuchym, przerywanym tętentem zbliżającej się artylerii polowej. I wnet się ukazali siedzący na wysokich jaszczach<sup>196</sup>, ciągnionych przez trzysta par przepysznych koni, dzielni żołnierze z żółtymi sznurami przez pierś i długie armaty z brązu i ze stali, błyszczące na lekkich półwoziach, które podskakiwały grzmiąc po bruku tak, że ziemia się trzęsła pod nimi.

A po nich, z wolna, poważnie wspaniała w swoim spracowanym i twardym wyglądzie, ze swymi roslymi żołnierzami, ze swymi potężnymi mułami ukazała się artyleria górską, która niesie klęskę i śmierć aż na szczyty, gdzie tylko stopa ludzka dotrzeć może.

Na koniec, galopem, z hełmami w słońcu iskrząc od srebra i złota, z lancami wznieścionymi, napełniając powietrze brzękiem i tętentem, przeleciał piękny regiment kawalerii

<sup>194</sup>Castelfidardo — miejscowość włoska w prowincji Ankona. W 1860 r. wojska Piemontu zwyciężyły tam nad wojskami papieskimi. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>galony — ozdoby z taśmy naszytej na ubraniu, zwł. na mundurze. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>jaszcz — wóz do transportu amunicji. [przypis edytorski]

genueńskiej, która walczyła i zwyciężała na dziesięciu polach bitwy od Santa Lucia aż do Villafranca<sup>197</sup>.

— Ach, jakież to piękny widok! — wykrzyknąłem.

Ale ojciec mój spojrzał na mnie jakby z wyrzutem i rzekł:

— Nie należy patrzeć na wojsko jak na piękny widok. Cała ta młodzież, wszyscy ci ludzie pełni sił i nadziei mogą być z dnia na dzień powołani do obrony kraju i w kilka godzin śmierć ponieść od kuli.

Więc kiedy przy uroczystości podobnej słyszysz okrzyki: „Niech żyją Włochy! Niech żyją żołnierze!” — przedstaw sobie poza tymi regimentami defilującymi w paradzie — wielkie pobojowisko, pełne trupów i krwią ociekające... A wtedy to: „Niech żyje” wybuchnie goręcej z głębi twego serca, a obraz Włoch, obraz ojczyzny, za którą tysiące umiera, ukaże ci się większy i surowszy.

Włochy

### 13. wtorek

Pozdrawiaj tak, synu, ojczyznę w dniu jej uroczyste:

„Włochy, ojczyzno moja, starodawna i droga ziemi, na której urodził się ojciec mój i urodziła się matka moja, a zaś oboje w tobie pogrzebani będą; ziemi, na której ja sam żyć i umrzeć się spodziewam, a dzieci moje też wzrosną i poumierają. Italio piękna, wielka i od wieków sławna, a od niedawna wolna i zjednoczona, ty, któraś tyle promieni światła geniuszów rzuciła na świat cały, za którą tylu mężnych zginęło na polach bitew, a tylu bohaterów w kaźniach i na szubienicach — matko trzystu grodów i trzydziestomilionowego potomstwa — oto ja, dziecko twoje, które cię nie znam jeszcze w całej piękności twojej i w całej potędze, czczę cię i kocham z całej duszy mojej i dumny jestem, że się z ciebie narodził i że się synem twoim zowie!

Kocham twoje wspaniałe i ogromne morza; kocham góry twoje wyniosłe; kocham pomniki chwały twojej i pamiątki twoje nieśmiertelne; kocham twą sławę i piękność, kocham cię i czczę całą tak jak tę cząstkę twoją, gdzie po raz pierwszy wzrok podniósł do słońca, gdzie po raz pierwszy imię twe posłyszał! Kocham was jednak wdzięcznie i gorąco.

Turynie dzielny, Genuo wspaniała, uczona Bolonio, Wenecjo czarująca, Mediolanie potężny! Kocham was jednakim uczuciem synowskim, Florencjo szlachetna, Palermo groźne, Neapolu cudny i ty, wieczny Rzymie!

Kocham cię, ojczyzno święta!

Ślubuję ci, że synowie twoi braćmi moimi będą. Że wielcy twoi, żywi i umarli, uczczeni będą zawsze w sercu moim! Ślubuję ci, że będę prawym i użytecznym obywatelem twoim, dążącym ciągle do uszlachetnienia się, by godnym być ciebie! I to ci ślubuję, że ile sił starczy, pracować będę nad tym, żeby zetrzeć z powierzchni twojej nędzę, ciemnotę, krzywdę i występki, żebyś mogła żyć i rozwijać się spokojnie i w powadze praw twoich, w potęgę sił twoich. Ślubuję służyć ci, jakąkolwiek wyznaczysz mi służbę, umysłem, ręką, sercem, pokornie a gorąco. A jeśli przyjdzie taki dzień, że krwi i życia zażądaś ode mnie, oddam ci krew i oddam ci życie i umrę z okrzykiem drogiego imienia twojego, ostatnie spojrzenie, ostatni pocałunek przesyłając świętemu sztandarowi twemu!”

32 stopnie

### 16. piątek

Przez te pięć dni od narodowego święta przybyło trzy stopnie ciepła. Jest już zupełnie lato, wszyscy, zmęczeni jacyś, potracili piękne wiosenne rumieńce. Nogi i szyje się powyciągały, głowy się chwieją, a oczy zamykają same.

Biedny Nelli bardzo z tych upałów osłabł. Twarz ma jak z wosku i zasypia głęboko, oparłszy czoło o kajet; dobrze jeszcze, że Garrone czuwa i stawia przed nim otwartą

<sup>197</sup>...od Santa Lucia aż do Villafranca... — pola bitew kampanii 1859 r. W Villafranca (miejscowość w północnych Włoszech, w prowincji Weronie) został zawarty pokój z Austriakami, w wyniku którego Lombardia włączono do Królestwa Sardynii (Piemontu). [przypis edytorski]

książkę, żeby go nauczyciel nie widział. Crossi opiera o ławkę swoją rudą lepetynę w tak szczególny sposób, że wydaje się jakby urwana od kadłuba i tak tylko sobie położona z osobna. Nobis wyrzeka, że nas jest za dużo i że zabieramy powietrze.

Ach, jak się też teraz trzeba wysilać, żeby odbyć lekcje!

A z okien domu patrzę na piękne, cieniste drzewa, gdzie taki chłód się zdaje i gdzie bym tak chętnie pobiegał sobie, i wściekły jestem, że muszę iść i siedzieć zamknięty w ławce! Ale że mama przychodzi teraz po mnie co dzień i tak na mnie patrzy, czym błądy, i po każdym badaniu pyta: "Jak się tam czujesz?" — więc sobie jak mogę dodaję odwagi. A mama co rano budząc mnie o, szóstej mówi: „Odwagi! Odwagi! Już niedługo tego! Potem będziesz wolny i wypoczniesz sobie, i pójdziesz w taki cień, w taki chłód, tak daleko... daleko...”

Prawda! Ma słuszość mama przypominając mi, że przecież tylu chłopców pracuje w polu, na żywym słońcu albo na piaskach nadrzecznych, których rozpalona białość parzy i oślepia. Albo znów ci, co po hutach szklanych cały dzień stać muszą z twarzą nad płomieniem gazu pochyloną... A wszyscy ci chłopcy jeszcze przecież wcześniej<sup>198</sup> wstają, wcale nie mają wakacji!

Więc — śmiało naprzód!

A Derossi i w tym także między wszystkimi prym trzyma. Ani mu za gorąco, ani mu się spać nie chce, zawsze żywy, wesół, nawet mu tych jasnych, długich kędziorów obcinać nie trzeba było, i tak je nosi, jak zimą, i uczy się bez wysilenia, i wszystkich orzeźwia przy sobie, zupełnie jakby się od głosu jego i śmiechu powietrze świeższym stawało.

A oprócz niego dwóch jeszcze, którzy nie drzemią i zawsze są uważni. Ten uparciuch Stardi, który sobie szczypie gębę, żeby nie zasnąć, a im większy upał, tym bardziej zaciska zęby i wytrzeszcza oczy, zupełnie jakby chciał połknąć nauczyciela z całą jego lekcją; i ten handlarz Garoffi, zapracowany nad wyrobem wachlarzyków z czerwonego papieru, ozdobionych obrazkami ze starych pudełek od zapalek, które to wachlarzyki sprzedaje w klasie po dwa centymy sztuka.

Praca, Sen

Najdzielniejszy wszakże jest Coretti, biedny Coretti, który wstaje o piątej rano i pomaga ojcu nosić drzewo! Za to o jedenastej w szkole oczy mu się same zamykają, a głowa opada na piersi. A przecież rzeźwi się jak może. To się pięścią w kark palnie, to prosi, żeby mógł wyjść, i głowę w wodę wsadza, to prosi tych, co przy nim siedzą, żeby go trącali, szczykali. Ale jednak nie wytrzymał dziś rano i zasnął jak suseł. Nauczyciel woła głośno:

— Coretti!

A ten nie słyszy.

Nauczyciel rozniewany powtarza:

— Coretti!

Myślałem już, że z nim źle będzie! A zatem podnosi się syn węglarza, który mu w pobok siedzi, i powiada:

— Coretti od piątej do siódmej nosi wiązki drzewa...

Więc już go nauczyciel zostawił tak śpiącym i prowadził lekcję jeszcze pół godziny. Potem podszedł do ławki Corettiego i powoli w twarz mu dmuchając — obudził. Chłopak aż skoczył ze strachu, zobaczywszy nauczyciela tuż przed sobą. Ale ten wziął jego głowę w ręce i całując go we włosy, rzekł:

— Nie gniewam się, dziecko! Twój sen nie jest snem lenistwa: to jest sen pracy.

Mój ojciec

### 17. sobota

Ani twój kolega Coretti, ani Garrone nie odpowiedziałby z pewnością swemu ojcu tak, jak ty twojemu dziś odpowiedziałeś, Henryku! Czy podobna?...

Musisz uroczyście przyrzec, że się to już nigdy, nigdy nie powtórzy, póki ja żyję! Za każdym razem, kiedy ojciec będzie cię strofował<sup>199</sup>, a jakies niecierpliwe, złe słowo będzie się cisnąć na usta twoje, pomyśl o dniu i o chwili,

<sup>198</sup>raniej — dziś: wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>strofować — krytykować. [przypis edytorski]

która przecież niechybnie przyjdzie, gdy ojciec przywoła cię do swego łóżka, aby ci rzec: „Henryku, opuszczam cię!”

O synu, kiedy usłyszysz głos jego po raz ostatni i długo, długo jeszcze potem, gdy będziesz płakał w jego pustym pokoju, wśród książek, których już ręka jego nigdy nie otworzy — wtedy przypominając sobie, żeś mu uchybił szacunku, i ty zapytasz sam siebie: „Czy podobna?” — I zrozumiesz wówczas, że był on najlepszym przyjacielem twoim. Że kiedy zmuszony był ukarać cię, to więcej niż ty cierpiał nad tym; i że nigdy nie wycisnął ci jednej łzy, jak tylko dla dobra twego.

I będziesz żałował, i ucałujesz ten stół, przy którym pracując dla dzieci życie sobie skracał.

Teraz nie rozumiesz jeszcze; teraz ukrywa on przed tobą wszystko, prócz dobroci i miłości swojej. Nie wiesz, jak nieraz zmęczony do ostatka pracą mniema, że mu niewiele już dni do życia zostaje i że w takich chwilach mówi tylko o tobie, troszczy się tylko o cię, bolejąc, że cię tak bez opieki zostawi.

A ileż to razy, z myślą o tym, idzie do twego pokoiku, kiedy już śpisz dawno, i patrzy na cię ze świecą w ręku przy łóżku twoim stojąc, i dobywa reszty sił, i do pracy wraca. I o tym też nie wiesz, że często szuka cię i siedzi przy tobie dlatego, że mu gorzko w sercu, że ma troski, które nie oszczędzają nikogo na świecie, więc szuka cię jak przyjaciela, żeby się pokrzepić na duszy, żeby zapomnieć... Czując potrzebę ukojenia się przy tobie, przy twoim sercu, żeby odzyskać odwagę, pogodę ducha.

Pomyśl więc, jaka to boleść dla niego być musi, kiedy zamiast przywiązania, zamiast uczucia, znajduje w tobie obojętność, brak należnej mu od cię czci synowskiej!

Nigdy więc już, dziecko moje, nigdy nie splam się niewdzięcznością taką! Pomyśl tylko, że gdybyś nawet dobry był jak anioł, jeszcze byś mu nie odplacił tego, co dla cię uczynił i co ciągle czyni. I o tym pomyśl, że w życiu na nic liczyć nie można. Nieszczęście może cię ojca pozbawić jeszcze w tym chłopięcym wieku. Za lat dwa, za kilka miesięcy, za dni kilka, jutro...

O biedne dziecko! Jakże by się wówczas wszystko zmieniło dokoła cię! Jakże pustym, smutnym przeraźliwie stałby się dom z twoją matką odzianą w żałobę!...

Idź, synu! Idź do ojca twego, jest w swoim pokoju i pisze; idź po cichutku, żeby nie usłyszał twego wejścia, idź, oprzyj czoło o jego kolana i mów mu, żeby ci przebaczył, żeby pobłogosławił cię!

*Tvoja matka.*

Na wsi

### *19. poniedziałek*

Wszystko dobrze! Tatuś mi i tym razem przebaczył i pozwolił mi iść na majówkę, którąśmy ułożyli<sup>200</sup> we środę jeszcze z ojcem Corettiego, przekupniem drzewa.

Okropnie już nam było wszystkim trzeba odetchnąć powietrzem wzgórz, pól, łąk... Było prawdziwe święto! Prawdziwa majówka!

Spotkaliśmy się wszyscy na placu Konstytucji: Derossi, Garrone, Garoffi, Precossi, Coretti z ojcem i ja, z naszymi prowiantami. Były owoce, wędliny, gotowane jajka. Mieliliśmy także cynowe kubki.

Garrone przyniósł wydrążoną dynię, a w niej białe wino; Coretti manierkę żołnierską ojca z winem czerwonym, a mały Precossi, w swojej kowalskiej bluzie, trzymał pod pachą czterofuntowy bochen chleba.

<sup>200</sup>ułożyć (daw.) — tu: zaplanować. [przypis edytorski]

Pojechało się omnibusem aż do Matki Boskiej Łaskawej, a stamtąd na przełaj po wzgórzach!

Co za zielen! Co za cień! Co za świeżość! Taczaliśmy się po trawie, maczali twarze i głowy w strumieniach, skakali przez płoty.

Duży Coretti z daleka za nami szedł, kurtkę zdjął, tylko tak ją na plecy zarzucił, palił swoją glinianą fajeczkę i od czasu do czasu groził nam ręką, żebyśmy sobie spodni nie porozdzierali.

Precossi gwizdał. Nigdy go jeszcze gwizdzącego nie słyszał. Mały Coretti ciągle coś dłużał po drodze. On wszystko potrafi wydłubać, ten majster, swoim zakrzywionym nożykiem na palec długim: kółka, wiatraczki, widelki, sikawki. A jeszcze koniecznie się uparł, żeby wszystkie nasze ubrania nieść, i taki był obładowany, że pot z niego kapął, a i tak żwawy jak młody koziołek.

Derossi zatrzymywał się co chwila i powiadał nam, jak się nazywa jaka roślina, jaki owad. Nie pojmuję, skąd on może wiedzieć tyle rzeczy?

A Garrone zapychał się chlebem w zupełnym milczeniu; alem zauważył, że teraz już nie gryzie i nie zajada tak wesoło, od czasu jak stracił matkę. A zresztą zawsze jednak dobry! Kiedy który z nas rozpędzał się, żeby skoczyć przez rów, to zaraz biegł na drugi brzeg i podawał rękę; a że Precossi bał się krów, bo go jedna, jak był mały, ubodła, to jak tylko spotkaliśmy którą, zaraz Garrone od jej strony szedł i Precossiego zasłaniał.

Doszliśmy pieszo aż do Santa Margerita, a potem na dół w skokach, w kozłach, na łeb na szyję! Wtem Precossi zaplątawszy się w krzaku rozdarł swoją kapotę i był ogromnie zawstydzony tym wiszącym strzępem; ale Garoffi, że to on ma nawtykanych szpilek w kurtkę dosyć, pospinał mu jakoś kapotę, podczas gdy Precossi zaczerwieniony powtarzał: „Przepraszam... przepraszam.. — po czym znów puścił się biegiem.

Garoffi także nie tracił czasu w drodze; zbierał po łąkach rzeżuchę na sałatę, szczaw na zupę, ślimaki, na drodze podnosił kamyki, które troszkę błyszcząły, i tkał<sup>201</sup> je do kieszeni pewno myśląc, że może to srebro albo złoto.

I tak biegnąc, wspinając się, żartując, w cieniu i w słońcu, w górę i w dół, przez wyniosłości i zakręty drożyn doszliśmy nareszcie zziązani i spoceni na szczyt wzgórza i siadłszy na trawie rozłożyliśmy swój podwieczorek. Widać było z tego wzgórza niezmierną równinę i Alpy szafirowe, z śnieżnymi szczytami.

Głodni byliśmy jak wilki. A chleb znikał w oczach, jakby tajał właśnie. Ojciec Coretti powydzielał nam wędlinę, każdemu porcję podając na liściu. A wtedy zaczęliśmy wszyscy gadać razem: o nauczycielach, o kolegach, którzy nie mogli tu z nami przyjść, i o egzaminach.

Precossi jakoś się wstydził jeść, a Garrone kładł mu gwałtem do ust najlepsze swoje kawałki; Coretti siedział przy ojcu skrzyżowawszy nogi. Wyglądali raczej na braci niżli na ojca i syna, obaj czerwoni i pokazujący w uśmiechu równe białe zęby. Ojciec popijał ze smakiem, a wypróżniając nawet szklaneczki i kubeczki, któreśmy rozpoczęli ledwo, tak mówił:

— Dla was, co się jeszcze uczycie, wino jest nicpotem<sup>202</sup>; ale dla przekupniów drzewa to zbawienna rzecz!

Po czym chwycił syna za nos i pociągając go rzekł:

— Chłopcy, kochajcie tego oto trznadla, bo to jest sam kwiat rycerstwa! Już ja wam powiadam!

A wszyscy się śmiali, prócz Garronego.

A on znów popił i rzekł:

— Żal, żal! Eh!... Teraz wszyscyście sobie dobre kompanij; a za lat kilka, kto wie, Henryk i Derossi będą adwokatami, profesorami, Bóg sam wie czym, a wy znów czterej będziecie w sklepach, w rzemiosłach, licho wie gdzie... A tedy — dobranoc, kompanija cała!...

— Ale co! — żywo zaprzeczył Derossi. — Dla mnie Garrone będzie zawsze Garro-nem, a Precossi Precosim, a inni tak samo, choćby pozostawali cesarzami chińskimi. Gdzie będą, tam do nich i ja trafię!

<sup>201</sup>tkać — dziś: wtykać, wkładać. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>nicpotem (daw.) — na nic. [przypis edytorski]

— Zuch! — zawołał Coretti-ojciec przechylając flaszkę. — Tak się mówi! Do kroćset bomb! Nie inaczej! Dalej! Trąćmy się! Niech żyją dobrzy koledzy! Niech żyje szkoła, która łączy nam chłopaków w jedną rodzinę, na pociechę kraju! Która daje braci tym, co braci nie mają.

Trąciliśmy wszyscy jego flaszkę naszymi kubkami, pijąc po łyku, a on:

— Wiwat czwartaki z 49 kompanii! — i skoczył na nogi, i stojąc wychylił, co było we flaszcze, do ostatniej kropli. Po czym spojrzawszy po nas:

— A jakby wam kiedy przyszło, chłopcy, robić karabatalion, pamiętajcie tak twardo stać, jak my stali!

Tymczasem zaczęło się już robić późno, więcśmy ze wzgórza zeszedli śpiewając i trzymając się pod ręce i przyszedliśmy nad Po, który już zachodził zmierzchem, a tysiące światełek latało nad brzegiem i nie rozłączyliśmy się aż na placu Konstytucji, ułożywszy się<sup>203</sup> po drodze, że wszyscy spotkamy się znów w niedzielę, żeby iść do teatru Wiktora Emanuela, gdzie mają rozdawać nagrody uczniom szkół wieczornych.

Piękny był ten dzień! Jakże wesół byłbym powrócił do domu, gdybym był nie spotkał mojej biednej nauczycielki. Spotkałem ją na schodach naszego domu. Wychodziła od nas. Był zmrok, ale jak tylko mnie poznała, wzięła obie moje ręce i rzekła mi szeptem do ucha:

— Bądź zdrow, Henryku! Pamiętaj o mnie. — Wydawało mi się, że płacze. Przyszedłszy opowiedziałem mamie.

— Spotkałem moją nauczycielkę.

— Poszła się położyć do łóżka — odrzekła mama i zaraz spostrzegłem, że oczy ma czerwone. A potem spojrzawszy na mnie smutnie dodała:

— Twoja biedna nauczycielka jest bardzo, bardzo chora.

Uczniowie-robotnicy

## 25. niedziela

Jakieś się umówili, takżeśmy wszyscy razem poszli do teatru Wiktora Emanuela na uroczystość rozdania nagród robotnikom.

Teatr był przystrojony wspaniale, zupełnie tak jak 14 marca, i po brzegi pełny, ale prawie samych rodzin robotniczych. Scena zaś zajęta była przez uczniów i uczennice szkoły śpiewu chóralnego, którzy śpiewali hymn poświęcony pamięci rodaków poległych na Krymie, tak piękny, że po skończeniu go cała publiczność wstała klaszcząc i krzycząc, a tak musiał chór jeszcze raz hymn ten odśpiewać.

Zaraz potem ci, którzy przedstawieni byli do nagród, zaczęli kolejno zbliżać się do syndyka, prefekta<sup>204</sup> i innych panów i dostawali książki, książeczki kasy oszczędności, dyplomy i medale. W rogu sceny zobaczyłem Mularczyka, siedzącego obok matki, a z drugiej strony naszego dyrektora, a za nim rudą głowę mojego nauczyciela z drugiej. Szli najpierw uczniowie szkół wieczornych rysunkowych: złotnicy, snycerze<sup>205</sup>, litograf<sup>206</sup>, a także stolarze i murarze. Potem szli uczniowie szkoły przemysłowej. Po nich prezentowała się szkoła muzyczna. Niektóre z niej dziewczęta, robotnice, były postrojone świątecznie i bardzo im klaskano, a one się śmiały.

Na koniec wystąpili uczniowie szkół wieczornych elementarnych i to było najpiękniejsze.

Byli to ludzie wszelkiego wieku, robotnicy rozmaici i na różny sposób, mężczyźni z siwymi włosami, chłopcy z warsztatów, wyrobnicy z wielkimi, czarnymi brodami.

Malcy mieli tęgą minę, ale mężczyźni byli trochę zakłopotani. Publiczność biła brawa tym najmłodszym i tym najstarszym. Ale nikt się nie śmiał pomiędzy widzami, jak to czyniono przy naszym popisie, przeciwnie, wszystkie twarze były poważne i pełne skupionej uwagi. Wielu nagrodzonych miało żony i dzieci w parterze, więc kiedy które z tego drobiazgu zobaczyło, że ojciec przechodzi, wołało na niego głośno albo pokazywało rączką, śmiejąc się z uciechy. Przechodzili i wieśniacy, i posłańcy, ci byli ze szkoły „Buoncompagni”. Ze szkoły „Warowni” był jeden czyściciel butów, którego mój ojciec zna; prefekt

<sup>203</sup>ułożyć się (daw.) — ustalić coś. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>syndyk, prefekt — urzędnicy miejscy. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>snycerz — artysta bądź rzemieślnik rzeźbiący w drewnie. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>litograf — grafik wykonujący swoje prace poprzez odbijanie ich z kamiennej płyty. [przypis edytorski]

podał mu dyplom. Ale zaraz za nim zobaczyłem, że zbliża się ogromnie wysoki człowiek, olbrzym jakiś, i zdawało mi się, że ja go już kiedyś widziałem. I naturalnie, że go widział, bo to przecież był nie kto inny, tylko ojciec Mularczyka! Dzielny! Wziął drugą nagrodę! I tak mi się to przypomniało, kiedy go widział na poddaszu, przy łóżeczku chorego syna, że co rychlej zaczął oczyma szukać Mularczyka w parterze. Biedny Mularczyk! Patrzył w ojca błyszczącym wzrokiem, a żeby ukryć wzruszenie, zrobił prześliczny zajęczy pyszczek!

W tej chwili zaczęto klaskać. Spojrzałem na scenę, był to mały kominiarczyk z twarzą wymytą, ale w swej zwykłej odzieży od pracy. Syndyk rozmawiał z nim, trzymając go za rękę. Po kominiarczyku wystąpił kucharz, a po kucharzu miejski zamiatacz ulic, który dostał medal. Ten był ze szkoły „Raineri”.

A ja tak coś w sercu czułem zupełnie, jakbym tych wszystkich ludzi bardzo kochał i bardzo szanował. Bo tylko zastanowić się, ile te nagrody kosztowały tych robotników, ojców rodzin, skłopotanych, zmęczonych, ile pracy dodanej do ich pracy na chleb, ile godzin ujętych od snu, którego tak im potrzeba, a także ile wysiłków myśli, nie nawykłej do nauki, i rąk zgrubiałych, zeszywniałych i namozolonych w trudzie.

A oto przechodzi chłopak z warsztatu jakiegoś, któremu widać ojciec pożyczył spencera<sup>207</sup> na tę uroczystość, bo mu rękawy wiszą tak, że aby móc wziąć nagrodę, musiał je najpierw pozawijać i ledwo z nich wygramolił ręce. Paru śmiezków parsknęło, ale ich wnet zgłuszyły rozgłosne oklaski. Po chłopcu staruszek zupełnie łysy, z dużą białą brodą. Wyglądał jakby z obrazu, a głowa mu się trochę chwiała ze wzruszenia. Widziałem też kilku żołnierzy z artylerii, z tych, którzy uczęszczają do naszej sekcji na wieczorną naukę. Po nich zaś szła straż celna, a także ze straży miejskiej ten, co szkoły naszej pilnuje. Ten zamykał pochód.

Na zakończenie uczniowie szkół wieczornych odśpiewali ten sam hymn do poległych na Krymie, ale z takim zapalem, z takim uczuciem wprost z serca idącym, że ludzie wcale nie klaskali, tylko wysłuchawszy śpiewu tego stojąc jak do modlitwy powoli i w milczeniu opuścili salę. Dopiero na ulicy zaroilo się to wszystko jak w ulu! Przed wejściem do teatru stał kominiarczyk ze swoją czerwono oprawną książką, a dokoła kilku panów, którzy z nim rozmawiali. Wiele osób pozdrowiało się głośno przez szerokość ulicy, nauczyciele, chłopcy, robotnicy. Mój nauczyciel z drugiej wyszedł razem z dwoma artylerzystami. Ale co było pociesznie widzieć, to dzieci na rękach matek, trzymające w rączkach ojcowski dyplom i pokazujące go ludziom z wielką pychą!

### Śmierć mojej nauczycielki

27. wtorek

W tym samym czasie, kiedyśmy byli w teatrze Wiktora Emanuela, moja biedna nauczycielka umarła. Umarła o drugiej, w siedem dni po bytności swojej u nas. Dyrektor przyszedł do nas wczoraj rano, żeby nas zawiadomić o tym. I mówił tak:

— Ci z was, którzy byli jej uczniami, wiedzą, jak była dobra, jak kochała dzieci i że była dla nich jak matka. Już jej nie ma z nami. Okrutna choroba nurtowała ją od długiego czasu. Gdyby nie potrzebowała zarabiać na chleb, byłaby się leczyła, być może ozdrowiałaby, a przynajmniej przedłużyłaby swe życie o kilka miesięcy, gdyby była rzuciła te trudy. Ale pragnęła zostać ze swymi uczniami aż do ostatniego dnia prawie.

W sobotę wieczór siedemnastego rozstając się z nimi z tą świadomością, że nigdy już ich nie zobaczy, jeszcze im udzielała rad dobrych, jeszcze ich ucałowała wszystkich i oddaliła się łkając. A teraz nigdy jej już nikt z nas nie zobaczy. Pamiętajcież o niej, dzieci!

Mały Precossi, który był jej uczniem w pierwszej wyższej, pochylił głowę na ławkę i rozplakał się.

Wczoraj wieczorem poszliśmy wszyscy razem do domu zmarłej, żeby ją odprowadzić do kościoła. Już stał tam w ulicy karawan zaprzężony w parę koni i dużo osób mówiących cichym głosem czekało przed domem. Był dyrektor, byli wszyscy nauczyciele i nauczycielki z naszej szkoły i także z innych sekcji, gdzie za lat dawnych uczyła, byli prawie

<sup>207</sup>spencer — dawny strój męski, przypominający frak ze skróconymi połami. [przypis edytorski]

wszyscy malcy z jej klasy trzymając się matek jedną ręką, a drugą niosąc świece, było też bardzo wielu uczniów z klas innych i z pięćdziesiąt uczennic z Sekcji Baretti, z wieńcami kwiatów, z bukietami róż w ręku. Kwiatów i bukietów było też niemało na żałobnym wozie, do którego przymocowany był wielki wieniec z kwiatów akacji, nad którym był taki napis:

„Drogię nauczycielce dawne uczennice z czwartej klasy”.

A pod tym wielkim mały wianuszek, który przynieśli jej malcy.

Pomiędzy zebranymi widać było dużo służących ze świecami w ręku, przysłanych przez panie swoje, było także dwóch lokajów w liberii<sup>208</sup> z zapalonymi pochodniami, a jakiś bogaty pan, ojciec jednego z uczniów zmarłej, przysłał karetę, wybitą niebieskim atlasem.

Wszyscy się ustawili przed domem. Wielu chłopców ocierało łzy rzewne. I tak chwilę czekaliśmy w milczeniu. Wyniesiono wreszcie trumnę.

Kiedy zobaczyli, że trumnę wstawiają wewnątrz wozu, niektórzy mali uczniowie zaczęli głośno płakać, a jedno bobo tak się rozkrzyczało, że musieli je zabrać do domu. Orszak ruszył z wolna.

Szły najpierw dziewczęta z przytulku „Concezione”, w zielonych sukienkach, potem szły „Dzieci Marii”, całe w bieli z niebieskimi wstążkami, potem księża. A za karawanem nauczyciele i nauczycielki, uczniowie pierwszej wyższego oddziału i inni, a potem reszta tłumu.

Na ulicy ludzie stawali w oknach, we drzwiach i widząc wszystkie te dzieci, mówili: „To nauczycielka”. Wszystkim było okropnie żal i nawet wiele z tych pań, co przypro-wadziły dzieci, także płakało. Kiedy orszak przybył przed kościół, zdjęto trumnę z wozu i ustawiono ją w środkowej nawie, przed wielkim ołtarzem. Nauczycielki pierwszy wie-niec położyły na trumnie, dzieci pokryły ją kwiatami, a ci, co stali dokoła z zapalonymi świecami, zaczęli śpiewać modlitwy w mrocznym i wielkim kościele. Po czym nagle, kiedy ksiądz wyrzekł: „Amen” — zgasły wszystkie świece, ludzie wyszli pośpiesznie z ko-ścioła, a nauczycielka została sama.

Biedna, biedna nauczycielka, taka dobra dla mnie, taka cierpliwa, tak się napracowała przez lat tyle! Te książki, co ich trochę miała, zostawiła uczniom swoim; jednemu kałamarz dała, drugiemu obrazek — wszystko oddała, co miała. A na dwa dni przed śmiercią prosiła dyrektora, żeby nie pozwolił tym najmniejszym iść za jej trumną, bo nie chciała, żeby płakały.

Była dobra, cierpiała, umarła. Biedna nauczycielka, sama w tym ciemnym kościele! Żegnaj, żegnaj na zawsze, słodkie i smutne wspomnienie mojego dzieciństwa!

Dziękuję!

28. środa

Chciała koniecznie dokończyć roku szkolnego moja biedna nauczycielka, tylko trzy dni brakowało do ostatniej lekcji, kiedy odeszła od nas.

Pojutrze pójdziemy jeszcze raz do klasy, bo nauczyciel ma przeczytać opowiadanie miesięczne „Rozbicie okrętu”, a potem — basta!

W sobotę, pierwszego lipca, egzaminy. A więc znowu rok, czwarty już — przeszedł. I gdyby nie śmierć mojej nauczycielki, mógłbym powiedzieć, że przeszedł dobrze.

Tak sobie myślę o tym, com umiał w październiku zeszłego roku, i zdaje mi się, że dziś umiem znacznie więcej. Tyle nowych rzeczy mam w głowie! I potrafię daleko lepiej teraz napisać, co myślę, co czuję. Mógłbym także robić rachunki i za dużych, którzy nie potrafią, i pomóc im w interesach, i rozumiem daleko lepiej, rozumiem prawie wszystko, co czytam.

Kontent<sup>209</sup> jestem!

Ale ileż z rzeczy i ludzi składało się na moją naukę i pobudzało mnie do niej, i po-magało mi się uczyć, ten w domu, ten w szkole, ten na ulicy, wszędzie, gdzie tylko był i widział cokolwiek. Więc teraz wszystkim dziękuję!

<sup>208</sup>iberia — oficjalny mundur służby. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]



Najpierw dziękuję tobie, mój drogi nauczycielu, który byłeś tak pobłażliwy i życzliwy dla mnie i dla którego każda umiejętność, z jakiej się dziś cieszę, była nowym trudem.

I tobie dziękuję, Derossi, mój ukochany kolego, któryś tyle trudnych dla mnie rzeczy wytłumaczył mi tak jasno, tak chętnie, i tyle przeszkód pomogłeś mi przezwyciężyć przy egzaminach! I tobie dziękuję, poczciwy i mocny Stardi, któryś mi pokazał, jak wszystko można żelazną wolą przełamać. I tobie, szlachetny, dobry Garrone, któryś uszlachetniał i dobrymi czynił tych, co przestawali<sup>210</sup> z tobą. I wam, Precossi i Coretti, którzyście mi zawsze dawali przykład odwagi w cierpieniu i wesela przy pracy. Dziękuję wam! Dziękuję wszystkim innym!

Ale nad wszystkich tobie dziękuję, ojciec mój kochany, ty pierwszy mój nauczycielu, któryś mi tyle rad dobrych udzielił i tylu rzeczy nauczył pracując dla mnie, ukrywając przede mną smutki swoje i starając się wszelkim sposobem uczynić naukę łatwą, a życie pięknym.

I tobie, najmilsza matko moja, aniele stróżu mój ukochany i uwielbiony, któraś cieszyła się każdą moją radością, a smuciła każdym smutkiem moim, któraś się uczyła ze mną, pracowała ze mną, płakała ze mną gładząc jedną ręką moje czoło, a drugą ukazując mi niebo!

Kłękam przed wami, jak kiedyś był małym dzieckiem, i dziękuję wam, dziękuję z całą tkliwością, jakąście zbudzili w mej duszy przez dwanaście lat poświęcenia swego i miłości swojej.

Rozbicie okrętu

#### *Ostatnie opowiadanie miesięczne*

Przed kilku laty, pewnego grudniowego ranka, wypłynął z Liverpoolu wielki okręt parowy, na którego pokładzie znajdowało się więcej niżli dwieście osób, między którymi było siedemdziesięciu ludzi załogi. Tak kapitan, jak i wszyscy prawie marynarze byli Anglikami. Wśród pasażerów zaś było nieco Włochów: trzy panie, ksiądz i kilku muzykantów. Okręt udawał się do wyspy Malty. Czas<sup>211</sup> był pochmurny.

Wśród podróżnych trzeciej klasy, zebranych na przodzie pokładu, znajdował się dwunastoletni chłopiec, Włoch rodem, mały na swój wiek, ale silny, piękny typ sycylijski, z surową i odważną twarzą.

Chłopiec siedział sam, nie opodal przedniego masztu, na kupie lin okrętowych, obok małej wyszarzałej walizki, w której miał swoje rzeczy i na której trzymał rękę. Był śniady<sup>212</sup>, włosy miał czarne, wijące się i tak długie, że mu prawie na ramiona spadały. Odziany był ubogo, w jakąś obdartą kurtkę, a na szyi miał starą torbę skórzaną. Siedząc tak, patrzył zamyślony na pasażerów, na okręt, na marynarzy przebiegających obok niego z pośpiechem i na morze, które coraz niespokojniejszym się stawało. A wyglądał ów chłopiec tak, jakby świeżo przebył jakieś wielkie nieszczęście rodzinne; twarz dziecka miała wyraz dojrzałego człowieka.

Wkrótce po wypłynięciu z portu jeden z majtków okrętowych, Włoch z siwą już głową, ukazał się na przodzie okrętu, prowadząc małą dziewczynkę za rękę i zatrzymał się przed Sycylijczykiem rzekł:

— Masz tutaj towarzyszkę podróży, Manio! — Po czym odszedł.

Dziewczynka siadła na kupie lin, obok chłopca, i oboje na siebie patrzyli. Mały Sycylijczyk zapytał:

— Gdzie ty jedziesz?

A dziewczynka:

— Do Malty, a stamtąd do Neapolu. — I dodała: — Do ojca jadę i do matki, bo oni tam są i czekają na mnie. A ja jestem Julieta Faggiani.

Chłopiec nic nie odpowiedział. Po jakimś czasie wydobyl z torby chleb i suszone owoce, dziewczynka miała biszkopty, więc jedli.

<sup>210</sup>przestawać — przebywać z kimś, być z kimś w kontakcie. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>czas — tu: pogoda. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>śniady — o ciemnej karnacji, opalony. [przypis edytorski]

— Baczość — krzyknął włoski marynarz przechodząc z pośpiechem. — Zaraz się tu taniec zacznie!

Jakoż istotnie wiatr się wzmógł, a okręt kołysał się gwałtownie. Ale siedzące na linach dzieci nie bardzo na to zważały. Dziewczynka uśmiechała się. Była ona prawie w tym samym wieku, co jej towarzysz, ale znacznie od niego wyższa. Była smagła<sup>213</sup>, brunetka, szczupła, wątła i mniej niż skromnie ubrana. Włosy miała kędzierzawe, krótko obcięte, czerwoną chusteczką związane dokoła głowy, i srebrne, duże koła w uszach.

Jedząc opowiadali sobie swoje losy.

Chłopiec nie miał już ani ojca, ani matki! Ojciec, robotnik, umarł niedawno w Liverpoolu, zostawiając go samego na świecie, a konsul włoski odsyłał go właśnie do Palermo, gdzie mały sierota miał dalekich krewnych.

Dziewczynkę zabrała z sobą do Londynu przed rokiem ciotka, wdowa, która ją bardzo kochała i której rodzice oddali ją na jakiś czas, licząc na obiecaną sukcesję<sup>214</sup>, ale w kilka miesięcy potem przejechał ciotkę omnibus i umarła nie pozostawivszy po sobie ani szeląga. Dziewczynce poradzono także udać się do konsula. Konsul się nią zaopiekował i oto ją do rodziców odsyła.

Oboje poleceni zostali owemu Włochowi, który do załogi okrętu należał.

— Więc tam ojciec i matka — kończyła dziewczynka — myślą, że ja z majątkiem wrócę, a ja nie mam nic. Ale i tak będą mnie kochali. A moi bracia! Czterech braci mam, takich małych, malutkich... Ja najstarsza w domu. Ubieram ich, myję. Okropnie się ucieszają! A ja po cichutku na palcach wejść... Jakie morze brzydkie!... — Potem nagle do chłopca: — A ty będziesz tam u tych krewnych?

— Będę... Jeśli mnie zechcą trzymać — odrzekł.

— A oni cię nie kochają?

— Czy ja wiem?

— Ja na Boże Narodzenie zacznę trzynasty rok — przemówiła dziewczynka.

I zaraz zaczęli mówić o morzu, o podróżnych, którzy ich otaczali. Tak przesiadzieli przy sobie dzień cały, gawędząc od czasu do czasu. Pasażerowie myśleli, że to brat i siostra. Dziewczynka robiła pończochę, chłopiec rozmyślał, morze stawało się burzliwszym coraz. Kiedy się rozchodzili wieczorem, dziewczynka rzekła:

— Śpij spokojnie!

— Nikt tu, moje dzieci, nie będzie spokojnie spał! — Rzekł przebiegając ów włoski marynarz, którego wzywał kapitan.

Chciał właśnie chłopiec odpowiedzieć małej towarzysze: „Dobranoc!” — kiedy gwałtowny strumień wody chlusnął na niego znienacka i powalił go na ławkę.

— Jezus Maria! Krew leci! — krzyknęła dziewczynka rzucając się do malca.

Pasażerowie schodzący śpiesznie pod pokład nie zauważyli tego.

Dziewczynka ukłękła przy chłopcu, który był ogłuszony tym nagłym upadkiem, obtarła mu zakrwawione czoło i zdjawszy prędko swoją czerwoną chusteczkę, usiłowała jak najmocniej obwiązać mu głowę. Gdy ją wszakże przycisnęła do piersi, aby ścisnąć lepiej oba końce chustki, na żółtej jej sukieneczynie, nad paskiem, została krwawa plama. Manio ocknął się i podniósł się po chwili.

— Czy cię boli? — zapytała Julieta.

— Nic mnie nie boli!

— Dobranoc ci!

— Dobranoc! — odpowiedział Manio.

I zeszli po dwojgu obocznych schodkach, do swoich sypialni.

Stary marynarz dobrze przepowiedział. Jeszcze dzieci nie posnęły, kiedy się rozpętała straszliwa burza. Ogromne bałwany tak gwałtownie natarły na okręt, że w parę minut jeden z wielkich masztów powalony został, trzy łodzie ratunkowe, z tych, które były uczepione w tyle okrętu, fale uniosły jak liście, a szturmujące okręt morze zmiotło cztery woły z przedniego pokładu.

Pomiędzy pasażerami zrobił się okrutny zamęt. Krzyki przerażenia, rozpacz, płacz, modlitwy buchnęły jak druga burza. Włosy stawały na głowie słuchając ich. Morze wrza-

Burza

<sup>213</sup>smagły — posiadający ciemną, oliwkową cerę. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>sukcesja — spadek. [przypis edytorski]

ło. Nawałnica noc całą szalała wznosząc się ciągle na sile. Dniało już, a ona jeszcze rosła. Olbrzymie fale bijące w statek z ukosa zalewały pokład tłukąc, łamiąc i zmiatając w otchłań, co tylko na nim było.

Platforma pokrywająca maszynę była zgnieciona, a woda nalewała się do wnętrza ze strasznym hukiem; ogień pogasły, maszyniści uciekli pod pokład przed niechybną śmiercią; szerokie strugi wdzierały się zewsząd.

Wtem grzmiący głos krzyknął:

— Do pomp!

Był to głos kapitana, marynarze rzucili się do pomp. Ale w tejże chwili nagłe uderzenie fal przechyliwszy okręt w tył zgruchotało poręcze i drzwiczki kajut, a woda strumieniem wlewać się do nich poczęła. Pasażerowie w śmiertelnym przestachu zebraли się w wielkiej sali. Wtem kapitan ukazał się w progach.

— Kapitanie! Panie kapitanie! — krzyknęli wszyscy razem.

— Co się dzieje?... Co się z nami stanie?... Czy jest nadzieja? Czy jest ratunek?...

Kapitan przeczekał, aż się krzyk uciszył, a potem zimnym głosem rzekł:

— Trzeba się poddać losowi.

Jakaś kobieta krzyknęła: — Litości! — Był to jedyny okrzyk.

Nikt inny głosu dobyć nie mógł. Zgroza ścisnęła wszystkie gardła. Minuty przechodziły, w wielkiej sali śmiertelna panowała cisza.

Ludzie patrzyli na siebie zbolą z przerażenia twarzą. A morze tymczasem szalało. Okręt pogrążyć się zaczął.

W jakiejś chwili kapitan próbował spuścić łódź ratunkową. Pięciu marynarzy wstąpiło w nią, barka została odcięta. Natychmiast jednak przechyliła ją gwałtowna fala i dwóch marynarzy poszło na dno. Jednym z nich był stary Włoch, opiekun dzieci. Pozostałym udało się z wielkim trudem zarzucić sznury na okręt i dostać na niego z powrotem. Po tej śmiertelnej próbie załoga straciła nadzieję.

W dwie godziny potem okręt był zalany wodą aż do wysokości osady głównego masztu. Pod pokładem tymczasem rozgrywały się rozdzierające sceny.

Matki rozpaczliwie tuliły dzieci swe do łona, przyjaciele padali sobie w objęcia i żegnali się, niektórzy schodzili do kajut, by tam umierać, nie patrząc na rozpętane i huczące morze. Jeden z podróżnych roztrzaskał sobie czaszkę z pistoletu i skonał na schodach sypialni. Ludzie czepiali się konwulsyjnie jedni drugich, kobiety mdlały i wpadały w szal nieopisany.

Wielu klęczało dookoła księdza wznosząc ku niemu złożone do modlitwy ręce. Krzyk, jęki, płacz dzieci, łkania, głosy dzikie, ostre tworzyły jakiś chór piekielny, jakąś symfonię rozpacz, a tu, to tam stali ludzie nieruchomi jak posągi, z rozszerzonymi żrenicami, które nie widziały nic, z twarzami szaleńców i trupów.

Ale dwoje dzieci, Manio i Julieta, trzymając się co siły jednego z okrętowych masztów, patrzyło w morze osłupiałym wzrokiem jakby nieprzytomne.

Morze zaczęło się uspokajać wreszcie, ale okręt zanurzał się z wolna coraz głębiej. Kilka minut zaledwie i musiał zniknąć pod wodą.

— Spuszczaj szalupę! — krzyknął kapitan.

Spuszczono ostatnią szalupę, jaka pozostała. Czternastu marynarzy i trzech podróżnych w nią zeszło.

Kapitan patrzył z pokładu.

— Kapitanie! Schodź z nami! — krzyczano na niego z szalupy — Zginę na stanowisku!... To powinność moja! — odkrzyknął kapitan.

— Spotkamy jakiś statek! Ocalimy cię! Schodź! Ratuj się! — wołali marynarze.

— Zostaję tutaj!

— Jest jeszcze miejsce! — krzyknęli wtedy marynarze zwracając się do pasażerów. — Niech zjedzie kobieta.

Zbliżyła się kobieta, podtrzymywana przez kapitana, ale zobaczywszy odległość, w jakiej się znajdowała szalupa, nie mogła odważyć się na skok i padła na pokład zemdlona.

Inne kobiety były bezprzytomne i na wpół nieżywe.

— Dawać dziecko! — krzyczeli teraz marynarze.

Na ten krzyk mały Sycylijszyk i towarzyska jego, jakby skamieniali dotąd od nadludzkiej zgrozy, wstrząśnięci gwałtownym instynktem życia, puścili drzewo masztu w tym

samym momencie i rzuciwszy się na brzeg pokładu wrzasnęli jednym głosem: — Ja!... Ja!... — odtrącając się wzajem od zejścia jak dzikie zwierzęta.

Mniejsze! — krzyczano z szalupy. — Łódź jest przeładowana! Mniejsze!

A na ten krzyk dziewczynka opuściła ręce jak trafiona gromem i stanęła nieruchomo patrząc na Mania martwymi oczyma.

Manio spojrział na nią i zobaczył krwawą plamę na żółtej sukience. Przypomniał sobie i jakiś błysk niebiański przeleciał mu po twarzy.

— Mniejsze! Prędsze! — wołali marynarze z najwyższą niecierpliwością. — Odbijamy!

A wtedy Manio krzyknął jakimś dziwnym głosem:

— Ona lżejsza! Schodź, Julieto! Masz ojca i matkę. Ja sam. Oddaję ci miejsce. Schodź!

— Rzucić ją w wodę!... Złapiemy!

Manio chwycił ją wpół i rzucił w morze. Wrzasnęła dziewczynka i zanurzyła się z głową. Ale w teże chwili jeden z marynarzy chwycił ją i wciągnął na łódź.

Chłopiec stał wyprostowany na brzegu pokładu, z czołem podniesionym, z włosami rozwianymi przez wiatr, stał nieruchomy, spokojny, wzniosły.

Plusnęły wiosła. Szalupa miała zaledwie czas oddalić się od niebezpiecznego leja, jaki tworzył okręt idący pod wodę, a który łatwo mógł ją wciągnąć w przepaść.

Wtedy dziewczynka, dotąd bezprzytomna jakby, podniosła oczy ku chłopcu i wybuchła płaczem.

— Żegnaj, Manio! — krzyknęła wyciągając ręce ze łkaniem. — Żegnaj! Żegnaj!

— Bądź zdrowa! — odkrzyknął chłopiec podnosząc rękę. Barka zaczęła się oddalać z pośpiechem, skroś wzburzonego morza<sup>215</sup>, pod zamroczonym niebem.

Na okręcie ucichło wszystko.

Woda zatapiała ostatni skrawek pokładu.

Nagle chłopczyna upadł na kolana ze złożonymi rękami i oczy wzniosł w niebo.

Ocalona dziewczynka ukryła twarz w dłoniach. Kiedy ją podniosła i powiodła wzrokiem po morzu dokoła, okrętu nie było już na nim.

## LIPIEC

Ostatnia kartka mojej matki

### II. sobota

A więc skończył się, Henryku, rok szkolny i pięknie to jest, że ci jako wspomnienie ostatniego dnia w tym roku zostaje obraz wzniosłego chłopczyny, który ustąpił życia małej przyjaciółce.

Więc masz się rozłączyć z nauczycielami, z kolegami twymi, a ja ci muszę powiedzieć rzecz smutną, że nie na trzy miesiące rozłączasz się z nimi, ale już na zawsze. To bowiem wypadło ze spraw związanych z zawodem ojca twojego, że opuszcza Turyn, a z nim i my wszyscy.

Jesienią wyprowadzimy się stąd, a ty wstąpisz do jakiejś innej szkoły. Przykro ci to, prawda? Bo jestem pewna, że kochasz swoją starą szkołę, gdzie przez lat cztery, dwa razy dziennie, doświadczałeś radości pożytecznej pracy. Gdzie przez czas tak długi widywałeś tych samych chłopców, tych samych nauczycieli, tych samych rodziców i twego ojca, i twoją matkę, którzy na ciebie z uśmiechem czekali. Tę dobrą, starą szkołę, gdzie umysł twój otwarł się do światła, gdzieś znalazł dobrych kolegów, gdzie każde słowo, któreś słyszał, miało za cel dobro twoje i gdzieś nie doznał żadnej przykrości prócz takiej, która ci pożyteczną była. Zachowajże więc w sercu to przywiązanie, Henryku, a pożegnaj serdecznie towarzyszy twoich!

Niektórzy z nich doznają może nieszczęścia, może stracą wcześniej ojca, matkę, inni sami może młodo zejdą ze świata. Będą i tacy, którzy w obronie ojczyzny krew mężnie przeleją, a wielu zostanie dzielnymi, uczciwymi

<sup>215</sup>skroś wzburzonego morza — dziś: przez wzburzone morze. [przypis edytorski]

robotnikami, ojcami rodzin pracowitych i zacnych, jak sami, a kto wie, znajdzie się pomiędzy nimi i taki może, który odda wielkie usługi swemu krajowi i wsławi jego imię!

Pożegnaj więc ich z miłością! Zostaw nieco duszy swojej w tej wielkiej rodzinie, do której wszedłeś dzieckiem, a z której wychodzisz młodzieńczykiem, a którą twój ojciec i twoja matka tak kochali, boś ty był w niej kochany.

Szkoła to też matka, Henryku! Zabrała mi cię z objęcia, kiedyś był mały i mówił zaledwie, a teraz oto oddaje mi cię dużym, silnym, dobrym i chętnym do nauk. Niechże więc będzie błogosławiona, a ty, mój synu, nigdy nie zapomnisz o niej. Nie, to niepodobna<sup>216</sup>, żebyś ją zapomniał! Dorośniesz, pójdiesz w świat, zobaczysz wielkie miasta, zadziwiające pomniki i gmachy i wiele rzeczy tymczasem wyjdzie z twojej pamięci, ale ten skromny, biały budynek z tymi zapuszczonymi firankami, ten mały ogród, w którym zerwałeś pierwszy kwiat wiedzy twojej, ten ci zostanie w oczach do ostatniego tchu życia i tak go widzieć będziesz, gdziekolwiek cię los poniesie, jak ja widzę ten dom, w którym usłyszałam głos twój po raz pierwszy.

## Egzaminy

### 4, wtorek

Otóż i egzaminy nareszcie!

Na wszystkich ulicach dookoła szkoły nikt o niczym innym nie mówi: rodzice, dzieci — aż do kucharek.

„Egzaminy, stopnie, tematy, przeciętne, obcięty, promowany” — wszyscy to na ustach mają.

Wczoraj rano były wypracowania piśmienne<sup>217</sup>, dziś rano arytmetyka. Wzruszające było patrzeć na wszystkich tych rodziców, którzy prowadząc dzieci do szkoły, dawali im ostatnie rady przez drogę. Matki to aż do ławek towarzyszyły synom, żeby zobaczyć, czy atrament jest w kałamarzu, czy pióro dobre, a jeszcze z progu odwracały się mówiąc:

— A uważaj! Bój się Boga, uważaj! A nie bój się nic! Pamiętaj!

W naszej klasie nauczycielem-asystentem był Coatti, ten z czarnym brodzikiem, co to jak lew ryczy, a dobry jak baranek.

Niektórzy chłopcy wyglądali tak biało na twarzy, jak kreda, ze strachu. Kiedy nauczyciel rozpierzchł przyniesioną z Ratusza kopertę i wyjął z niej zadanie, tchu nie było słyhać w całej klasie.

Więc podyktował zadanie owo grubym głosem, patrząc to na tego, to na owego srogimi oczyma, ale widać było, że gdyby mógł nam podyktować i rozwiązanie także, żeby wszyscy promocje dostać mogli, sprawiłoby mu to najwyższą przyjemność.

Po godzinie pracy wielu już bardzo się pomęczyło, bo zadanie było istotnie trudne. Jeden płakał. Crossi walił się pięścią w głowę. A przecież nie było to winą tych biednych chłopców, że niewiele wiedzieli, bo mało czasu mieli do nauki i rodzice odrywali ich od niej.

Ale Opatrzność czuwała!

Trzeba wiedzieć, co wyprawiał Derossi, żeby im tylko pomóc. Jakie pomysły miał, żeby puścić między ławki cyfrę lub podpowiedzieć, jakiego użyć działania, a nie być odkrytym, tak troskliwy o wszystkich, jakby to on był nauczycielem naszym.

No i Garrone, który jest w arytmetyce mocny, pomagał, komu się dało, aż do Nobisa, który zaplątawszy się w rachunkach zupełnie zmiękł i bardzo był uprzejmy.

Stardi więcej niż przez godzinę siedział nieruchomy z wzrokiem wlepionym w zadanie, z głową pięściami podpartą, po czym wziął pióro i w pięć minut skończył.

Nauczyciel chodził między ławkami i powtarzał:

— Spokojnie! Spokojnie myśleć, chłopcy! Zalecam wam spokój myśli!

<sup>216</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>piśmienny — tu: pisemny. [przypis edytorski]

A kiedy spostrzegł, że który sam nie wie, co robi ze strachu, otwierał szeroko usta, żeby go rozśmieszyć, i udawał lwa, że chce go połknąć.

Okolo jedenastej patrząc przez zapuszczone firanki widziałem, jak niektórzy rodzice niecierpliwie chodzili tam i na powrót w ulicy. Był tam ojciec Precossiego w swojej kamizelce niebieskiej, który dopiero co wybiegł widać z kuźni i twarz miał zupełnie czarną. Była matka Crossiego, zieleniarka, matka Nelliego, czarno ubrana, która ani chwili spocząć nie mogła. Przed samym południem przyszedł mój ojciec i podniósł oczy ku oknu mojemu: drogi, kochany mój ojciec! O dwunastej wszyscy robotę skończyli.

A co się to działo przy wyjściu! Ledwo który przez próg, zaraz do niego! A to pytać, w kajety zaglądać, a to porównywać z kajetami kolegów!

Ile działań? Jaka suma? A odejmowanie? A odpowiedź? A gdzie przecinek ułamka dziesiątego?

Nauczyciele nie wiedzieli, gdzie mają iść, tak ich wołano ze wszystkich stron. Mój ojciec wziął ode mnie brulion, spojrzął i rzekł:

— Dobrze.

Obok nas stał kowal Precossi, który także oglądał robotę syna, trochę niespokojny, bo nie mógł się jakoś połapać. Więc zwrócił się do mego ojca.

— Czy nie byłby pan łaskaw powiedzieć mi sumy?

Ojciec przeczytał cyfry. Spojrzął kowal w kajet i porównał.

— Brawo! Ależ brawo, malcze! — zawołał uszczęśliwiony.

I patrzyli na siebie przez chwilę z uśmiechem, on i mój ojciec, jak dwaj przyjaciele. Ojciec podał mu rękę, kowal ją uściśnął. Rozstali się mówiąc:

— Do zobaczenia na „ustnym”!

— Na „ustnym”!

Uszedłszy kilka kroków posłyszeliśmy jakiś nadzwyczajny falset<sup>218</sup>, tak że się głowa sama odwracała. Spojrzałem: to kowal śpiewał, wyciągając głos w nieprawdopodobne trele!

Ostatni egzamin

## 7. piątek

Dziś rano odbyły się egzaminy ustne.

O ósmej byliśmy już wszyscy w klasie, a o kwadrans na dziewiątą<sup>219</sup> zaczęli nas woływać po czterech do sali, gdzie stał duży stół, nakryty zielonym sukniem, a przy stole siedział dyrektor i czterech nauczycieli, pomiędzy którymi był i nasz także.

Mnie wywołali prawie na samym początku.

Biedny nauczyciel. Dopiero dziś z rana przekonałem się, jak ja go kocham. Kiedy tamci pytali, patrzył w nas, jakby nam duszę własną chciał oddać. Zachmurzał się, kiedy który palnął bąka<sup>220</sup>, rozjaśniał, kiedy dobrze szło. Słuchał każdego słówka, a głową i rękami dawał nam znaki, jakby mówił:

— Dobrze... Żle! Uważaj... Wolniej. Nie bój się!

Pewno by i podpowiadał, żeby mu tylko wolno było mówić. Gdyby na jego miejscu znajdowali się, jeden po drugim, ojcowie wszystkich uczniów, nie mogliby zrobić nic więcej. I jeszcze by dziesięć razy głośno krzyczeli: „dziękuję!”, nawet przy dyrektorze. Więc kiedy mi tam u tego zielonego stołu powiedzieli:

— Dobrze. Możesz odejść — to jemu aż oczy zaświeciły z radości.

Wróciłem zaraz do klasy i czekałem na ojca. Wszyscy jeszcze prawie byli w ławkach. Siadłem przy Garronem, ale mi wcale nie było wesoło, bynajmniej, bo mi zaraz na myśl przyszło, że już ostatni raz siedzimy tak obok siebie. Garrone nie wie jeszcze o niczym. Jeszcze mu nie mówiłem, że czwartej klasy nie będziemy przechodzili razem i że opuszczamy Turyn razem z ojcem.

Siedział zgarbiony, prawie złożony we dwoje i pochyliwszy dużą swoją głowę nad ławką rysował jakieś ornamenty dokoła fotografii swojego ojca w mundurze maszynisty! Tęgi

<sup>218</sup>*falset* — wysoki głos męski. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*kwadrans na dziewiątą* — dziś: ósma piętnaście. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>*palnąć bąka* (daw., pot.) — pomylić się. [przypis edytorski]

mężczyzna z tego ojca! Wysoki, barczysty, szyja jak u wołu, a twarz poważna i uczciwa. Zupełnie jak u syna. Więc kiedy tak siedział schylony, z rozwartą trochę koszulą, zobaczyłem na gołych jego piersiach ów złoty krzyżyk, który mu matka Nellięgo podarowała dowiedziawszy się, że taki dobry dla jej syna. Zdecydowałem się powiedzieć mu wszystko.

— Garrone — rzekłem — mój ojciec wyjeżdża z Turynu tej jesieni już na dobre.

— No, a ty?

— Ja też.

— To nie będziesz z nami razem w czwartej?

— Nie.

Rysował przez chwilę w milczeniu. Po czym nie podnosząc głowy zapytał:

— A będziesz pamiętał o kolegach z trzeciej?

— Będę. O wszystkich. Ale o tobie... więcej niż o wszystkich. Kto by cię mógł zapomnieć?

A on głowę podniósł i utkwił we mnie spojrzenie, które mówiło różne, różne rzeczy, sam jednak nie rzekł nic, tylko mi podał lewą rękę udając, że prawą rysuje dalej, a ja uściśnięciem serdecznie w obu dłoniach tę rękę silną i zacną.

W tejże jednak chwili wszedł pośpiesznie nauczyciel z twarzą zaczerwienioną i cichym, wesołym głosem rzekł prędko:

— Dobrze idzie! Aż dotąd wszystko dobrze! Niech tylko ci, co zostali, równie dobrze się sprawią! Dzielne chłopaki! Nic się nie bójcie, nic! Bardzom z was kontent<sup>221</sup>!

I żeby nas rozweselić i sam swoją wesołość nam pokazać, udał wychodząc, że się potknął i oparł się o mur, żeby się nie przewrócić niby. On, cośmy nigdy nie widzieli, żeby się roześmiał kiedy. Więc nam się to tak osobliwym zdało, że wszyscy zrazu osłupieli, potem uśmiechnęli się, ale śmiechu szczerzego nie było. Nawet powiem, że sam nie wiem czemu, ale mnie zasmucił i rozrzewnił razem<sup>222</sup> ten dziecinny figiel. Więc ta chwila wesołego żartu była całą nagrodą za dziewięć miesięcy cierpliwości, dobroci i różnych kłopotów z nami? Więc dla takiej chwili pracował tyle czasu, przychodził do klasy i odbywał lekcje niezdrów... Biedny nauczyciel! Więc tylko tego, tego śmiechu wesołego chciał od nas, za tyle przywiązania, za tyle starań!

I zdawało mi się, że go tak już na zawsze w tym ruchu zachowam w pamięci, że go tak widzieć będę zawsze, gdy pomyślę o nim. A jak już będę mężczyzną, a on będzie żył jeszcze i spotkamy się, przypomnę mu ten żarcik, który mi wzruszył serce, i ucałuję głowę jego siwą.

Pożegnanie

10. *poniedziałek*

Punkt o dwunastej zebraliśmy się już po raz ostatni w szkole, gdzie miano ogłosić rezultat egzaminów i rozdać promocje.

Przed szkołą pełno było rodziców. Pełno ich było także w wielkiej parterowej sali, a nawet w klasach, gdzie się cisnęli do nauczycielskiego stolika. W naszej zajęli całą wolną przestrzeń pomiędzy pierwszymi ławkami a ścianą. Był ojciec Garronego, matka Derossiego, był kowal Precossi, był Coretti, była pani Nelli, była zieleniarka, był ojciec Mularczyka, ojciec Stardiego, byli też i tacy, których nigdy nie widziałem dotąd; a taki był hałas, taki gwar — jak na jarmarku. Dopiero kiedy nauczyciel wszedł, zrobiło się cicho. Nauczyciel miał w ręku listę i zaraz czytać zaczął:

— Abatucci, promocja, sześćdziesiąt sześćdziesiątych. Archini, promocja, pięćdziesiąt pięć sześćdziesiątych...

I Mularczyk promocja, i Crossi promocja. Potem czytał głośniej:

— Ernest Derossi, promocja, siedemdziesiąt siedemdziesiątych — i pierwsza nagroda!

A że go tam wszyscy znali, więc zrobił się szmer, bo każdy chciał mu coś miłego powiedzieć. Więc mówili:

— Brawo, brawo, Derossi!

<sup>221</sup>kontent (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>razem (daw.) — naraz, jednocześnie. [przypis edytorski]

A on potrząsnął tylko w tył te swoje jasne kędziory z swobodnym, ślicznym uśmiechem i spojrzał na matkę, która mu od ust pocałunek przesłała.

Nauczyciel czytał dalej:

— Garrone, Garoffi, Kalabryczyk — wszyscy promowani.

Potem trzech czy czterech — obciętych. Więc jeden zaraz w bek, bo ojciec jego stał w progu i pogroził mu ręką.

Spostrzegł to nauczyciel i rzekł:

— Nie, panie! Przepraszam pana! To nie zawsze jest winą ucznia. To często nieprzyjazny zbieg okoliczności. A to właśnie ma miejsce w obecnym wypadku, mogę pana zapewnić sumiennie!

Potem czytał:

— Nelli, promocja, sześćdziesiąt dwa siedemdziesiątych.

Matka Nellię zrobiła śliczny gest czarnym wachlarzykiem ku synowi i uśmiechnęła się do niego.

— Stardi, promocja, sześćdziesiąt siedem siedemdziesiątych.

Mysleliśmy, że się szalenie ucieszy. Tak bliski Derossiego! Tak wysoko stanął! A ten się nie uśmiechnął nawet i nawet pięści od czoła nie odjął, tylko tak siedział jak zwykle podparty! Ostatni był Vatini, który przyszedł wystrojony, wyświeżony. Wziął promocję.

Nauczyciel podniósł się teraz i rzekł:

— Chłopcy! Oto ostatni raz zebraliśmy się tu razem. Przebyliśmy z sobą cały rok szkolny, a teraz rozstajemy się jako przyjaciele. Nieprawdaż? Żal mi bardzo rozstawać się z wami, drogie dzieci!

Tu milczał przez chwilę, a potem tak mówił:

— Jeśli mi kiedy brakło cierpliwości, jeżeli kiedy, mimo woli mojej, był niesprawiedliwy albo zbyt surowy — przebaczone mi.

W klasie podniósł się chór głosów:

— Nie! Nie! — mówili rodzice i uczniowie. — Nie, panie nauczycielu! Nigdy!

— Przebaczone mi — powtórzył nauczyciel — i bądźcie mi życzliwi! Na przyszły rok nie będziecie już ze mną, ale was znowu zobaczę, a w sercu — zachowam na zawsze. Do widzenia, chłopcy!

Powiedziawszy to wszedł między nas, a wszyscy go zaczęli ścisnąć za ręce, wchodząc na ławki, ciągnęli go za rękawy, za poły surduta, ściskali go, całowali, co śmielsi, a pięćdziesiąt głosów krzyczało razem:

— Do widzenia, panie nauczycielu!

— Dziękujemy panu nauczycielowi!

— Żegnamy pana!

— Niechaj pan nauczyciel będzie zdrow!

— Niech pan nie zapomni o nas!

Kiedy wychodził, zdawał się być bardzo wzruszony.

I my zaczęliśmy wychodzić, pchając się we drzwi jeden przez drugiego. Inne klasy wychodziły także. Zrobiło się zamieszanie, gwar, hałas, bo i rodzice, i dzieci żegnali się z nauczycielami, i z nauczycielkami, i sami też z sobą.

Mała nauczycielka z czerwonym piórem miała coś czworo czy pięcioro wstępników swoich na karku, a ciągnęła ją za suknię ze dwudziestu może, tak że tchnąć nie mogła.

„Zakonnicy” zaś prawie że na pół porozrywały kapelusze i nakładły jej do tej czarnej sukni, za stanik, po kieszeniach, w rękawy, gdzie tylko mogły, bukietki kwiatów. Wielu też wieszowało Robettiemu, który właśnie w tym dniu pierwszy raz przyszedł bez szcudeł. Ze wszystkich stron okrzyki, wołania:

— Do przyszłego szkolnego roku!

— Do dwudziestego października!

— Do widzenia na Wszystkich Świętych!

My takżeśmy się żegnali. Ach, jak się to zapomina w takiej chwili o wszystkich niesnaskach! Vatini, który tak zawsze Derossiemu zazdrościł, pierwszy teraz wyciągnął ręce i rzucił mu się na szyję.

Ja zaś żegnałem się z Mularczykiem i właśnie go w tej chwili całował, kiedy mi zrobił ostatniego „zajęczego pyszczka” na pamiątkę; kochany chłopiec!



Pożegnałem się z Precossim, pożegnałem się z Garoffim, który mi powiedział, że mój bilet na ostatniej jego loterii był wygrany, i wręczył mi mały majolikowy<sup>223</sup> przycisk, trochę obtłuczony w jednym rogu.

Pożegnałem się ze wszystkimi.

Ale jak się Nelli zaczął z Garronem ściskać, to go oderwać nie była można. Wszyscy zresztą pchali się do Garronego i nic nie było przez chwilę słychać tylko:

— Bądź zdrow, Garrone!

— Do widzenia, Garrone!

— Dziękuję ci, Garrone!

— Żegnaj, Garrone!

— Bądź zdrow! Bądź zdrow! Bądź zdrow!

I dalej ściskać, całować, ciągnąć każdy w swoją stronę tego drogiego, kochanego, świętego chłopca! Az ojciec jego był tym zupełnie zdumiony i stał, i patrzył z uśmiechem, a usta mu drżały.

Garrone był ostatnim, któremu uściskał już na ulicy, przytuliwszy mu głowę do piersi, żeby stłumić łkanie. On pocałował mnie w czoło.

Więc zaraz potem pobiegłem do ojca i do mamy, którzy czekali na mnie. Ojciec zapytał:

— Pożegnałeś się ze wszystkimi kolegami?

— Pożegnałem.

— Bo jeśli zrobiłeś komuś jakąś przykrość, jeśliś co komuś zawinił, idź, przeproś, niech ci nie pamięta tego. Jakże? Jest kto taki?

— Nie, nie ma!

— No, to mi żegnaj! — rzekł ojciec głosem wzruszonym, obejmując ostatnim spojrzeniem mury naszej szkoły.

A mama też ku szkole spojrzała i powtórzyła:

— Żegnaj!

Ja tylko nie mogłem przemówić słowa.

---

<sup>223</sup>*majolikowy* — wykonany z ceramiki pokrytej cynowo-olowiową polewą. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/amicis-serce>

Tekst opracowany na podstawie: Edmund de Amicis, Serce. Powieść dla chłopców, tłum. Maria Konopnicka, Świat Książki 1994.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

ISBN 978-83-288-0003-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).